

Lisa Gardner

Druga Córka

(The Other Daughter)

Przekład Maciejka Mazan

Prolog

wrzesień 1977, Huntsville, Teksas

O szóstej rano policję w Huntsville postawiono w stan pełnego pogotowia.

Za murami z czerwonej cegły zbierali się już demonstranci. Protestowali przeciwko pierwszej od trzynastu lat egzekucji w Teksasie. Bestialstwo, głosiły transparenty. Okrucieństwo. „Tekskański piorun” nigdy nie powinien odchodzić na emeryturę. Kara śmierci jest kapryśna i nieprzewidywalna.

Drugi, równie liczny tłum przyszedł z zupełnie innymi hasłami. „Bestialstwo i okrucieństwo” to za mało dla Russella Lee Holmesa. Posłać go na krzesło. Niech się usmaży. Kandydat na egzekucję numer trzysta sześćdziesiąt dwa zasługiwał na to, by odkurzyć dla niego elektryczne krzesło. Prawdę mówiąc, można by dla niego odkurzyć nawet szubienicę.

W Umieralni, gdzie przeniesiono go poprzedniej nocy, Russell Lee Holmes ułożył się wygodnie na długiej pryczy i odwrócił się do wszystkich plecami. Miał wodnistobłękitne oczy i zapadniętą twarz. Był chudy i przygarbiony. Po trzydziestu latach żucia tytoniu i picia coli jego zęby stały się krzywe, czarne i przeżarte próchnicą. Często dłubał w nich kciukiem. Nie robił miłego wrażenia, ale był cichy i zachowywał się spokojnie. Można było niemal zapomnieć, co zrobił tymi małymi, drobnokościstymi dłońmi.

W styczniu, gdy stan Utah położył kres moratorium Sądu Najwyższego na egzekucje, stawiając Gilmore’a przed plutonem śmierci, nikt nie miał wątpliwości, że Teksas także włączy się do zabawy. I wszyscy uważali, że Russell Lee Holmes jest pierwszy w kolejce.

Może dlatego, że kiedy sędzia spytał go, co ma do powiedzenia o porwaniu, torturowaniu i zamordowaniu sześciorga dzieci, Russell Lee oświadczył:

– Prawdę mówiąc, Wysoki Sądzie, już się nie mogę doczekać, kiedy sobie złapię następne.

W drzwiach celi stanął strażnik, wielki, tłusty facet, nazywany Indorem, bo jego obwisłe policzki w chwilach gniewu lub zdenerwowania czerwieniały i trzęsły się jak indyjskie korale. Russell Lee wiedział z doświadczenia, że Indor wkurza się byle czym. Ale teraz strażnik zachowywał się spokojnie, nawet dobrotliwie. Podniósł do oczu kartkę z wyrokiem i odchrząknął, by usłyszeli go także czterej inni mieszkańcy Umieralni.

– Oto twój wyrok, Russell Lee. Przeczytam ci go. Słuchasz?

– Chcecie mnie usmażyć – mruknął Russell bez emocji.

– Jesteśmy tu, by ci pomóc przez to przejść. By ci zaoszczędzić kłopotów.

– Spieprzaj.

Indor pokręcił głową i zabrał się do czytania.

– Decyzją sądu skazuje się ciebie, Russell Lee Holmesie, na śmierć za następujące zbrodnie...

Przytoczył całą listę. Sześć morderstw pierwszego stopnia. Porwanie. Gwałt. Molestowanie. Typowy sadystyczny bydlak, w pełni zasługujący na śmierć. Russell Lee przytakiwał przy każdym oskarżeniu. Niezłe osiągnięcia jak na chłopaka, którego matka nazywała po prostu Śmieciem „obrzydliwym białym śmieciem”, albo „wierną podobizną tatusia, tego zafajdanego białego śmiecia”.

– Rozumiesz wyrok, Russellu Lee?

– Do tej pory każdy głupi by zrozumiał.

– Doskonale. Wielebny chciałby z tobą porozmawiać.

– Pragnę tylko pomówić z tobą, mój synu – odezwał się uspokajająco ojciec Sanders. – Być przy tobie w chwili próby. Pomóc ci zrzucić ciężar z duszy, zrozumieć podróż, w którą niedługo ruszysz...

– Pieprzyć to – wypowiedział się Russell Lee, jak zwykle szczerzy i otwarty. – Nie mam zamiaru spotykać się z jakimś ciotowatym Bogiem. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Pana Szatana. Coś mi się zdaje, że mógłby się ode mnie nauczyć, jak straszyć dzieci. A ty, Indor, nie masz dziecka? Córeczki?

Nalana twarz strażnika w jednej chwili zalała się czerwienią. Gruby palec uniósł się ostrzegawczo w powietrze, obwisłe policzki zadrżały.

– Nie zaczynaj. Jesteśmy tu, żeby ci pomóc...

– ... Zdechnąć. Nie jestem głupi. Chcecie mnie zabić, żeby znowu spać spokojnie. Ale ja się cieszę, że będę trupem. Będę mógł latać wszędzie, jak Kacper. Może dziś dopadnę twoją córeczkę...

– Nie pogrzebiemy cię! – ryknął strażnik. – Wrzucimy cię do niszczarki, ty sukinsynu. Zostanie z ciebie miazga, a tę miazgę zalejemy kwasem. Nie zostanie po tobie nawet jeden strzep. Ani jedna komórka!

– Nie moja wina – wycedził Russell Lee. – Urodziłem się zły.

Strażnik Indor podciągnął spodnie, skinął głową duchownemu i wypadł z celi.

Russell Lee wyciągnął się na pryczy i wyszczerzył zęby. Pora się zdrzemnąć. Na dziś już koniec. To w ogóle koniec.

Jego uśmiech zniknął, gdy na korytarzu rozległ się śpiew czterech skazańców:

– Smażony, pieczony, na krześle sadzony! Smażony, pieczony, na krześle sadzony!

O wpół do czwartej po południu Russell Lee wstał i zjadł ostatni posiłek: pieczonego kurczaka, marchewkę na gęsto i słodkie ziemniaki. Wraz z posiłkiem pojawił się nieproszony gość, reporter Larry Digger – zemsta Indora za poranną potyczkę.

Przez chwilę obaj przyglądali się sobie w milczeniu. Larry Digger miał trzydzieści lat, muskularną sylwetkę, gładką twarz, gęste ciemne włosy. Wniósł ze sobą zapach zewnętrznego świata; wszyscy skazańcy spoglądali na niego spode łba, z zazdrością. Wpadł do celi Russella Lee i usadowił się na pryczy.

– Ty to wszystko zjesz? Pęknieś, zanim zdążysz dojść do krzesła.

Russell Lee łypnął na niego ponuro. Larry Digger przyczepił się do niego jak rzep siedem lat temu; najpierw opisywał jego zbrodnie, potem aresztowanie, proces, a teraz przyszła pora na śmierć. Początkowo Russell Lee nie miał nic przeciwko temu. Ale ostatnio pytania dziennikarza zaczęły go denerwować i chyba trochę przerażać, a Russell Lee nienawidził się bać. Wbił spojrzenie w wózek z posiłkiem i wciągnął w nozdrza tłustą woń smażeniny.

– Czego? – warknął, zabierając się za kurczaka.

Digger zsunął z czoła kapelusz i rozpiął płaszcz.

– Jesteś dość spokojny. Nie histeryzujesz, nie wmawiasz nikomu, że jesteś niewinny.

– Mhm. – Russell Lee oddał kawał mięsa, przeżuł je z ciamkaniem, przełknął.

– Podobno zrezygnowałeś z ostatniej posługi. Też nie sądziłem, że wrócisz na łono Kościoła.

– Mhm.

Nie będzie rozgrzeszenia?

– Mhm.

– Daj spokój. – Digger pochylił się i oparł łokcie na kolanach. – Wiesz, o co mi chodzi. To twój ostatni dzień. Wiesz, że ci nie darują. To koniec. Ostatnia szansa, żeby powiedzieć wszystko jak jest. Prosto z twoich ust na pierwszą stronę.

Russell Lee dojadł kurczaka, otarł ociekające tłuszczem wargi i zabrał się do kleistej marchewki.

– Umrzesz samotnie, Russell. Może teraz wydaje ci się, że to drobiazg, ale zmienisz zdanie, kiedy cię przypną do krzeselka. Podaj mi ich nazwisko. Mogę ściągnąć tu twoją żonę. I dziecko. Dam ci na pociechę rodzinę w ostatnim dniu twojego życia.

Russell Lee skończył marchewkę i wbił trzy palce w sam środek czekoladowego ciasta. Wyrwał wielki kawał i zaczął zlizywać lukier.

– Nawet ci za to zapłacę – Digger zrobił ostatni beznadziejny wysiłek, o czym wiedzieli obaj.

– No, daj spokój. Wiem, że masz żonę. Widziałem tatuaż, słyszałem plotki. Powiedz mi o niej. Powiedz mi o dziecku.

– Co cię obchodzi?

– Chcę ci tylko pomóc...

– Chcesz ich tu sprowadzić i wystawić na pośmiewisko.

– Więc przyznajesz, że istnieją?

– Może istnieją, może nie. – Russell Lee pokazał w uśmiechu rozchybotane, brązowe od czekolady zęby. – Nic nie powiem.

– Jesteś głupi. Oni cię tu usmażą, a twoja żona nawet nie dostanie po tobie renty. A dziecko wychowa jakiś inny męć, który da mu swoje nazwisko. Pewnie z niego zrobi takiego samego wyrzutka jak ty.

– O, to już jest załatwione, nic się nie martw. Tak, tak. Prawda jest taka, że mam przed sobą jaśniejszą przyszłość niż ty. To ci dopiero ironia, co? Ironia. Dobre słowo, nie ma co. Dobre słowo.

Zamilkł i zajął się ciastem.

Larry Digger opuścił celę wściekły. Russell Lee rzucił na betonową podłogę resztki posiłku. Miał się nim podzielić z innymi skazańcami, tak nakazywał obyczaj. Rozgniół ciasto obcasem.

– No, podzielcie się wszyscy. Podzielcie się, skurwiele.

Z końca korytarza dobiegło głośne chrupnięcie, potem narastające zawodzenie i przenikliwy jęk. Opadł, nabrawł głębokich tonów, znowu się uniósł, wysoko, wysoko...

Kat rozgrzewał krzesło. Testował sprzęt, przełączając z tysiąca ośmiuset woltów na pięćset, z tysiąca trzystu na trzysta.

Nagle ta chwila stała się bardzo realna.

– Smażony, pieczony, na krześle sadzony. Smażony, pieczony, na krześle sadzony! – rozległo się na korytarzu.

Russell Lee Holmes siedział cicho na brzegu pryczy. Skulił się i zaczął myśleć o najwstrętniejszych rzeczach na całym świecie. O wątych, miękkich szyjkach, wielkich niebieskich oczach, przenikliwych piskach.

Nie powiem ani słowa, słoneczko. Zabiorę do grobu, że był ktoś, kto przynajmniej udawał, że kocha Śmiecia.

Boston, Massachusetts

Josh Sanders włókł się jasno oświetlonym korytarzem. Był na pierwszym roku stażu. Właśnie zaczął trzydziestą siódmą godzinę dyżuru, który miał trwać dobie, i właściwie funkcjonował już na autopilocie. Musiał się przespać. Znaleźć pusty pokój. Spać.

Zbliżył się do sali numer pięć. Ciemno. Przypomniawszy sobie mętnie, że w grafiku piątka była wolna. Spokojna noc na pogotowiu.

Wszedł do pokoju i odgarnął zasłonę przy łóżku, zamierzając się na nie rzucić.

Pisk. Ochryple rżenie. Jęk.

Młody doktor wzdrygnął się, włączył górne światło. Na łóżku leżała dziewczynka, której nie powinno tu być.

Obiema rączkami ścisnęła się za gardło; oczy wywróciły się jej białkami do góry, a po chwili całe ciało zwiotczało.

Oddział egzekucyjny znał się na robocie. Trzej strażnicy zakuli Russella Lee Holmesa w kajdany na nogi i łańcuch w pasie. Skazaniec oznajmił, że może iść o własnych siłach. Wszyscy zajęli miejsca.

Strażnicy stali po obu stronach Russella Lee. Indor szedł z przodu. Przemierzyli dwa metry korytarza i dotarli do zielonych drzwi, które powitały już trzystu sześćdziesięciu jeden skazańców.

O piątej fryzjer ogolił Russellowi głowę, odsłaniając idealnie gładką czaszkę, miejsce dla elektrod. Potem ostatni przysznic i świeże, białe egzekucyjne ubranie. Białe spodnie, biała koszula, biały pas, a wszystko z bawełny uprawianej, tkanej i szytej przez więźniów. Russell Lee szedł na śmierć ubrany jak pieprznęty pokojowy malarz.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Krzesło stanęło przed nim w całej okazałości. Stare drewno, wypolerowane do połysku przez pięćdziesiąt lat. Wysokie oparcie, solidne nogi i poręcze, szerokie rzemienne pasy. Prawie jak fotel babuni, gdyby nie maska na twarz i elektrody.

Kat wziął się do roboty i wszystko zaczęło się toczyć w przyspieszonym tempie. Strażnicy dokładnie przypięli Russella Lee do dębowego krzesła. Jeden wcisnął mu między zęby patyk, drugi pomazał lewą nogę, głowę i pierś solą fizjologiczną dla lepszego przewodzenia prądu. Potem kat opasał mu łydki szerokimi, metalowymi obejmami, zapiął je wokół nadgarstków, przypiął po dwie diody po obu stronach serca i wreszcie nasadził srebrną czaszę na wygoloną głowę. W niespełna sześćdziesiąt sekund Russell Lee został ukoronowany.

Kat zakleił oczy skazańca taśmą, żeby było mniej sprzątanego, kiedy gałki oczne eksplodują. Wsadził mu do nosa kłębk waty, żeby ograniczyć krwotok.

Wpół do dwunastej w nocy. Pluton egzekucyjny opuścił pomieszczenie i rozpoczęły się tortury. Russell Lee siedział przywiązany do krzesła, w ciemnościach, czekając na dźwięk dzwonka telefonu połączony bezpośrednio z gabinetem gubernatora.

Inni, siedzący w trzech pomieszczeniach wokół celi, także czekali. W pokoju numer jeden

siedzieli świadkowie: Larry Digger i czworo krewnych ofiar Russella Lee – ci, którzy się na to zdobyli. Patricia Stokes straciła czteroletnią córeczkę Meagan. Jej mąż miał dyżur w nowym miejscu pracy, więc przyprowadziła czternastoletniego syna. Brian siedział z kamiennym wyrazem twarzy, Patricia płakała cicho; łkanie wstrząsało jej wynędzniałym ciałem.

W sali numer dwa kat czekał w pogotowiu. W tym pomieszczeniu znajdował się drugi telefon, połączony bezpośrednio z biurem gubernatora. Ze ściany wystawały trzy duże przyciski, po trzy centymetry średnicy. Główny włącznik; i dwa zapasowe. W stanie Teksas jak się coś robi, to porządnie.

Sala numer trzy była przeznaczona dla rodziny i przyjaciół skazańca. Tego dnia znalazł się w niej tylko Kelsey Jones, oblegany obrońca Russella Lee, ubrany na tę okazję w najlepszy garnitur z jasnozielonej serży. Przybył tu ze specjalną misją. Miał obserwować. I zameldować, co skazany przekaże w ostatnim słowie kobiecie, która go kochała.

Potem miał zapomnieć o jego istnieniu – czego się już nie mógł doczekać.

Dwudziesta trzecia trzydzieści jeden. Rozpoczęło się odliczanie. We wszystkich pomieszczeniach zapadła martwa cisza. Obecni wstrzymali oddech.

Główny aktor przedstawienia siedział z oczami zaklejonymi taśmą i ścisnął zębami patyk.

JESTEM KRÓLEM. JESTEM WIELKI!

Zwieracz puścił. Palce zacisnęły się na poręczach tak mocno, że kostki pobieleły jak papier.

Kocham cię, słoneczko. Kocham... cię.

– Alarm niebieski! Alarm niebieski! – Josh wykrzykiwał polecenia i jednocześnie sprawdzał tętno dziewczynki. – Dajcie wózek! Mamy tu dziewczynkę, osiem lub dziewięć lat, prawie nie oddycha. Niech ktoś wezwie pediatrów!

Do sali wpadł doktor Chen.

– Skąd ona się tu wzięła?

– Nie wiem.

Jednocześnie pojawiły się pielęgniarki i wózek. Wszystko zaczęło się dziać w przyspieszonym tempie.

– Nie ma jej w wykazie – rzuciła Nancy, przełożona pielęgniarek, chwytając strzykawkę. Igła wbiła się w żyłę, zaraz po niej wprowadzono cewnik. Natychmiast pobrano krew i mocz.

– Gorączka rośnie! Oho, pokrzywka! – Pielęgniarka Sherry zdjęła dziewczynce bawełnianą podkoszulkę, by podłączyć monitor. Ukazała się zaczerwieniona klatka piersiowa.

– Cofnąć się!

Zrobiono zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej i wszyscy znów przypadli do małej pacjentki, otaczając ją gorączkowymi zabiegami. Na ciele dziewczynki lśniła warstewka potu. Dziecko nie reagowało na reanimację. Potem przestało oddychać.

– Rurka dotchawicza! – krzyknął Josh i natychmiast przystąpił do intubacji.

Psiakrew, była strasznie mała. Bał się, że coś jej uszkodzi, kiedy tak brutalnie wbijał rurkę w wątle gardziółko. Przewód trafił we właściwe miejsce i ześliznął się do tchawicy.

– Jest! – rzucił; w tym samym czasie Sherry wypadła z sali jak burza, niosąc fiolki z próbkami do laboratorium.

– Tętno nitkowate – powiedziała Nancy.

– Diagnoza? – spytał doktor Chen.

– Reakcja anafilaktyczna – odparł natychmiast Josh. – Jedna ampułka adrenaliny.

– Jedna setna – poprawił go doktor Chen. – Dawka dziecinna.

– Nie widzę żadnego śladu po ukłuciu osy – zaraportowała Nancy, podając adrenalinę, którą lekarz podał przez rurkę dotchawicza.

– To może być reakcja na cokolwiek – mruknął doktor Chen. Wyprostował się, czekając na efekty.

Przez chwilę nikt się nie ruszał.

Dziewczynka wyglądała wzruszająco bezbronnie; rozkrzyżowana na białym szpitalnym łóżku, oblepiona przewodami, z igłą wbitą w rączkę i pękatą rurą sterczącą z ust. Długie jasne włosy rozsypały się wokół jej głowy. Pachniały lekko dziecinnym szamponem No More Tears. Długie, gęste rzęsy opadały na pyzate policzki, poznaczone czerwonymi smugami i jaskrawymi plamami. Josh nigdy, mimo tych wszystkich lat, nie zdołał się przyzwycząić do widoku dziecka w szpitalu.

– Mięśnie się rozluźniają – rzucił Josh. – Łatwiej jej oddychać.

Adrenalina działała szybko. Dziewczynka uniosła powieki, ale szkliste oczy niczego nie widziały.

– Słyszysz mnie? – spróbował doktor Chen.

Bez rezultatu. Lekko potrząsnął ją za ramiona. Ciągle nie reagowała. Nancy pomasaowała pierś małej w okolicy mostka, na tyle mocno, by wywołać ból. Drobne ciało wygięło się w łuk, ale oczy dziewczynki nadal wpatrywały się martwo w górę.

– Brak reakcji – oznajmiła Nancy.

Spojrzeli na małą z niepokojem.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– O co ten krzyk? – Do sali wbiegł doktor Harper Stokes w zielonym szpitalnym uniformie, który wyglądał na nim jak ubranie do tenisa. Wydawał się niemal nieprawdziwy – brązowa opalenizna, intensywnie błękitne oczy, twarz jak z filmowego plakatu. Niedawno zaczął pracować w miejskim szpitalu jako kardiochirurg i już nabrał zwyczaju przechadzania się po korytarzach jak Jezus pomiędzy trędowatymi. Mówiono, że jest doskonałym specjalistą i najwyraźniej sam też tak uważał. Wicie, jaka jest różnica między kardiochirurgiem a Bogiem? Bóg nie uważa się za kardiochirurga.

– Zobacz sam – mruknął doktor Chen z niejaką niechęcią.

– Mhm. – Doktor Harper podszedł energicznie do łóżka. Dopiero teraz dostrzegł dziewczynkę oblepioną przewodami i nakłutą igłami. Zatrzymał się gwałtownie, autentycznie wstrząśnięty. – O Boże, co się stało?

– Reakcja anafilaktyczna na nieznaną czynnik.

– Podano adrenalinę?

– Oczywiście.

– Dajcie prześwietlenie klatki piersiowej. – Doktor Stokes wyciągnął rękę po zdjęcie, nie odrywając skupionego spojrzenia od małej. Sprawdził jej puls.

– Wszystko jest pod kontrolą.

Doktor Stokes podniósł głowę i spojrzał młodemu lekarzowi prosto w oczy.

– Więc dlaczego ta dziewczynka leży tu jak szmaciana lalka? Doktor Chen zacisnął zęby.

– Nie wiem.

Północ. Lekarz wszedł do pomieszczenia dla kata i zajął miejsce pod ścianą. Ręce założył za plecami. Kat podniósł słuchawkę telefonu połączonego z gabinetem gubernatora.

Usłyszał ciągły sygnał.

Odłożył słuchawkę. Odliczył sześćdziesiąt sekund.

Spojrzał na Russella Lee Holmesa, siedzącego na środku izby egzekucyjnej. Skazaniec szczerzył zepsute zęby w idiotycznym uśmiechu.

– Nie dociera do niego, co się dzieje – odezwał się lekarz spod ściany.

– To już nieważne – mruknął kat.

Spojrzał na zegarek. Minuta po dwunastej. Podniósł słuchawkę. Ciągłe długi sygnał.

Wcisnął włącznik i ciało Russella Lee Holmesa przeszło czterysta czterdzieści woltów.

Światła w Umieralni przygasły. Trzej skazańcy zaczęli bić brawo i krzyżeć. Czwarty skulił się na pryczy i kołysał jak przerażone dziecko. Krewni ofiar początkowo przyglądali się beznamiętnie, ale kiedy skóra Russella Lee nabrała jaskrawoczerwonego koloru i zaczęła dymić, odwrócili głowy. Wszyscy z wyjątkiem Briana Stokesa. On patrzył nadal, jak zakłęty. Nawet wtedy, gdy ciało Russella Lee Holmesa zaczęło drgać w konwulsjach. Nagle jego stopa eksplodowała. Potem dłonie. Za plecami Briana rozległ się krzyk jego matki. A on patrzył.

I zaraz wszystko się skończyło.

Do izby śmierci wszedł lekarz. Zasłaniał twarz aromatyzowaną chusteczką, żeby nie czuć smrodu, ale i tak nos sam mu się marszczył. Dokonał oględzin. Spojrzał w środkowe okno – okno pokoju kata.

– Śmierć nastąpiła o godzinie dwudziestej czwartej zero pięć.

– Mam wyniki testu na obecność narkotyków! – Sherry wpadła do pokoju jak burza. Josh wyrwał jej z ręki kartki, wyprzedzając doktora Harpera Stokesa o pół kroku.

– Obecność opiatów w organizmie – zawołał Josh.

– Morfina – rzucił doktor Stokes.

– Narcan! – zaordynował doktor Chen. – Zero zero pięć mililitra na kilogram. Przynies więcej!

– Czy to może być alergia na morfinę? – zwrócił się Josh do doktora Chena. – Czy to przyczyna reakcji anafilaktycznej?

– Możliwe.

Sherry wróciła z narcanem. Doktor Chen zrobił dziewczynce zastrzyk. Wyjęto rurkę dotchawiczą i zaczęło się oczekiwanie. Druga dawka leku była już w pogotowiu. W razie potrzeby można było podać ją po dwóch minutach. Doktor Stokes jeszcze raz sprawdził tętno małej, potem jej serce.

– Lepiej – oznajmił. – Stabilizuje się. Oho, uwaga...

Dziewczynka poruszyła głową. Nancy nakryła ją prześcieradłem i wszyscy wstrzymali oddech. Powieki dziecka zatrzepotały i spojrzały na nich wielkie oczy o niezwykłym szarobłękitnym kolorze.

– Kochanie, słyszysz mnie? – szepnął doktor Stokes dziwnie ochryplym głosem. Odgarnął jej mokre włosy ze spoconego czoła. – Jak się nazywasz?

Nie odpowiedziała. Przyglądała się dziwnym obcym ludziom zebranych nad łóżkiem, bardzo białemu pokojowi, drutom i rurkom wychodzącym z jej ciała. Jest pulchna, niezgrabna i wcale nieładna, pomyślał Josh, ale serce się kraje na jej widok. Wziął ją za rączkę; natychmiast na niego spojrzała. O mało się nie rozplakał. Co za zwierzę naszpikowało to dziecko narkotykami i zostawiło na pastwę losu? Świat oszalał.

Po chwili uściśnęła mu dłoń. Całkiem silny uścisk, zważywszy jej stan.

– Już dobrze – szepnął. – Nic ci nie grozi. Powiedz, jak się nazywasz, maleńka. Musimy to wiedzieć.

Otworzyła usta, obolała krtka poruszyła się konwulsyjnie, ale nie wyszedł z niej żaden dźwięk. W oczach dziewczynki błysnęła panika.

– Spokojnie – szepnął łagodnie. – Weź głęboki oddech. Wszystko w porządku. Wszystko jest dobrze. Spróbuj jeszcze raz.

Patrzyła na niego ufnie.

I tym razem udało się jej wyszeptać:

– Córeczka tatusia...

Dwadzieścia lat później

Spóźnię się, spóźnię się, o Boże, już się spóźniłam! Melanie Stokes pędziła po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. W korytarzu skręciła gwałtownie w lewo; długie jasne włosy śmignęły w powietrzu. Dwadzieścia minut, ani sekundy dłużej. Nawet się nie zastanowiła, co ma włożyć. Cholera.

Wpadła do pokoju, ściągając bluzę przez głowę. Kopniakiem zamknęła za sobą masywne mahoniowe drzwi. Zdarła z siebie resztę ubrania. Zrzuciła sportowe buty, które wpadły pod sosnowe biurko, zajmujące niemal jedną czwartą pokoju. Wokół szafy leżały sterty ubrań. Zamierzała je kiedyś sprzątnąć. Na pewno nie teraz.

Cisnęła na podłogę dżinsy, rzuciła podkoszulek na łóżko i wpadła do garderoby. Szerokie deski podłogi ziębiły jej bosc stopy.

– No, no, no – mamrotała pod nosem. – Dziesięć lat nałogowych zakupów musi się opłacić. Nie ma siły, żebym nie znalazła jakiejś koktajlowej sukienki.

W zbitej masie ubrań trudno było rozróżnić cokolwiek. Melanie skrzywiła się i przystąpiła do poszukiwań. Gdzieś tam musiało wisieć parę przyzwoitych kiecek.

Dwudziestodwujęcioletnia Melanie Stokes była drobna, zwinna i miała wrodzone dyplomatyczne zdolności. Jako dziecko została znaleziona w szpitalu miejskim. Nie pamiętała, skąd się tam wzięła; nie miała żadnych wspomnień. Zresztą nie lubiła wracać pamięcią do tamtych czasów. Teraz miała przybranego ojca, którego szanowała, przybraną matkę, którą kochała, przybranego brata, którego uwielbiała, i ojca chrzestnego, za którym przepadała. Do niedawna sądziła, że w jej rodzinie panują wyjątkowo serdeczne stosunki. Jak na bogatych ludzi byli ze sobą bardzo blisko. Powtarzała sobie, że wkrótce znowu tak będzie.

Sześć lat temu ukończyła Wellesley. Rodzina sekundowała jej z zapartym tchem. Wkrótce potem wróciła do domu, by pomóc matce przetrwać jeden z jej ataków i wydawało się, że najlepiej będzie, jeśli zostanie w domu. Teraz stała się profesjonalną organizatorką uroczystości, głównie charytatywnych. Wystawne imprezy, na których przedstawiciele elit towarzyskich upewniali się, że są towarzyscy i nie przestali być elitą, a jednocześnie wykładali okrągłe sumki. Mnóstwo szczegółów, mnóstwo planów, mnóstwo pracy. Melanie zawsze stawiała na wysokości zadania. Wymuskane reporterki rubryk towarzyskich lubiły się rozwodzić nad tymi imprezami, swobodnymi, ale eleganckimi. I, naturalnie, przynoszącymi zyski.

Ale zdarzały się też wieczory takie jak ten. Dziś odbywało się doroczne przyjęcie dobroczynne w domu jej rodziców, słynne, choć najwyraźniej obciążone klątwą.

Dostawcy nie przywieźli odpowiedniej ilości lodu, wszyscy parkingowi się pochorowali, „Boston Globe” podał błędną godzinę rozpoczęcia, a senator Kennedy musiał zostać w domu z powodu rozstroju żołądka, odciągając przez to połowę dziennikarzy. Pół godziny temu Melanie wpadła w taką rozpacz, że o mało się nie rozplakała. To było do niej zupełnie niepodobne.

Ale teraz czuła przyjemne ożywienie z powodów nie mających nic wspólnego z przyjęciem. Zgodnie ze swoją naturą dołożyła sobie pracy, by o tym nie myśleć.

Melanie umiała szukać zapomnienia w pracy, prawie tak dobrze jak jej ojciec.

Zostało piętnaście minut. Cholera. Znalazła ulubioną sukienkę ze złotymi frędzlami, model z lat dwudziestych. Doskonale. Podniesiona na duchu, rzuciła się na poszukiwanie złotych szpilek.

Podczas pierwszych miesięcy pobytu Melanie w domu Stokesów rodzice byli tak zachwyceni nową córeczką, że zasypywali ją podarunkami. Wielki pokój na piętrze, różowe jedwabne draperie na ścianach, łazienka ze złotymi ozdobami, autentyczne lustro w stylu Ludwika IV, w którym mogła się przeglądać tylko stojąc na krześle – to wszystko należało wyłącznie do niej. Garderoba miała rozmiary małego pokoju, a wypełniały ją sukieneczki, kapelusiki i – tak, tak – rękawiczki z kolekcji Laury Ashley. A wszystko to jako dodatek do dwojga rodziców, brata i ojca chrzestnego, którzy nie odstępowali jej na krok, karmili, zanim przyszło jej do głowy, że jest głodna, bawili się z nią, zanim poczuła, że się nudzi, i otulali kocami, zanim zrobiło się jej zimno.

Wszystko to było trochę dziwne.

Początkowo Melanie godziła się na to. Chciała być szczęśliwa tak bardzo, jak bardzo oni chcieli ją uszczęśliwić. Sądziła, że skoro ludzie tak wspaniali i bogaci zechcieli dać jej dom i uznać ją za swoją córkę, ona powinna się nauczyć z nimi żyć. Dlatego codziennie ubierała się w koronki i cierpliwie czekała, aż nowa mama ułoży jej proste włosy w spiralne loki. Słuchała ze śmiertelną powagą dramatycznych historii ojca o tym, jak wrywał pacjentów ze szponów śmierci, oraz opowiadań ojca chrzestnego o dalekich krajach, gdzie mężczyźni noszą spódniczki, a kobiety nie golą pach. Godzinami siedziała z nowym bratem, zapamiętując jego napięte rysy i chmurne oczy, a on przysięgał jej ciągle od nowa, że będzie dla niej najlepszym bratem na świecie.

Wszystko było idealne. Za bardzo. W końcu Melanie zaczęła cierpieć na bezsenność. O drugiej w nocy schodziła na paluszkach na dół i stawała przed portretem innej złotej dziewczynki: czteroletniej Meagan Stokes w koronkowej sukieneczce i ze spiralnymi lokami. Dziewczynki, która była córką Stokesów, ale potem porwał ją jakiś potwór i odciął jej głowę. Czteroletniej Meagan Stokes, prawdziwej córki Stokesów, kochanej i uwielbianej na długo przed przybyciem Melanie.

Harper wracał ze szpitala i zanosił ją z powrotem do łóżka. Brian nauczył się słyszeć jej kroki przez sen i cierpliwie odprowadzał ją do sypialni. Ale ona wkrótce potem wracała, zafascynowana obrazem tej ślicznej małej dziewczynki, którą miała zastąpić. Już jako dziewięcioletka zdawała sobie z tego sprawę.

Wreszcie Jamie O'Donnell wziął sprawę w swoje ręce. Na miłość boską, oznajmił, Melanie to Melanie. Dziecko z krwi i kości, nie porcelanowa lalka, którą można przebierać i przestawiać z kąta w kąt. Niech ubiera się w to, co lubi, niech wybierze sobie własny pokój i własny styl, bo za chwilę zaczniecie płacić psychologom tyle, że pociemnieje wam w oczach.

Ta rada prawdopodobnie uratowała ich „wszystkich”. Melanie opuściła wielki apartament i wybrała sobie słoneczny pokój na drugim piętrze, naprzeciwko pokoju Briana. Podobały się jej wielkie okna i niski, pochyły sufit, a także to, że pokój był całkowicie niepodobny do, powiedzmy, szpitalnej sali.

Poza tym odkryła, że najbardziej podobają się jej używane ubrania. Były miękkie i wygodne, a nawet jeśli się je ubrudziło lub rozdarło, nikomu nie robiło to różnicy. Przez lata była najwierniejszą klientką sklepów z tanią odzieżą. Potem zaczęły się wyprawy na wyprzedaje,

gdzie kupowała meble. Lubiła rzeczy stare, odrapane. Rzeczy, które miały przeszłość. Rzeczy posiadające historię, której ona nie miała. Ale zrozumiała to dopiero później.

Ojciec chrzestny był rozbawiony jej gustem, przybrany ojciec nie krył zgrozy, ale nowa rodzina ciągle ją wspierała. Nie przestali jej kochać. Stali się całością.

Przez wiele lat Melanie lubiła sobie wyobrażać, że każde z nich nauczyło się czegoś od siebie nawzajem. Jej matka, arystokratka z Południa, nauczyła ją, jakimi sztucami je się poszczególne dania. W zamian Melanie zapoznała swoją skłoną do depresji matkę z piosenką *Don't worry, be happy*.

Harper zaszczerpił jej potrzebę intensywnej pracy, świadomego i aktywnego kształtowania życia. Ona zaś pokazała mu, że od czasu do czasu można zwolnić tempo i rozkoszować się zapachem róż, ot tak, bez powodu. Brat nauczył ją sztuki przeżycia w wyższych sferach. Ona w zamian obdarzyła go bezwarunkową miłością. Nawet kiedy nadchodziły złe dni – a Brian, tak jak matka Patricia, miewał je często – był jej bohaterem.

Dzwonek u drzwi rozdzwonił się w chwili, gdy udało się jej wygrzebać buty. Rany boskie, szybko, szybko!

Fryzura i makijaż, migiem. Jej blada twarz i jasne włosy prezentowały się dobrze tylko przy dyskretnym upiększeniu. Parę ruchów szczotki, odrobina różu, smuga złotego cienia na powieki i gotowe.

Zrobiła głęboki wdech i pozwoliła sobie po raz ostatni spojrzeć w lustro. Wszystko działo się w dzikim chaosie, jak zwykle. Ojciec sam zaproponował, że powita gości – wyraźny gest pokoju – a matka wydawała się o wiele bardziej opanowana niż można się było spodziewać. Sytuacja przybrała lepszy obrót.

– To będzie wspaniałe przyjęcie – zapewniła swoje odbicie. – Mamy bogatych mecenasów, mamy salę dla dawców krwi. Podamy najlepsze potrawy pod słońcem, zbierzemy wiele cennych książek. Moja rodzina wyszła na prostą, a senator Kennedy może się ugryźć. To będzie wspaniały wieczór.

Uśmiechnęła się do siebie. Wstała energicznie i zrobiła duży krok ku drzwiom. I nagle cały świat zawirował i zniknął jej przed oczu.

Czarna czeluść, powykęcane kształty. Dziwna świadomość *deja vu*. Błagalny głosik małej dziewczynki.

Ja chcę do domu. Puść mnie już do domu...

Melanie zamrugała. Znów była we własnym zagraconym pokoju, zachodzące wiosenne słońce wpadało przez wielkie okna, pod stopami czuła pewne oparcie drewnianej podłogi, liczącej sobie sto dziesięć lat. Zdała sobie sprawę, że obiema rękami trzyma się za brzuch, a na czoło wystąpił jej rześisty pot. Niemal natychmiast rozejrzała się wokół, zawstydzona.

Na piętrze nie było nikogo. Nikt nie zauważył. Nikt niczego nie podejrzewał.

Pospiesznie zeszła na dół, skąd dochodził już gwar i pobrząkiwanie kieliszków szampana.

Cztery ataki w ciągu trzech tygodni. Zawsze ta czarna czeluść. Zawsze ten sam głos dziewczynki.

To stres, pomyślała i przyspieszyła kroku. Nerwica.

Na pewno nie wspomnienia. Po tylu latach?

Boeing 747 wylądował zbyt gwałtownie, miotany wstrząsami. Larry Digger od samego rana był w paskudnym humorze, a to lądowanie wcale mu go nie poprawiło.

Nienawidził samolotów. Nie ufał im, nie ufał pilotom ani komputerom, które miały zastępować ludzi. „Nie ufać nikomu” – to było jego ulubione motto. A drugie, równie ulubione, brzmiało: „Ludzie są głupi”.

„Dajcie mi drinka” można by pewnie uznać za trzecie. Ale wtedy nie przyszło mu do głowy.

Czas nie obszedł się z nim łaskawie. Szczupłe, wysportowane ciało sflaczało równie żałośnie, jak obiecująca dziennikarska kariera. Z czasem jego usta przybrały na stałe zacięty wyraz, a policzki obwisły i napuchły. Wyglądał, jakby miał o dziesięć lat więcej niż w rzeczywistości. A czuł się starszy o drugie tyle.

Na pewno czuł się tak od trzech tygodni, odkąd odbył tamtą rozmowę. W ciągu paru dni zamienił sprzęt stereo na najlepszy magnetofon, sprzedał samochód i kupił bilet na samolot oraz czeki podróżne.

To było to. Po dwudziestu pięciu latach poszukiwań święty Graal znalazł się w Bostonie. Teraz albo wóz, albo przewóz.

Złapał taksówkę. Przez tydzień szukał adresu, który zaciskał w dłoni. Teraz wręczył karteczkę zmęczonemu kierowcy, bardziej przejmującemu się transmisją rozgrywek Red Sox niż innymi samochodami na jezdni.

Digger podróżował bez bagażu. Czysta bielizna, parę białych koszul, magnetofon i egzemplarz własnej książki, wydanej piętnaście lat temu. Zaczął ją pisać tuż po egzekucji Russella Lee Holmesa, kiedy noc w noc budził się, czując oblepiający go smród palonego ciała. Tamtej nocy inni skazańcy dostali niespodziewany prezent od losu. Rozsadzone ciało Russella Lee posłużyło jako najlepszy argument dla liberałów, walczących o zniesienie kary śmierci. Stan Teksas musiał w pośpiechu zrezygnować ze starego dobrego krzeselka i kara śmierci zniknęła aż do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego, kiedy to wprowadzono wstrzykiwanie trucizny.

Ale Digger na tym nie zyskał. Wydawało mu się, że historia Russella Lee będzie wielkim przebojem, jego przepustką do wielkiego świata, szansą na wyrwanie się z Zadupia Dolnego. Tymczasem ciągle siedział w Huntsville. Opisywał wycofanie krzesła elektrycznego, potem debaty wokół metody egzekucji. Wreszcie kazali mu napisać o zastrzykach śmierci i ani się obejrzał, a znowu wysłano go, by obserwował umierających skazańców.

Od tej pory musiał się napić przed snem. Szklaneczkę. Potem dwie lub trzy. I był już na najprostszym dróżce do piekła, kiedy – o cudzie! – zadzwonił telefon.

Druga rano, trzeci maja. Dokładnie przed trzema tygodniami. Doskonale to pamiętał. Gmerał niezdarnie po stoliku w poszukiwaniu telefonu. Od tego jazgotu cały się spocił. Przycisnął do ucha zimną słuchawkę. W ciemnościach rozległ się anonimowy głos:

– Nie powinieneś się poddawać. Miałeś rację... mówię o Russellu Lee Holmesie. Rzeczywiście miał żonę i dziecko. Chcesz wiedzieć więcej?

Oczywiście, że chciał. Nawet kiedy do niego dotarło, że powinien się poddać, kiedy zrozumiał, że to opętanie za wiele go kosztuje, nie potrafił powiedzieć „nie”. Jego rozmówca też o tym wiedział. Roześmiał się – dziwny, ironiczny śmiech, zniekształcony jakimś aparatem. Potem przerwał połączenie.

Dwa dni później odezwał się znowu i tym razem podał więcej faktów. I nazwisko: Idaho Johnson.

– To pseudonim. Ulubiony pseudonim Russella Lee Holmesa. Idź za nim, to się przekonasz.

Digger znalazł świadectwo ślubu z takim nazwiskiem. Potem metrykę urodzenia dziecka, zarejestrowanego jako Baby Doe Johnson. Nie zaznaczono jego płci ani szpitala, w jakim się urodziło, za to podano nazwisko akuszerki. Digger znalazł ją przez Związek Akuszerek i okazało się, że trafił na żyłę złota.

Tak, pamiętała Idaho Johnsona. Tak, ten ze zdjęcia jest do niego podobny. Odrobina wahania. Taaak, wie, że tak naprawdę nazywał się Russell Lee Holmes. Wtedy oczywiście tego nie wiedziała, dodała sucho. Ale kiedy policjanci aresztowali Russella Lee i we wszystkich gazetach było jego zdjęcie, wszystkiego się domyśliła, a jakże. Potem zacisnęła usta. Nie zamierzała powiedzieć ani słowa więcej. Baby Doe Johnson to Baby Doe Johnson. Nie pogwałci prawa do prywatności tego dziecka tylko przez to, co zrobił jego ojciec.

Digger usiłował sam odnaleźć dziecko i matkę, ale utknął w ślepych zaułku. Nazwisko kobiety na akcie ślubu także wydawało się fałszywe. Nie znalazł numeru ubezpieczenia ani prawa jazdy, w urzędzie skarbowym nie mieli dokumentów na nikogo o takim nazwisku. Przekopywał się przez stare papiery. Szukał fotografii, aktów własności i jakiegokolwiek cholernego śladu. Angela Johnson i Baby Doe znikli. Rozwiali się jak mgła.

Więc wrócił do akuszerki.

Padł na kolana. Prosił, groził i płakał. Proponował jej pieniądze, których nie miał, i sławę, której nie poznał. A zdołał z niej wycisnąć tylko jedną żalną opowieść, drobny incydent, który wydarzył się tuż po aresztowaniu Russella Lee. Prawdopodobnie był bez znaczenia.

Ale Larry'emu Diggerowi wydał się najważniejszy na świecie. Ledwie usłyszał tę opowiastkę, wpadł na to, co mogło się stać z dzieckiem. A była to historia, jakiej nie wymyśliłby żaden wypruty z pomysłów, przegrany, zapijaczony reporter.

Ale dlaczego wyciągać to po dwudziestu latach?

Sam także zadał to pytanie – o trzeciej nad ranem, w rozmowie przez telefon. Ciągłe pamiętał ten dziwny, piskliwy głos.

– Bo dostaniesz to, na co zasługujesz, Larry. Zawsze dostajemy to, na co zasługujemy.

Taksówka zwolniła, zatrzymała się przy krawężniku. Digger rozejrzał się niespokojnie.

Znajdował się w centrum Bostonu, o krok od Ritza. Wszędzie drogie sklepy i limuzyny. Więc to tutaj mieszkają teraz Stokesowie? Bogacze ciągle się bogacą.

Cholera, ależ go tym wpieniali.

Wcisnął dziesięć dolców w dłoń taksówkarza i wygrzebał się z samochodu.

Niebo było bez jednej chmurki. Parę razy pociągnął nosem i wytarł dłoń o pomięte spodnie. Nie ma wątpliwości, powietrze pachniało kwiatami. Ani śladu spalin. Bogacze pewnie by tego nie znieśli. Za jego plecami rozciągał się wielki park, pełen wiśniowych drzew, tulipanów i, naturalnie, łódek w kształcie łabędzi. Pokręcił głową.

Odwrócił się i spojrzał na rząd budynków. Trzypiętrowe, wąskie, zbudowane z kamienia. Stare i wspiane. Blisko siebie, a jednak robiące wrażenie, jakby stały każdy oddzielnie. Zbudowała je elita sto lat temu, kiedy jeszcze się liczyło, czyi przodkowie przybyli na „Mayflower”. A zresztą może to nadal było ważne.

Sprawdził numery. Dom Stokesów był czwarty. Oświetlony jak choinka na Boże Narodzenie. Przy drzwiach dwaj portierzy w czerwonych liberiach, sztywni jak dwie zapalki. W pobliżu zatrzymał się mercedes, z którego wysiadła jakaś kobieta. Całe jej pulchne ciało skrzyło się od fioletowych cekinów i brylantów. Mąż, równie przysadzisty, dreptał u jej boku. W smokingu był łudząco podobny do pingwina. Oddali kluczyki do samochodu portierowi i zniknęli za masywnymi drzwiami z orzechowego drewna.

Digger spojrział smętnie na swój stary trencz i pomięte spodnie.

Wpuszczą go, a jakże.

Poszedł do parku, usiadł na starej ławeczce z kutego żelaza pod gałęziami ogromnego klonu i oddał się obserwacji domu Stokesów.

Jako reporter opisywał Russella Lee Holmesa aż do jego ostatnich chwil, poznał więc wszystkie rodziny zamordowanych dzieci. Widział ich, kiedy szaleli z bólu i potem, gdy szok i przerażenie minęły, a pozostała tylko rozpacz. Ojcowie mieli w zapadłych oczach błysk nienawiści. Mówiąc o Russellu Lee zaciskali pięści i kopali i tak już zniszczone meble. Z kolei matki otaczały obsesyjną troską dzieci, które im pozostały, i nieufnie spoglądały na wszystkich mężczyzn, nie wyłączając własnych mężów. Kiedy zapadł wyrok śmierci na Russella Lee, większość tych rodzin się rozpadła.

Ale nie Stokesowie. Od samego początku różnili się od innych i od samego początku inne rodziny nie znosiły ich za to. Poza Meagan wszystkie ofiary Russella Lee pochodziły z biednych dzielnic. Stokesowie zajmowali wielką posiadłość w jednej z nowych, bogatych dzielnic Houston. Inni rodzice byli zmęczeni i zagonieni. Ich dzieci nosiły podarte ubrania, miały krzywe zęby i były brudne.

Stokesowie żyli w zupełnie odmiennym świecie. Silny i szlachetny mąż – lekarz, smukła i szykowna żona, niegdyś królowa piękności, i dwójka złotych dzieci. Lśniące jasne włosy, bielutkie zęby, różane policzki.

Aż się prosili, żeby spotkało ich coś złego, a kiedy już spotkało...

Digger musiał spuścić wzrok. Nadal czuł wstyd i zażenowanie.

Błękitne, przejrzyste oczy Patricii Stokes, tak łagodne, gdy mówiła o swojej córce, usiłując ją opisać i błagając, by ktoś ją odnalazł... i wyraz jej twarzy, gdy ciało Meagan zostało zidentyfikowane. Te błękitne oczy nabrały tak martwego wyrazu, że po raz pierwszy w życiu Larry Digger byłby gotów oddać swój artykuł... co tam, oddałby duszę, by zwrócić tej pięknej kobiecie jej dziecko.

Tuż po egzekucji, zanim jeszcze Patricia otrząsnęła się z szoku, Digger poszedł za nią do hotelowego baru. Jej mąż się tu nie zjawił. Podobno pracował. Plotka głosiła, że od czasu śmierci córki doktor Harper Stokes myślał tylko o pracy. Ubzdurało mu się, że ratując życie innym zasłużył na to, by Bóg oddał mu córkę. Bogacze mają źle w głowie.

A więc padło na czternastoletniego Briana, który pojechał z matką do Teksasu. Poszedł nawet z nią do baru, z taką miną, jakby to wszystko należało do niego. Barman usiłował protestować, ale mały rzucił mu jedno spojrzenie. Mówiło: niech nikt ze mną nie zaczyna po tym, co widziałem. Barman od razu się zamknął.

Jeżu, od kiedy to dzieci obserwują egzekucje?

Mniej więcej wtedy Digger nabrał przekonania, że Stokesowie wcale nie są tacy wspaniali. Pod tą wypielegnowaną maską coś się kryło. Coś mrocznego. Brzydkiego. Przez wiele lat nie

mógł się otrząsnąć z tego wrażenia.

No i minęło dwadzieścia lat. Stokesowie mieli drugą córkę, która zdołała dożyć dorosłego wieku. Ale demony nie chciały usnąć, bo ktoś zadzwonił do Larry'ego Diggera i zaprosił go do zabawy.

Ktoś nadal uważał, że Stokesowie nie dostali tego, na co zasługiwali.

Digger wzdrygnął się mimo woli.

Wzruszył ramionami. Jeszcze przez chwilę zastanawiał się nad tą drugą córką. Usiłował zgadnąć, jak wygląda i czy znalazła szczęście w nowym domu. Doszedł do wniosku, że ma to gdzieś.

To była jego szansa i nie zamierzał jej zmarnować. Zebrał informacje. Wiedział wszystko co trzeba. I umiał wykorzystać okazję.

Szykuj się, Melanie Stokes, pomyślał beznamiętnie.

Nadchodzę.

O wpół do dziesiątej w salonie Stokesów roilo się od gości, migoczących od klejnotów. Kelnerzy w białych frakach manewrowali pomiędzy eleganckim tłumem, roznosili szampana na srebrnych tacach, skwierczące krewetki z czosnkiem i wędliny z dziczyzny. Kryształowe żyrandole Baccarata siały tęczowe blaski, rzucały zajączki na zawile sploty fryzur i wyłaniały z mroku przystojnych mężczyzn, flirtujących z pięknymi paniami.

Melanie zbiegła po schodach, machając wesoło ręką do Weberów, Braskampów i Ruddych. Wymieniła ukłony z Chadwickami i Baumgartnerami. Prawnicy, dziekani, ordynatorzy, rekiny finansjery, bankierzy, kilku polityków. W Bostonie było mnóstwo bogaczy, z rodowodem i bez, a Melanie bez skrupułów zaprosiła wszystkich. Każdy gość przyniósł cenną książkę, a jeśli ktoś zamierzał się licytować, tym lepiej. Jeśli chodzi o zbieranie datków, Melanie była bezlitosna.

Uśmiechnęła się do ojca. Stał przy drzwiach, wspaniały, w ulubionym fraku z atłasowymi wyłogami. Zbliżający się do sześćdziesiątki błękitnooki, złotowłosy Harper wydawał się u szczytu formy. Zaharowywał się na śmierć, codziennie biegał, traktując ćwiczenia z prawdziwym nabożeństwem, i z zapalem grywał w golfa. Co więcej, „Boston” niedawno nazwał go najlepszym kardiochirurgiem w mieście – od dawna zasłużony zaszczyt. Dziś wydawał się wyjątkowo szczęśliwy. Melanie nie widziała go takim od wielu miesięcy.

Ruszyła na poszukiwanie matki. Na przyjęciach zawsze czuła się swobodnie, stąd praca, jaką sobie wybrała. Krążenie w tłumie plotkujących ludzi sprawiło jej przyjemność. Piekło wyobrażała sobie jako uwięzienie w zimnym, nieprzytulnym i lodowato białym pokoju. Na szczęście dzięki pracy, rodzinie i ochotniczym zajęciom w Czerwonym Krzyżu nieczęsto groziła jej samotność.

Wreszcie dostrzegła matkę i zaczęła się ku niej przedzierać.

Patricia Stokes stała w kącie, tuż obok srebrnego wózka z napojami. Gawędziła z młodym kelnerem – nieomylna oznaka zdenerwowania. Wysoka, urodziwa blondynka, która w wieku osiemnastu lat podbiła serca większości mężczyzn w Teksasie, z wiekiem stała się jeszcze piękniejsza. A w chwilach przerażenia lub niepewności miała zwyczaj chronić się w towarzystwie mężczyzn, nieodmiennie darzących ją zachwytem.

– Melanie! – Twarz matki rozjaśniła się w jednej chwili. – Tutaj, kochanie! Właśnie rozmawiałam z dostawcą. Soki już są na miejscu.

– Córka jest do pani bardzo podobna! – zauważył kelner.

– Oczywiście – rzuciła lekko Patricia. Melanie przewróciła oczami. Przypominała matkę tak samo, jak kaczeniec jest podobny do herbacianej róży.

– Gnębisz obsługę? – spytała.

– Zdecydowanie. Charlie właśnie nalewał mi drinka. Sok pomarańczowy. Czysty. Pomyślałam, że dam wszystkim temat do plotek. Będą się zastanawiać: dołała wódki czy nie? Wiesz, że uwielbiam być w centrum uwagi?

Melanie uściśnęła dłoń matki.

– Świetnie sobie radzisz.

Patricia uśmiechnęła się blado. Wiedziała, że ludzie nadal plotkują. „Jej pierwsza córka została zamordowana! Miała cztery latka i ten bydlak odciął jej głowę. Straszne, prawda? Wyobrażasz sobie?” A ostatnio do stałego repertuaru doszło jeszcze jedno: „Jej syn niedawno

oznajmił, że jest gejem. Wiesz, że zawsze był, hmm... dziwny. A ona... ona znowu zaczęła pić. Zgadza się. Ledwie wyszła z odwyku i masz!”

– Wszystko idzie wspaniale – zauważyła Patricia z nadmiernym ożywieniem. Minęły je dwie kobiety: parę kroków dalej zaczęły gwałtownie coś szeptać. Patricia mocniej zacisnęła palce na szklance.

– Przejdzie im – powiedziała Melanie łagodnie. – Pamiętasz? Pierwsze publiczne wyjście jest najgorsze.

– To moja wina.

– Nic się nie stało, mamó. Już dobrze.

– Nie powinnam sobie pozwalać na taką słabość. Piętnaście lat nie piłam. Czasami sama nie wiem...

– Mamó...

– Tęsknię za Brianem.

– Wiem – szepnęła Melanie. – Wiem.

Patricia dotknęła grzbietu nosa. Była bliska łez, a przecież nigdy nie płakała przy ludziach. Odwróciła się i przeczekała najgorsze.

Kelner zerknął z naganą na Melanie, jakby uważał, że powinna coś zrobić. Bardzo chętnie by spróbowała; niestety, konflikt między ojcem a bratem zaczął się już dawno temu, a ona i matka nie miały na to wpływu. Harper był dziś w dobrym humorze, więc może wkrótce wszystko się skończy.

– Już... już mi lepiej – wymamrotała Patricia. Opanowała się i przywołała na twarz ten chłodny uśmiech, którego się nauczyła w szkole, wiele lat temu.

– W każdej chwili możesz wrócić do siebie.

– Nonsens. Muszę tylko przetrwać pierwszą godzinę. Masz rację, pierwsze publiczne wyjście jest najgorsze. Co tam, niech plotkują. Już to wszystko słyszałam.

– Wszystko się ułoży, mamó.

– Oczywiście. – Patricia znowu błysnęła przesadnie radosnym uśmiechem, ale zaraz objęła córkę i uścisnęła ją z całego serca. Silne ramiona, zapach Chanel numer pięć i kremu Lancorne niosły kojące uczucie. Melanie otoczyła rękami zbyt szczupłą talię matki, tak jak to robiła, odkąd skończyła dziewięć lat, i nie rozluźniała uścisku tak długo, jak było to potrzebne. Kiedy się rozłączyły, obie były uśmiechnięte.

– Muszę zajrzeć do kuchni – powiedziała Melanie.

– Chcesz, żebym ci pomogła? Nie mam za wiele do roboty.

– Nie, wszystko się już toczy własnym torem. – Cofnęła się o krok, ale matka chwyciła ją za rękę. Spojrzała na nią z napięciem.

– William też przyjdzie?

Melanie wzruszyła ramionami.

– W końcu jest ulubionym anestezyjologiem taty.

– Denerwujesz się?

– Ale skąd. Co znaczy jeden były narzeczony pomiędzy trzema setkami gości?

– William jest idiotą – oznajmiła matka lojalnie.

– A ty jesteś kochana. – Melanie uścisnęła jej dłoń i zniknęła w tłumie.

Kątem oka dostrzegła jakiś gwałtowny ruch. Odwróciła się w samą porę, by dostrzec znikającą w kuchennych drzwiach połę brązowego płaszcza. Dziwne. Dlaczego ktoś chodzi po domu w brudnym prochowcu?

Miała to sprawdzić, kiedy za drzwiami rozległy się podniesione głosy. Portierzy kłócili się, który z nich ma zaparkować porsche'a. Zanim Melanie zdołała ich pogodzić, sprawa płaszcza kompletnie wyleciała jej z pamięci.

Minęła godzina, a Melanie zdała sobie sprawę, że nawet nie zajrzała do pomieszczenia, w którym jej przyjaciółka Ann Margaret pobierała krew dawcom – ochotnikom.

– Przepraszam! – krzyknęła, wpadając do wykładanego boazerią pokoju, w którym na miejscu skórzanych sof stały teraz cztery leżanki. – Chciałam już dawno zajrzeć i spytać, czy czegoś ci nie potrzeba, ale jest taki ruch, że można oszaleć!

– To całkowicie zrozumiałe – mruknęła Ann Margaret, przecierając watką męskie ramię i w ułamku sekundy wkłuwając w nie igłę. – Jak widzisz, u mnie wszystko w porządku.

– Cześć, piękna – odezwał się właściciel ramienia. – Zastanawiałem się, gdzie się chowasz.

Melanie rozpromieniła się w uśmiechu.

– Wujek Jamie! Jesteś! Powinnam się domyślić, że mój ojciec chrzestny przyleci aż z Europy, żeby znaleźć się sam na sam z piękną kobietą.

– Nie mogłem się powstrzymać – wyznał Jamie. – Tak to bywa, kiedy się jest Irlandczykiem.

Melanie pokręciła głową. Słyszała to już nieraz i nie miała nic przeciwko temu, żeby usłyszeć znowu. Jamie O'Donnell, przyjaciel jej rodziców jeszcze z Teksasu, był jednym z najbliższych jej ludzi na świecie. Zjeździł cały świat, poszukując rzadkich towarów dla swojej spółki importowo-eksportowej. Dwa razy do roku odwiedzał ich dom, by przekarmiać ją zagraniczną czekoladą i zasypywać egzotycznymi zabawkami oraz nieco przesadzonymi opowieściami.

Leżał na szpitalnym łóżku w smokingu za trzy tysiące dolarów, w którym wyglądał jak przebrany. Może przez ten brylantowy kolczyk, migoczący mu w lewym uchu, a może przez jego słynny łobuzerski uśmiech.

– Dałeś sobie pobrać krew, wujku? Myślałam, że skoro wiesz takie życie...

– Dziecko, mówisz do świętego. Jestem czysty i nieskalany, przysięgam.

– Akurat – mruknęła Ann Margaret i opasała gumką pustą torebkę na krew.

Melanie powiodła wzrokiem między jej ojcem chrzestnym a najlepszą przyjaciółką. Może się jej wydawało, ale przysięgłaby, że Ann Margaret nagle oblała się rumieńcem i unika patrzenia na Jamiego. Bardzo interesujące.

Położyła się na łóżku obok i wyciągnęła ramię do przyjaciółki.

Jamie nie tracił czasu.

– Brianowi naprawdę się wydaje, że jest gejem?

– Chyba mu się nie wydaje.

Jamie westchnął.

– A twój ojciec, jak zwykle pełen zrozumienia, wyrzucił go na zbity pysk.

Melanie skrzywiła się boleśnie.

– Brian go sprowokował. Wyobraź sobie taką scenę: Harper podaje ordynatorowi kaczkę z pomarańczami, a tu raptem jego syn wpada do jadalni z wrzaskiem, że ma dość, cholera,

kłamstw, że jest, cholera, gejem i lepiej, cholera, żeby ojciec się z tym pogodził. Tata siedział z tą kaczką jak posąg. Gdyby to wszystko nie działo się naprawdę, pewnie bym się śmiała.

– Brian zawsze dramatyzuje – rzuciła Ann Margaret, która od lat śledziła dzieje rodziny. – Chodzi na psychoterapię?

– Przestał. Zdaje się, że jego kochanek jest bratem terapeuty, czy coś takiego.

– Żartujesz! – Ann Margaret i Jamie otworzyli szeroko oczy.

– Powiedz chociaż, że dobrze sobie radzi – poprosił Jamie. Ale Melanie nie mogła spełnić tej prośby.

– Nie wiem, jak sobie radzi. Nie chce ze mną rozmawiać.

– Co za bęcwał! – Jamie pokręcił głową. – On i Harper zawsze szli łeb w łeb. Dwie zakute pały, oto cały problem. Ale ten chłopiec zawsze miał fioła na twoim punkcie. Śmiałem się, że traktuje cię jak szczeniaka: codziennie nowa zabawka, czekoladki, cukierki. Nie rozumiem, dlaczego tak się na ciebie obraził. – Jamie zamilkł na chwilę i dodał ostrożnie: – Bo chyba nie miał powodu, co? Myślę, że cię nie obchodzi jego orientacja, czy jak to się teraz nazywa.

– Nie obchodzi. Ani mnie, ani mamy. Ale nie wiem... Brian zawsze miał te swoje nastroje. Takie ataki jak mama; napady smutku, nawet gniewu. Kiedy wykrzyczał, że jest gejem, od razu pomyślałam: ach, więc to dlatego. Teraz już to wiemy, wszystko jest jasne, więc będzie lepiej. Ale nie miałam racji. Coś się w nim wyłączyło... tak, wyłączyło, i nagle nas znenawidził. Wszystkich. Nie rozumiem, dlaczego.

Ojciec chrzestny zerknął na nią z troską.

– Odzywasz się do niego?

– Zostawiłam mu sześć wiadomości na sekretarce. Potem pojechałam do niego. Nie otworzył drzwi.

– Przeciąga strunę.

– Pewnie musi się namyślić.

– Nie musi się namyślać, żeby wiedzieć, że matka i siostra zasługują na szacunek. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Czy Harper powiedział coś więcej?

– Wiesz, że on nie mówi o takich rzeczach.

– Najwyższy czas, żeby wyciągnął głowę z tyłka – oznajmił Jamie. Była to jego ulubiona opinia na temat Harpera, ale wygłosił ją bez zaciętości. Obaj znali się zbyt długo, żeby nadal potępiać swoje wady.

– Tato jest konserwatywny. Jego koledzy pewnie nieczęsto muszą znosić występy synów, którzy publicznie oznajmiają, że są gejami.

– Syn to syn.

Ann Margaret położyła dwa palce na zwitku gazy, otaczającym igłę.

– I to mówi ktoś, kto sam nie ma syna. Jamie oblał się rumieńcem.

– Pilnuj własnego nosa, ty mała, wścibska...

Ann Margaret wyszarpnęła igłę. Jamie otworzył usta w bezgłośnym proteście, po czym, jak skarcony chłopiec, posłusznie uniósł rękę nad głowę.

– Brawo – rzuciła wesoło Ann Margaret. Jamie rzucił Melanie cierpiące spojrzenie, mające oznaczać, że wie, iż trafił na godnego przeciwnika, ale nie chce się z tym pogodzić.

Ann Margaret zajęła się Melanie. Wyjęła igłę, nałożyła opatrunek.

– Myślę, że Harper wkrótce się podda – wyznała Melanie, kiedy oboje mogli już usiąść. Przeniosła się na leżankę Jamiego.

– Tak sądzisz?

– Widziałam, jak płacze – szepnęła. – W zeszłym tygodniu, późno w nocy, na parterze. Myślał, że jest sam.

Jamie wbił wzrok w podłogę, nagle spochmurniał. Melanie zerknęła na niego z zaciekawieniem.

– Czego od niego chcesz? Tata został wychowany w latach pięćdziesiątych, kiedy mężczyźni byli mężczyznami, kobiety kobietami, a geje ciotami. Nie twierdzę, że tak było dobrze, ale trudno przełamać taką tresurę.

– Zawsze byłaś dyplomatką.

– To nie polityka. To rodzina.

Oboje pograżyli się w milczeniu, przyglądając się rozbawionemu tłumowi.

Melanie dostrzegła ojca. Stał w lewym kącie salonu i żartował ze swoim głównym rywalem ze szpitala. William też już przyszedł i nie odstępował go na krok. Podobnie jak Harper, odznaczał się zwykle nieskazitelną elegancją. Ale dziś był dziwnie wymięty.

Może męczy go romans z trzema kobietami jednocześnie.

Odsunęła tę myśl. To już nie jej sprawa.

Rozejrzała się w poszukiwaniu matki i znalazła ją w przeciwległym kącie pokoju. Na przyjęciach rodzice rzadko występowali razem, a już zwłaszcza ostatnio. Sprawa Briana wprowadziła między nich rozdzwięk.

Ale nigdy nie kłócili się przy ludziach. Ani przy dzieciach. Dyskutowali dyskretnie, późnym wieczorem, gdy sądzili, że Brian i Melanie już śpią. Melanie uważała związek swoich rodziców za trwałą, choć chłodną. Nawet teraz nie martwiła się o jego spójność. W końcu przechodzili już gorsze sytuacje.

Patricia odstawiała szklanekę z sokiem i ruszyła przed siebie. Minęła Harpera i wydawało się, że chce pójść dalej, ale mąż dotknął jej łokcia. Trudno powiedzieć, kogo ten niespodziewany gest zaskoczył bardziej: Melanie czy Patricię.

Harper był najwyraźniej w lepszym nastroju; powiedział do żony coś, co wywołało jej uśmiech. Mruknął jeszcze parę słów z błyskiem w oku, a ona roześmiała się głośno, zaskoczona i zadowolona. Odwróciła się do męża. Długie palce chirurga musnęły jej obojczyk i spoczęły w talii; Patricia pochyliła się ku niemu ruchem, którego Melanie nie widziała już dawno.

Jamie poruszył się obok niej; zdała sobie sprawę, że i on przygląda się jej rodzicom. Miał nieodgadniony wyraz twarzy.

– Wszystko będzie dobrze – szepnęła z nową nadzieją. – Widzisz? Najgorsze minęło.

– Twoja mama jest piękna – powiedział Jamie miękko. Za ich plecami Ann Margaret zaczęła krzątać się bardziej energicznie.

– Dzielnie chodzi na spotkania AA. Jest twarda, naprawdę. – Melanie rzuciła okiem na zegarek i zeskoczyła na ziemię. – Zostaniesz trochę w Bostonie?

– Parę tygodni, słonko.

– Herbatka w „Ritzu”? – Zdecydowanie.

– Więc jesteśmy umówieni. Zajmij się nim dobrze, Ann Margaret. Później do was zajrzę.

Idąc korytarzem do kuchni wpadła na jakiegoś gościa. Spojrzała na niego i słowa przeprosin zamarzy jej na ustach. Stał przed nią niski, łysiejący mężczyzna w pomiętym ubraniu. Widziała już ten płaszcz; to on zniknął w drzwiach kuchni.

– Kim pan jest? – rzuciła ostro.

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Larry Digger, panienko. „Dallas Daily”. O nie, nie uciekaj, moja miła. Przez cały wieczór na ciebie czatuję. Cholera, trudno cię złapać.

– Pan nie był zaproszony. To prywatne przyjęcie. Jeśli pan zaraz nie wyjdzie, zawołam ochronę.

– Na twoim miejscu bym tego nie robił.

– Ale nie jest pan na moim miejscu. – Otworzyła usta, by wezwać pomoc, kiedy nagle mężczyzna chwycił ją za przegub i spojrzał jej w oczy dziwnie przenikliwym wzrokiem. Melanie poczuła, że nie może oddychać.

Poczuła dziwne drgnięcie. Fale w otchłani. Och, nie, nie teraz.

– Znam twojego ojca – powiedział przenikliwym szeptem.

– Harpera Stokesa?

– Nie, panienko. Mówię o twoim prawdziwym ojcu.

– Co?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu najwyższej satysfakcji.

– Chodź ze mną. Opowiem ci historię. Fajną historyjkę o Teksasie i seryjnym mordercy, niejakim Russellu Lee.

Larry Digger pociągnął Melanie w głąb korytarza. Duvetowie, szykujący się do wyjścia, obrzucili ich zaciekawionym spojrzeniem. Melanie uśmiechnęła się odruchowo. Słowa reportera ciągle dudniły w jej głowie. „Znam twojego prawdziwego ojca...”

Digger prześliznął się między gośćmi i pociągnął ją na tyły domu. Dwaj kelnerzy przemknęli obok nich i zniknęli w wahadłowych drzwiach.

– Rany boskie, ależ tu ścisk! Znasz wszystkich bogaczy w mieście?

– Chce pan pieniędzy? O to chodzi?

Digger pociągnął ją w stronę patio, ale tam też było mnóstwo gości, którzy spojrzeli na nich ze zdziwieniem.

– Szlag by to trafił!

Wyszedł z domu i powłókł ją za sobą ulicą prowadzącą do ogrodów miejskich.

Noc była ciepła i parna, w powietrzu unosiła się woń kwiatów wiśni i hiacyntów, gazowe latarnie rzucały łagodne światło. Maj w Bostonie był cudowny, a ludzie umieli to wykorzystać. Młodzi ściskali się w cieniu klonów, starsi wyprowadzali gromadki dzieci, inni spacerowali z psami. Park był pełen przechodniów i dobrze oświetlony, więc Melanie nie czuła strachu.

Była tylko zbita z tropu. Za lewym okiem czuła pulsujący ból. Russell Lee Holmes, Russell Lee Holmes. Dlaczego to nazwisko brzmiało tak znajomo?

Larry Digger zatrzymał się pod drzewem, wsadził tuste dłonie do kieszeni i odwrócił się do niej.

– Russell Lee Holmes zamordował sześcioro dzieci. Mówili ci?

– Co takiego?

– Aha, właśnie. Podły sukinsyn. Lubił, żeby dzieciaki były małe i miały jasne kędziorki. Porywał przeważnie dzieci biedaków, białe śmieci, takie jak on. Zabierał je na wysypiska i robił im takie rzeczy, że w głowie się nie mieści. Mam fotografie.

– Co?

– Przestań. Nie udawaj głupiej. Russell Lee Holmes zabił pierwszą córkę twoich rodziców. Zgwałcił ją i odciął jej głowę. Jak ona miała na imię?

O Boże, właśnie stąd знаła to nazwisko. Brian musiał jej o nim powiedzieć. Albo Jamie. Rodzice na pewno nie wspomnieli ani słowem.

– Meagan... – wymamrotała.

– Ano prawda, Meagan. Z nią było najgorzej. Cztery latka, słodziutka jak cukiereczek. Twoi starzy wyłożyli sto tysięcy dolców na okup, a dostali tylko ciało bez głowy. Dlatego twoja matka zaczęła pić...

– Dość! – Melanie straciła cierpliwość. – Czego pan właściwie chce? Jeśli się panu zdaje, że będę wysłuchiwać, jak pan obraża moją rodzinę, to się pan grubo myli.

– Chcę ciebie. Digger przysunął się bliżej. – Śledziłem cię, Melanie. Od dwudziestu pięciu lat. Usiłowałem znaleźć dowód, że istniejesz, chciałem dowieść, że Russell Lee Holmes naprawdę miał żonę i dziecko, bo ten sukinsyn nie pisał ani słowa, nawet w dniu egzekucji, bydlak jeden. Ale się nie poddałem. Russell Lee Holmes był na pierwszych stronach gazet, kiedy go złapali i kiedy go usmażyli. I wróci na pierwsze strony, kiedy ogłoszę, że odnalazłem jego córkę. I wiesz co? Masz jego oczy.

Nie rozumiem, o co panu chodzi, ale znaleziono mnie w Bostonie. Nie mam nic wspólnego z jakimś człowiekiem z Teksasu.

– Nie powiedziałem, że mieszkałaś w Teksasie, tylko że twój tatuś tam umarł.

– A przedtem spłodził dziecko w Bostonie? Nie sądzę.

– A ja sądzę. Widzisz, Russell Lee mieszkał w Teksasie, ale kiedy go aresztowali, jego żona i córka najprawdopodobniej wyjechały z miasta. W gazetach było pełno doniesień o jego morderstwach, wiesz... Zwłaszcza o tym, co zrobił córeczce Stokesów. – Larry Digger zakotłował się na piętach. – Porwał ją z samochodu niani, zażądał okupu, a potem zgwałcił i zabił w tym samym czasie, gdy twoi rodzice usiłowali zebrać pieniądze. Bardzo sprytnie, musisz przyznać. Wiesz, to tak, jakby mu za to jeszcze zapłacili.

– Dość! – Melanie ostatecznie straciła cierpliwość. – Nie jestem córką Russella Lee Holmesa! Natomiast pan jest wariatem. Żegnam.

Zrobiła krok w stronę domu. Larry Digger chwycił ją za przegub i mocno przytrzymał. Po raz pierwszy poczuła strach. Ale kiedy się odwróciła, dziennikarz powiedział spokojnie:

– Ależ jesteś. Jesteś jego córką.

– Niech mnie pan puści.

– Zostałaś znaleziona tej samej nocy, kiedy zginął Russell Lee Holmes – ciągnął, jakby jej nie słyszał. – Powiedzieli ci? Russell Lee poszedł na krzesło, a mała dziewczynka bez przeszłości nagle pojawiła się w szpitalu Harpera Stokesa. Dziwne, nie? Trzeba się zastanowić: dlaczego Harper w ogóle wtedy pracował? Trwała egzekucja faceta, który zabił jego córeczkę, a on poszedł do pracy? Dziwne, dziwne, dziwne. Chyba że wiedział, co się wydarzy w szpitalu.

– Zostawiono mnie na pogotowiu – powiedziała powoli Melanie. – Mój ojciec jest kardiochirurgiem. To, że się tam pojawił, to czysty przypadek...

– Albo przecucie.

– Och, do diabła, ilu mężczyzn ginie dziennie w tym kraju? Parę tysięcy? Czy jestem także ich córką?

Rzuciła mu pogardliwe spojrzenie i wyrwała się z jego uścisku. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Wyjął z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów i wytrząsnął z niej jednego.

– Dobra, dobra. Nigdy się nie zastanawiałaś, skąd się wzięłaś? Nie byłaś choć odrobinę ciekawa?

– Żegnam.

Uśmiechnął się szeroko.

– Znam twoją rodzinę. Mamusię, tatusia, braciszka. Opisywałem ich, kiedy porwano Meagan. Byłem z Patricią i Brianem, kiedy zginął Russell Lee Holmes. Nie chcesz mnie wysłuchać? Cóż, więc idź do domu i powiedz matce, że Larry Digger chce się z nią spotkać. To prawda, że właśnie wyszła z odwyku? Rozumiem, że od śmierci córki nie jest już taka jak dawniej. – Wydmuchnął kłęb dymu prosto w jej twarz. – Jak ci się wydaje?

– Jest pan kanalią.

– Oj, kochanie, nie tak mnie już nazywano. – Digger strzepnął popiół z papierosa. – A jak tam Brian, co u niego? Pamiętam, jak przyciskał nos do szyby w pokoju dla świadków. Wiesz, wtedy, jak usmażyli Russella Lee. Wstrętny widok, po prostu do wyrzycania. Wszyscy zamykali oczy i zatykali uszy. Ale Brian Stokes, czternastolatek, przycisnął nos do szyby i gapił się na agonię Russella Lee, jakby chciał to sobie wyryć w pamięci. Wyryć, mówię ci. Podobno teraz

jest gejem. Jak myślisz, czy patrzenie na śmierć mężczyzny może wpłynąć na preferencje? Tak pytam, z ciekawości.

Jego ostatnie słowa, tak okrutne przez swoją obojętność, odebrała jak fizyczny cios. Musiała zamknąć oczy. Potem ogarnął ją taki gniew, że nie mogła wykrztusić ani słowa. Miała ochotę go uderzyć. Zacisnęła pięści. Nie dałaby mu rady i oboje o tym wiedzieli.

– Niech pan zostawi w spokoju moja rodzinę – wykrztusiła wreszcie. – Jeśli chce pan coś powiedzieć, to czekam. Skoro chce pan mieć temat, to wypowiedź dziecka mordercy jest warta tego, żeby się pan od nich odczepił.

Larry Digger udał, że się zastanawia. Zaciągnął się papierosem i rozejrzał po parku, a małe oczka zalśniły mu tryumfująco.

– Podobasz mi się – powiedział nagle. – Na ogół nie lubię ludzi, panno Holmes. Ale ciebie lubię. Masz nie tylko oczy Russella Lee, ale i jego charakter.

– Wielkie dzięki – warknęła, a on parsknął śmiechem.

– No właśnie, twarda z ciebie sztuka. Powiedz, dzidziu, fajnie było nagle dostać taką kupę pieniędzy?

– Tak fajnie, że nie potrafisz sobie tego wyobrazić. I nigdy się nie dowiesz, jak to jest.

– Tak? To przykro, że ci to wszystko odbiorę. – Zgniół papierosa o pień drzewa i spoważniał. – Szpital. To jest najważniejsze. W tym mieście jest ponad sto szpitali, a ty się pojawiłaś akurat w tym, w którym pracował Harper?

– Zbieg okoliczności.

– Może, ale trochę ich za dużo. Po pierwsze czas. Znalazłaś się akurat tej nocy, gdy Russell Lee przeniósł się na tamten świat. Potem miejsce. Ktoś cię zostawił akurat w szpitalu Harpera i tak się złożyło, że on nie pojechał na egzekucję. I wreszcie ty. Mała dziewczynka, w przyzwoitych ciuchach, w dobrym stanie... i nikt się o ciebie nie upomniał? Po tylu latach ani słowa od ludzi, którzy przez dziewięć lat się tobą zajmowali, kupowali ci ubranka, karmili cię, dali dach nad głową, a nawet dostarczyli cię do szpitala, żebyś na pewno trafiła w dobre ręce? No i ta twoja amnezja. Zdrowa dziewczynka, która nie pamięta absolutnie niczego. Skąd pochodzi, jak się nazywa, po prostu pustka. A po dwudziestu latach dalej niczego nie pamiętasz. Trochę dziwne, nie? Dziewięcioletnie dziecko pojawia się nie wiadomo skąd, nie pamięta nic i nikt się do niego nie przyznaje. Zdumiewające. Albo zaplanowane.

– Wiesz, co mówią? Prawda jest dziwniejsza od fikcji.

– Pewnie, pewnie. Czy Harper zabrał cię kiedyś do hipnotyzera? Próbowaliście regresji, aromaterapii, czy co tam teraz jest modne?

– Badali mnie lekarze i powiedzieli, że fizycznie jestem zdrowa, a pamięć odzyskam, kiedy będę gotowa.

– Przestań, mała. Wielki pan doktor Harper Stokes na pewno ma własne zdanie. Mógł cię już dziesięć razy zabrać do hipnotyzera i nikt by nie miał nic do gadania. I co by się takiego stało? Przypomniałabyś sobie. Ale twoja rodzina, słonko, nie chce, żebyś sobie przypomniała.

– Bzdury! Czepiasz się zbiegów okoliczności, a twoja bajeczka ma dziury wielkie jak stodoła. Wyobraź sobie, że moi rodzice kochali Meagan. Nie mogliby świadomie zaadoptować dziecka człowieka, który ją zabił. To bez sensu.

Larry Digger przyjrzał się jej z zainteresowaniem.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Oczywiście. Co to ma znaczyć?

– Hmm... – Kiwnął głową. Czyżby właśnie usłyszał odpowiedź na bardzo ważne pytanie?

Melanie ścisnęła skronie. Czuła w głowie rosnący zamęt, jakby stała nad bezdenną przepaścią i po raz pierwszy się potknęła. Pulsujący ból głowy narastał. Czarna czeluść zamajaczyła jej przed oczami. Od lat nie miała poważnej migreny, ale tym razem zdała sobie sprawę, że lada chwila zwymiotuje.

– Może poznałaś Harpera i Patricię w Teksasie – mruknął Digger. – Zobaczyłaś ich w tych luksusach, na które nie stać zwykłego lekarza, razem z dziećmi, słodką córeczką, którą kochali wszyscy, i synem tak dziwnym, że mamusie pewnie już wtedy nie pozwalały mu się bawić ze swoimi pociechami. Zaczynam podejrzewać, że nie wiesz bardzo wielu rzeczy o swojej rodzinie.

– To nieprawda! Nieprawda!

– Ach, panno Holmes – westchnął Larry Digger. W jego głosie brzmiało coś na kształt współczucia. Albo litości. Wyprowadził ją tym z równowagi bardziej niż poprzednimi oszczerstwami. – Pozwól, że ci coś powiem... dla twojego dobra. Nie znalazłem cię o własnych siłach, dziecko. Ktoś mnie tu skierował. Anonimowy rozmówca, który zadzwonił w środku nocy. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, że dziennikarze nie lubią anonimowych rozmówców. Nawet takie przegrane, nic nie warte pismaki jak ja. – Błysnął zębami i natychmiast spowaźniał. – Za drugim razem zlokalizowałem tego kogoś. Dzwonił z Bostonu. Z Beacon Street. Z twojego domu. Jak ci się to podoba? Dlaczego ktoś z twoich domowników dzwoni do mnie i opowiada mi o Russellu Lee Holmesie?

– Nie wiem... nie... To nie ma sensu. – Słowa nagle utknęły jej w gardle. Osunęła się na ziemię. – Ale to było tak dawno... – usłyszała własny szept.

Larry Digger uśmiechnął się szeroko.

– Dostajesz to, na co zasługujesz, Melanie Stokes. Tak powiedział mój rozmówca. Dostajesz to, na co zasługujesz.

– Nie...

– Jak sądzisz, czy charakter dziedziczy się w genach? Czy przestępcy rodzą się źli? Czy naprawdę jesteś taka wyrafinowana, jak twoi bogaci przybrani rodzice, czy też pod tą ładną powłoką siedzi biały śmieć? A co z agresją? Zdarzyło ci się spoglądać na dzieciaka i czuć to pragnienie?

– Nie! Nie. O Boże... – Coś wybuchło jej w głowie. Chwyciła się za skronie, przycisnęła czoło do kolan i zakołysała się z bólu.

Jak z oddali dobiegł ją bulgotliwy rechot Diggera.

– Więc miałem rację, tak? Po dwudziestu pięciu latach nareszcie zaczynam...

Dalsze słowa zginęły w zduszonym jęku.

Melanie powoli podniosła głowę. Obok pojawiła się postać w bieli. Trzymała Diggera za ramię.

– Pani prosiła, żebyś ją zostawił – odezwał się spokojny męski głos. Larry Digger usiłował się stawiać.

– Czego tu? To prywatna rozmowa! Idź podawać przystawki!

– Nie mam przystawek. Mam za to kuchenny nóż.

Mężczyzna mocniej zacisnął chwyt. Digger podniósł obie ręce w geście poddania. Cofnął się o krok, kiedy tylko obcy go puścił.

– Dobra, nie ma sprawy. Idę sobie. Ale nie kłamałem. Panno Holmes, ja naprawdę mam dowód. Zdobyłem pewne informacje, nie tylko o ojcu, ale i o twojej prawdziwej matce. Myślałaś o niej kiedyś? Powiedziałyby ci, kiedy się naprawdę urodziłaś... i jak masz na imię. Hotel „Midtown”, kochanie. Słodkich snów.

Obcy mężczyzna usłyszał w głosie dziennikarza drwiącą nutę i zrobił szybki krok w jego stronę; Larry Digger bezwstydnie uciekł. Poły poplamionego prochowca trzepotały za nim.

Melanie musiała się pozbyć ciężaru leżącego jej na żołądku. Uczciła odejście Larry’ego Diggera, wymiotując sałatką z krewetkami na lśniące buty obcego.

– Aaa! – wrzasnął tamten i odskoczył. Spojrzał bezradnie na buty, nie wiedząc, co robić.

To było ich już dwoje.

Po policzkach Melanie potoczyły się wielkie łzy. W głowie pulsował jej ból, a w znękanym umyśle pojawiały się niechciane wizje. Błękitna sukienka. Jasne włosy. Przestraszone oczy. Chcę do domu. Puść mnie do domu!

– Jak się pani czuje? – Duża dłoń odgarnęła jej włosy z czoła. – Psia krew, ma pani gorączkę. Wezwę karetkę.

– Nie! – Strach przed szpitalami przewyciężył strach przed bólem. Poderwała głowę i skrzywiła się boleśnie. – Jeszcze chwilę...

Jej wybawiciel spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Po co pani rozmawiała z tym lumpem? Co pani sobie myślała?

– Chyba nic. – Przycisnęła dłonie do powiek. Ten facet miał rację. Nie lubiła go za to. Zaryzykowała i otworzyła oczy. Nie miała wyboru.

W ciemnościach niewiele widziała. Światło gazowej lampy obrysowywało kanciastą szczękę, zapadnięte policzki i nos, złamany zbyt wiele razy. Gęste ciemne włosy, zwykła krótka fryzura. Usta zaciśnięte surowo. Rozpoznała jego ubranie. Niech to szlag, uratował ją jej własny kelner.

Znowu zamknęła oczy. Koszmar. Przyłapana w krępującej sytuacji przez kogoś, kto mógł rozpowiedzieć o tym wszystkim wokół.

– Umiera pani? – warknął kelner.

– Niewykluczone. Czuję się lepiej, gdyby pan mówił ciszej. Uznała, że go zawstydziła, ale zaraz zmieniła zdanie.

– Dlaczego mu pani pozwoliła wywlec się z domu? To bez sensu. Chciał pieniędzy?

– Jak wszyscy. – Podniosła się chwiejnie. Musiała stąd odejść, natychmiast... Niestety, ziemia zakołysała się jej pod nogami, drzewa przechyliły się pod dziwnym kątem.

Chwycił ją za ramię.

– Spokojnie, bo w końcu wyląduje pani w szpitalu. Co pani widzi?

– Białe kropeczki.

– A jak ze słuchem?

– Co?

– Bierze pani leki?

– W domu – wymamrotała i spróbowała zrobić krok. Nogi ugięły się pod nią, ale kelner zdążył ją chwycić. Zwisła mu bezwładnie w ramionach. Nagle przestała się przejmować.

Chcę do domu, do domu!

Nie, kochanie. Nie możesz. To niebezpieczne...

Mężczyzna wymamrotał coś o głupich kobietach i wziął ją na rękę. Oparła mu głowę na ramieniu. Wydawał się silny i godny zaufania. Pachniał „Old Spice’em”.

Wtuliła mu twarz w szyję i świat odpłynął w nicość.

Agent specjalny David Riggs nie miał powodów do zadowolenia. Po pierwsze, nie przepadał za ratowaniem dam z opresji. Po drugie, wiedział, że czeka go straszliwa awantura za uratowanie tej właśnie damy.

– Macie tu być oczami i uszami. To bardzo skomplikowane dochodzenie. Nie spieprzcie niczego!

Jego zwierzchnik, dyrektor Lairmore, z pewnością uznałby śledzenie Melanie Stokes, interwencję i odniesienie jej do domu za kompletne spieprzenie wszystkiego. Riggs miał nie spuszczać oka z jej ojca, w razie gdyby – oszołomiony wódką z tonikiem puścił parę na temat defraudacji w służbie zdrowia. Ha, ha.

Mocniej chwycił Melanie i przeszedł przez ulicę. Dziewczyna była mniejsza niż się spodziewał, kiedy obserwował, jak śmiga po domu. Prawie unosiła się w powietrzu i nie zwalniała nawet po to, żeby nabrać powietrza w płuca. Robiła wszystko, od noszenia skrzynek mango po wycieranie rozlanej wody. A także przynajmniej sześć razy zaglądała dyskretnie do salonu i podchodziła do matki.

Już od dawna żadna kobieta nie opierała mu tak głowy na ramieniu.

Nie wiedział, co z tym zrobić, więc zaczął myśleć o aktach rodziny Stokesów i tych paru szczegółach na temat Melanie, których się z nich dowiedział. Adoptowana w wieku dziewięciu lat, kiedy to znaleziono ją w szpitalu, gdzie pracował doktor Stokes. Gazety i telewizja zrobiły wokół niej trochę hałasu. Przedstawiano ją jako współczesną sierotkę Marysię. Ukończyła studia w dziewięćdziesiątym pierwszym roku i od tego czasu aktywnie udzielała się w rozmaitych organizacjach dobroczynnych. Jedną z tych, co chcą dać coś z siebie światu. Dziewięć miesięcy temu zaręczyła się z doktorem Williamem Sheffieldem, ulubionym pracownikiem jej ojca, a po trzech miesiącach zerwała zaręczyny bez słowa wyjaśnienia. Skryta. Opiekowała się matką, która, jak zauważył Larry Digger, od śmierci pierwszej córki nie jest już taka jak kiedyś. Mniej oddana rodzinie. Zresztą nieważne.

Żadna informacja nie wskazywała na to, że Melanie Stokes może być córką seryjnego mordercy, choć te zbiegi okoliczności faktycznie wydawały się interesujące. No, ale Larry Digger nie budził zaufania. Pod koniec rozmowy ręce mu się trzęsły. Prawdopodobnie odmówił sobie codziennej porcji whisky, żeby porozmawiać z dziewczyną. Bez wątpienia teraz nadrabia zaległości.

W pobliżu domu Melanie jęknęła.

– Tylko niech pani znowu nie rzygnie – mruknął Dawid.

– Zaraz...

– Będzie pani wymiotować?

– Czekaj. – Chwyliła go za kłapy. – Nie mów... nikomu – wymamrotała z wysiłkiem. – Nikomu... z mojej rodziny. Zapłacę ci...

Miała przytomne oczy. Wielkie, przerażone. W zadziwiająco kolorze, ni to szare, ni to błękitne.

– Dobra, dobra.

Osunęła się znów w jego ramiona, najwyraźniej usatysfakcjonowana. David otworzył drzwi łokciem i wszedł do środka. Wszyscy na nich spojrzeli.

– Co tu się dzieje? – Harper Stokes znalazł się przy nich w mgnieniu oka. William Sheffield następował mu na pięty. Za nimi przybiegła Patricia Stokes, rozlewając sok pomarańczowy na sukienkę od znanego projektanta.

– O Boże! Melanie!

– Gdzie sypialnia? – spytał David. Nie zwracając uwagi na okrzyki i szepty, ruszył na górę po schodach. – Powiedziała, że ma migrenę.

Harper zaklął.

– Powinna mieć w łazience fiorinal z kodeiną. Patricia!

Matka śmignęła po schodach i wypadła z łazienki córki z pigułkami i szklanką wody w tej samej chwili, gdy David kładł Melanie na nieposłanym łóżku. W jednej chwili został odepchnięty na dalsze pozycje. Harper niespokojnie chwycił rękę córki i sprawdził puls. Włożył jej pigułki do ust i podsunął szklankę. Patricia pospieszyła z mokrym ręcznikiem, którym otarła twarz Melanie. Zjawił się nawet William Sheffield: niepewnie czekał przy drzwiach. David nie potrafił odgadnąć, dlaczego były narzeczony Melanie ma prawo wstępu do jej pokoju.

– Co się stało? – rzucił gniewnie Harper. Jeszcze raz sprawdził tętno córki, odebrał żonie mokry ręcznik i położył go na czole Melanie. – Gdzie ona była? Co pan z nią robił?

– Znalazłem ją w parku – odparł David. Odpowiedź wydała się mu zbyt zwięzła. Najwyraźniej Harper odniósł takie samo wrażenie, bo obrzucił go ostrym spojrzeniem. David odwzajemnił się tym samym.

Znał go tak dobrze, jak chyba żadna z osób w tym pokoju. Przez ostatnie trzy tygodnie zbierał informacje na jego temat. Doktor Harper Stokes, przez wiele osób uważany za genialnego lekarza, ostatnio został okrzyknięty najlepszym kardiochirurgiem z mieście. Niektórzy twierdzili, że cierpi na manię wielkości, że jego zamiłowanie do pracy bardziej wynika z żądzy sławy niż z prawdziwej troski o pacjentów. Zważywszy coraz większą komercjalizację środowiska chirurgów, trudno było na poczekaniu rozstrzygnąć, kto ma rację.

Doktor Harper Stokes wyróżniał się tylko jednym – pochodzeniem. Przyszły chirurg zaczynał karierę w wieku osiemnastu lat. Jego wykształcenie wydawało się najwyżej przeciętne. Ukończył teksaski college jako średni uczeń. Nie dostał się do żadnej z najlepszych akademii medycznych i musiał się zadowolić lokalnym uniwersytetem. A tam zasłynął bardziej z upodobania do doskonałych ciuchów i wyteżonej pracy niż z wyjątkowego talentu.

Dziwne, ale punktem zwrotnym w jego karierze, kiedy z przeciętnego lekarza zmienił się w utalentowanego chirurga, było porwanie jego córki. Jego życie osobiste legło w gruzach, a on rzucił się w wir pracy. Im większy chaos panował w jego rodzinie, tym więcej czasu spędzał w szpitalu. Tam miał moc uzdrawiania i wydzierania ludzi z objęć śmierci. I bawił się w Boga.

Russell Lee Holmes zniszczył jego rodzinę, ale dziwnym kaprysem losu uczynił z niego doskonałego chirurga.

Niedawno FBI dostało informację, że ktoś trzykrotnie dzwonił na gorącą linię, dotyczącą nadużyć w służbie zdrowia. Zakwestionowano działalność Harpera. Na razie David nie miał żadnych podejrzeń. Być może któryś z zazdrosnych rywali usiłował kopać pod nim dołki. A może jednak pan doktor znalazł sposób, by wyciągnąć parę dolców ekstra? Nie było tajemnicą, że Stokesowie żyli na wysokim poziomie.

Na razie jedynym hakiem na doktora było jego zamiłowanie do pięknych kobiet. Nawet to nie wydawało się szczególną tajemnicą. Każdy wiedział, że Harper spotyka się z różnymi ślicznotkami. Żona udawała, że o niczym nie wie. Wiele małżeństw funkcjonuje tak samo.

– Ale po co Melanie poszła do parku? – spytał Harper, marszcząc brwi. David otrząsnął się z zamyślenia.

Zanim zdążył otworzyć usta, Melanie go ubiegła.

– Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem. Wyszłam tylko na chwilę.

– Zauważyłem, że pani wychodzi z domu – dodał David. – Kiedy przez jakiś czas nie wracała, postanowiłem sprawdzić, co się z nią dzieje. Po drugiej stronie ulicy usłyszałem, że ktoś wymiotuje, no i ją znalazłem.

Harper przyglądał mu się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami. Potem zwrócił się do córki z troską, ale i dezaprobatą.

– Zapracowujesz się, tak nie wolno. Wiesz, jak reagujesz w chwilach stresu. Musisz pamiętać, żeby kontrolować poziom napięcia. Przecież ja i matka pomogliśmy ci we wszystkim, gdybyś wspomniała choć słowem...

– Wiem.

– Za dużo na siebie bierzesz. Uśmiechnęła się krzywo.

– Wiesz, po kim to mam?

Sapnął, ale wydawał się autentycznie wzruszony. Zerknął na żonę. Wymienili dziwne spojrzenia, których David nie potrafił rozszyfrować.

– Musi odpocząć – powiedziała Patricia. – Kochanie, zaśnij teraz. Razem z ojcem zajmujemy się gośćmi.

– Przecież powinnam... – zaprotestowała słabo Melanie, ale proszki zaczynały już działać i powieki jej opadły. Spróbowała jeszcze usiąść, jednak nie udało się jej nawet oderwać głowy od poduszki. Wreszcie zwinęła się w kłębuszek na środku wielkiego łóża. Wydawała się bardzo krucha, delikatniejsza niż wtedy, gdy rozmawiała z dziennikarzem. Wyglądała jak...

Patricia przykryła ją kołdrą i wyprosiła wszystkich z pokoju.

– Pan tak po prostu zauważył, że Mel wychodzi z domu? – odezwał się William Sheffield, gdy David go mijał.

– Tak – odparł chłodno. – A pan?

Były narzeczony Melanie oblał się rumieńcem, zerknął na Harpera, szukając u niego pomocy, a kiedy jej nie otrzymał, wycofał się.

– Dziękuję, że pomógł pan naszej córce, panie... – Patricia zatrzymała się w drzwiach i położyła mu drobną dłoń na ramieniu.

– Reese. David Reese. Nie zabierała ręki.

– Dziękuję, panie Reese. Jesteśmy pańskimi dłużnikami...

– To nic wielkiego.

Uśmiechnęła się. W oczach miała morze smutku.

– Dla mnie to bardzo wiele.

Zanim zdołał odpowiedzieć, po schodach wbiegł jak burza Jamie O'Donnell, żądając głośno informacji, co się dzieje z jego Melanie. Szczupła kobieta o siwiejących włosach, ubrana w fartuch pielęgniarki, szła tuż za nim. David usłyszał, że Patricia mówi do niej „Ann Margaret”.

Skorzystał z okazji, żeby się wymknąć. Przystanął na podeście niżej i zaczął bezwstydnie podsłuchiwać.

O'Donnell pieklił się i wołał, żeby powiedziano mu o wszystkim. Ann Margaret domagała się widzenia z Melanie. Harper mruczał coś niewyraźnie. David nie dosłyszał jego słów; teraz już wszyscy czworo mówili ciszej. Skrzypnęły drzwi pokoju Melanie.

David poczuł, że włosy jeżą mu się na karku. Nie miał tego uczucia już od dawna, a dokładnie od chwili, gdy siedział w gabinecie lekarskim i czekał na ostateczny wyrok... a potem zobaczył wyraz twarzy lekarza. W jednej chwili zrozumiał, że jego życie i życie jego ojca – już nigdy nie będzie takie jak dotychczas.

Ale dlaczego czuł się tak teraz? To nie miało sensu. Na razie miał tylko rodzinę doktora i reportera – pijaczka. Nic strasznego, nic zapowiadającego jakąkolwiek sprawę.

A jednak... Co powiedział Larry Digger?

Podobno wiadomość o prawdziwych rodzicach Melanie dostał od anonimowego rozmówcy, który twierdził, że każdy dostaje to, na co zasługuje.

Przed trzema tygodniami, gdy anonimowy rozmówca zadzwonił z wiadomością, że doktor Stokes wykonuje nielegalne operacje, także dodał, że każdy dostaje to, na co zasługuje.

A David nie wierzył w zbiegi okoliczności.

David Riggs skończył pracę kelnera o trzeciej nad ranem. Przyjęcie wreszcie się skończyło, a on mógł wyjść na ulice Bostonu. Mocno kulał, a plecy bolały go bardziej niż zwykle. Udawanie kelnera nigdy nie wychodziło mu na zdrowie. Trzeba było podawać drinki, nosić tace z przekąskami i sprzątać po gościach. Należało się dobrze uwijać, żeby jednocześnie być dobrym kelnerem i agentem. Kiedy Lairmore następnym razem zleci mu taką robotę, trzeba będzie wysłać Chenneya. Niech mały też zakosztuje takiego życia.

Na Beacon Street było pusto. Bogaci ludzie odpoczywali już w swoich pięknych domach. Ale parę przecznic dalej skrzypiały wózki dostawców. Nie wszyscy mieszkańcy Bostonu spali na pieniądzach.

David wybrał drogę na skróty przez park, w którym podsłuchiwał Larry'ego Diggera i Melanie. Mógłby pewnie wezwać Chenneya i sprawdzić, jak chłopak sobie poradzi. Nowy pracownik w wydziale przestępstw finansowych był prawdziwym mięśniakiem. Wielki łeb na byczym karku, a niżej potężna klatka piersiowa. Kiedy szedł, ręce kołysały się mu jak gorylowi. Trudno było go brać poważnie, zwłaszcza kiedy przedstawił się jako były księgowy.

David jeszcze nie wyrobił sobie zdania na jego temat. Brak kwalifikacji nie przemawiał na jego korzyść. Akademia zapewniała przyszłym agentom tylko szesnaście tygodni kursów. Prawdziwe wejście w radosny świat FBI miało się odbyć dopiero wtedy, gdy czas i budżet pozwolą wysłać Chenneya na specjalistyczny trening w Narodowym Związku Walki z Przestępstwami Finansowymi. Do tego czasu musiał sobie radzić o własnych siłach, dzięki czemu zwierzchnicy mogli się przekonać, z kim mają do czynienia.

Dziś Chenney miał chodzić za doktorem Williamem Sheffieldem, ale David widział anestezjologa o drugiej nad ranem, kiedy opuszczał przyjęcie, a po Chenneyu nie było śladu.

Albo był taki dobry, albo zasnął na służbie. David miał na ten temat własne zdanie.

Skrzywił się z bólu, zauważył wolną taksówkę i podjął decyzję. Na tym etapie śledztwa nie wolno przeciągać struny. Mógł się spotkać z Chenneyem rano.

Powrót do domu trwał długo. David zakończył podróż na podłodze taksówki, zwinięty w kłębek, oddychając kwaśnym odorem potu i tytoniu. W krzyżu czuł przeraźliwe rwanie na przemian z pulsowaniem. Wyczołgał się z taksówki na czworakach, wepchnął kierowcy pieniądze i podniósł się ostrożnie. Obszedł parking. Musiał rozruszać mięśnie, rozluźnić je. Ruch jest bardzo ważny, ćwiczenia pomogą mu odzyskać giętkość.

„Ma pan zapalenie stawów krzyżowo-biodrowych. To tam, gdzie kręgosłup łączy się z miednicą. Zapalenie będzie się rozszerzać, powodując coraz większy dyskomfort. Ćwiczenia, lód i niesterydowe leki przeciwzapalne”.

Cholera! Byłem sportowcem! Miałem grać w pierwszej lidze! Znam moje ciało. Znam ból!

„Nie możemy panu powiedzieć nic więcej. Objawy zeszywniającego zapalenia stawów kręgosłupa są bardzo indywidualne. Może pan mieć gorączkę, odczuwać chroniczne zmęczenie, mieć problemy z trawieniem. Czasami choroba atakuje inne organy, na przykład oczy, serce i płuca. Nie możemy przewidzieć, w jaki sposób wpłynie na pana. Wiemy tylko, że jest to choroba chroniczna i wszyscy, którzy będą panu obiecywać cudowny lek, to hochsztaplerzy. Oczywiście nadal może pan prowadzić bogate, satysfakcjonujące życie. Istnieje wiele organizacji, które panu pomogą, ale musi pan żyć twórczo. Proszę sobie wybrać styl, który panu

najbardziej służy”.

Nie mam żadnego stylu. Ja w ogóle nie żyję. Jestem zmęczony.

Najgorsze bóle wreszcie minęły, ale on nadal szedł. Nie wiedział, po co. Może dlatego, że od tak dawna nie spał i już się odzwyczaił.

Może dlatego, że bał się znaleźć w łóżku, gdzie zaczęłoby się od drzemki, a skończyło na konwulsyjnym łapaniu powietrza. Coś takiego zaczęło się dwa tygodnie temu. Nie wiedział, czy to jakaś nowa choroba, czy zapalenie weszło w następne stadium.

Nikogo o to nie pytał, bo chyba nie chciał wiedzieć.

Pomyślał o baseballu. O tym upojnym czasie, gdy miał szesnaście lat.

Sobotnie popołudnia, kiedy grał z ojcem i młodszym bratem Stevenem. Dużo rozmawiali o grze, ponieważ Bobby Riggs sam był za młodu niezłym baseballistą. Doszedł do drugiej ligi, a teraz uważał, że synowie go przerosną. A potem niespodziewanie okazało się, że Heather Riggs ma raka piersi. Wtedy jej mąż i synowie wrócili na boisko, by zagłuszyć ból. I wreszcie młoda, piękna Heather umarła, a oni grali dalej, ponieważ już tylko to im zostało.

Ojciec i jego dwaj synowie biegali po boisku, z każdym uderzeniem i wybiciem ucząc się ze sobą rozmawiać. Rak zabrał kochającą matkę i żonę, okaleczył rodzinę. Ale baseball nie pozwolił im upaść. Był na wagę złota.

Tak jak ramię Davida.

David potrafił rzucać jak nikt. Dzięki temu mógł zająć miejsce gwiazdy.

Jako siedemnastolatek trafił do młodzików i zaczął stawać się sławny. Agenci pukali do drzwi. Siedział z ojcem do późna i zastanawiali się, która z pierwszoligowych drużyn byłaby dla niego najlepsza, którą wybiorą.

A potem pojawił się ten ból w krzyżu i nie chciał minąć. David zaczął mieć kłopoty z bieganiem. Naciągnięte ścięgno, myśleli. Może się sforsował. Trzeba było zrobić przerwę. David się wycofał, a jego miejsce zajął Steven.

Ale ból narastał. Pewnego dnia lekarz powiedział, że jego stawy są w bardzo złym stanie i wykluczają dalszą karierę. A tymczasem Steven odnosił pierwsze sukcesy.

Od tej pory w rodzinie Riggsów coś się zmieniło. David zrezygnował z zawodowstwa – nikt nie potrzebował chorych zawodników – i poszedł do college’u. Nigdy więcej nie zagrał w baseball. Zostawił to Stevenowi, który dostał nawet stypendium, ale nikt mu nie zaproponował gry w zawodowych drużynach. Rzucał dobrze, ale nie tak jak David – i wszyscy o tym wiedzieli.

Teraz Steven pracował jako zastępca trenera w Ureias Amherst, był żonaty i miał dwoje pięknych dzieci. A skoro David nie mógł zostać baseballistą, by zadowolić ojca, wybrał karierę agenta federalnego. Postanowił, że będzie łapał morderców, tak jak w kinie. Kiedy przydzielono go do wydziału w Bostonie, wyobrażał sobie, że pokona całą bostońską mafię. Będzie pracował w przebraniu, zdemaskuje wielkie rodziny i przyszpili głównego mafioso.

Rok po skończeniu akademii pewien kręgarz rozpoznał u niego zeszywniające zapalenie stawów kręgosłupa. „Problemy z plecami” nie miały nigdy ustąpić.

FBI przydzieliło go do sekcji, w której największym niebezpieczeństwem było zrzuć sobie na nogę szuflady z aktami. Co roku otrzymywał pochwały za „pracę analityczną” – był to eufemizm, oznaczający umiejętność szybkiego czytania ton bzdur. I przez cały ten czas patrzył, jak koledzy z klasy ścigają handlarzy narkotyków i terrorystów. A także awansują.

Plecy prawie przestały go boleć. Czy to znaczy, że będzie mógł zasnąć? Dochodzi piąta rano. Steven ma dziś mecz. Trzeba by pojechać i zobaczyć. Ojciec pewnie tam będzie.

Ale raczej pójdzie do pracy. Sprzątanie w domu Stokesów jeszcze trwa, a on potrzebuje jakiegoś pretekstu, by tam wejść. Może dowie się czegoś więcej o doktorze Harperze Stokesie i dziwnych oskarżeniach Diggera.

Wszedł do domu, gdy na niebie pojawiały się pierwsze promienie słońca. Na ścianie pokoju wisiały tylko dwie fotografie. Park Fenway w nocy i Joe „Shoeless” Jackson. Trudno to nazwać domową atmosferą.

Zrzucił buty, nie zapalając nawet światła, i ostrożnie osunął się na łóżko. Zostały mu dwie godziny snu. Musiał się przespać.

Ale zamiast zamknąć oczy, spojrzął na zdjęcie Jacksona.

– Powiedz, że życie nie jest sprawiedliwe – wymamrotał. – I powiedz, że tak jest dobrze, do cholery, tak jest dobrze.

„Shoeless” Jackson milczał. Po chwili David przewrócił się na bok i udał, że zasypia.

O czwartej rano Melanie obudziła się gwałtownie, bliska krzyku. Przed oczami miała koszarne płonące wizje. Gonila ją mała Meagan Stokes z zakrwawioną głową. Mała Meagan Stokes, zawodząca: „Russell Lee Holmes, Russell Lee Holmes, to ty jesteś jego bachorem!!!”

Dźwignęła się do pozycji siedzącej. Oddychała z trudem, ręce jej się trzęsły. Czuła smak krwi. W końcu zdała sobie sprawę, że instynktownie dławiając krzyk przygryzła sobie język.

Potarła mokry od potu policzek, wciągnęła haust powietrza. Jeszcze chwila i zdołała wstać. Z dołu dobiegało tykanie starego zegara. Poza tym w dwupiętrowym domu panowała zupełna cisza.

Szybkim krokiem ruszyła do drzwi. Zeszła na dół, pchana impulsem, którego na razie nie chciała analizować.

Salon był pusty, meble wróciły na swoje miejsce, a przez okna wpadał łagodny blask gazowych latarni.

Zbliżyła się do kominka. Czuła się samotna.

Od czasu zerwania z Williamem takie noce nie zdarzały się jej zbyt często. Prawie nigdy nie snuła się w ciemnościach po domu, szukając czegoś, czego nie potrafiła określić.

Aż do jego oświadczyn nie myślała o własnej rodzinie. Zajmowała się rodzicami, miała brata, o którego musiała się martwić. Była zbyt zajęta. Ale nagle William poprosił ją o rękę – właściwie nie wiedziała, dlaczego. I zgodziła się. Też nie wiedziała, dlaczego. Może dlatego, że nawiedziła ją wizja, w której niczym Kopciuszek żyła długo i szczęśliwie ze swoim księciem. Ta wizja ją urzekła.

Rzeczywistość szybko dała o sobie znać.

Melanie nie tęskniła za Williamem, ale nie mogła zapomnieć o tamtych marzeniach.

Zatrzymała się przed kominkiem. Jej spojrzenie odruchowo powędrowało ku wielkiemu olejnemu portretowi małej Meagan Stokes.

„Po pierwsze czas. Znalazłaś się akurat tej nocy, gdy Russell Lee przeniósł się na tamten świat. Potem miejsce. Ktoś cię zostawił akurat w szpitalu Harpera, no i tak się złożyło, że on nie pojechał na egzekucję. I wreszcie ty. Mała dziewczynka. W przyzwoitych ciuchach, w dobrym stanie i nikt się o ciebie nie upomniał? Po tylu latach ani słowa od ludzi, którzy przez dziewięć lat się tobą zajmowali, kupowali ci ubranka, karmili cię, dali ci dach nad głową i nawet dostarczyli do szpitala, żebyś na pewno trafiła w dobre ręce? No i ta twoja amnezja. Zdrowa dziewczynka, która nie pamięta absolutnie niczego? Skąd pochodzi, jak się nazywa, po prostu pustka? A po dwudziestu latach dalej niczego nie pamiętasz?”

– Nie – szepnęła do Meagan. – Nie pamiętam. Naprawdę.

Ale nie była już taka pewna. Te powracające czarne otchłanie, głos małej dziewczynki... Ile to już razy? Usiłowała udawać, że wszystko w porządku, że jej pamięć nie zaczyna się otwierać, że nie podsuwa jej rzeczy, o których nie chciała wiedzieć.

Miała, swoją rodzinę. Nie chciała słuchać o mordercy, o prawdziwych rodzicach i pierwszych dziewięciu latach życia. To wszystko nie miało znaczenia. Liczyło się tylko to, że porzucono ją w szpitalu, pozbawioną nawet własnego imienia, a Stokesowie pojawili się na czas i ją uratowali.

Boże drogi, bez nich byłaby nikim. Niczym.

Dwadzieścia lat temu była dziewczynką, która obudziła się w pustym szpitalnym pokoju. Ściany białe jak śnieg. Okropne igły i przewody. Dziwne, straszne twarze obcych ludzi.

Wszyscy zapewniali, że nic się jej nie stanie. Mówili, że jej rodzice zaraz przyjdą i wszystko będzie dobrze. Karmili ją, opiekowali się nią. Wierzyli, że jest ktoś, kto ją kocha.

Minęło parę dni. Parę dni na oddziale dziecięcym, dni pełne płaczu dzieci i głosów pocieszających je rodziców. A ona przewracała się niespokojnie w białym szpitalnym łóżku i patrzyła na białe ściany, rozpaczliwie usiłując wyobrazić sobie mamusię, która lada chwila nadejdzie, żeby ją utulić.

Zainteresowała się nią opieka społeczna. Przeniesiono ją do pobliskiego domu dziecka. Nikt już nie mówił o szybkim powrocie do kochających rodziców. Zaczęto wspominać o znalezieniu dla niej rodziny zastępczej. A może ktoś ją adoptuje? Co innego, gdyby to było niemowlę, powiedział ktoś, ale tak...

Noc za nocą, samotna w brzydkim pokoju, uświadamiała sobie, że nikt po nią nie przyjdzie. Nikt nie zabierze jej do domu. Nikt nie da jej imienia.

Wtedy pojawiła się Patricia Stokes.

Stała w drzwiach w ślicznym różowym kostiumie. Powiedziała, że chce przeczytać Melanie bajkę. Melanie nie odezwała się ani słowem. Spojrzała na tę szczupłą, piękną kobietę o smutnym głosie i coś w niej krzyknęło: „Chcę do niej!”

Objęła swojego ślicznego gościa, wcisnęła nos w pachnącą szyję. „Powiedz mi, że od tej pory wszystko będzie dobrze. Powiedz, że mam dom”.

Piękna pani Stokes przeczytała jej bajkę o królownie. Pod koniec z jakiegoś powodu zaczęła płakać. Pospiesznie otarła łzy, rzuciła Melanie tęskne spojrzenie i szybko wyszła.

Później wychowawczynie powiedziała, że pani Stokes straciła czteroletnią córeczkę jakiś czas temu, w Teksasie. Straszna tragedia. Teraz Stokesowie zamieszkali w Bostonie i są bardzo hojni. Piękna z nich para. Oczywiście to smutne, że spotkało ich takie nieszczęście, ale Bóg wie, co robi.

Melanie natychmiast zrozumiała. Stokesowie tęsknili za córeczką, tak jak ona tęskniła za rodziną. I oni, i ona byli samotni. Pasowali do siebie.

Kiedy Patricia odwiedziła ją znowu, Melanie wyciągnęła do niej rękę. W ułamku chwili pani Stokes znalazła się w objęciach dziewczynki. Znowu zaczęła płakać. Tym razem Melanie pogłaskała ją po plecach.

– Już dobrze – szepnęła poważnie. – Będę twoją córeczką i wszystko się ułoży.

Patricia zaniósł się szlochem.

Pół roku później Stokesowie zaadoptowali Melanie.

Kiedy Melanie skończyła dwanaście lat, tylko ona potrafiła rozbawić swojego zapracowanego ojca. Tylko ona rozumiała Briana i jego depresyjne nastroje. Potem nadeszły trudne dni, kiedy brat długo nie wracał do domu, ojciec pracował przez całe noce, a Melanie schodziła na parter i znajdowała matkę wpatrzoną w portret czteroletniej córeczki, której już nigdy nie zobaczy. Dziecka, które Patricia wydała na ten świat, a potem straciła. Dziewczynki, której nie potrafiła zapomnieć, choć miała nową córkę.

W takie noce Melanie prowadziła matkę do jej pokoju, kładła ją do łóżka, siedziała obok w milczeniu, trzymając ją za rękę, by pomóc to przetrwać.

Już dobrze, mamusiu. Zajmę się tobą. Zawsze będę przy tobie.

Piąta. Stary zegar wybił godzinę, wytrącając Melanie z zamyślenia.

Ciągle miała przed oczami Meagan Stokes, rozpromienioną w uśmiechu i podającą komuś ulubionego czerwonego drewnianego konika. Mała Meagan w słodkiej błękitnej sukieneczce z falbankami, mała Meagan o błękitnych oczach i złotych loczkach. Śliczna Meagan, która umarła trzy tygodnie po ukończeniu tego obrazu.

Minęło dwadzieścia lat, a rodzina Stokesów ciągle nie podniosła się po tym ciosie. Teraz Melanie już wiedziała, że są rany, które po prostu nie mogą się zagoić. I nie zmienią tego wysiłki nawet najlepszej z córek.

Wreszcie zdołała się odwrócić. Zwinęła się w kłębek na sofie.

– Ale to także moja rodzina, Meagan – szepnęła. – Zasłużyłam na nią. Naprawdę.

Cicho mruczał do siebie w ciszy pokoju: „Sporządzić listę, sprawdzić ją dwa razy”...

Czekał na to dwadzieścia pięć lat. Myślał o tym, co zrobi, powtarzał to wciąż od nowa, ulepszał każdy szczegół, aż wreszcie osiągnął całkowitą doskonałość. Przed trzema tygodniami rozpoczął przedstawienie jedną telefoniczną rozmową. Najpierw trzeba zebrać wszystkich w tym samym mieście. Larry Digger przybył parę godzin temu. Ostatni aktor pojawił się na scenie; teraz zacznie się spektakl.

Dwadzieścia pięć lat temu popełniano takie zbrodnie, zarazem wielkie i małe. Dwadzieścia pięć lat temu tolerowano takie grzechy, zarazem wielkie i małe. Zawsze uważał, że natura ludzka w końcu zwycięży. Ktoś musi się złamać, ktoś musi zacząć mówić, może nawet Larry Digger poskłada to wszystko do kupy.

Ale lata mijały, a oni nawet nie drgnęli. Nikt nic nie robił, nie mówił, nie pytał, nie pamiętał, nie wiedział. I wszystkim się upiekło.

Miał tego dosyć. Postanowił wziąć sprawę w swoje ręce. Zaczął od listy od dokładnego spisu zbrodni popełnionych przez każde z nich.

Zbrodnia milczenia. Zbrodnia nieświadomości. Zbrodnia niepamięci. Zbrodnia bezgranicznej miłości. Zbrodnia nieopanowanego tchórzostwa.

Zbrodnia braku męskości.

I zbrodnia najgorsza, tak wielka, że nie istniała nazwa, która by określiła jej naturę. Hipokryzja, chciwość, egoizm. Okradanie ludzi dla samej kradzieży. Brak serca i coś jeszcze gorszego – niszczenie cudzego życia, bez utraty doskonałego samopoczucia.

To był Prawdziwy Grzech; zawsze mu się wydawało, że diabeł kryje w sercu pogardę.

Jeszcze nie znalazł kary za ten grzech. To musi być coś wyjątkowego i prostego. To musi być coś strasznego.

Wrócił do tego, co zebrał. Świecek, pióra i stare malowidło. Dziecinna zabawka i sukienka. Krowie języki, świńskie jelita i kosz jabłek. A to, co unosiło się w szklanym słoiku, było tak obrzydliwe, że nawet on nie mógł na to patrzeć.

Numer telefonu.

Przygotowania dobiegły końca.

Pora na pierwszy podarek. Spojrzał na listę, a potem na zgromadzone przedmioty. Podjął decyzję: Melanie. Melanie, która znalazła szczęście jako druga córka Stokesów. Melanie, która

przez wszystkie te lata nie raczyła sobie przypomnieć.

Wyjął rzeźnicki nóż. Sprawdził ostrze.

Był gotowy.

Wiecie, jak popełnić zbrodnię doskonałą?

Ja wiem.

Niedziela była piękna: jasne wiosenne słońce, wesoly świergot ptaków. Melanie obudziła się i stwierdziła, że leży na beżowej sofie w salonie, a kelner David Reese przygląda się jej z zaciekawieniem. Czym prędzej usiadła.

– Co pan robi w moim salonie?

– To, co muszę. A co pani tu robi?

– Nie pański interes. – Zamrugła oczami. Było jasno. Zbyt jasno. I za głośno. Warkot autobusów, głosy przechodniów, ryki klaksonów. Nagle tknęło ją złe przeczucie.

– Która godzina?

– Wpół do drugiej.

– Boże! – Zawsze budziła się przed ósmą. Zawsze. Teraz wszystko sobie przypomniała. Scena z Larrym Diggerem. David Reese niosący ją do domu, zły sen, długie czuwanie przed portretem Meagan. I znowu David Reese, nadal pachnący Old Spice'em i okropnie denerwujący.

Dziś zmienił frak na podkoszulek Red Soksów i dzinsy. W dziennym świetle okazało się, że ma brązowe włosy z rudawym połyskiem i ciemnobrązowe oczy z odrobiną zieleni. Blisko czterdziestki, twarz ogorzała i drapieżna.

Zrobił parę kroków; zauważyła, że kuleje. Skrzywił się, ale zaraz to zatuszował, zaciskając mocno wargi.

– Rozumiem, że przyszedł pan do pracy – powiedziała wreszcie.

– Sprzątamy wózki z napojami. Trochę to potrwa.

– Na pewno. A co pana sprowadziło do salonu?

– Narzędzia. Harry jest naszym kierownikiem, ale przyniósł tylko młotek. Nie jest za bystry.

– Narzędzia są w szafie w kuchni. Niech pan tam zajrzy.

David wsadził ręce do tylnych kieszeni dzinsów.

– W kuchni już szukaliśmy. Nie ma żadnych narzędzi. Za to niezła kolekcja żarówek.

– Aha... – Zmarszczyła brwi. – Może ojciec zabrał. Spytajcie go.

– Nie możemy. Doktor Stokes wyszedł z samego rana.

– A Maria?

– Ta pokojówka? Nie widziałem jej.

– Może matka wie, co ojciec zrobił z narzędziami.

– Pani Stokes też wyszła. Nie chciała się spóźnić na rekolekcje.

– Racja, zapomniałam. – W niedzielę odbywały się spotkania Anonimowych Alkoholików. Matka nie wróci do domu przed piątą. A to znaczyło, że znalezienie narzędzi spoczywa wyłącznie na niej.

Wstała ociężale. David nie spieszył się z wyjściem. Przeciwnie, wyglądał, jakby chodziło mu o coś jeszcze. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Jak się pani czuje? – rzucił niespodziewanie.

– Dobrze.

– Po nocy na kozetce?

– To bardzo wygodna sofa.

– I dobrze z niej widać portret Meagan?

– Chodziło mi o sofę, nie o portret.

– Mhm. Wszystko dlatego, że wczoraj pojawił się jakiś świr, któremu się ubzdurało, że pani prawdziwym ojcem jest morderca Meagan Stokes. I że pani przybrani rodzice nie są tacy dobrzy, jak się pani wydaje...

– O Boże, pan słyszał! – Łudziła się, że przyszedł pod sam koniec rozmowy. Nie zdawała sobie sprawy... Do tej pory o niczym nie wspomniał...

Dźgnęła go palcem w pierś.

– Jak pan śmie! Jak pan śmiał mnie podsłuchiwać! Co pan sobie wyobraża?

– Sprawdzam, czy dobrze się pani czuje.

– Pytam, dlaczego pan wczoraj za mną poszedł?

Pokręcił głową.

– Wyszła pani w środku przyjęcia z jakimś podejrzanym typem, który pani wykreczał rękę i jeszcze pani pyta, dlaczego się zainteresowałem? – spytał retorycznie. – Cholera, wyglądało na to, że on panią zaraz zamorduje!

– Potrafię sobie radzić.

– Kochana, powiedz to moim butom.

Oblała się rumieńcem. Psiakrew, wczoraj na niego zwymiotowała. Nie da się zaprzeczyć.

– Mam robotę – powiedział, zanim zdołała odwarknąć cokolwiek, byle tylko zachować twarz. – Jak pani znajdzie narzędzia, wystarczy zawołać Harry'ego.

– Świetnie.

– Świetnie.

Odwrocił się na pięcie, co przyjęła z ulgą. Było późno. Musiała się pozbierać. Nagle coś ją tknęło.

– Stop! – krzyknęła za nim.

David zatrzymał się niechętnie w połowie korytarza. Spojrzał na nią zniecierpliwiony.

– Skoro... skoro pan słyszał...

– Słyszałem.

– Co... co pan sądzi o Larrym Diggerze?

– Że prawdopodobnie jest pijakiem – odparł rzeczowo.

Kamień spadł jej z serca. Tak, o taką odpowiedź jej chodziło. Larry Digger to śmieć.

– Tak, ta historia nie trzymała się kupy.

– Miała mnóstwo dziur.

– Jasne. – Machnęła ręką. – Żaden zdrowy na umyśle człowiek nie zaopiekowałby się córką mordercy jego dziecka. To bzdura.

David przytaknął, ale trudno było odczytać wyraz jego oczu.

– Pewnie chodzi mu o pieniądze – dodała. – Dziękuję panu. Zaraz znajdę te narzędzia.

– Powiedział tylko jedną interesującą rzecz. Melanie pobladła.

– Co?

– Dlaczego teraz? Jeśli chodzi tylko o pieniądze, dlaczego nie zgłosił się do was wcześniej?

Nagle przeszedł ją dreszcz. Potarła ramiona.

– Może bardzo długo obmyślał tę opowieść. A może dopiero teraz potrzeba mu pieniędzy.

– Ta telefoniczna rozmowa też jest ciekawa. Dlaczego wspominał, że ktoś go skierował do pani domu? Po co ten szczegół?

Nie znalazła odpowiedzi. Czy Larry Digger obmyśliłby tak skomplikowaną historię, gdyby chodziło mu tylko o pieniądze? Oszuści bywają wyrafinowani. Ale dlaczego pojawił się teraz? Czemu nie wcześniej, kiedy była bardziej podatna na ciosy, kiedy bardziej interesowała ją przeszłość?

– Mogę pani pomóc – odezwał się David, wytrącając ją z zamyślenia.

– Słucham?

– Kiedyś byłem policjantem. Mam artretyzm i straciłem pracę, ale znajomości mi zostały. Mogę sprawdzić tego Diggera.

A więc to utykanie i ataki bólu, które usiłował ukrywać, to pewnie objawy artretyzmu. Był policjantem, nic dziwnego, że wczoraj ją śledził. Na widok Larry’ego Diggera odezwał się w nim instynkt. To dlatego wyszedł za nią.

David Reese wydał się jej odrobinę bardziej sympatyczny, ale pokręciła głową.

– W porządku, sama się tym zajmę.

– Niech się pani nie obrazi, ale co pani może wiedzieć o takim Diggerze?

– Na przykład wiem, że mogę sprawdzić, czy z domu rzeczywiście ktoś dzwonił. Poproszę o wydruk.

Rzucił jej uważne spojrzenie.

– A wywiad środowiskowy?

– Zadzwońię do gazety, w której pracuje.

– Wie pani, ile gazet jest w Teksasie? Uśmiechnęła się ze słodyczą.

– Czyli powinnam się szybko zabrać do roboty, prawda?

– Nie da się pani przekonać, co? Nigdy pani nie prosi o pomoc?

– Witamy w rodzinie Stokesów. Potrafimy o siebie zadbać.

– Tak? Więc dlaczego tylko kelner zauważył, że ciemny typ wyciąga panią z domu?

Na to także nie znalazła odpowiedzi.

Po dwóch kubkach kawy siedziała samotnie w jadalni, przyglądając się promieniom popołudniowego słońca, które wpadały przez szparę w zasłonach. Skubała bułeczkę z jagodami.

„Zobaczyłaś ich w tych luksusach, na które nie stać zwykłego lekarza, razem z dziećmi – słodką córeczką, którą kochali wszyscy, i synem tak dziwnym, że mamusi pewnie już wtedy nie pozwalały mu się bawić ze swoimi pociechami. Zaczynam podejrzewać, że nie wiesz bardzo wielu rzeczy o swojej rodzinie”.

Dlaczego nie wiedziała niczego o Meagan i jej rodzinie z czasów, gdy mieszkali w Teksasie? Zaczynała się niepokoić, choć udawała, że niczym się nie przejmuje.

Zawsze sądziła, że rozmowa o Meagan byłaby dla rodziców zbyt bolesna. Poza tym z pewnością nie mieli ochoty poruszać tego tematu w obecności przybranej córki. Mimo to, co się mówi, rodziny z adoptowanymi dziećmi działają na innych zasadach. Początek nie jest wcale naturalny i łatwy, bardzo przypomina pierwsze randki. Wszyscy wkładają najładniejsze ubrania, zachowują się najlepiej jak mogą i usiłują się nie zbłaźnić. Potem następuje faza miesiąca miodowego, w której rodzice i dziecko nie mogą popełnić żadnego błędu, bo są tak cholernie szczęśliwi, że do siebie należą. A wreszcie, jeśli wszystko idzie dobrze, ich stosunki zaczynają przypominać stare dobre małżeństwo: swoboda, dopasowanie, świadomość silnych stron i słabości każdego członka rodziny, którego i tak się kocha.

Dotąd Melanie wyobrażała sobie, że jej rodzina osiągnęła to ostateczne stadium nirwany, ale teraz zaczęła w to wątpić. Jeśli czuli się ze sobą tak swobodnie, dlaczego nigdy nawet nie wspomnieli o Meagan? Dlaczego ona sama o nią nie pytała? Nawet jeśli niegdyś to wspomnienie było bolesne, minęło przecież dwadzieścia lat! Po takim czasie...

To już przeszłość, przerwała sobie. Nie ma znaczenia.

Ale jednak... Larry Digger zasiał w niej ziarno zwątpienia.

Odłożyła bułeczkę i poszła do gabinetu ojca. Przywitał ją widok niezliczonych książek: na biurku z wiśniowego drewna, na obrotowym krześle z tapicerką z czerwonej skóry, na podłodze.

Zajęta Larrym Diggerem nie zauważyła, że bal dobroczynny przyniósł obfite plony. Powinna dziś skatalogować te książki i przygotować je dla antykwariusza z Boylston Street. Czekają ją mnóstwo pracy.

Otworzyła szufladę mahoniowej szafki z aktami i znalazła teczkę z napisem „Nynex”. Dobrze, że jej ojciec zatrzymywał wszystkie bilingi telefoniczne. Niestety, jeszcze nie przyszedł wykaz telefonów za ostatnie trzy tygodnie. Postanowiła jutro zadzwonić do firmy i zażądać, by przysłali go wcześniej.

To by załatwiło kwestię Larry’ego Diggera.

A jej przeszłość? Dlaczego rodzice się nią nie interesowali? Początkowo z pewnością się bali. Gdyby odnaleźli jej prawdziwą rodzinę, prawdopodobnie straciliby córkę. Ale minęło dwadzieścia lat, a oni nie spytali Melanie ani razu, czy coś sobie przypomina. Nigdy nie byli ciekawi, czy chce odnaleźć swoich prawdziwych rodziców. A hipnoza, regresja czy coś w tym rodzaju? Jej ojciec – lekarz – musiał o tym myśleć.

Nikt nigdy nie wspomniał o tym ani słowem. Melanie nabrała przykrego wrażenia, że jak na tak zżytą rodzinę było to bardzo dziwne zachowanie. Milcząca zasada: nie naciskaj zbyt mocno, nie mów za dużo. Nie oglądaj się.

„Zaczynam podejrzewać, że nie wiesz bardzo wielu rzeczy o swojej rodzinie...”

A gdybyś im tak powiedziała? – zadała sobie śmiałe pytanie. Co by ci odpowiedzieli? Nie jesteś lepsza, także masz tajemnice. Nigdy nie opowiedziała rodzinie, co się naprawdę wydarzyło z Williamem. Nigdy nie mówiła o pierwszej wspaniałej randce, kiedy spacerowali i rozmawiali z zapalem, jak to jest być dzieckiem opuszczonym przez rodziców. I nigdy nie wspomniała o tym wspaniałym weekendzie trzy miesiące później. Kochali się wtedy aż do czwartej rano, a kiedy się ubierała, z ciałem rozpalonym i trochę obolałym, zauważyła stanik wciśnięty pod materac jego łóżka. Koronkowy stanik innej kobiety. Wróciła do domu ze świadomością, że jej narzeczeństwo dobiegło końca, ale nie wspomniała o tym rodzicom. Kiedy się dowiedzieli, powiedziała tylko, że im się nie udało. Nic więcej. Rodzice przyjęli to ze zrozumieniem, choć widziała, że ojciec był zawiedziony. W końcu to on podsunął jej Williama.

Nie wracali już do tego tematu i to jej odpowiadało.

Miała swoje tajemnice, rodzice także. Im dłużej o tym myślała, tym bardziej to rozumiała. Uznała, że to wynika z ludzkiej natury. Małe sekreciki, niewielkie skrawki własnego terytorium, nic więcej. To, że się potrzebuje prywatności, nie znaczy jeszcze, że jest się dzieckiem mordercy. Co za wariactwo.

Larry Digger jest wariatem.

Jutro dostanie biling. Nie będzie na nim żadnych rozmów z Teksasem. Wszyscy wrócą do dawnego życia.

A te czarne otchłanie? Głos dziewczynki, wołającej, że chce do domu?

Na to nie miała odpowiedzi. Skończyła dwadzieścia dziewięć lat. Lubiła swoją pracę, środowisko, kochała rodzinę. Czy naprawdę ją obchodziło, skąd się wywodzi?

A czy kiedykolwiek przestanie ją to obchodzić?

Westchnęła. W tym stanie ducha nie zdoła porządnie pracować. Powinna się wybrać na długą przebieżkę.

Poszła na górę. Zbliżając się do swojego pokoju, stopniowo zwalniała kroku. Drzwi były uchylone; na ich lśniącym drewnie widziała odbicie małych płomyków. Potem uderzył ją zapach. Zapach gardenii, ciężki i lepki.

Nie miała u siebie niczego, co by pachniało gardeniami.

Coś się znowu zaczynało dziać. Czowała, że coś się porusza w jej pamięci. Zmarszczki na wodzie.

Pchnęła drzwi i spojrzała na łóżko. Wstając w środku nocy zostawiła je rozgrzebane. Teraz zobaczyła gładkie żółte prześcieradła, idealnie wyrównaną, szydełkową błękitno-fioletową narzutę.

Melanie nigdy nie słała swojego łóżka.

– Mario...? – szepnęła.

Cisza.

Jej spojrzenie powędrowało ku nogom łóżka. I nagle przed oczami wybuchły jej nowe obrazy. Dziewczynka ściskająca czerwonego drewnianego konika. Dziewczynka na podłodze drewnianej chaty, tuląca ukochaną zabawkę do piersi.

– Chcę do domu – pisnęła.

– Daj mi konika, kochanie. Oddaj to...

– Chcę do domu.

– Meagan, przestań.

– Prooooooszę...

– Daj konika!

– Ja chcę do domu, do domu, do domu! Nie. Nie, nie, nie! Nieeeee!!! Melanie wybiegła na korytarz. Płakała. Upadła na kolana, przycisnęła czoło do podłogi. Nie chciała tego widzieć, nie chciała wiedzieć. Znowu poczuła zapach gardenii i obrazy wróciły. Ledwie dosłyszała tupot stóp na schodach.

– Hej, ktoś tu krzyczał...? Melanie!

Nie mogła podnieść głowy. Nie mogła powiedzieć Davidowi, żeby sobie poszedł. To nie jego sprawa. Ta sprawa dotyczy tylko jej.

Leżała na podłodze, przyciskała głowę do chłodnych desek, a przed jej oczami migały zniekształcone obrazy.

Meagan, konik, chata. Meagan, konik, chata...

Kto stoi w drzwiach? Kto stoi w drzwiach?

Co ja tu robię?

Nie chcę wiedzieć. Nie chcę wiedzieć...

– Boże – odezwał się David.

Podniosła wzrok. Wpatrywał się w głąb jej pokoju. Nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy. Może to szok. Może litość. Musiała się odwrócić. Potem szepnęła:

– Moi rodzice nie mogą się dowiedzieć. Mój brat... mój brat będzie wiedział, co zrobić.

Znowu zamknęła oczy.

Kto stoi w drzwiach? Kto stoi w drzwiach?

Nie chcę wiedzieć...

Brian Stokes wiedział zawsze, że będzie miał ciężkie życie. Od najwcześniejszych lat miewał napady cynizmu i depresji. Dzieciństwo upłynęło mu na nieustannym nocnym czuwaniu. Ojciec nie wracał do domu z pracy, matka siedziała sztywno na sofie, majestatyczna i samotna. Czasami przytulał się do niej, usiłował ją czarować uśmiechami i pieszczotami, aż wreszcie rozchmurzała się i brała go w słodko pachnące ramiona. A czasem był niedobry, rozbijał wazony, niszczył meble, biegał po domu z krzykiem, aż matka zaczynała płakać i pytała go przez łzy, dlaczego jej tak nienawidzi.

Kiedy miał sześć lat, nie potrafił na to odpowiedzieć. Nie wiedział, dlaczego starał się ją rozśmieszyć lub doprowadzić do płaczu. Miał tylko poczucie winy i niepewności. Czuł, że w tym domu coś jest nie w porządku. Myślał, że wszyscy go w końcu znenawidzą. Ojciec, matka, mała siostrzyczka...

Prawdopodobnie jedyną osobą, której nie krzywdził, była Melanie, ale ostatnio zaczął dokuczać także jej. Nie odpowiadał na jej telefony i inne starania. Przeprowadził się do kawalerki w południowej dzielnicy, gdzie mógł się na siebie wściekać do woli.

Trzy miesiące temu leżał w łóżku i zastanawiał się, czy nie podciąć sobie żył. A potem pomyślał o Meagan. Ślicznej, kochanej Meagan. Jak wyciągała do niego rączki i prosiła, żeby wziął ją na barana. Jak chodził nocami do jej pokoju tylko po to, żeby na nią popatrzeć, by strzec jej przed niebezpieczeństwem, którego nie potrafił nazwać. Aż było za późno.

Meagan, Meagan... Przepraszam.

Wyjął paczkę żyletek... i pomyślał o Melanie.

Jak na niego spojrziała przy pierwszym spotkaniu, jak chwyciła go w objęcia, jak pokochała od pierwszego wejrzenia, po prostu pokochała.

Melanie przywróciła życie rodzinie Stokesów. Nie mógł jej sprawić zawodu. Jeśli nie chciał żyć dla samego siebie, musiał żyć dla niej.

Zaczął chodzić na spotkania grupy wsparcia. Dowiedział się, że tłumi w sobie zbyt wiele gniewu. Dowiedział się, że jest w „konflikcie” ze swoją rodziną i ma problemy z „prawdziwą bliskością”. Dowiedział się, że musi określić, kim chce być. Nie, czego chce jego ojciec czy rodzina, ale czego pragnie on sam.

Brian Stokes musiał nauczyć się kochać siebie. Stopniowo zdał sobie sprawę, że jego homoseksualizm jest tu mniejszą przeszkodą niż poczucie winy za śmierć siostry. Minęło dwadzieścia pięć lat, a tamte dni znowu zaczęły go nękać. Czasami budził się zlany zimnym potem. A kiedy indziej z krzykiem.

Wreszcie pewnego razu przyśniło mu się, że jego rodzice nie żyją i poczuł się szczęśliwy. Od tej pory nie pozwalał sobie na powroty do domu.

Aż pewnego ranka zadzwonił Jamie O'Donnell i oznajmił głosem bez wyrazu, że Melanie chodzi bardzo błada i jakaś zmęczona. I ostatnio dostała migreny, a migrenę miewa tylko w okresach najgorszego napięcia. Czy Brian wie, co się dzieje z tą dziewczyną?

Brian nie wiedział. Poczul zaniepokojenie.

O drugiej po południu znowu odebrał telefon. Obcy mężczyzna, który się nie przedstawił, powiedział dość opryskliwie, że Melanie go potrzebuje. Brian nie tracił czasu. Zignorował wydany przez ojca zakaz przekraczania progu domu i dwa razy przejechał na czerwonych

światłach, by jak najszybciej dotrzeć na miejsce.

Nie spodziewał się tego, co zobaczył w pokoju Melanie. Rzucił okiem na starego drewnianego konika, na ołtarz z zapalonych wotywnych świeczek i powiedział:

– Mama nie może tego zobaczyć.

– Nie żartuj. Wejdz i zamknij drzwi.

Brian wszedł do sypialni. Jego siostra stała pod przeciwległą ścianą, jeszcze w piżamie, choć był środek dnia. Mocno zaciskała pięści. Na jej policzkach dostrzegł ślady łez. Dopiero ten widok naprawdę wytrącił go z równowagi. Melanie nigdy się nie bała. Nigdy.

– Melanie... – zaczął i odruchowo zrobił krok w jej stronę. Zawahał się. Spojrzała na niego niepewnie, świadoma przepaści, jaka między nimi powstała. Ma rację, pomyślał.

Minęła kolejna chwila niezręcznego milczenia. Wreszcie Melanie je przerwała.

– Poznaj Davida Reese'a. – Wskazała obcego faceta, który obchodził pokój, jakby czegoś szukał. – To były policjant. Ma znajomości...

– Były policjant?

– Artretyzm – rzucił David opryskliwie. Brian skinął głową. Zauważył, że obcy utyka. – Już dzwoniłem do kolegi. Jest wywiadowcą, umie zachować dyskrecję. Pańska siostra bardzo się upierała przy dyskrecji.

Melanie patrzyła pytająco na Briana. Skinął głową. Nie miał zdania na temat Davida Reese'a, ale nie wiedział, co mógłby zrobić innego. Jeszcze nigdy nie widział czegoś takiego, jak ta inscenizacja w pokoju Melanie...no i nie znalazł żadnego policjanta.

– Co to znaczy? – rzucił wzburzony. – Kto... Kto mógł...? Jak? Dlaczego?

– Jeszcze nie wiem – odezwał się były policjant. – Zaczniemy od „co”: czterdzieści cztery wotywny świeczki o zapachu gardenii. Jeden czerwony drewniany konik, strzęp starego niebieskiego materiału, zakrwawionego. Proszę się przyjrzeć ustawieniu świeczek. To wiadomość.

Brian odwrócił się i spojrzał na świeczki pod innym kątem. Cholera. Migoczące płomyki tworzyły jedno słowo: „Meagan”.

Nagle przed oczami stanęło mu zapomniane zdarzenie. Mała Meagan na podłodze. On chwyta jej lalkę i rozdziera na pół. Meagan płacze, nie rozumie. On rozrzuca watę z lalki po podłodze. „Musisz być twarda, musisz być twarda” – powtarza.

Przepaść znowu się rozwarła.

– Wstałam w nocy – odezwała się cicho Melanie. – Zeszłam na dół. A kiedy wróciłam... to już tu było.

– Wstałaś w środku nocy? – rzucił ostro. – Melanie, już tak dawno...

– Pani lunatkuje? – spytał David Reese.

Ale ona patrzyła na Briana. W jej oczach dostrzegł to, czego się bał: ból. Zranił ją. Kiedy wstawała w środku nocy, on powinien być przy niej. To on się budził, szedł za nią i towarzyszył jej, gdy wpatrywała się w portret Meagan. Był jej starszym bratem. To zadanie należało do niego.

– Nie lunatkuje – powiedziała po chwili. – Czasami tylko... nie mogę zasnąć.

– Melanie...

– Później, Brian. Później.

David Reese odchrząknąłby zwrócić na siebie uwagę.

– Pani Stokes przyjdzie lada chwila, więc lepiej bierzmy się do roboty. – Nie czekał na

odpowieź, mówił dalej: – Zaczniemy od zabawki. To ta sama, co na portrecie z parteru, tak? Konik Meagan.

– Ma odłamane ucho – wymamrotał Brian. – Ja je odłamałem. Rzuciłem nim w kominek. Byłem... zły. Miała tego konika w dniu porwania. Nigdy go nie znaleziono. W końcu policjanci powiedzieli, że Russell Lee zachował go jako... jak to nazwali?... trofeum.

– I już go więcej nie widzieliście? Nawet po aresztowaniu Holmesa?

– Nie. Nigdy.

– A ten materiał?

– Nie wiem... – Brian przyjrzał mu się, nie dotykając. – Może to z jej sukienki. Jest niebieski. Ale to było tak dawno, że... i jest taki... brudny.

– Czy znaleziono ją w sukience? Zerknął na siostrę, zawahał się.

– Owiniętą w koc.

David skinął głową. Poza kocem Meagan nie miała nic na sobie.

– Jak ten ktoś mógł się dostać do domu? – wtrąciła Melanie. – Mamy system alarmowy.

– Włączony?

– Oczywiście! Doskonale zdajemy sobie sprawę z zagrożenia. Ojciec osobiście włącza alarm co wieczór.

– Hmm... – David zastanawiał się nad tym przez chwilę. – Kto był w domu w nocy?

– Ja, oczywiście. Mama i ojciec. Maria, pokojówka, która z nami mieszka. Zarezerwowaliśmy też miejsce dla Ann Margaret, mojej szefowej i przyjaciółki z Czerwonego Krzyża, bo do Dedham jest daleko. Wydaje mi się, że zajmowała pokój gościnny, ale dla pewności trzeba spytać Marię.

– Czy pani ojciec przeszukał dom, zanim włączył alarm?

– Po co?

– Mieliście ze trzystu gości. Jeden z nich mógł swobodnie zakraść się na górę i...

– Zaczekać – dokończyła.

– Cholera – mruknął Brian.

– Larry Digger musi mieć z tym coś wspólnego – oznajmiła Melanie. – Może po naszej rozmowie znowu wśliznął się do domu? Może znalazł te przedmioty, kiedy śledził Russella Lee Holmesa?

David pokręcił głową.

– To za subtelne jak na niego. Czy facet w takich ciuchach... i tak śmierdzący... mógłby się wśliznąć niezauważony?

– Za pierwszym razem mu się udało...

– Zaraz! – przerwał im Brian. – Larry Digger? Dziennikarz z Teksasu? Larry Digger był wczoraj w naszym domu?

Jego siostra uśmiechnęła się ze zmęczeniem, a potem zaczęła opowiadać.

Brian słuchał jej z kamienną miną. Wydawało mu się, że powinien coś czuć, ale nie czuł. Mógł się tylko gapić na czterdzieści cztery świece, tworzące imię jego zmarłej siostry. A więc Teksas jednak ich dopadł. Nie potrafili zapomnieć, w tym cały problem. Żadne z nich nie nauczyło się zapominać. Russell Lee Holmes ich dopadł. Czyżby się łudzili, że zdoła go powstrzymać coś tak błahego jak śmierć?

– Brian – odezwała się Melanie. – Brian, co ci jest? Dotknął policzka. Cholera, łzy.

– A ty nawet do mnie nie zadzwoniłaś – szepnął.

– Zadzwoniłam dzisiaj.

– Wszystko się pozmieniało, prawda? Spuściła głowę.

– To ty odszedłeś. To ty postanowiłeś nas znienawidzić.

Miała rację. Chciał wziąć ją za rękę, ucisnąć, przypomnieć o dawnych czasach. Ale nie mógł.

– Zapomnij o Larrym Diggerze – powiedział ochryplym głosem. – Zajmę się wszystkim. Obiecuję.

Nie! Nie chcę. Potrafię się sama zająć tym problemem.

– To żaden problem. Larry Digger był i jest tanim pismakiem. A ty nie jesteś córką Russella Lee Holmesa. Nie pozwolę, żeby ktoś nachodził moją siostrzyczkę. Mel, to nie ma nic wspólnego z tobą.

Spojrzała na niego hardo.

– Nie ma? Dlaczego? Bo nie należę do rodziny? Bo po dwudziestu latach nadal traktujesz mnie jak gościa?

– Do cholery, nie o to mi chodzi. Przecież wiesz.

– Nie, już nie wiem. Lepiej mi wyjaśnij, bo uważam, że wszystkie ataki, oskarżenia i groźby wobec naszej rodziny... mojej rodziny... mają ze mną bardzo wiele wspólnego!

– Nieprawda! – krzyknął. – Nie obraż się, ale nie należałaś do naszej rodziny, kiedy Meagan zginęła. Wiesz, jak wygląda list gończy? Wiesz, że poczta rozsyła setki tysięcy zdjęć zaginionego dziecka, a samoloty rozwożą je po całym kraju? Wiesz, jak to jest, kiedy się zapłaci okup i można już tylko czekać? Albo kiedy policjanci przestają mówić o odzyskaniu zakładnika i przyprowadzają psy? Albo jak to jest, kiedy się idzie do kostnicy, żeby zidentyfikować szczątki dziecka? Nie wiesz. Nie wiesz, bo Meagan nie ma z tobą nic wspólnego... i niech tak zostanie!

– Za późno – mruknęła gorzko.

Porzuciła go dla tego Davida Reese'a. Do cholery, to on był jej starszym bratem. Powinien się nią opiekować. I nie życzył sobie, żeby Melanie mieszała się w sprawy Meagan.

– Jest jeszcze gorzej – dodała Mel. – Widuję Meagan Stokes i nie wydaje mi się, żeby to był tylko sen. Wydaje mi się, że wreszcie sobie przypominam. A to, co pamiętam, to ostatnie dni życia Meagan Stokes. Kiedy była w jakiejś drewnianej chacie. Kiedy ścisnęła ulubionego drewnianego konika. Kiedy jeszcze wierzyła, że wróci do domu. A mogę o tym wiedzieć tylko w jednym przypadku: jeśli i ja z nią byłam. Jeśli byłam przy niej. Jeśli byłam córką Russella Lee Holmesa. Przykro mi, ale sądzę, że Larry Digger może mieć rację.

Brian nagle zaczął się śmiać.

– No tak, no tak – wykrztusił. – Zło nigdy nie umiera. Zło zostaje w rodzinie. Witaj wśród prawdziwych Stokesów, Mel. Witaj w domu.

Zapisał pager. Brian zadzwonił pod numer, który się wyświetlił, po czym oznajmił, że musi wracać do cholernego szpitala, żeby zająć się cholernym pacjentem. David wywnioskował z tego, że brat Melanie nadal był nieco wytrącony z równowagi.

Odprowadzili go do drzwi frontowych. Brian mruzczał, że wszystko się popieprzyło, Melanie szeptała, że wszystko będzie dobrze, a David zastanawiał się, kiedy Chenney wreszcie się objawi. No i pojawił się w chwilę po tym, jak wreszcie wypchnęli Briana z domu, przysięgając na wszystkie świętości, że będą go informować i nie wspomną matce ani słowem o tym, co się wydarzyło. Chenney nadbiegł truchtem z czterema zestawami narzędzi, gotowy do akcji.

– Musi się pani przebrać – rzucił David opryskliwie.

Skinęła głową ze zmęczeniem. Wizyta brata najwyraźniej ją wyczerpała. Z jej oczu zniknęła ta iskra, która tak się Davidowi spodobała parę godzin temu. Ciężki dzień dla Melanie Stokes.

– Wezmę coś stąd i ubiorę się w pokoju gościnnym – szepnęła.

Tym razem David przemówił o wiele łagodniej, prawie ciepło:

– Jasne. I tak przez jakiś czas nie będzie nas na górze. Niech się pani nie spieszy.

Wzruszył ramionami. Czuł się niezręcznie, choć nie wiedział dlaczego. Chenney przyglądał mu się z niedowierzaniem. Melanie uśmiechnęła się z wdzięcznością, co zdenerwowało go jeszcze bardziej. W końcu nie jest pełnym prostakiem. Zna się na dobrych manierach. Nauczono go otwierać drzwi przed paniami, ustępować im miejsca w autobusie i jeść z zamkniętymi ustami. Potrafi się zachować.

Spochmurniał. O czym on myśli, do cholery?

Melanie zniknęła na górze. Odwrócił się do Chenneya.

– Co mam robić? – spytał mały pospiesznie. – Co mam mówić? Kim jestem? Powiniennem mieć odznakę?

Jezu, skąd on się urwał?

– Chenney, jesteś gliniarzem. Podaj prawdziwe nazwisko i, jak rany, rób to, co zwykle na miejscu zbrodni. Jasne?

Chenney pokiwał głową z przejęciem.

– Mam rękawiczki, torby, zestaw do zdejmowania odcisków palców, odkurzacz. Wszystko jak należy.

– Jesteś nieoceniony.

– I to wszystko?

– Wiem, wiem, na filmach jest ciekawiej. Przywykniesz.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z oszustwami finansowymi – wymamrotał mały.

– Za to nam płacą te wielkie pieniądze.

– Lairmore wie? David zeszywniał.

– Jeszcze nie.

Chenney rzucił mu spojrzenie z ukosa, zdradzając tym samym pierwszą iskrę inteligencji.

– To mu się nie spodoba. Zaczynasz się angażować, każesz mi udawać policjanta, a wszystko to nie ma związku ze sprawą. Jeśli się nie uda...

– Na pewno powiem, że to nie twoja wina.

– Nie o to mi chodziło – zaprotestował Chenney z prawdziwą urazą.

– Mniejsza o to. Do roboty. Musimy skończyć, zanim wrócą jej rodzice.

– Dlaczego?

– Później ci powiem.

Poszedł na górę. Mały miał rację co do Lairmore'a, co wcale mu nie poprawiło humoru. Musi skłonić Melanie do mówienia o rodzicach, zwłaszcza o ojcu. Trzeba zacząć analizę sprawy. Najwyższy czas.

Chenney taszczył ciężki odkurzacz i zestaw daktyloskopijny.

– Skoro nam płacą takie pieniądze, to chyba możemy pokazać, że mamy charakter, nie?

Na górze było już lepiej. David musiał przyznać, że mały nie jest taki zupełnie do niczego. Ledwie rzucił okiem na zgaszone już świece i zabawkę i zaraz zabrał się do roboty. Kiedy Melanie weszła do pokoju, ubrana w rozciągnięty wełniany sweter i wystrzępione dżinsy, on już rozpoczął dokumentację.

David przedstawił ich sobie. Nie mógł nie zauważyć, że bez makijażu i ze związanymi włosami Melanie wygląda nadspodziewanie młodo i świeżo. Razem wprowadzili Chenneya w sprawę. Zrobił notatki, a potem przeszli do pokoju Briana.

Był utrzymany w kolorze głębokiej zieleni i burgunda. Brian nie mieszkał w domu od dziesięciu lat, ale na szerokim łóżku widniało wyraźne wgłębienie. Ktoś tu niedawno siedział.

– A więc obiekt zakradł się tu po przyjęciu i spokojnie czekał, aż wszyscy pójdą spać – wydedukował Chenney, po czym zepsuł całe wrażenie, spoglądając pytająco na Davida.

– To ty jesteś policjantem – przypomniał mu David z niejakim rozdrażnieniem. Mały wyprostował się i spojrzał na Melanie Stokes.

– Przynajmniej nie zamierzał zrobić pani krzywdy.

– Jak to? – spytała, wyraźnie wstrząśnięta.

– Skoro przesiedział tu całą noc, mógł swobodnie wejść do pani pokoju. A jednak zczekał, aż pani wyjdzie i dopiero wtedy zabrał się do roboty. Proszę tylko spojrzeć na te świece. Pała się przez mniej więcej osiem godzin. Do drugiej wypaliły się prawie zupełnie. A więc możemy przyjąć, że wszedł do pani pokoju po czwartej rano, kiedy pani już tu nie było.

– Dziękujemy Bogu za małe łaski – mruknęła.

Chenney wzruszył ramionami.

– Włamywacz najwyraźniej nie chciał się z panią spotkać. Na tym etapie chodzi mu tylko o te przedstawienia. Czterdzieści cztery świece, konik, materiał. Według mnie ustawienie tego wszystkiego zajęło mu co najmniej godzinę. Więc mógł opuścić dom koło szóstej...

– Nie przerwała mu. – Alarm by się włączył. Otworzenie drzwi, z zewnątrz lub wewnątrz, uruchamia system.

Wszyscy spojrzeli na łóżko.

– A więc ustawił to, zapalił świece i wrócił do kryjówki – powiedział Chenney.

– Zczekał, aż ktoś wstanie i wyłączy system alarmowy – dodał David. – I wyszedł sobie frontowymi drzwiami.

Melanie spojrzała na niego z przerażeniem.

– Jest jeszcze coś – ciągnął David w zamyśleniu. – Obiekt był w domu. Mógł ustawić ten ołtarzyk w dowolnym pokoju, ale wybrał Melanie, nie jej rodziców. To znaczy, że chodzi mu o panią.

Chenney wydawał się nieco zaskoczony tą bezpośredniością, ale Melanie tylko kiwnęła głową. Nie miał jej tego za złe. Z tego, co widział, bardziej martwiła się o dobro rodziny niż o siebie.

– Robi się późno – odezwała się po chwili milczenia. – Dziwne, że matka jeszcze nie wróciła, ale...

Chenney pojął aluzję.

– Potrzebują mniej więcej godziny. Wymyślcie prawdopodobny powód mojej obecności w domu, a ja zajmę się dowodami.

– Dziękuję panu.

– Nie ma sprawy. – Wyszedł.

Melanie i David zostali sami. Melanie podeszła do rzędu okien wychodzących na park, w którym kwitły różowe wiśnie, a kochankowie spacerowali, trzymając się za ręce. Zachodzące słońce obrysowało jej profil. Wydawała się bardzo krucha i smutna. I piękna, pomyślał David. Szybko się otrząsnął.

– Mamy jeszcze parę pytań. Gotowa?

– Przeze mnie mój brat płakał.

– Jest już duży. Jakoś to przeżyje.

– W moim pokoju ktoś wznosił ołtarz dla zamordowanego dziecka. – Podniosła głos. – Widzę ją, wiesz? Ja ją widzę.

Przycisnęła czoło do szyby, jakby chciała je ochłodzić. Odetchnęła głęboko raz i drugi. Ręce jej drżały. David przyglądał się jej bezradnie. Po chwili oderwała się od okna i wyprostowała ramiona.

– No dobrze – rzuciła energicznie. Znał już ten ton. – Co się stało, to się stało. Detektyw Chenney zajmie się wszystkim i powie mi, czego się dowiedział, prawda?

– Wyśle dowody do laboratorium i zobaczymy, co z tego wyniknie.

– Na przykład odciski palców? Uniósł brew.

– Nie będzie żadnych odcisków.

– Tego nie wiadomo...

– Ten typ od dawna to planował. Nie popełni takiego głupiego błędu. Na chwilę przygasła. Potem stanowczo podniosła głowę.

– Ale na pewno coś się okaże.

– Może. Słuchaj, jeśli chcesz się dowiedzieć prawdy, lepiej zacznijmy rozmawiać. Laboratorium nie załatwi wszystkiego. Najwięcej informacji uzyskuje się z rozmów ze świadkami. Chcielibyśmy ci zadać parę pytań.

– Chyba raczej detektyw Chenney.

– Jasne, możesz na niego poczekać, ale on spędzi w twoim pokoju co najmniej godzinę, czyli do szóstej. A twoja mama może nadejść w każdej chwili... wtedy chyba nie będziesz chciała z nim rozmawiać.

– Chyba...

Wykorzystał chwilową przewagę. Nie zamierzał jej dawać czasu do namysłu.

– Zacniemy od standardowych pytań. Zaraz będzie po wszystkim. Melanie nie wydawała się przekonana, ale uległa w obliczu jego determinacji.

– Wiemy już mniej więcej, jak obiekt dostał się do domu. Teraz musimy się dowiedzieć, dlaczego. I kto to taki.

Pokręciła głową.

– Może Larry Digger. Nie mam pojęcia, kto jeszcze po tylu latach ma związek z Russellem Lee Holmesem. Moi rodzice nie wspominają o Teksasie.

– Dlaczego?

Rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie.

– Wydaje mi się, że to piekielnie bolesne wspomnienie.

– Po dwudziestu latach?

– Może pan by do siebie doszedł po dwudziestu latach. Moi rodzice nie. Mruknął coś pod nosem.

– Dobrze. Wobec tego zacznijmy od ołtarza. Możemy z niego wywnioskować parę rzeczy. Przede wszystkim to miał być akt intymny. Ołtarz stoi nie dość, że w twoim domu, to jeszcze w sypialni. Nie tylko w sypialni, ale na łóżku. Dobrze. Teraz przedmioty: konik i strzęp materiału najwyraźniej należały do Meagan Stokes. To wyraźny cios wymierzony w ciebie, drugą córkę. No i jeszcze te zapachowe świece. Wiesz, co to są zmysły węchowe?

– To coś więcej niż węch?

– O wiele więcej. Zmysł węchu jest bezpośrednio połączony z układem limbicznym, jedną z najstarszych części mózgu. W dodatku bardzo ważną. To dzięki niej możesz kochać i nienawidzić. A także – spojrzał jej w oczy – dzięki niej możesz pamiętać. Poddanie kogoś działaniu zapachu, kojarzącego się z konkretnym wydarzeniem czy miejscem, to jeden z najbardziej skutecznych sposobów wywołania wspomnień.

Melanie usiadła na łóżku brata.

– Te gardenie... wspomnienia... To było zaplanowane, tak? Cholera, on mną manipuluje! Nie pozwolę na to! W moim własnym domu!

Przyjrzał się jej z ciekawością.

– Powiedziałaś: wspomnienia? Miałaś je już wcześniej?

– Tak, tak. Zdarzały mi się. Nic wielkiego. Czarna otchłań, głos dziewczynki. Nic konkretnego.

– Mhm... Kiedy to się zaczęło?

– Nie wiem. Jakies pół roku temu.

– Pół roku. Oczywiście.

– Co oczywiście? – Zaczęła się denerwować. – O co ci chodzi?

– Pół roku temu twój brat oznajmił, że jest gejem. Pół roku temu najwspanialsza rodzina Bostonu zaczęła się rozpadać.

– Skąd wiesz?

– Kelnerzy plotkują – mruknął. – Tylko pomyśl: Stokesowie przenieśli się do Bostonu, zaadoptowali córkę i przez dwadzieścia lat żyło im się jak w bajce. Zgadza się? A potem Brian nagle wyskakuje ze swoją rewelacją i wszystko sypie się w gruzy. Ojciec się do niego nie odzywa, mama nie może sobie poradzić i znowu zaczyna pić, a ty nagle zaczynasz sobie przypominać.

– To nie tak! Jeden syn, który okazał się gejem, nie może spowodować tego wszystkiego.

– Może w zwykłej rodzinie. Ale w przypadku ludzi z taką przeszłością? Daj spokój. Nie jesteś głupia, potrafisz to sobie poukładać. Twoi rodzice stracili już jedno dziecko. A ty straciłaś całą rodzinę. Ojciec praktycznie wydziedziczył twojego brata. Nie sądzisz, że to uruchomiło te same mechanizmy? Czy ty, twoja matka, a może nawet stary dobry tatko nie poczuliście, że wszystko znowu się rozpada? Stare lęki, stare obawy...

Melanie poszarzała na twarzy.

– O Boże – szepnęła. – Może od razu wyrwiesz mi serce?

– Nie wyrywam ci serca. Ale ktoś usiłuje ci przywrócić pamięć.

– Ale dlaczego? Kto?

– Ktoś, kto wie, co się stało z Meagan. Ktoś, kto miał dostęp do zabawki. Ktoś, kto wie o tobie dość, by przewidzieć, że zapach gardenii wyzwoli wspomnienia o Meagan.

Melanie skinęła powoli głową.

– Larry Digger.

– Nie. Larry Digger nie ma o tym wszystkim bladego pojęcia. Gdyby coś wiedział, już by napisał artykuł. Nie bawiłby się w stawianie świeczek.

– Russell Lee Holmes?

– Dawno gryzie ziemię. No, przecież wiesz, o kim mówię. Natychmiast się zjeżyła.

– Nie wiem! Moja rodzina nie ma z tym nic wspólnego!

– Larry Digger zapewnił, że coś ukrywają...

– Larry Digger to pijak!

– Larry Digger znał ich w Teksasie, zanim ty ich poznałaś. Dlaczego twój ojciec znalazł się w szpitalu w chwili, gdy cię znaleziono? Dlaczego pamiętasz Meagan Stokes? Musisz mieć coś wspólnego z Russellem Lee Holmesem, a Larry Digger twierdzi, że twoi rodzice o tym wiedzą. Nie adoptowali pierwszej z brzegu dziewczynki, lecz córkę Russella Lee Holmesa.

– To nie ma sensu! – Poderwała się z łóżka. Stali twarzą w twarz i żadne nie cofnęło się ani o krok. – Rodzice kochali Meagan! Nie mogliby zaadoptować córki jej mordercy!

– Skąd wiesz? Skąd wiesz?

Przez chwilę wyglądała tak, jakby chciała go uderzyć. Chyba sama nie wiedziała, dlaczego tego nie zrobiła. Powietrze między nimi zgęstniało. Potem jej spojrzenie padło na usta Davida i w atmosferze pojawiło się coś nowego. Melanie zacisnęła wargi i cofnęła się gwałtownie.

– Dobrze – powiedziała zimno. – Przyjmijmy, że tak jest. Moi ukochani rodzice rzeczywiście adoptowali córkę Russella Lee Holmesa. Może w jakiś chory i pokretny sposób doszli do wniosku, że w ten sposób wyrównają rachunki. Byłam nafaszerowana narkotykami, więc nie pamiętałam, skąd pochodzę. Mój ojciec zajrzał do szpitala i hop! Wszystko poszło zgodnie z planem. Ja dostałam rodzinę, oni córkę. Wszyscy byli szczęśliwi. Zgadza się?

– Tak – mruknął podejrzliwie. Ani przez chwilę nie sądził, że w to uwierzyła.

– A po dwudziestu latach, co się dzieje? Moi rodzice nagle wyjawiają prawdę? A może jeszcze lepiej, ustawiają mi w pokoju ołtarz w nadziei, że sobie wszystko przypomnę, uświadomię sobie, kim jestem i co im zawdzięczam? Nie żartuj. Najpierw w tajemnicy adoptują córkę mordercy, a potem po kryjomu wyjawiają tę pierwszą tajemnicę. Bez sensu.

Zmarszczył brwi.

– Tak, to nie ma sensu.

– Co ty powiesz.

– Chyba, że...

– Nie!

– Chyba, że tylko jedna osoba usiłuje wyjawić prawdę. Zastanów się. Pół roku temu cała rodzina stanęła na głowie. Ojciec oddalił się od twojego brata, matka od ojca, nawet ty od Briana. Wyglądało na to, że wszystko się zmienia. Może w tym rzecz. Może pół roku temu ktoś postanowił wyjawić prawdę i zadzwonił do Larry'ego Diggera. Co ty na to?

Zamilkła. Na to nie miała gotowej odpowiedzi. Przez ostatnie pół roku w jej rodzinie zmieniło się wszystko. Dobrze o tym wiedziała.

– Powinniśmy rozpatrzyć kandydatury wszystkich członków twojej rodziny.

– Nie.

– Zrobisz to ze mną albo z Cheneyem. Matka może wrócić lada chwila.

– Wiesz co? Potrafisz być prawdziwym sukinsynem.

– Tak, ale to ten sukinsyn zauważył, że jakiś lump wyciąga cię z domu. I to ten sukinsyn polecał ci na pomoc, kiedy zemdląłeś w korytarzu. Więc może nie jest taki zły.

W jego głosie brzmiała uraza, na którą nie powinien sobie pozwolić. Melanie odwróciła spojrzenie, wyraźnie znękana.

– Nie – powiedziała w końcu. – Nie jesteś taki zły.

Przestąpił z nogi na nogę, trochę udobruchany, ale nieprzejednany. Nie przyszedł tu, żeby wysłuchiwać komplementów.

– Jesteśmy bardzo skryci – dodała po chwili. – Moi rodzice dość już wycierpieli. Nie chcę, żebyś ich traktował jak przestępców.

– Wiem. Obiecuję, że o tym nie zapomnę. Zacznijmy od ojca i brata. Wszyscy wiedzą, że doktor Stokes wykluczył Briana z testamentu. Może go tym rozwścieczył?

– Brian nie jest taki. Nie będę udawać, że między nim a ojcem wszystko układa się idealnie, ale gdyby chciał go zranić, nie wykorzystywałby Meagan.

To zbyt okrutne dla niego samego. Widziałeś go, kiedy wszedł do mojego pokoju. Był bardziej nawet wstrząśnięty niż ja. Zrozum, zobaczył zabawkę swojej siostry. Tej samej siostry, o której śmierć się obwinia.

– Bardzo wrażliwy chłopak.

– Meagan została porwana i zamordowana. Miał wtedy dziewięć lat, czyli był na tyle duży, że rozumiał, co się dzieje, ale nie potrafił nic na to poradzić. Śmierć Meagan była dla tej rodziny ciosem, rozumiesz? Gdyby się z tego otrząsnęli, to by dopiero było dziwne!

Nie skomentował tego. W głębi ducha uważał, że w odniesieniu do Stokesów „dziwne” to łagodne określenie.

– A twoja matka? Nie pochwała decyzji Harpera. Zaczęła pić...

– Tak, ale wszystko zaczęło się od porwania Meagan. Śmierć córki ją złamała. Do dziś się nie podniosła po tym ciosie. Czasem w nocy staje przed portretem i dotyka go tak, jakby czuła ciepło ciała Meagan. Wtedy wystarczy spojrzeć jej w oczy, żeby zobaczyć pytanie: co takiego zrobiłam źle? Czy mogłam być lepszą matką? Wiem, że czasem patrzy na mnie i Briana i umiera ze strachu. Nie czepiaj się mojej matki. Ona zapłaciła straszną cenę.

– Cała rodzina się nad nią trzęsie. A jest dorosłą kobietą.

– Kochamy ją! Martwimy się o nią!

– A ojca nie kochacie?

– To co innego. Ojciec potrafi o siebie zadbać. A mama...

– Ma kłopoty. Depresja, alkoholizm. Ataki lęku. Patricia Stokes bywa wspaniałą kobietą, może nawet kochającą matką, ale jeśli chodzi o zdrowie psychiczne...

– Moja matka jest wspaniała i kocha nas. Ale... brakuje jej Meagan. Uniósł brew i spojrzał jej w oczy. Nie odwróciła wzroku.

– A twój ojciec? Jak się zachowuje?

– Ach, tato to tato. – Po raz pierwszy wyraźnie się odprężyła. – To prawdziwy mężczyzna. Śmieje się, kiedy chce mu się płakać, i nigdy się nie przyznaje, że coś go boli. Bardzo poważnie traktuje rolę jedynego żywiciela rodziny i dba o nasze finanse. Wiesz, rola pana domu. Pewnie rozumiesz go lepiej ode mnie.

– A wydziedziczenie własnego syna?

Skrzywiła się.

– Tato nie potrafi przyznać się do błędu. – Milczała przez chwilę. Potem dodała spokojnie: – Jest człowiekiem, który leczy. Leczy ludzi, leczy problemy. Niestety, trudno uleczyć ból, żal i poczucie winy. Wiem, że nie rozumie tego, co się dzieje z mamą, a po oświadczeniu Briana zupełnie stracił głowę. W jego świecie synowie po prostu nie bywają gejami. Musi mieć czas, żeby się z tym oswoić. To naprawdę dobry ojciec.

– Bardzo się szczyli swoimi zarobkami.

– Owszem, zarabia dobrze.

– Czy nie za dobrze?

– Nie rozumiem. Ostentacyjnie wzruszył ramionami.

– Ile kosztuje taki dom na Beacon Street? Milion? Dwa miliony? A meble, samochody, letnie domki? Dzieła sztuki, antyki, jedwabne zasłony... Bardzo dostatnie życie, nawet jak na lekarza.

Znowu się zjeżyła.

– Nie wydaje mi się, żeby dochody mojego ojca miały tu jakieś znaczenie.

– Większość zbrodni popełnia się z miłości lub dla pieniędzy. A Larry Digger wspomniał, że w Teksasie twoi rodzice żyli na zbyt wysokiej stopie.

– Larry Digger jest zazdrosny. I tyle.

Odczekał chwilę. W pokoju zapadła niezręczna cisza, ale Melanie się nie ugięła. Stokesowie mieli wspaniałą córkę, choć może na nią nie zasługiwali. Mieli ją dzięki Russellowi Lee Holmesowi. Cholera, przeszedł go dreszcz.

– No dobrze, a William Sheffield? Jak się poznaliście?

– Pracuje z moim ojcem. Tato zaprosił go na kolację. – Skrzywiła się gorzko. – To też ma być spisek?

– Wczoraj go słyszałem. Odniosłem wrażenie, że pochodzi z Teksasu. Cholernie dużo Teksaszczyków kręci się wokół tego domu.

– Jasne. Właśnie dlatego ojciec się nim zainteresował. Dwóch Teksaszczyków w bostońskim szpitalu. Gdybyś się przeprowadził do Teksasu, pewnie padłbyś w ramiona pierwszemu napotkanemu facetowi z Bostonu.

– Tak, ale czy oddałbym mu własną córkę? Zesztywniała.

– To dawne dzieje.

– Czy to znaczy, że to on odszedł?

– Odeszliśmy oboje.

– Na zawsze?

– Przyłapałam go z inną kobietą. To dość skutecznie gasi uczucia. Tego się nie spodziewałam. Ten szcurek zdradzał Melanie? Jezus, był jeszcze głupszy niż na to wyglądał.

– Żałujesz? – spytał z napięciem. Nie powinien się tak zdradzać z uczuciami.

– Nie. To było nieuniknione. W ogóle nie powinniśmy się zaręczać.

– Więc dlaczego się zdecydowałaś?

Wzruszyła ramionami.

– On też był sierotą. Myślałam, że dzięki temu mamy coś wspólnego. A może po prostu wystarczyło, że mnie poprosił o rękę? Może świadomość, że ktoś chce ze mną spędzić resztę życia, miała dla mnie nieodparty urok?

Wkrótce zdaliśmy sobie sprawę z tego, że popełniliśmy błąd. Zwłaszcza kiedy William zaczął mi wmawiać, że tak naprawdę nie jestem sierotą.

– Słucham?

– Bo mnie adoptowano. Miałam rodzinę, i to bogatą. Wkrótce zrozumiałam, o co mu chodzi. Z nas dwojga to on został oszukany przez życie, więc życie, a zwłaszcza ja, powinno mu to wynagrodzić. A ja, powiedzmy to sobie, nie palę się, żeby coś komuś wynagradzać.

Prawie się uśmiechnęła. Tak, nie wyobrażał sobie, żeby ta dziewczyna się poddała Williamowi Sheffieldowi. Głupi mały palant.

– Czy wczoraj wydawał się zmieniony? Błady? Roztargniony?

– Ciężko pracuje.

– Ciężej niż dotychczas? Przez chwilę się zastanawiała.

– Nie sądzę. Jest asystentem mojego ojca, a ojciec nie pracował ostatnio ciężiej niż zwykle. Ale rzeczywiście wyglądał tak, jakby coś go dręczyło.

– Może powinniśmy to sprawdzić.

– William nie ma nic wspólnego z Meagan...

– Ale ma coś wspólnego z twoją rodziną. Spędza w twoim domu sporo czasu. Może dowiedział się czegoś o twoim ojcu i postanowił się na tym wzbogacić?

Westchnęła, ale nie zgłosiła sprzeciwu. Niepewność mocno dawała się jej we znaki.

– A ten Irlandczyk? Jamie... Jamie...

– O'Donnell. To mój ojciec chrzestny. On na pewno nie ma z tym nic wspólnego.

– Kim jest dla twoich rodziców?

– Poznali go w Teksasie. Przyjaźnią się od czterdziestu lat. Był drużbą na ich weselu.

– Prowadzi interesy z twoim ojcem?

– Od czasu do czasu. Prawdę mówiąc, nie wiem, jak się poznali. Wiem, że rodzice ojca mieszkali na przedmieściach, a Jamie wychowywał się na ulicy, jak twierdzi. Obaj doszli do czegoś o własnych siłach, Jamie jako biznesmen, mój ojciec jako chirurg. I za to się nawzajem szanują.

– Czy O'Donnell znał Meagan?

Spojrzenie Melanie złagodniało. Wyraźnie miała do niego słabość.

– Ta tragedia złamała mu serce. Chcesz wiedzieć, dlaczego rodzice go tak kochają? Ponieważ wyręczył ich i sam chodził oglądać zwłoki. Kiedyś mi o tym powiedział. Jeśli dziecko znika z domu, ktoś z rodziny musi identyfikować zwłoki dzieci odpowiadających rysopisowi. Jamie się tym zajął. Chodził od kostnicy do kostnicy i oglądał szczątki czteroletnich dziewczynek

podobnych do Meagan. Kiedyś mi powiedział, że te dziewczynki czasem śnią mu się w nocy. Zastanawia się, czy spoczęły na rodzinnym cmentarzu, czy zakopano je w zbiorowej mogile. Czasami wydaje mi się, że przeżył śmierć Meagan mocniej niż ojciec. Choć pewnie tylko inaczej reaguje.

– A ta kobieta? Ta pielęgniarka.

– A, to Ann Margaret.

– Mówiłaś, że miała tu nocować.

– Tak. Jest moją szefową z Centrum Czerwonego Krzyża. Dziesięć lat temu zgłosiłam się tam do pracy, więc zdążyłyśmy się dobrze poznać.

– Wydawało mi się, że ona także mówi z teksańskim akcentem.

Melanie przewróciła oczami.

– Tak, mieszkała w Teksasie. Ale już dawno osiedliła się w Bostonie. I naprawdę nie ma z nami nic wspólnego. Nie znałybyśmy się, gdybym nie zgłosiła się na ochotnika do Czerwonego Krzyża.

– Hmm... Wydaje mi się, że coś ją łączy z twoim ojcem chrzestnym.

– Tak... mnie też się tak wydaje. Wiele razy spotykali się na rozmaitych przyjęciach, które wydawałam. Może coś jest między nimi. Ale to tylko ich sprawa.

– Dlaczego ci nie powiedzieli, że się spotykają? Dlaczego to ukrywają?

– Od kiedy to prawo do prywatności oznacza, że się coś ukrywa? Ann Margaret nie ma absolutnie nic wspólnego z Meagan. Nikt z mojej rodziny nie znał jej w tamtych czasach. Nie wpadajmy w przesadę.

– A wpadamy? Co właściwie się stało z Meagan? Co naprawdę wiemy? W twoim pokoju leży drewniany konik i strzępek materiału, który, jak twierdzi twój własny brat, w ogóle nie powinien już istnieć. Larry Digger twierdzi, że ktoś z twojego domu dzwonił do niego z informacją o Russellu Lee Holmesie. Ty zaczynasz widzieć Meagan. Coś mi się zdaje, że musimy zrewidować poglądy. Wydawało nam się, że coś wiemy, ale to nieprawda. Wydawało ci się, że znasz swoją przeszłość, ale nie znasz. A na pewno nie znasz swojej rodziny.

Melanie pobladła.

– Wierzysz w duchy?

– Nie.

– A w karmę? Reinkarnację?

– Nie.

– A jest coś, w co wierzysz?

Wzruszył ramionami. Sam się nad tym zastanawiał od pewnego czasu.

– Wierzę, że Joe „Shoeless” Jackson był wielki. I wierzę, że to, co się tu dzieje, nie ma nic wspólnego z Russellem Lee Holmesem. Za to ma bardzo wiele wspólnego z twoją rodziną. I, Melanie... musisz teraz bardzo uważać.

Uśmiechnęła się blade. Odruchowo skubała brzeg narzuty na łóżku brata. Wydawało mu się, że chce coś powiedzieć, ale zacisnęła usta. Dopiero po chwili podniosła głowę i spojrzała na niego. – Dziękuję.

Tego się nie spodziewał. Nie wiedział, jak się zachować. Wbił spojrzenie w podłogę. Stare drewno. Grube deski. Cheney pewnie już skończył. Powinni się zbierać. Ból w biodrze dał o sobie znać. Musiał zmienić pozycję. Nieświadomie roztań kręgosłup.

– Bardzo ci dokuczają?

– Co? – rzucił z roztargnieniem. Ktoś donosi FBI, że doktor Stokes popełnia nadużycia finansowe, a jednocześnie Larry Digger dostaje wiadomość, że córka doktora Stokesa może być dzieckiem Russella Lee Holmesa. Czy te dwie rzeczy mają ze sobą coś wspólnego?

„Dostajesz to, na co zasługujesz”.

Ale który z tych graczy uważa, że Stokesowie nie dostali tego, na co zasługują? I dlaczego zaczął działać akurat teraz?

– Artretyzm.

– Słucham?

– Masujesz plecy..

– Natychmiast opuścił dłoń; nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Wzruszył ramionami. – Nie wiem. Czasami jest dobrze, czasami gorzej.

– Możesz to łagodzić? Ćwiczeniami, lekami, zimnymi kompresami?

– Przeważnie tak.

– Ale musiałeś zrezygnować z marzeń? – stwierdziła cicho. – Nie jesteś policjantem.

Nie sądził, że Melanie tak bardzo zbliży się do prawdy. Ogarnęło go uczucie podobne do klaustrofobii. Nagle zapragnął przestrzeni. Musiał stąd uciec. Do diabła, chciał się schować w jakiejś ciemnej dziurze, gdzie nikt go nie znajdzie, gdzie nikt nie odgadnie jego strachu. Ostatnio bał się o wszystko – o przyszłość, zdrowie, pracę – a to go upokarzało.

– Muszę wracać do roboty – rzucił nerwowo. – Wiesz, jak to jest. Praca nigdy się nie kończy.

– Tak. – Wstała z łóżka. W pokoju było już prawie ciemno. Zmrok zaskoczył ich tak podstępnie, że nawet nie przyszło im do głowy, żeby zapalić światło.

Patrzyła na niego spokojnie. Zbyt spokojnie.

– Czy zechcesz mi wyświadczyć jeszcze jedną przysługę?

– Myślałem, że nie chcesz żadnych przysług.

– Chcę się spotkać z Larrym Diggerem. Jutro, z samego rana. Jasna cholera.

– To niezbyt wiarygodne źródło informacji.

– Ale najlepsze, jakie mam. Zresztą sam powiedziałaś, że muszę być ostrożna. Chcę z nim porozmawiać. Jeśli to będzie konieczne, pójdę do niego sama. – Znowu mówiła tym nieustępliwym, niedopuszczającym sprzeciwu tonem.

– Dobrze – zgodził się z ciężkim sercem. – O dziesiątej, przed wejściem.

Uśmiechnęła się i podeszła do niego. Lekko musnęła jego dłoń – ot, drobny wyraz wdzięczności, nic więcej. I zniknęła na korytarzu, gdzie nadal unosił się mdlący, ciężki zapach gardenii.

Do siódmej David i Cheney zdążyli sprzątnąć dom Stokesów i rozeszli się w różne strony. Zapadł już zmrok, ciepły i wonny: cudowna wiosenna noc w mieście lodowatych zim, którego mieszkańcy potrafili docenić piękną pogodę. David powlókł się do domu, żeby wziąć prysznic i przebrać się w czyste ubranie. Tam poprosił o radę Joe Jacksona, który tym razem nie błysnął intelektem. Lepiej znał się na baseballu i chemicznej pralni. Przestępstwa gospodarcze, piękne blondynki i morderstwa popełnione dwadzieścia pięć lat temu nie wchodziły w zakres jego zainteresowań.

David postanowił dokładniej zbadać sprawę Stokesów. I tak nie miał planów na niedzielny wieczór.

I nie potrafił zapomnieć o Melanie Stokes.

Dwudziestominutowa droga do domu zmieniła się w godzinny maraton. Ludzie tkwili w gigantycznym korku, rzucając zza kierownicy nerwowe spojrzenia zaszczytów królików. Za to taksówkarze łamali wszystkie istniejące przepisy i przejeżdżali w najbardziej nieprawdopodobnych miejscach, budząc powszechną nienawiść. Bostońscy taksówkarze ciężko pracowali na miano gnojników.

David zastanowił się smętnie, dlaczego właściwie nie mieszka w mieście. Agenci FBI dobrze zarabiają, a on nie ma przecież na utrzymaniu żony i dwójki dzieci. Mógł znaleźć przytulny kącik na Beacon Hill. Oszczędziłby sobie tych piekielnych mąk, zwanych w Bostonie dojeżdżaniem do pracy. Mógłby chodzić do roboty piechotą. Pewnie wtedy siedziałby w biurze na okrągło.

Jasne, i właśnie dlatego mieszkał na przedmieściach. Gdyby nie to, z miejsca sprawiłby sobie taki sam domek, jak Stokesowie.

Samochód stojący okrakiem na dwóch pasach wreszcie zdecydował się na jeden z nich i szereg przesunął się odrobinę do przodu.

W parku nadal roiło się od przechodniów. Łagodne światło latarni ukazywało studentki w kusych szortach i modnie odzianych yuppies z przekarmionymi golden retrieverami. Dalej szumiała Charles River, gęsta od zanieczyszczeń. Pewnego razu w okresie przedwyborczym były gubernator Weld zanurkował w rzece, żeby udowodnić, iż woda tak naprawdę nie jest taka ohydna, jak wygląda. Od tej pory wszyscy czekali, aż zacznie zdradzać objawy raka.

Ostatni kilometr był najgorszy. Dwadzieścia minut. Uroczy wieczór w Bostonie.

FBI zajmowało cztery z ośmiu pięter w One Center Plaza w centrum miasta. Goście docierali do szóstego piętra. Wydział przestępstw finansowych w służbie zdrowia znajdował się na ósmym piętrze. Przynajmniej mieli ładny widok.

David ruszył zielonym korytarzem. Przez okna widział migoczące światła wielkiego miasta. W biurze nie było nikogo. Widać przestępcy wzięli sobie urlopy.

Dotarł do kontaktu, włączył światło i zamrugał. Mroczne, groźne kształty zmieniły się w podłużne biurka. Zgarbione sylwetki przekształciły się w komputery. Potwory okazały się niezliczonymi stertami akt. Witajcie w świecie Riggsa.

Podszedł do swojego biurka, automatycznie omijając dziury w podłodze. Bostońska filia FBI rozwijała się wyjątkowo ekspansywnie. Jej pomieszczenia początkowo wyglądały jak zwykłe gabinety, potem przerobiono je na przylegające do siebie boksy, a wreszcie na to wspólne, wielkie pomieszczenie z zieloną wykładziną, w którym mogli swobodnie i otwarcie wymieniać

poglądy. Agenci lubili się zabawiać wrzucaniem monet do otworów po rurach i nasłuchiowaniem, kiedy rozlegnie się brzęk.

Światelko na automatycznej sekretarce migąło. David podniósł słuchawkę, drugą ręką pocierając kręgosłup. Od południa otrzymał dwie wiadomości.

– Davidzie, to ojciec. Myślałem, że się dziś zobaczymy. Pewnie miałeś robotę. Drużyna Stevena dobrze się spisała, wygrali cztery do trzech. W tym roku nie grają za dobrze, Steven odchodzi od zmysłów. Według mnie powinien wymienić startującego, bo ten mały jest do niczego, a na jego miejsce dać tamtego nowego, Jamesa, który fantastycznie rzuca. Oczywiście w tym roku by to odpokutowali, ale na dłuższą metę...

Odsłuchał wiadomość na przyspieszonych obrotach. Drugą zostawił Chenney.

– Jestem w laboratorium. Wściekają się, że nie wezwaliśmy profesjonalnej ekipy, i gadają, że pewnie zmarnowaliśmy dowody. Mówiłem, żeby się nie czepiali. Cholera, ta sprawa mnie niepokoi. Aha, nie powiedziałem ci, jak się zakończyła poranna obserwacja. Tak jak kazałeś, obserwowałem Sheffielda w szpitalu, ale wyszedł, bo źle się poczuł. Potem zauważyłem Harpera, opuszczającego szpital w towarzystwie Jamiego O'Donnella... usiłowałem cię zawiadomić, ale nie włączyłeś pagera. Więc się zdecydowałem, trudno. Zadzwoń, jak będziesz miał czas.

Psiakrew. Mógłby się założyć o wszystko, że mały poszedł za Harperem i O'Donnellem, bo to było coś ciekawszego niż tkwienie przed domem chorego faceta. Chenney musi się wreszcie nauczyć, na czym polega „prawdziwa” praca. Nie chodzi o dreszcz emocji. Chodzi o rezultaty.

Zadzwoił na telefon komórkowy małego. Brak sygnału. Wobec tego zostawił wiadomość, że chce się z nim spotkać na strzelnicy o dziesiątej wieczorem. Zostało mu jeszcze trochę wolnego czasu.

Wypełnił zapotrzebowanie na akta sprawy Meagan Stokes z filii w Houston. Potem zadzwonił na policję w Houston, prosząc o kopię ich akt. Akta FBI skupiały się na aspekcie porwania. Akta policji zawierały wszystkie szczegóły, w tym także dowody. Chciał się przekonać, czy rzeczywiście znaleziono drewnianego konika Meagan i czy przez wszystkie te lata znajdował się pomiędzy innymi dowodami. To oczywiście nie wyjaśniało obecności niebieskiego strzępka, ale nie wyjawiał tego Melanie i Brianowi. Musiał się nad tym jeszcze zastanowić.

Przeszedł do centrum badań i włączył komputer. Wielka machina rozgrzewała się przez ładne parę minut. Wykorzystał to praktycznie; oparł nogę na biurku i zrobił skłon, by rozciągnąć mięśnie pleców. W firmie byli specjaliści agenci, zajmujący się wyszukiwaniem najróżniejszych szczegółów, ale David lubił wszystko robić samodzielnie. Dobrze mu się myślało podczas grzebania w aktach. A czasami najbardziej użytecznymi informacjami okazywały się nie te, których zaczął szukać, lecz na które trafił przypadkiem.

Rozpoczął od wiadomości o Melanie Stokes. Magiczną datą był wrzesień tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku. „Boston Globe” zamieścił mały artykuł o dziewczynce, prawdopodobnie dziewięcioletniej, która w tajemniczy sposób znalazła się w miejskim szpitalu. Została nafaszerowana morfiną, przez co wystąpiła u niej reakcja alergiczna. W dodatku nie zgłosił się po nią żaden opiekun.

W gazecie, z datą o tydzień późniejszą, znalazła się mała notka. Dziewczynka, nazywająca siebie Córeczką Tatusia, została przebadana i skierowana do domu dziecka. Jest w dobrym stanie, nic nie wskazuje na to, że była molestowana, ale cierpi na całkowitą amnezję. Czarno-

białe zdjęcie obok tekstu ukazywało małą Melanie Stokes, puciołowatą, o rzadkich, prostych włosach. Zdecydowanie nie była najpiękniejszym dzieckiem na świecie, ale miała bardzo szczególnie wyraz twarzy. Tęskny, pomyślał David.

Po paru miesiącach w „Boston Globe” pojawił się pierwszy duży artykuł: „Mała sierotka znajduje dom”. Gazeta opisała pierwsze dni „Córeczki Tatusia” w domu Harpera i Patricii Stokesów, którzy rozpoczęli formalne postępowanie adopcyjne. Reporter wspomniał, że Patricia nadała małej nowe imię.

„Dziewczynka spytała, dlaczego nie ma imienia, na co pani Stokes odparła, że oczywiście ma, tylko muszą je znaleźć. Wtedy dziecko poprosiło panią Stokes, żeby sama je nadała. W oczach pani Stokes pojawiły się łzy. – Może Melanie? – powiedziała. – Nie znam piękniejszego imienia, a ty jesteś najpiękniejszą dziewczynką na świecie.

Od tej chwili Córeczka Tatusia reaguje tylko na to imię, więc tak ją będziemy nazywać. Oczywiście teraz będzie chciała mieć także urodziny”.

Inna informatorka, która wolała zachować anonimowość, nie była zachwycona nowym imieniem. „Według mnie to trochę dziwne. Za bardzo przypomina Meagan. To nie może wyjść na zdrowie żadnemu z nich”.

David zgodził się z nieznaną kobietą. Melanie dostała imię, Melanie dostała wspianiały dom, ale od tej pory żyła w cieniu pierwszej córki. Zamordowanej pierwszej córki.

Dość upiorne.

Teraz zaczął szukać doniesień na temat Russella Lee Holmesa. I znalazł, bardzo interesujące. Tak go zajęły, że o mało się nie spóźnił się na spotkanie z Cheneyem.

– Dlaczego spotykamy się na strzelnicy? – spytał Cheney parę minut po dziesiątej.

– Bo lepiej mi się myśli przy strzelaniu. – David otworzył drzwi i wprowadził go do pustego pomieszczenia.

– Aha. – Wydawało się, że Cheney zrozumiał. Zresztą może naprawdę tak było. W końcu sam był uzależniony od podnoszenia ciężarów.

David był członkiem klubu strzeleckiego niemal od urodzenia, najpierw dzięki ojcu, potem już z własnej woli. W dzieciństwie, jeśli nie grał w baseball, to siedział w salonie klubu i przysłuchiwał się rozmowom policjantów, którzy krytykowali stare prawo, pozwalające najpierw strzelać, a potem zadawać pytania. Zanim skończył szesnaście lat, znał się już na pracy policjanta prawie tak dobrze jak na baseballu. I strzelał jak stary wyga. W klubie stało parę nagród wywalczonych przez niego.

– Jasny gwint!! – wyrwało się Cheneyowi, gdy David otworzył futerał i zaczął wypakowywać sprzęt. – Mówili mi, że twój ojciec robi pistolety na zamówienie, ale do głowy mi nie przyszło... Mogę potrzymać?

David wzruszył ramionami i podał mu swoją beretę, jednocześnie grzebiąc w futerale w poszukiwaniu naboji. W powietrzu unosił się gryzący odór starego prochu i smaru.

– Cholera, masz radioaktywny celownik! W życiu czegoś takiego nie widziałem.

– Cały ojciec – mruknął David, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia. Znalazł okulary ochronne. Jego beretta nadawała się do strzelaniny z całym oddziałem. David nieustannie powtarzał, że wcale tego nie potrzebuje, na co ojciec odpowiadał „jasne” i dalej robił swoje.

– Jezu, to fantastyczne! – Cheney obracał broń w dłoniach. – Spójrz tylko na rękojeść. Dwadzieścia linii na centymetr. Chyba musiał mieć szkło powiększające, czy co?

– Ojciec jest artystą.

– Dźwignia bezpiecznika po obu stronach! Celownik na miarę. Rany boskie! – Wymierzył i strzelił na sucho. – No, to rozumiem. – Niechętnie oddał Davidowi berettę i spojrzał na swojego glocka z wyrazem twarzy, jaki mają mężczyźni, kiedy w publicznej toalecie odkrywają, że ich penis wcale nie jest taki duży.

Wkrótce się z tym pogodził. Obaj włożyli magazynki.

– A właśnie – odezwał się Cheney. – Twój brat grał w baseball, tak? David znieruchomiał, zanim włożył trzeci nabój.

– Mhm.

– Wiem, że jest teraz trenerem, ale chyba nie wyszedł z wprawy?

– Mhm.

– Super. Ja też gram. Z takimi różnymi, przeważnie same cienkie Bolki, urzędasy. Mówię ci, nasz miotacz jest do bani. Jeśli go nie zastąpimy, dostaniemy w kuper, że hej. Margie powiedziała, że twój brat był dobry. Grał w UMass, więc musiał być świetny. Tam mają wysoki poziom.

David bardzo starannie ulokował czwarty nabój.

– Wysoki.

– Chcemy go mieć w drużynie! – zawołał Cheney. – Właśnie jego nam potrzeba! Specjalisty, żeby rozruszał tych grubych gliniarzy, co od dawna nie wstawali zza biurka. Pogadasz z nim?

– Specjalista...

– No, najlepszy miotacz w okolicy.

– Jasne. Pogadam ze specjalistą.

David załadował magazynek, dwa razy przełknął ślinę i spojrzał w idealnie precyzyjny celownik.

– Zostawiłeś Sheffielda, prawda? Dziś rano. Opuściłeś swój cel, bo miałeś ciekawsze zajęcia. Cheney oblał się rumieńcem.

– Nie wściekaj się, zaraz ci powiem, czego się dowiedziałem.

– Cheney, tak się nie robi. Jeśli za kimś chodzisz, to chodzisz.

– On był chory! Widziałem, jak wywlókł się ze szpitala, biały jak ściana. Miał dreszcze i poty. Powiedział ordynatorowi, że ma grypę i od razu go wykopali do domu. Zaufaj mi, on się nie ruszył z łóżka.

– Cheney – powtórzył David twardo. – Nigdy nie zostawiaj swojego celu. Jeśli za kimś chodzisz, to chodzisz. Dotarło?

– Dobra, dobra. – Cheney włożył okulary ochronne. Zaczęli strzelać. Mały strzelał agresywnie. Szybko namierzał, szybko przyciskał spust i wykrzywił się przy tym tak, że Clint Eastwood byłby z niego dumny. Większość jego naboju trafiła w dwa wewnętrzne okręgi. Ale kiedy spojrzeli na tarczy z bliska, okazało się, że dwanaście pocisków Davida zrobiły jedną niewielką dziurkę, przez którą z trudem można by przepchnąć długopis.

– Były za blisko – mruknął Cheney. – To wcale nie jest przeciętna odległość od napastnika. Trzeba być przygotowanym na wszystko.

David wzruszył ramionami, przedał papierową tarczę i przypiął nową.

– I czego się dowiedziałeś? Dlaczego Harper Stokes i Jamie O'Donnell tak cię zaciekawili?

– A, bo coś się dzieje – ożywił się natychmiast mały. Poszedłem za nimi na takie bajeranckie pole golfowe. Przy odrobinie perswazji kierownictwo pozwoliło mi obsługiwać klientów w barze, więc słyszałem doskonale wszystko, co mówili O'Donnell i Harper. Harper wypił całą lemoniadę jednym haustem, a potem ni stąd, ni zowąd mówi: „Dostałem wiadomość”.

– Wiadomość?

– Tak, podobno była przypięta na jego samochodzie, z samego rana. Brzmiała tak: „Dostajesz to, na co zasługujesz”. Potem doktor spojrział O'Donnellowi prosto w oczy, dość groźnie, i spytał, co to według niego znaczy. O'Donnell popatrzył na niego dłuższy czas w milczeniu, jakby się sprawdzali, który pęknie pierwszy, a potem oznajmił: „Annie dostaje głuche telefony”.

– Annie dostaje głuche telefony?

– Aha. Ktoś podobno dzwoni do tej jakiejś Annie i odkłada słuchawkę. Myśleli, że to jakiś świr, ale chyba nie są pewni na sto procent. Potem Harper powiedział: „Larry Digger jest w mieście”. O'Donnell jakby się trochę zdziwił. Wzruszył ramionami. A Harper dodał: „Josh do mnie zadzwonił. Digger pytał go o Melanie. Jak sądzisz, dlaczego?”. O'Donnell tylko wzruszył ramionami. „Kto wie, o co chodzi Diggerowi? Może w Teksasie nie ma już whisky”. Harper coś wymamrotał. Widać było, że tego nie kupuje, ale nic więcej nie powiedział. O'Donnell też nie. Później zaczęli grać w golfa, ale mówię ci, tam coś jest nie w porządku. Przez cały czas byli wściekli i nie odzywali się do siebie. A kije to im tylko śmigają, mówię ci. To nie była zabawa. Mało brakowało, a by się pozabijali. Dziwne te ich układy. Raczej nie piją sobie z dziobków. Myślisz, że to miało coś wspólnego z tym, co znalazłeś w pokoju panny Stokes?

David przyjrzał się małemu z niedowierzaniem.

– Jasne. Według mnie tak.

– Wiedziałem – rozpromienił się Cheney. – Więc chyba nie jest źle, że zostawiłem Sheffielda? W końcu czegoś się dowiedziałem. – Zamilkł i zastanowił się przez chwilę. – Tylko czego? Co tam się dzieje?

– Oto pytanie – mruknął David. Ustawił tarcze w odległości piętnastu metrów, włożył słuchawki i gogle i zaczął strzelać. Cheney poszedł w jego ślady.

Łuski sypały się na podłogę, Cheney grzał ze swojego glocka ile wlezie, David strzelał powoli i rytmicznie, w sposób równie dla niego naturalny jak oddychanie.

Harper i Jamie O'Donnell. A kto to jest Annie? Prawdopodobnie Ann Margaret. Ann Margaret dostaje tajemnicze telefony, choć Melanie jest przekonana, że jej szefowa nie ma z nimi nic wspólnego. Co ich wszystkich łączy? Co tu się dzieje, do cholery?

Odpowiedź przyszła mu do głowy przy ostatnim strzale. Wyjął magazynek, otworzył komorę, zdjął plastikowe gogle. Cheney sprowadził tarcze.

Przy odległości piętnastu metrów dziura, jaką zrobiły naboje Davida, nieco się powiększyła, ale nadal nie wychodziła poza dziesiątkę. Tarcza Cheney'a wyglądała gorzej, ostatnie strzały poszły dołem. Cheney spochmurniał. David spokojnie zrelacjonował mu wydarzenia ostatniej nocy, zaczynając od wizyty Diggera.

– To jakieś wariactwo – powiedział Cheney pod koniec opowiadania. – Nie ma takich rodziców, którzy by świadomie zaadoptowali dziecko mordercy. A nawet gdyby to zrobili, nie

mają powodu tego komuś zdradzać. Wiesz, co myślę?

– Boję się zapytać.

– Ktoś go oczernia!

– Oczernia?

– Tak, Harpera Stokesa. Tylko pomyśl: najpierw dostajemy anonimową wiadomość, że Harper popełnia nadużycia finansowe i podobno operuje zdrowych ludzi. Na razie nie znaleźliśmy na to żadnego dowodu, więc kto wie? Potem ktoś dzwoni do Larry'ego Diggera, rzekomo z domu Stokesów, i powiadamia go, że córka Harpera jest dzieckiem mordercy. Harper Stokes jest niesympatyczny i odniósł sukces. Może jakiś podwładny chce się na nim odegrać? Albo jakiś kardiochirurg, który z nim rywalizuje? Uderza go tam, gdzie zaboli najbardziej: w reputację.

– Nie wydaje mi się.

– Dlaczego?

– Ze względu na to, jak Harper zareagował na ranną wiadomość. Nie zlekceważył jej tak, jak się lekceważy te wszystkie śmiecie, które się znajduje za wycieraczkami samochodu. Od razu poleciał z tym do O'Donnella, a O'Donnell nie ma nic wspólnego z jego zawodem. Potem Harper wspomniał, że Larry Digger przyjechał do miasta, czyli sam połączył otrzymaną wiadomość z nędznym dziennikarzyną, którego poznał dwadzieścia pięć lat temu. I jak wygląda reakcja O'Donnella? O'Donnell od razu mówi, że Annie dostaje telefony.

– Kim jest Annie?

– Prawdopodobnie to Ann Margaret. Szefowa Melanie z Czerwonego Krzyża.

– A co ona ma z nimi wspólnego?

– Jest z Teksasu.

– Co?

– To wspólny mianownik – wyjaśnił cierpliwie David. – Wszyscy oni są z Teksasu, a wiemy, co się tam stało.

– Wiemy?

– Meagan Stokes, Cheney. Mała Meagan Stokes. O tym właśnie mówili Harper i Jamie O'Donnell. Pierwsza odpowiedź Harpera: „Larry Digger jest w mieście... i pyta o Melanie”. O'Donnell usiłuje zlekceważyć Diggera, ale widać sam nie jest pewien, o co mu chodzi. Larry Digger jest w mieście i szuka brudów, o których się dowiedział przed dwudziestu pięciu laty. Gdzie byś nie zaczął, za każdym razem dochodzimy do morderstwa czteroletniej dziewczynki.

– Ale ta sprawa jest zamknięta. Facet zginął, koniec, kropka.

– Tak ci się wydaje. A oto najnowsze wiadomości: znalazłem parę informacji o Russellu Lee Holmesie i wiesz co? Nigdy go nie skazano za zamordowanie Meagan Stokes.

– Cholera jasna, chyba nie myślisz, że...

– Jeszcze sam nie wiem, co myślę. Za to mam masę pytań o to, co się stało z Meagan Stokes. I o nadawcę tych wiadomości. Chciałbym też wiedzieć, co to znaczy, że każdy dostaje to, na co zasługuje.

– Trochę się oddaliliśmy od przestępstw finansowych, co? Zabawka, strzępek materiału, wiadomości... Chodzi o morderstwo, prawda? Sprzed dwudziestu pięciu lat.

David przyjrzał się małemu. Cały aż promieniał.

– Taa – mruknął ze znacznie mniejszym entuzjazmem. – Może. Znowu naładował broń.

Przygotował się do strzału.

– Nie zauważyłeś czegoś dziwnego w tym strzepku?

– Nie. Stary, zaplamiony krwią. Może mieć dwadzieścia pięć lat. W laboratorium nam to powiedzą.

– Sam materiał jest stary, ale nie krew. Wiesz, dałbym głowę, że te plamy miały najwyżej osiem godzin.

– Co? To bez sensu.

David odwrócił się ku niemu; w ostrym jarzeniowym świetle jego rysy wydawały się jeszcze bardziej napięte.

– Lubisz gry?

– Jasne. Baseball, koszykówkę, piłkę nożną...

– Nie, gry strategiczne. Brydż, szachy, takie sprawy.

– Nie. – Mały spojrzął na niego ze zdziwieniem. – Co tu ma do rzeczy brydż?

David odwrócił się do tarczy.

– To jest gra, Cheney. Ten anonimowy rozmówca wplątał nas w nią w jakimś sobie tylko wiadomym celu. Tak samo jak Larry’ego Diggera. Jesteśmy dla niego jak figury szachowe, które przedstawia, jak mu się spodoba. Tu wiadomość, tam ołtarzyk, gdzie indziej rozmowa telefoniczna...

– Ale po co?

– Tego jeszcze nie wiem. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że dwadzieścia pięć lat temu wydarzyło się coś, o czym nie wiemy. Coś, w co była wplątana pewna grupa ludzi. Coś, co zostało ukryte. Ale ten anonimowy facet ma dość milczenia, z jakiegoś powodu się wkurzył. Chce, żeby wszyscy dostali to, na co zasługują. I jest gotowy na wiele, żeby do tego doprowadzić.

Cheney zadumał się nad tym.

– Czyli wariat?

– Tego nie wiem.

– Ten ołtarzyk to robota wariata.

– Może. Ale po co wariat miałby dzwonić do nas? Czego jakiś świr chciałby od FBI?

– Posady – mruknął Cheney z cieniem uśmiechu. Po chwili spoważniał. – Tak, mnie też się nie podoba ten telefon do FBI. Świrusy chcą zemsty, nie sprawiedliwości. Myślisz, że powiedział prawdę? Że Harper Stokes popełnia oszustwa i wraz z żoną świadomie zaadoptował dziecko seryjnego mordercy?

– Nie wiem.

– No to co mamy robić?

David włożył słuchawki i okulary.

– Jutro z samego rana wyciągniemy akta Williama Sheffielda. Interesuje nas zwłaszcza to, co robił w Teksasie. Podobnie jak Ann Margaret i Jamie O’Donnell. Chcę znać wszystkie ich powiązania ze Stokesami. I muszę wiedzieć, w jaki sposób poznali Meagan Stokes i czy dwadzieścia pięć lat temu byli przesłuchiwanie przez policję. Chcę być poinformowany o ich sprawach finansowych od tej chwili wstecz aż do czasów Adama i Ewy. Ty bierzesz przyjaciół, ja rodzinę. Wywrócimy ich na lewą stronę i może coś znajdziemy. Od tego trzeba zacząć. –

David wreszcie się uśmiechnął, ponuro i gorzko. – Nienawidzę takich gier.

Uniósł pistolet. Przyjął postawę, namierzył tarczę, znajdującą się o dwadzieścia pięć metrów od niego. Ręka lekko mu drżała; dziewięciomilimetrowa beretta była cięższa od dwudziestkidwójki, dzięki której zdobył godność eksperta w czasach, gdy wszystko, czego dotknął, zmieniało się w złoto. W czasach, gdy nie było takiej rzeczy, jakiej nie mógłby zrobić.

Znowu pomyślał o Melanie Stokes. O tym, jak dotknęła jego dłoni.

Pomyślał o Chenneyu. „Margie powiedziała, że twój brat był dobry”.

Pomyślał o bólu w plecach, narastającym powoli i nieubłaganie. Pomyślał o chorobie, na którą nie ma lekarstwa.

Wystrzelił trzy razy, szybko i płynnie. Chenney sprowadził tarcze. Pojedyncza dziura w samym środku była niemal idealnie okrągła.

– Jasna cholera – powiedział Chenney z nabożnym podziwem.

David tylko się odwrócił i zaczął zbierać puste łuski.

Jedenasta wieczorem. Kiedy David Riggs zbierał łuski, Melanie błąkała się po dwupiętrowym domu, szukając czegoś, co przywróciłoby jej spokój ducha. Otworzyła wszystkie okna na drugim piętrze i włączyła wentylator, by usunąć lepki zapach gardenii. Sprzątnęła swój pokój, powiesiła ubrania, podlała kwiatki, pozamykała wszystkie szuflady. Wzięła prysznic, nadstawiając pod deszcz kropel napięte mięśnie karku.

Kiedy wyszła z łazienki, była gotowa uwierzyć, że to popołudnie było wytworem jej wyobraźni. Ołtarzyk tylko jej się przyśnił. Wizje były tylko przywidzeniami.

To jej dom, a ona jest ukochaną córką Patricii i Harpera Stokesów. Nic nie zdoła jej skrzywdzić.

Nigdy nie była skłonna do łez. Nie płakała, gdy rozpadł się jej związek z Williamem. Łzy ją kępowały, sprawiały, że czuła się słaba, a nie chciała się tak czuć. Była silna i dzielna; sama kierowała swoim życiem.

Ale tego wieczoru zaczęła rozpaczliwie płakać. Łzy rozpuściły wreszcie bolesny, twardy węzeł w żołądku i rozładowały ból w piersi. Oczyściły jej umysł i dały zdolność myślenia. Po raz pierwszy tego dnia zaczęła się zastanawiać.

Przekonała się, że jednak jest przerażona i wstrząśnięta. Nie bała się ołtarzyka ani osoby, która jest zdolna do takich podłych czynów. Bała się konsekwencji. A jeśli naprawdę była córką Russella Lee Holmesa? Skoro ojciec wyrzekł się rodzzonego syna tylko z powodu jego seksualnych preferencji, to co, na miłość boską, zrobi adoptowanej córce, która okaże się dzieckiem mordercy?

Przekonała się też, że nie jest wcale taka silna i szlachetna. Nie osłaniała rodziców przed Larrym Diggerem po to, by ich chronić. Robiła to, by chronić siebie. Nie zamierzała zrobić nic, co by ją oddaliło od rodziny... bo nawet teraz, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, panicznie bała się porzucenia.

Wreszcie powlokła się na dół, do sterylnej kuchni pełnej nierdzewnego metalu, gdzie zaparzyła sobie rumianek. Dodała do niego łyżeczkę miodu, trochę cytryny i poszła do jadalni. Stary zegar w korytarzu wydał pojedynczy, melodyjny dźwięk, sygnalizujący połowę godziny.

Wpół do dwunastej. Matka już dawno powinna wrócić. Ojciec także. David miał rację. Jej rodzina chwiała się w posadach. Ojciec prawie nie bywał w domu, matka piła, a brat unikał ich wszystkich. Kogo chciała nabrać? Stokesowie mieli poważne kłopoty.

Doszła do wniosku, że ma to gdzieś i poszła do gabinetu ojca. Książki nadal tam były. Należało je skatalogować. Powinna to była zrobić już dawno. Zaczynała się lenić. Trzeba wziąć się w karby.

Wyjęła kartkę papieru i zabrała się do roboty. Jedna książka załatwiona, zostało jeszcze ze sto. Wstała, poszła do drzwi wejściowych i sprawdziła alarm. Był włączony.

Wróciła do gabinetu, opisała jeszcze pięć książek i udała się sprawdzić okna. Wiedziała, że system alarmowy włączyłby się, gdyby przekroczyła jakieś strefy, ale i tak musiała dokonać tej inspekcji. Dopiero potem uznała, że może wrócić do gabinetu.

Wypiła rumianek i nabrała rozpędu. Tytuł, autor, wydawca, data wydania. Numer katalogowy i dalej. Praca była ważna, a ona umiała pracować.

Larry Digger. Dlaczego pojawił się akurat teraz? Czego naprawdę od niej chciał? Tematu na wielki artykuł czy szybkiej forsy?

Ten ołtarz. Czym jest dziełem? Jaką przekazuje wiadomość? Że nie jest Meagan Stokes? Że nie może jej zastąpić rodzicom? Wiedziała to od samego początku, bez żadnych ołtarzy.

David Reese. Kelner, były policjant. Fascynujące ręce. Zauważyła je już wcześniej. Długie, mocne palce. Szerokie, stwardniałe dłonie. Ręce godne zaufania. Ale na twarzy nigdy nie pojawia się uśmiech.

– Co ty wyprawiasz? – szepnęła do siebie w ciszy pustego domu. – Do czego dążysz?

Tego nie wiedziała. Kiedy po raz pierwszy poczuła zapach gardenii i przed oczami wybuchły jej wizje, wydawały się tak prawdziwe, tak autentyczne, że coś w niej szepnęło: tak, jestem dzieckiem Russella Lee Holmesa. Ale później doszła do wniosku, że łatwiej jest ukryć się za wątpliwościami. Może istnieje inne wyjaśnienie. Może była zbyt podatna na rewelacje Larry'ego Diggera.

Ale ten ołtarz w jej pokoju, konik Meagan, zakrwawiony strzęp starego materiału, czterdzieści cztery pachnące świece, ułożone w imię zmarłego dziecka...

Na to nie miała wyjaśnienia. Brat twierdził, że zabawka Meagan w ogóle nie powinna istnieć. Ona sama wolałaby nie pamiętać tej szopy, w której ktoś przetrzymywał zamordowane dziecko. A w ogóle nie wierzyła, żeby istnieli włamywacze, którzy nie kradną, lecz cierpliwie czekają na okazję, by przerazić ją na śmierć.

Ale ołtarz istniał i temu nie mogła zaprzeczyć. Widziała go. Ktoś usiłował jej o czymś powiedzieć i musiała to potraktować poważnie. Powinna jednak porozmawiać z Larrym Diggerem i spróbować zebrać informacje. Może policja już się czegoś dowiedziała? Może ktoś nie lubi jej lub jej rodziców i usiłuje im uprzykrzyć życie? Musi zrozumieć, o co tu chodzi – dla dobra jej rodziny, dla dobra jej samej.

Alarm pisnął ostrzegawczo. Melanie zamarła; po chwili usłyszała, że ktoś wprowadza kod przy wejściu. Jeszcze jeden pisk i system alarmowy znowu został włączony. W chwilę potem na korytarzu rozległy się kroki i matka zajrzała do gabinetu.

Miała na sobie długi czarny płaszcz z paskiem i toczek. Makijaż rozmazał się jej pod oczami jak po długim ciężkim dniu. Zwykle wracała ze spotkań AA zarumieniona i ożywiona, gotowa do dalszej walki ze światem. Ale nie dziś.

Weszła do pokoju, nerwowo bawiąc się górnym guzikiem płaszcza i starannie unikając spojrzenia córki.

– Cześć – powiedziała wreszcie Melanie. – Późno przychodzisz.

– Cześć, kochanie. – Matka uśmiechnęła się z przymusem i wreszcie rozpięła guzik. Zdjęła płaszcz, rzuciła go na stertę książek przy drzwiach, na nim położyła toczek i podeszła do Melanie, by ją pocałować w policzek. Miała chłodne wargi. Pachniała Chanel Numer Pięć i papierosami. Melanie zeszywniała.

Taki zapach przynosiła na sobie z baru.

Mimo woli, odruchowo zaczęła szukać oznak. Zapach płukanki do ust, tuszującej woń dżinu z tonikiem. Odrobinię niepewne ruchy. Zbyt błyszczące oczy, niespokojne paplanie.

Ręce matki trzęsły się lekko, ale był to jedyny objaw. Innych Melanie nie była pewna. Może o to chodzi, może nie. Od sześciu miesięcy trudno było to stwierdzić.

Patricia cofnęła się, jakby chciała się przyjrzeć stertom książek.

– Ojciec już śpi? – spytała z ożywieniem.

– Nie ma go w domu.

Zmarszczyła brwi, wzięła jedną książkę ze stosu.

– Dość długo pracuje jak na niedzielę. Pewnie ma jakiegoś ważnego pacjenta.

– Pewnie tak.

Matka odłożyła książkę i wzięła następną. Stała odwrócona plecami do córki.

– Głowa cię boli, kochanie?

– Nie.

– Dzień był spokojny?

– Bardzo – szepnęła Melanie. – Bardzo.

Patricia odłożyła książkę niecierpliwie, niemal z gniewem. Ten nagły gest zaalarmował Melanie.

Matka uniosła głowę. W błękitnych oczach miała wyzywające iskry. Melanie poczuła zimny dreszcz. O Boże, więc jednak piła.

Przecież ona nie jest z żelaza. Gnębi ją zbyt wiele demonów, za dużo tragedii...

Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać. Minęło dwadzieścia pięć lat, a rany jeszcze się nie zagoiły. Dlaczego?

– Nie jestem pijana – oznajmiła matka nieoczekiwanie. – Och, nic nie mów. Widzę, że tak myślisz. Ale nie piłam. To tylko... tylko jeden z tych dni.

– Więc wypijaś tylko jednego drinka zamiast czterech? – rzuciła Melanie, ostrzej niż zamierzała. Zagryzła wargę, ale nie mogła już cofnąć słów.

– Kochanie, mówię ci, że nie piłam...

– Więc gdzie byłaś przez cały dzień? Już prawie północ!

– Byłam w mieście.

– Gdzie „w mieście”? W jakim barze? Patricia wyprostowała się dumnie.

– Nie sądziłam, że przyjdzie mi się tłumaczyć przed własnym dzieckiem.

– Nie o to mi chodziło...

– Owszem, o to. Martwisz się, a kiedy się martwisz, usiłujesz matkować nam wszystkim. A my ci na to pozwalamy. Myślałam dziś o tym, jak bardzo oboje, ja i ojciec, polegamy na tobie. Jak bardzo ja na tobie polegam. Boże, doprowadziliśmy cię do tego, że mdlejesz z bólu. Co z nas za rodzice?

Podeszła bliżej, ujęła ją za rękę i spojrzała jej w oczy z niespodziewaną powagą. Melanie uciekła wzrokiem, zupełnie zbita z tropu.

– Och, Melanie – powiedziała matka przez łzy. – Gdybyś widziała samą siebie na rękach jakiegoś obcego człowieka... Byłaś taka blada, taka krucha... Po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, co ci robię. Byłam tak pochłonięta własnym bólem, problemami z Brianem, że nie przyszło mi do głowy pomyśleć o tobie. Wydajesz się taka silna... A ja po prostu czerpałam z ciebie tę siłę. Jesteś taka kochana, nigdy się nie skarżysz. Ale to niesprawiedliwe. W moim wieku nie powinnam być taka głupia. Boże, kiedy ja wreszcie zacznę żyć o własnych siłach?

Melanie otworzyła usta. Miała wrażenie, że powoli zapada się w bagno.

– Mnie... to nie przeszkadza.

– Ale powinno.

– Ale nie przeszkadza. Naprawdę.

– A ja ci mówię, że powinno! Melanie...

Patricia odetchnęła głęboko. Przez chwilę wydawała się niemal wściekła. Potem nagle się czegoś przestraszyła i straciła rozpęd, jakby coś się stało, a ona nie była jeszcze gotowa jej o tym powiedzieć.

Jezu Chryste, co się tu dzieje?

– Melanie – powtórzyła Patricia trochę spokojniej – czy kiedykolwiek przeżyłaś punkt zwrotny? Wiem, że masz dopiero dwadzieścia dziewięć lat, ale czy czułaś kiedyś, że stoisz na rozdrożu, że twoje życie nagle staje się beznadziejne i choć nie widzisz drogi i nie wiesz, dokąd idziesz, musisz zrobić następny krok? A od tego kroku zależy bardzo wiele. To jest Ten Krok.

Melanie czuła coś takiego od dwudziestu czterech godzin.

– Tak.

– To dobrze. – Matka splotła palce. Oczy jej płonęły. – Ja przeżyłam dziś taki punkt zwrotny. Zdarzały mi się już wcześniej, w końcu mam pięćdziesiąt osiem lat. I prawdę mówiąc, za każdym razem podejmowałam złą decyzję. Szłam w niewłaściwym kierunku. Cofałam się, zamiast iść naprzód. Ale zdaje się, że tym razem mi się udało. Dlatego, że pomyślałam o tobie.

– Mamo...?

– Trafiłam dziś do baru.

– O Boże, wiedziałam. Dlaczego? Co się stało?

– Nieważne. Więc poszłam do tego baru. Chciałam zamówić drinka. Byłam taka zdenerwowana, że pomyślałam: dlaczego nie? W końcu jak się już upadło, to nieważne, ile razy. Wszyscy działamy według schematu, a to jest mój schemat. Kiedy się boję, biegnę po gorzałkę. Kiedy jestem smutna i mam depresję, sięgam po butelkę. Ale potem pomyślałam o tobie, o tym, jak wczoraj wyglądałaś, taka bledziutka, a mimo to nie chciałaś nas martwić. Jak wszystko kryjesz w sobie, choć nie powinnaś. Jak mnie kochasz nawet wtedy, gdy robię te wszystkie idiotyzmy. Jak bardzo kochasz nas wszystkich, choć wiem, że bywamy okropni. I pomyślałam... pomyślałam, że nie mogłabym wypić tego drinka i spojrzeć ci potem w oczy. Nie mogłabym i tyle. – Jej spojrzenie złagodniało. – Melanie, czy wiesz, jak bardzo cię Kocham? Czy wiesz, że jesteś dla mnie błogosławieństwem? Przez ostatnie pół roku trzymałam się tylko dzięki tobie. Chyba bym nie przetrwała, gdyby cię nie było. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo mi jesteś potrzebna.

Melanie nie mogła wydobyć z siebie głosu. Trzymała dłoń matki, wzruszona ale, Boże, przebac, pełna podejrzeń. Matka nigdy dotąd tak do niej nie mówiła. W tej rodzinie nikt się tak nie zachowywał.

Znowu pomyślała o Larrym Diggerze. Może spotkał się z matką i to właśnie on tak ją wyprowadził z równowagi? Potem przyszło jej do głowy, że to trochę dziwne; rozmawiają o tym, jak bardzo się kochają, ale obie nie chcą się przyznać, co dziś robiły.

I przyszło jej do głowy, że życie jej rodziny polega na takich przemilczeniach. Na milczeniu, kryjącym szczęśliwe dni w Teksasie.

Matka puściła jej ręce. Podniosła stertę książek i odłożyła je z powrotem. Teraz, gdy powiedziała już to, co chciała powiedzieć, napięcie ją opuściło. Wydawała się spokojniejsza. Wykonała plan, przynajmniej na razie.

– W porządku – powiedziała pewnym głosem. – Skoro już ci tyle nagadałam, przynajmniej ci pomogę. Ojciec ma rację, za wiele pracujesz.

– Mamo?

– Tak, kochanie?

– Ja też cię kocham.

– Dziękuję – szepnęła Patricia i uśmiechnęła się błogo. Wzięła pierwszą z brzegu książkę i zabrała się do pracy.

Pół godziny później trzasnęły drzwi wejściowe. Ćwierknął alarm. Obie podskoczyły nerwowo i zarumieniły się. Harper wszedł do gabinetu, ubrany w zieloną szpitalną bluzę i spodnie, z jedną ręką za plecami, drugą kryjąc ziewnięcie. Zatrzymał się, zaskoczony. Najwyraźniej nie spodziewał się, że jeszcze nie śpią.

– Zobaczyłem zapalone światło. Co tu robicie? – Pocałował żonę w policzek, przytulił córkę.

– Czujesz się lepiej?

– O wiele – odparła, ale i tak sprawdził jej czoło i tętno. Po migrenach zawsze traktował ją jak pacjentkę.

– Lepiej – oznajmił. – Ale na razie musisz na siebie uważać. Masz, to ci pomoże. Chciałem wam dać rano, ale skoro dwie moje ulubione panie jeszcze nie śpią...

Wyjął rękę z za pleców i zaprezentował im niewielki bukiet i pudełko czekoladek. Cztery słoneczniki o fioletowo-brązowych płatkach. Wspaniałe kwiaty, sprzedawane tylko w jednej modnej kwiaciarni na Newbury Street. Podał je Patricii, która oblała się rumieńcem i spojrzała na męża prawie nieśmiało.

Ojciec najwyraźniej stara się nadrobić błędy, pomyślała Melanie z zadowoleniem. Nieźle mu idzie. Jej przypadło małe pudełko szampańskich trufli. Teuscher. Dwa razy w tygodniu sprowadzane prosto ze Szwajcarii. Przyjęła ten dar pokoju i od razu się poczęstowała.

Ojciec udał, że chce jej znowu sprawdzić tętno, i podkradł czekoladkę. Musiała się roześmiać. Impulsywnie chwyciła go w objęcia, a on, o dziwo, odwzajemnił ten uścisk.

– Powinnaś już iść do siebie – powiedział po chwili lekko ochrypłym głosem. – Musisz wypocząć.

– Skończymy jutro – dodała matka lekko. – Pomogę ci wieczorem i razem uwiniemy się szybciej niż sądzisz.

Melanie była zmęczona, ale zaraz przypomniała sobie o swoim pokoju. Pokoju z ołtarzem. Podczas gdy wszyscy spali, do jej pokoju wtargnęły duchy.

Spojrzała tęsknie na książki.

Ojciec wkroczył do akcji. Wziął ją pod rękę i zaprowadził razem z matką na piętro.

Wieczorne rytuały potoczyły się własnym torem. Ojciec nastawił alarm na drugim piętrze. Matka pocałowała ją w policzek. Ojciec ją uściskał. Melanie życzyła im dobrej nocy. Ojciec powiedział, żeby spała spokojnie. Melanie poinformowała, że o dziesiątej ma spotkanie. Ojciec oznajmił, że o jedenastej ma operację, matka – że o jedenastej jest umówiona w szpitalu pediatrycznym, gdzie ma czytać książki małym pacjentom. Początek nowego tygodnia w domostwie Stokesów.

Rodzice zniknęli w swojej sypialni. Melanie usłyszała jeszcze, jak ojciec pyta matkę, czy dzień minął jej dobrze. Patricia nie wspomniała nic o punkcie zwrotnym. Odparła tylko: „Tak, dobrze. A tobie?” „Też dobrze”. Pewnie kładli się teraz w osobnych łóżkach, wymieniali jeszcze jakieś grzeczności i zasypiali.

Melanie pomyślała o Davidzie Reese. Jak by to było, gdyby postanowił spać tylko po swojej stronie łóżka? Nie, to nie taki człowiek. Wydał się jej milczący, lecz pełen żywych emocji. Seks z nim byłby gorący i gwałtowny. Niewiele słów przed i po, ale pomiędzy...!

Coś drgnęło w jej brzuchu. Westchnęła. Żądza. Głód. Czysta seksualna frustracja.

Jestem samotna, pomyślała i uśmiechnęła się krzywo. Po co dłużej udawać, że moje życie jest idealnie szczęśliwe?

Weszła na drugie piętro. Zajrzała do pustej sypialni Briana. Dziś nie siedział w niej żaden włamywacz. Dopiero potem niechętnie poszła do łóżka.

Śniły się jej normalne koszmary. Była na pierwszym roku studiów, zdawała egzaminy końcowe i w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że zapomniała się przygotować. Nie rozumiała pytań. O Boże, nie potrafiła nawet napisać własnego nazwiska.

Potem znalazła się w szybie windy i spadała na dół.

I nagle była w domu dziecka, gdzie czekała niecierpliwie, aż Stokesowie ją zabiorą. Ale tym razem minęli ją bez słowa. Tym razem wybrali inną dziewczynkę o pięknych złotych lokach, i to z nią wyszli z sali.

„Nie! Nie! – krzyknęła przez sen. – Jesteście moją rodziną! Moją rodziną!”

W ostatniej chwili czternastoletni Brian odwrócił się i spojrzał na nią.

„Naprawdę myślisz, że nie można cię zastąpić? Spytaj Meagan, jak to jest”.

Dom dziecka zniknął. Biegła przez czarne tunele, zupełnie zagubiona, wzywając kogoś, kto ją obserwowałby wymienił jej imię. Nie mogła znieść tego, że nie zna własnego imienia. A czerń ciągnęła się przed nią, za nią, wszędzie...

Nagle znalazła się w ciepłych objęciach. Silne ramiona, niski głos.

„Ciii, maleńka, już dobrze, już dobrze. Jestem przy tobie. Zawsze będę przy tobie. Nawet kiedy zapomnisz...”

Poruszyła się. Wyszeptała przez sen imię.

Jeszcze nigdy nie była tak blisko prawdy.

Poniedziałkowy poranek. Patricia przyglądała się mężowi, pogrążonemu w lekturze „Boston Globe”. Doskonale wiedziała, w jakiej kolejności czyta gazetę: zaczyna od stron biznesowych, na których sprawdza akcje. W dobre dni uśmiecha się pod nosem, a w złe marszczy brwi, ale nigdy nic nie mówi, bo finansami zajmuje się sam. Potem przechodzi do stron towarzyskich, najpierw szukając wzmianek o sobie i szpitalu, potem czytając po kolei każdy artykuł. Po wieściach z Bostonu przechodził do wiadomości z kraju i ze świata, powoli rozszerzając krąg zainteresowań na sprawy niezwiązane bezpośrednio z nim samym.

Niegdyś powiedział jej, że trzeba być odczytanym, żeby móc prowadzić w pracy inteligentną rozmowę. Nigdy nie wyszedł poza to stwierdzenie, ale Patricia umiała czytać między wierszami. Harper pochodził z rodziny robotniczej. Jego rodzice nie dyskutowali na temat wieści ze świata, nie chodzili na przyjęcia, nie bratali się z politykami. Ich największym marzeniem było znalezienie dobrej pracy, żeby mieć później przyzwoitą emeryturę i móc spokojnie chodzić na ryby.

A Harper miał większe ambicje. Od zawsze ubierał się jak należy, dbał o dłonie i robił wszystko, żeby wyglądać bardziej arystokratycznie od prawdziwych arystokratów. I choć był studentem i z trudem wiązał koniec z końcem, nikt nie kwestionował jego pochodzenia.

Patricia uważała, że dbałość Harpera o pozory była ważna także dla niej, wychowanej w teksańskiej rodzinie potentatów naftowych. Przy nim nikt nie mógł jej zarzucić, że popełniła mezalians albo że Harper nie utrzymuje odpowiedniego poziomu. Miłość i pieniądze były dla niego nierozłączną całością.

A ona to szanowała. I podziwiała. Harper przedstawiał sobą typ człowieka, który dobrze znała: konserwatywny, twardogłowy, silny. Być może to dlatego tak bardzo go kochała. Choćby wyprawiał nie wiadomo co, ona wiedziała, czego się spodziewać. Jego wady były wadami jej ojca, jego zalety także. Tak samo okazywali miłość. Mąż nigdy jej nie zaskakiwał, a ona to doceniała.

Kiedyś, w dzieciństwie, wydawało się jej, że małżeństwo to róże, kolacje przy świecach i wieczny romans. Że mąż będzie zawsze urzekający i namiętny, a ona zawsze będzie śliczną szesnastolatką. Życie potoczy się samo, a ona nigdy nie poczuje się samotna ani przestraszona.

Oczywiście okazało się, że jest inaczej. Czasem, podczas złych dni, kiedy samo otwarcie oczu i wstanie z łóżka wydawało się zbyt wielkim wysiłkiem, dziwiła się, dlaczego jeszcze jest z Harperem. Jaka kobieta żyłaby z mężczyzną, który najpierw obsesyjnie o nią zabiegał, a teraz od lat jej nie dotykał? Jaka żona zostałaby z mężem, gdyby patrzył na nią tak, jak Harper tego dnia, gdy zidentyfikowano ciało Meagan – jakby była najobrzydliwszym stworzeniem na ziemi, jakby popełniła zbrodnię jeszcze gorszą niż zabicie małej dziewczynki?

W dobre dni zdawała sobie sprawę, że o to właśnie chodzi w małżeństwie – o przetrwanie. Przeżyli mimo wymagań zawodu Harpera, choć jego współpracownicy niemal bez wyjątku byli dawno po rozwodzie. Ich przyjaciele zdążyli już zawrzeć drugi związek, kiedy oni podjęli decyzję, by adoptować małą dziewczynkę. Wychowali dzieci. Posłali je do szkoły. Zadbaliby dobrze się im wiodło na drodze, którą sobie wybrały.

Ich małżeństwo nie było już idyllą. Przypominało raczej koleżeństwo, czego dzieci nie mogły zrozumieć – ale mieli też wspólne wspomnienia. Tak dobrze znali się nawzajem. Razem

się zmieniali. Dawno zaakceptowali swoje wady i słabostki.

Razem trwali. Po prostu.

Ostatnie sześć miesięcy z pewnością były kolejną próbą. Od sceny z Brianem Patricia przeżywała stany, o których nie mogła rozmawiać z mężem, a nawet z Melanie. Leżała bezsennie w łóżku, słuchając chrapania Harpera i myślała o butelkach dżinu, które wołały do niej z salonu. Marzyła o słodkim zapomnieniu, które wspominała jako ekstatyczne marzenie. Czasem schodziła na dół i patrzyła na portret Meagan – ślicznej, szczęśliwej Meagan, która ufała matce i która powierzyła jej swoje życie.

Potem, w tym krótkim okresie, kiedy poddała się urokom dżinu z tonikiem, znalazła się w okresie permanentnego szaleństwa. Budziła się o czwartej po południu i biegła do pokoju Briana, przekonana, że syn musi tam być, choć wyprowadził się z domu jako dwudziestopięciolatek. Otwierała wszystkie szuflady, szukała starych ubrań, które mogłyby przytulić do twarzy i poczuć jego zapach. A kiedy okazywało się, że w pokoju nie został żaden jego ślad, kiedy powoli do niej dotarło, że Harper usunął jej pierworodnego na dobre, panika podniosła swój brzydki łeb i wraz z alkoholem zaczęła pożerać ją żywcem.

Nagle poczuła rozpaczliwą potrzebę, by znaleźć Meagan. Meagan, kochanie, gdzie jesteś? Chodź do mamusi. Proszę, wróć do domu.

Obok niej w ciemnym pokoju Briana zmaterializował się policjant.

– Przynajmniej nie cierpiała, proszę pani.

Odcięto jej głowę! Cierpiała!

Z okna wyszedł agent FBI w niebieskim garniturze.

– Nie ma pani na to wpływu.

Nie powinnam jej zostawiać z Naną. Dlaczego mieliśmy tyle służących? Wreszcie spod łóżka wypełznął ogorzały szeryf, żujący wielki kawał tytoniu, żeby zatuszować fakt, iż przed chwilą wymiotował.

– No, przynajmniej już pani wie. Lepiej jest wiedzieć.

Moje dzieciątko nigdy nie wróci do domu. Moje dzieciątko nie ma głowy. Widzieliście, co on zrobił z jej rękami? O Boże, Boże, dlaczego ja jeszcze żyję? Dlaczego mnie ktoś nie zabije? Proszę, proszę, zabijcie mnie...

Dwadzieścia pięć lat później, zwinięta w kłębek na łóżku syna, przypominała sobie, jak siedziała na trawie na skraju lasu, w którym pracowali policjanci. Słyszała bzykanie much i smród rozkładu. Otwierała usta do krzyku, ale wychodził z nich tylko śmiech. Śmiała się, śmiała się, śmiała.

– To minie – powiedział Jamie. – To minie.

Ale nie minęło. Przez następne pięć lat trwała na marginesie życia.

Jak to szybko przeleciało... od wypchnięcia z siebie nowego człowieka do włożenia małego ciała do białej trumienki. Wieko zaraz zamknięto, bo z jej czteroletniej córeczki nie pozostało wiele. Od dobrej matki po wrzeszczącą wariatkę, odwracającą się od własnego syna, odmawiającą mu miłości, bo widok każdego dziecka rozdzierał jej serce. Od dobrej żony po niepokieszony ludzki strzęp. Odpychała nieśmiałe gesty Harpera widząc, że obwinia ją za to, co się stało z córką, ale usiłuje się z tym pogodzić. I zdała sobie sprawę, że już jej na niczym nie zależy.

Ogarnęło ją straszne zimno. Zamknęła się w sobie i z butelką dzinu w ręku objęła otaczającą ją mgłę. Żyła dla tej mgły, kochała ją. Ta mgła była najlepszym jej kochankiem. Wpadała z wdzięcznością w jej ramiona, rozprowadzała ją jak pianę po nagich, obolałych piersiach. Dni mijały leniwie, niezauważalnie, bez myśli, bez uczuć, bez życia. Nie mogła żyć. Gdyby żyła, ból byłby zbyt wielki.

Zabijcie mnie, zabijcie. Po co jeszcze żyję?

Ojciec żądał, żeby przestała pić. Mąż zaprowadził ją do kliniki odwykowej, jak zwykle szukając naukowego lekarstwa na emocje. Nic jej nie obchodziło. Nie chciała wiedzieć, co inni o niej myślą, nie interesowało jej, czego chcą. Nie zwracała uwagi na to, że jej syn zmienia się w ponurego, twardego małego faceta, niezdolnego do uśmiechu. Nie obchodziło jej nic na świecie.

Potem Harper, przepracowany, nieobecny duchem Harper wymyślił coś niespodziewanego. Postanowił się przeprowadzić do Bostonu, gdzie wspomnienia Meagan nie będą już torturować jej i Briana. I kiedy już odzyskała wiarę w niego i w ich małżeństwo, pokazał jej „Córeczkę Tatusia”.

Patricia spojrzała na Melanie tylko raz – na małą, poważną, błękitnooką Melanie – i nagle wszystko się zmieniło.

Znowu się zakochała. Lody pękły, mgła się rozstąpiła. Tak strasznie zapragnęła przytulić tę dziewczynkę, że poczuła niemal fizyczny ból. Zapragnęła się nią zaopiekować, zapewnić, że wszystko będzie dobrze. I z całego serca chciała ją chronić.

Pokochała Melanie dla niej samej. Pokochała w niej odwagę, z jaką znosiła nieznaną, za to, że usiłowała wszystkich rozśmieszać. Była silna. Była pełna życia. Była dobra. Była wszystkim, kim Patricia chciała być, a co jej się nigdy nie udało. Była ideałem Patricii Stokes.

Dla Melanie Patricia podniosła się z upadku. Dla Melanie znowu zaczęła kochać Briana, obdarzać go troską, której rozpaczliwie potrzebował. Dla Melanie oddała mu matkę. Dla Melanie zaczęła nawet kochać swojego męża, ponieważ akurat wtedy, gdy sądziła, że nic już ich nie łączy, podarował jej najwspanialszy prezent: drugą córkę i nadzieję na dalsze życie.

Tego wieczoru, gdy Melanie zamieszkała w ich domu, Patricia powoli zdjęła ubranie i po raz pierwszy od ponad pięciu lat wśliznęła się w ramiona męża. Harper ją przyjął, choć wiedziała, że od dawna miał inne kobiety. Nigdy jednak już nie było między nimi tak jak kiedyś.

Zrozumiała to po krótkim okresie fizycznego oszołomienia. Harper nie mógł jej już kochać. Nie wielbił jej tak jak na początku. Nie spoglądał na nią z pożądaniem.

Akceptował ją, opiekował się nią, ale nie mógł jej wybaczyć. W Teksasie wybaczeniem zajmowały się kobiety.

O proszę, już odłożył strony z notowaniami. Teraz czyta wiadomości z miasta. Przez chwilę mignęła jej jego twarz, którą знаła od trzydziestu ośmiu lat. Oczy nadal błękitne, szczęka mocna, włosy gęste i złote.

Nawet w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat wyglądał jak ten chłopak, który zawrócił jej w głowie i kazał zapomnieć o Jamiem O'Donnellu.

Wycięła kawałek miększu z grejpfruta.

Nawiedziły ją niechciane wspomnienia o teksańskich nocach, parnych i gorących, kiedy zdawało się im, że podbijają świat. Jamie był taki silny, Harper tak urzekający, a ona po prostu piękna.

Harper to piękne pozory i nic więcej, malutka. Ma obsesję na punkcie wyglądu, nie treści. Zaslługujesz na kogoś lepszego.

Jamie, on mnie rozumie.

Dlaczego? Bo się odpowiednio ubiera, robi sobie manikiur? Bo sprzedałby własną matkę za zaproszenie do wyższych sfer?

Właśnie, ukochany. Właśnie.

– Wybacz mi, Meagan – szepnęła nad grejpfrutem. – Wybacz mi. Harper opuścił gazetę.

– Co mówiłaś?

– Niepokoję się o Melanie. Natychmiast odłożył gazetę na bok.

– Za ciężko pracuje – powiedział poważnie. Zdrowie było jego domeną. Zawsze bardzo się martwił o Melanie, zwłaszcza kiedy miała migreny. – Musi zrobić sobie wolne.

– Chciałam jej pomóc – wyznała Patricia i wzruszyła lekko ramionami. Nie potrafiła skłonić córki do zmiany tempa, tak jak nie potrafiła do tego skłonić męża.

Harper jakby czytał w jej myślach.

– A gdybyśmy wszyscy zrobili sobie wakacje?

– Słucham?

– Mówię poważnie, Pat. – Pochylił się ku niej. – Zastanawiam się nad tym od wielu tygodni. Zawsze mówiłem, że kiedyś, jak odejdę na emeryturę, będziemy podróżować po całym świecie. Ale w końcu nie robię się młodszy. Jak my wszyscy. Może pora wreszcie iść za głosem serca? Zabierzemy dzieci i zjeździmy cały świat. Co ty na to?

Patricia zamarła. Drżącą ręką odłożyła srebrną łyżeczkę. Zjeździć cały świat? Tak po prostu? W najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że mąż mógłby zaproponować coś podobnego.

Spojrzała na niego nieufnie, szukając czegoś, czego nie potrafiła nazwać. Nie wiedziała, czy zdawał sobie sprawę, że ona nadal go kochała. Po tylu latach. Chociaż stawiał pracę przed rodziną. Chociaż spotykał się z głupimi smarkulami, a potem wracał do domu i całował ją w policzek. Zastanawiała się, czy wiedział, z jaką niecierpliwością oczekiwała dnia, w którym mąż odejdzie na emeryturę i znowu będzie należał do niej. Wtedy będą mogli odzyskać to, co było między nimi w te pierwsze upalne dni w Teksasie. Może spróbują sobie wybaczyć obopólne błędy, grzechy i żale. I zacząć od nowa.

Przecież mówi się, że na to nigdy nie jest za późno.

– Czy... odejdziesz ze szpitala?

– No, nie na zawsze.

Szybko schyliła głowę, żeby nie dostrzegł jej rozczarowania.

– A więc wakacje? Tydzień, dwa?

– Dłużej. Może cztery, może sześć miesięcy. Zaszaleję i poproszę o urlop.

Urlop. Znowu przykuł jej uwagę. Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy też wietrzyć jakiś podstęp. Ze wszystkich sił starała się wyglądać na zwyczajnie zainteresowaną.

– Naprawdę? Kiedy?

– W przyszłym tygodniu – oznajmił rzeczowo.

Na patio zapadła taka cisza, że Patricia prawie słyszała bicie swojego serca. W przyszłym tygodniu. Harper nigdy nie działał tak szybko. Nigdy nie brał urlopu.

O Boże, nie chodziło o Melanie ani o romans. On wiedział. On wszystko wiedział.

O wiadomości, którą znalazła w samochodzie po spotkaniu AA. W jej zamkniętym mercedesie z najnowszym alarmem. Na siedzeniu kierowcy.

Pięć słów wyciętych z jakiejś gazety. Prosty słów. Przejmujących dreszczem do szpiku kości.

„Dostajesz to, na co zasługujesz”.

W lodowatej chwili, gdy przeczytała tę wiadomość, serce zatrzepotało jej jak ptak w klatce. Nawiedziło ją okropne wrażenie, że przeszłość zlała się z teraźniejszością i wypadki toczą się własnym torem, a ona nie ma na nie wpływu. Nie rób jej krzywdy, zaczęła powtarzać bezgłośnie. Nie krzywdź Melanie. Tym razem byłam dobra. Przysięgam, przysięgam, zachowywałam się najlepiej jak mogłam.

– Pat? Co się dzieje? Myślałem, że się ucieszysz.

– Pół roku – wymamrotała, nie podnosząc oczu. – Gdzieś daleko stąd. Weźmiemy Melanie?

– Tak.

– A... Briana?

Harper zawahał się i powoli skinął głową. – Ale bez żadnego kochanka. Staram się, Pat. O Jezu, naprawdę się staram. Ale na to jeszcze nie jestem gotowy.

– Cała rodzina – powtórzyła. – Gdzieś daleko stąd. Ale, kochanie, będziesz im musiał dać czas na wypowiedzenie. Tydzień to za krótko.

Nie zmienił zdania.

– Skoro ja potrafię się wyrwać ze szpitala, to oni tym bardziej.

– Więc w przyszły piątek?

– Tak. W piątek.

Trzeba by się dowiedzieć czegoś więcej, pomyślała. Spytać, skąd ta nagła decyzja. Ale za bardzo się bała tego, co mogła usłyszeć.

– Dobrze, kochanie, dobrze. W drzwiach stanęła Maria.

– Przyszedł doktor Sheffield do pana doktora.

Harper wyraźnie się zdziwił, ale wstał i musnął policzek żony przelotnym pocałunkiem. Tego ranka Patricia postawiła swój bukiet na stoliku na patio. Harper dotknął fioletowego płatk.

– Wszystko się ułoży – powiedział cicho. – Zobaczysz.

Wyszedł. Patricia została sama nad niedojedzonym grejpfrutem. Nie potrafiła powiedzieć, co właściwie się wydarzyło. Te nagłe wakacje, właściwie bez powodu. Jej rozpaczliwa gotowość do współdziałania.

Tajemnice, pomyślała. Jej. Jego. A zeszłej nocy dotarło do niej, że Melanie także je ma. W jej spojrzeniu było zbyt wiele nieufności. Melanie zawsze była skryta. Czy naprawdę sądziła, że rodzice się nie domyślą?

„Dostajesz to, na co zasługujesz. Dostajesz, na co zasługujesz”.

Jezu Chryste.

Poczuła się strasznie zmęczona. Z trudem zdołała unieść łyżeczkę do ust. Życie znowu z niej uciekało. Oddech stał się płytki, urywany. Atak paniki. Można by pomyśleć, że w jej wieku można już sobie z tym poradzić. Ale ona tego nie potrafiła.

Ruszyła na poszukiwanie córki. Jeśli ją tylko zobaczy, jeżeli się przekona, że jej córeczka jest cała i zdrowa, nikt jej nie porwał, nie zamordował, wszystko będzie dobrze. Jeśli zdoła sobie udowodnić, że to teraźniejszość, a przeszłość już nigdy nie wróci...

Ale Melanie zniknęła. O wpół do jedenastej rano Patricia powlokła się do łóżka. Wiedziała, że powinna być silna. Dzisiaj się jej nie udało.

Melanie znowu zasnęła. Musiała się solidnie spieszyć, żeby wyrobić się na dziesiątą. Wbiła się w sukienkę, jednocześnie wyjaśniając Ann Margaret przez telefon, że dziś nie zjawi się w centrum. Nie czuje się dobrze. Może łapie ją grypa. Ann Margaret przyjęła jej tłumaczenie ze współczuciem: „Nie martw się, kochanie. Dobrze wypocznij, kochanie. Wiesz, jak się o ciebie martwimy”.

Zeszła na dół, czując się jak najgorszy padalec. Nienawidziła kłamać, a ostatnio za często się jej to zdarzało.

Wypadła z domu biegiem osiem minut po dziesiątej. David Reese czekał na nią po drugiej stronie ulicy, oparty o pień wiśni, ze skrzyżowanymi nogami. Na drapieżnej twarzy malowało się zniecierpliwienie. Wyglądał, jakby nie zmrużył oka przez całą noc, a ledwie otworzył usta, okazało się, że jest w podłym nastroju.

– To William Sheffield wszedł do waszego domu? – spytał tytułem powitania.

– Tak. Pewnie ma spotkanie z ojcem. – Walczyła z paskiem od torebki, uparcie spadającym jej z ramienia. David najwyraźniej miał już dość czekania. Oderwał się od drzewa i natychmiast ruszył szybkim krokiem.

– Zawsze się spotykają u was?

– Eee... nie, nie zawsze.

– Więc dlaczego dziś?

– Nie wiem. Usłyszałam tylko koniec ich rozmowy, kiedy weszli do gabinetu. William był zdenerwowany. Zdaje się, że ktoś wczoraj włamał się do jego domu.

David zatrzymał się gwałtownie.

– Do jego domu? Tak samo, jak do waszego?

Melanie pokręciła głową, domyślając się, o co mu chodzi.

– Nie, to na pewno nie ma nic wspólnego z naszym domem. William grywa w bingo, wiesz? Zdaje się, że znowu narobił sobie kłopotów i paru wierzycieli postanowiło wziąć sprawę we własne ręce. Tato mówił coś w tym stylu. „No, a czego się spodziewałeś? Idę o zakład, że włamywacz zostawił list”.

David chwycił ją za ramię. Powaga jego spojrzenia zbiła ją z tropu.

– List? Jaki list?

– Nie wiem. Tego nie usłyszałam.

– Czy William wspominał, że został okradziony? Skarżył się, że stracił jakieś pieniądze?

Melanie zrobiła wysiłek, żeby sobie przypomnieć. Nie przysłuchiwała się rozmowie ze szczególną uwagą.

– Wydaje mi się, że zaprzeczał. Powiedział, że wczoraj właśnie wygrał. Ale ojciec mu nie uwierzył. Powiedział, że jego budżet mówi sam za siebie.

– A ten list?

– Potem powiedział coś w tym stylu: „No, jeśli to był tylko wierzyciel, to po co zostawił list? Wierzyciele zabierają pieniądze, nie piszą poezji”. – Zamilkła na chwilę. – Mam wrażenie, że ojciec po prostu uspokajał Williama. I tyle.

David nie rozpogodził się, ale puścił jej ramię.

- Chciałbym się dowiedzieć, co było w tym liście.
- Dlaczego? Co mogło w nim być takiego ważnego?
- „Dostajesz to, na co zasługujesz”. Czy nie tak powiedział rozmówca Diggera?
- Och... – O tym nie pamiętała. Zastanawiała się przez chwilę i pokręciła głową.
- William jest tylko asystentem ojca. Ma dość własnych problemów.

David porzucił temat. Ruszyli dalej.

Dzień był ciepły i słoneczny. Na niebie ani jednej chmurki, na chodnikach ani jednego miejsca wolnego od turystów. Mężczyźni w swetrach oglądali wystawy Armaniego; studentki z przekłutymi pępkami siedziały w kawiarnianych ogródkach. Melanie i David przeciskali się przez tłum. Hotel Diggera znajdował się o kwadrans drogi od jej domu.

Po jakimś czasie Melanie zerknęła na swego milczącego towarzysza. David ubrał się na tę okazję w czarne spodnie i sportową marynarkę. Wyglądał dobrze. Nawet bardzo dobrze.

Przeszli jeszcze cztery przecznice, zanim Melanie poczuła, że dłużej nie zniesie milczenia.

- Wieczór był miły?
- Upojny.
- Dzisiaj mniej kulejesz.
- Szczęściarz ze mnie.
- Nie lubisz rozmawiać?
- Wychowałem się wśród mężczyzn. Nie odzywam się, jeśli nie mam nic do powiedzenia.
- Ano rzeczywiście. A co się stało z twoją matką?
- Rak.
- Bardzo mi przykro...
- Taa, jej też było.

Nie pozwoliła się zrazić.

– Więc masz ojca i...

– Brata. Młodszego. Stevena. Żonaty, dwoje dzieci, trener baseballu w Amherst. Dobry miotacz. Tak lepiej?

– Prawdziwa przemowa – zapewniła go i wydało się jej, że się prawie uśmiechnął.

Skręcili w Boylston Street, minęli Pru Center, w którym Stokesowie robili zakupy, oraz Shari Theater, gdzie niegdyś Melanie obejrzała całą trylogię „Gwiezdne wojny” za jednym podejściem. Już prawie widzieli hotel Diggera.

– Nie dzwoniłaś do niego, co? – upewnił się David.

– Oczywiście, że nie...

– I dobrze. Chcę go zaskoczyć, zanim zdoła wymyślić jakąś bajeczkę. Co z rodzicami? Co im wczoraj powiedziałaś?

– Nic...

– A brat? Odzywał się?

– Nie.

– Nawet nie zadzwonił? – spojrzał na nią zaskoczony. – Ależ jest opiekuńczy.

– Brian musi mieć swobodę. Zadzwoni, kiedy będzie gotowy. Na pewno.

– Zawsze dyplomatka, prawda? Spojrzała mu prosto w oczy.

– Nie krytykuj, zanim sam nie spróbujesz.

– Trafiony, zatopiony.

Stanęli pod Pierwszym Kościołem Scjentologicznym, tuż obok hotelu. Rozkrzyczane dzieci pluskały się w podłużnym basenie. Boże, jaki piękny dzień.

W chwilę później poszła za Davidem do hotelu „Midtown”.

W lobby hotelu było pustawo. Jakiś facet ukryty za gazetą, przemęczona matka z dwójką rozbrykanych dzieci. W recepcji siedziała niska, rezolutna ruda kobieta, której na widok Davida zaświeciły się oczy. Zadzwoiła do Larry’ego Diggera, jednocześnie śląc Davidowi powłóczyście spojrzenia.

Melanie doszła do wniosku, że nie lubi tej baby.

David ledwie zauważał rudą. W chwili przekroczenia progu hotelu zupełnie zmienił nastrój. Miał nieprzenikniony wyraz twarzy, oczy rejestrowały wszystko. Nawet stał inaczej – lekko pochylony, jakby w każdej chwili gotowy do biegu. Jest na służbie, zdała sobie sprawę Melanie. Przygląda się lobby, ludziom, wszystkim wyjściom. Przygotowuje się do spotkania z Larrym Diggerem.

Ruda odłożyła słuchawkę i wskazała im drogę, do ostatniej chwili czarując Davida, który oddalił się bez jednego spojrzenia.

Larry Digger czekał na nich w drzwiach pokoju, bardzo z siebie zadowolony. Na widok Davida wyraźnie się rozczarował.

– A to kto? – spytał.

– Pomocnik – odparł David. Wprowadził Melanie, zamknął drzwi mocnym kopniakiem i stanął, założywszy ręce na piersi.

– Cholera, to ten kelner. – Digger odwrócił się do Melanie. – Po coś go przyprowadziła? To sprawa między nami.

– Chcę obejrzeć pańskie dowody. Pan Reese zechciał mi towarzyszyć. Będzie pan mówić czy mam wyjść? – Przysiadła na brzeżku krzesła, wyraźnie dając do zrozumienia, że w każdej chwili może opuścić pokój.

Digger spojrzał markotnie na Davida.

– Czy on nie może przynajmniej zaczekać w korytarzu?

– Nie – odparł David, zanim zdążyła się odezwać.

Digger poddał się. Zaczął krążyć nerwowo po małym pokoju. Miał na sobie te same spodnie, co wczoraj, ale włożył świeżą koszulę. W pokoju nie było żadnych dowodów, tylko zniszczony marynarski worek i sterta notatników na nocnym stoliku. Na środku łóżka leżał magnetofon, otwarty i bez kasety.

– Może pan już mówić – rzuciła Melanie pogardliwie. – Oczywiście jeśli ma pan coś do powiedzenia.

Digger przestał krążyć po pokoju i rzucił jej wyzywające spojrzenie.

– Nie, nie tak to rozegramy. Chcesz dowodu, najpierw odpowiesz na moje pytania. Tak to będzie.

– Dlaczego? Na razie wcale nie wiem, czy warto panu wierzyć. Może wszystko pan zmyślił dla pieniędzy.

– A co, to grzech? Co ty powiesz? Mieszkasz w takiej rezydencji, niczego ci nie brakuje, wszyscy spełniają twoje zachcianki, a czym sobie na to zasłużyłaś? Co zrobiłaś, że masz prawo do takiego życia?

Melanie zacisnęła usta. Digger uderzył w czułe miejsce.

– Miałam szczęście – wycedziła. – Większe niż pan.

– I dlatego jesteś taka wyjątkowa? Wiesz co? Już cię nie potrzebuję. Rozmawiałem z lekarzem, który znalazł się wtedy w szpitalu. Wszedłem w kontakt z ludźmi z opieki społecznej, którzy się tobą zajmowali...

– Rozmawiałeś z Harperem i Patricia Stokes? – odezwał się David spod drzwi.

– Jeszcze nie, ale skoro Melanie nie chce współpracować... – Digger wzruszył ostentacyjnie ramionami. Oparł się o biurko i łypnął na nich chytrze. – Pod koniec tygodnia artykuł będzie gotowy – oznajmił. – Sprzedam go tej gazecie, która mi najwięcej zapłaci, z komentarzem panny Holmes lub bez niego. Takie jest dziennikarstwo lat dziewięćdziesiątych.

– Więc jednak chodzi o pieniądze. To właśnie chciałam wiedzieć. Żegnam, panie Digger, miłego dnia.

Melanie pokręciła głową z obrzydzeniem i wstała. Digger złapał ją za ramię. Nie powinien tego robić. W mgnieniu oka David znalazł się przy nim.

– I co mi zrobisz, kulasie? – warknął dziennikarz.

David skamieniał. Melanie poczuła, że jeżą się jej włosy na karku. David Reese był zły, zły i niebezpieczny. W tej chwili nie miała wątpliwości, że jest zdolny do wszystkiego.

Digger też to poczuł. Bardzo powoli podniósł obie ręce.

– Hej, hej, hej, coś nam się poplątało. Wszystkim nam chodzi o to samo. Na pewno dojdziemy do porozumienia.

David nieco odtajał, ale w jego spojrzeniu nadal czaiła się groźba. Digger zwrócił się do Melanie.

– Nie chodzi mi o pieniądze – oznajmił kwaśno.

– Akurat.

– Do diabła! Myślisz, że nie mam dość tych gównianych kawałków, które muszę pisać? Mam prawdziwy temat i mało mnie obchodzi, czy zniszczę twój świątek, czy nie. Zamierzam napisać wielki artykuł i nic na to nie poradzisz.

– Słucham – rzuciła Melanie opryskliwie. – Czekam na coś przekonującego.

Digger podszedł do szafki przy łóżku i wyjął z szuflady plik wymiętych kartek.

Chcesz prawdy, proszę bardzo. To historia Russella Lee Holmesa i kobiety, która urodziła mu dziecko.

– Skąd to wiesz? Skąd?

Digger milczał przez chwilę. Może chciwość walczyła w nim z dumą z dobrze wykonanego zadania. A może po prostu zastanawiał się, czy mają traktować jak równego partnera.

– Russell Lee Holmes miał na ramieniu tatuaż. Wszystko to jest w papierach z jego aresztowania. To był napis: „Śmieć kocha Anioła”. „Śmieć” to ksywka Russella Lee. Nikomu nie zdradził, kim jest ten Anioł, wyrwało mu się tylko, że to „żadna dziewica”. Na nieszczęście dla niego, gadał przez sen. O tym Aniele. I czasami rozmawiał z dzieckiem... ze swoim dzieckiem.

Zanim go posłali na krzesło, zacząłem szukać tej żony i dziecka. Chciałem się dowiedzieć, jak wyglądało życie z Russellem Lee. Zna się pani na pedofilach?

Pokręciła głową.

– Jest parę rodzajów. Można być takim, co naprawdę woli dzieci. Można się nim stawać w pewnych sytuacjach, kiedy dzieci są w pobliżu, choć ktoś dorosły też się nada. Ma to sens?

Skinęła głową, choć nie była pewna, czy coś tak ohydneho rzeczywiście może mieć sens. Larry Digger ciągnął z coraz większym ożywieniem, zadowolony, że może się pochwalić wiedzą.

– Pedofile przeważnie działają wtedy, kiedy nadarza się im dogodna okazja. Dziela się na cztery kategorie: tłumiący popędy, amoralni, bez wyraźnych preferencji seksualnych i niedostosowani społecznie. Facet tłumiący popędy będzie molestował własne dzieci, nie szukając innych. Za to amoralny nie ma żadnych oporów. Zgwałci własne dzieci, dzieci sąsiadów, a potem, tak dla draki, przeleci jeszcze własną żonę i żonę sąsiada. W ogóle nie ma sumienia, a wykorzystywanie dzieci jest dla niego wyłącznie rozrywką. Potem mamy faceta bez wyraźnych preferencji seksualnych. On też rzuca się na wszystko, co żyje, ale z innego powodu. Ma nudne życie seksualne, potrzebuje ryzyka, przygody. Co jest gorsze, Melanie? Wykorzystywanie własnych dzieci, bo są wobec ciebie bezbronne, czy dlatego, że akurat nie masz nic lepszego do roboty?

Nie czekał na odpowiedź. Całkiem słusznie. Melanie nagle zaczęła się domyślać, dokąd zmierza Digger i zrobiło jej się niedobrze.

– Czwarty rodzaj to niedostosowany społecznie. Samotnik, prawdopodobnie nie ma związku z żadną osobą dorosłą, w którym mógłby realizować swoje potrzeby, więc w końcu wabi do siebie dzieci, z którymi łatwo nawiązuje kontakt, ponieważ nie mogą mu zagrozić, a on wie, że jest mięczakiem i nie stać go na wiele. Więc tak, to by były cztery rodzaje zbrodni. Chcecie zgadnąć, do której należy Russell Lee Holmes?

– Jest amoralny – powiedział David bez wahania. – Nie ma sumienia, nie czuje skruchy. Nie wyraził żalu nawet siedząc na krześle elektrycznym.

Digger pokiwał głową z uznaniem. Spojrzał Melanie prosto w oczy.

– Jest jeszcze jedna cecha charakterystyczna takiego gada, ot, mała słabostka. Nie tylko wykorzystuje własne dzieci, ale je płodzi tylko po to, żeby mieć je w zapasie. Przygotowuje sobie ofiary. I ma do nich pełny dostęp, należący się takiemu nadczłowiekowi jak on. Chcę odnaleźć żonę Russella Lee Holmesa. Chcę się dowiedzieć, co taka kobieta czuje, kiedy zrozumie, że była tylko łonem, które wydało ofiarę. Czy teraz pani rozumie, dlaczego matka panią porzuciła, panno Holmes? Dlaczego została pani wysłana z Teksasu przy pierwszej okazji? Dlaczego rodzona matka nigdy nie zainteresowała się pani losem? Rozumie pani, dlaczego została pani spłodzona?

Melanie poczuła, że trudno jej oddychać. W głębi czaszki odezwał się pulsujący ból, zapowiedź nowej migreny. Przed oczami znów pojawiły się cienie, odsłaniające czas i miejsce, którego nie chciała widzieć. Drewniana szopa. Mała dziewczynka, przyciskając do piersi ukochaną zabawkę, patrzyła wprost na nią, jeszcze nie wiedząc, jaki spotka ją los.

– Ciągłe nie dostałam dowodu – odezwała się ochryple. – Ustalił pan, że Russell Lee Holmes był uosobieniem zła. Rozumiem. Jego żona miała powód, by oddać dziecko do adopcji. Także rozumiem. Ale jeszcze nie usłyszałam nic, co by mnie przekonało, że jestem tym dzieckiem. Niby jak biedna kobieta z Teksasu miałaby wysłać swoje dziecko do szpitala w Bostonie?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Ale mam coś innego. Odnalazłem akuszerkę, która miała zaszczyt odebrać poród Baby Doe, dziecka samego Russella Lee Holmesa. Oczywiście wtedy nie wiedziała, z kim ma przyjemność. Ciekawe, że Russell Lee występował pod przybranym nazwiskiem, jeszcze zanim przystąpił do swoich brudnych sprawek. No, ale kiedy wszystkie gazety zamieściły jego zdjęcie, kobieta wszystkiego się domyśliła. I gdy się zastanawiała, czy powinna coś o tym wspomnieć, w jej mieszkaniu pojawił się pewien mężczyzna. Zaofiarował jej

spora sumę za milczenie. Powiedział, że jeśli kiedykolwiek coś piśnie, on wyciągnie konsekwencje. Bardzo poważne konsekwencje. Facet robił wrażenie kogoś, z kim lepiej nie zaczynać. Więc akuszerka się zgodziła. Nie wzięła pieniędzy – za bardzo się ceni i tak dalej – ale nigdy nikomu nie pisnęła ani słówka. Tożsamość dziecka Russella Lee pozostała nieznana nikomu długo jeszcze po śmierci.

Digger uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Tym facetem był Jamie O'Donnell. I co ty na to? Jeśli to nie ma z tobą nic wspólnego, dlaczego twój ojciec chrzestny tak się przejmuje losem bachora, śmiecia? Dlaczego nachodzi jakąś biedną kobiecinę i straszy ją nie wiadomo czym, jeśli komuś wypaple? Co ty na to?

Gardło jej się ścisnęło. Nie znalazła odpowiedzi.

– Czy... rozmawiałeś z Jamiem? Spytałeś go o to?

– Miałem go pytać? Kobieto, o czym ty mówisz? Ten człowiek handluje bronią. Ma kontakty, jest niebezpieczny. Za cholerę się do niego nie zbliżę.

– Co?!

Larry Digger spojrzał na nią podejrzliwie.

– Czy ty w ogóle znasz swoją rodzinę?

Melanie wpatrywała się w niego tępo. Jamie importował drobne upominki. Drewniane szkatułki z Tajlandii, figurki i tak dalej. Dużo podróżował. To wszystko.

– A co z tym „Aniołem”? – odezwał się David. – Znalazłeś ją?

– Nie. Jak powiedziałem, posługiwała się fałszywym nazwiskiem i imieniem. Pytałem o jej wygląd, ale akuszerka nie pamiętała zbyt dokładnie. Russell Lee nie zostawił żadnych dokumentów, nawet jego prawnik nic nie zdradził. Tajemnica zawodowa. Spojrzał na Melanie.

– Musiałaś spędzić przynajmniej parę lat ze swoją prawdziwą matką. Wiem, że coś jest nie tak z twoją pamięcią, ale matka to matka. Musiałaś gdzieś zachować jej wspomnienia. Może potrzebujesz hipnozy, regresji czy co tam jeszcze, żeby ją sobie przypomnieć. I co powiesz na taki artykuł? Chcesz poznać swoją prawdziwą matkę? Prawdziwe imię? Będzie fajnie, zobaczysz.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Zamówiłem śniadanie – wyjaśnił Digger. – Lepiej nie wchodzić między głodnego mężczyznę a jajecnicę.

David zrobił krok ku Melanie. Digger otworzył drzwi. Rozległy się dwa suche trzaski, jakby pękających foliowych toreb. Digger osunął się na podłogę z krwawą plamą na piersi.

Melanie spojrzała na ciemnowłosego mężczyznę w za obszernym hotelowym uniformie. Trzymał w ręku duży pistolet.

Lufa uniosła się w jej stronę.

– Padnij! – ryknął David, skoczył i przewrócił się razem z nią na podłogę. Pociągnął ją za łóżko. Jeszcze dwa trzaski. Kule świsnęły im nad głowami.

Dawid sięgnął pod swoją ładną sportową marynarkę i wyciągnął pistolet.

– FBI! – wrzasnął. – Rzuć broń!

Broń Davida wystrzeliła z ogłuszającym hukiem. Zaraz potem jedna kula przeleciała tuż koło ucha Melanie, która wzdrygnęła się i cofnęła w najdalszy kąt. Broń Davida huknęła jeszcze raz.

– Na trzy! – rzucił David.

– Co? – Prawie go nie słyszała przez dzwonienie w uszach.

– Uciekaj, jak doliczę do trzech! Dwa trzaski.

– Raz. Dwa. Trzy!!! – David wyprostował się i zaczął strzelać. – Już, już, już!!!

Pierwsze dwa kroki Melanie zrobiła na czworakach; dopiero potem zdołała się podnieść. David, nie przestając strzelać, popchnął ją jedną ręką. Wskoczyła zza łóżka.

Napastnik uciekał już korytarzem, ciągnąc za sobą strugę krwi. Zabrał ze sobą notatki Diggera.

Melanie pobiegła w przeciwnym kierunku. David następował jej na pięty.

– Wszyscy padnij! On ma broń! Włączyć alarm, włączyć alarm! Ludzie padali na podłogę płasko jak naleśniki. Dwie kobiety zaczęły krzyczeć. Melanie wypadła z hotelu na zalaną słońcem ulicę.

Parę kroków dalej silne ramię chwyciło ją w talii. Wrzasnęła; napastnik zakrył jej usta ręką i wciągnął w pierwsze drzwi. Zaczęła gorączkowo szukać gazu.

– To ja, do cholery, to ja! Uspokój się! – David był bardzo blady. Włosy jeżyły mu się, mokre od potu. Nie zauważyła, żeby był ranny, ale oddychał z trudem i robił wrażenie cierpiącego. Może uskakiwanie przed kulami i strzelanie do bandytów, nie było najzdrowsze dla jego pleców. Jeśli te plecy naprawdę go bolały. Jeśli naprawdę nazywał się David Reese.

Usiłowała go odepchnąć. Chwycił ją mocniej.

– Kim jesteś? Co robisz? – wrzasnęła, ciągle z nim walcząc.

– Usiłuję cię sprowadzić z linii ognia – warknął. – Myślisz, że taki typ nie strzeliłby w plecy? Prawie zdołała się uwolnić. Tylko prawie.

– Nie znam się na „takich typach”! Nigdy do mnie nie strzelali!

– Do mnie też nie, więc zamknij się na chwilę i daj mi pomyśleć.

Na ulicy zaczęło się zamieszanie: krzyki, ryk klaksonów, pisk opon. Napastnik pewnie wybiegł tylnym wyjściem z hotelu. Po chwili David rozluźnił chwyt i wyjrzał na ulicę.

– Cholera! – Odwrócił się do niej ze złością. – Nie wiesz, kto to był?

– Nie! – rzuciła. Skorzystała z okazji i znowu się szarpnęła. – Puszczaj, do diabła!

– Jezu. – Rozluźnił chwyt. Jednocześnie zasłonił jej usta ręką. Kiepski pomysł. Ugryzła go bez namysłu. Tym razem naprawdę ją puścił, ale oczy błyszczały mu niebezpiecznie.

W oddali wreszcie rozległy się policyjne syreny; zza zakrętu wypadły dwa radiowozy.

– To był ten gość z gazetą – wyjawiał David niechętnie. – Widział, jak weszliśmy do pokoju Diggera i zamiast zrezygnować, przyszedł za nami. Dlaczego, do diabła?

– Naprawdę jesteś z FBI?

– Tak.

– Okłamałeś mnie!

– No więc się zemściłaś, bo ten gość nie strzelał ślepakami. Pora, żebyśmy sobie porozmawiali. I zaczniemy od pełnej listy wszystkich, którzy życzą ci śmierci.

David zabrał ją do pokoju Diggera, w którym roiło się od policjantów. Przedstawił się im jako agent specjalny David Riggs z bostońskiej filii FBI i natychmiast zaczął zasypywać ich pytaniami. Całkiem jakby codziennie kelnerzy okazywali się agentami w przebraniu.

Melanie nie mogła oderwać oczu od Diggera. Miał w piersi wielką dziurę. Krew była wszędzie. Przez jej zapach, żelazisty i ciepły, przebijał odór fekaliiów i uryny. David wyjaśnił, że podczas agonii jelita rozluźniają się i pozbywają zawartości. Tego nie wiedziała.

Przybył detektyw z wydziału zabójstw. Miał dwurzędowy garnitur, zaczesane do tyłu kruczoczarne włosy i gładko wygoloną twarz. Przedstawił się jako detektyw Jax. Wyglądał jak aktor z kiepskiego filmu o policjantach. Zmierzył Melanie przeciągłym spojrzeniem od stóp do głów, zaproponował jej krzesło i kubek wody, po czym przeszedł do rzeczy.

– Dziewięć milimetrów – wyjaśnił Davidowi, wydłubując scyzorykiem pociski ze ściany. Wrzucił je do plastikowej torebki.

– Beretta – odparł David. – Bardzo charakterystyczny dźwięk. Jax wskazał na szlak czerwonych plam na podłodze.

– Jego?

– Trafiłem go w rękę. To mu trochę przeszkodziło, choć nie bardzo. Twardy sukinsyn. Tego właśnie nie lubię w zabójcach.

Jax wyszczerzył zęby. Pozbierał wszystkie kule i zajrzał do otwartego worka Diggera.

– Dwie pary slipów, brudnych. Dwie białe koszule, właściwie nie całkiem białe. Trzy nienaruszone butelczyny whisky. Widzę, że facet wiedział, co jest dla niego ważne.

– Wydawał się całkiem trzeźwy. – David skinął głową w kierunku pustej szafki przy łóżku. – Napastnik zabrał notatki Diggera. Nie było to łatwe przy trwającym ostrzale, więc podejrzewam, że na tym polegała jego misja. Dwa trupy i informacje.

– Dwa? – odezwała się Melanie. – Dlaczego? Tylko Digger zginął.

– Recepcjonistka powiedziała, że zabójca siedział tu wczoraj przez cały dzień – wyjaśnił jej David. – Myślała, że czeka na jakiegoś gościa. Dziś rano znowu się pojawił. A zatem od jakiegoś czasu obserwował Diggera. Widział, że do niego idziemy, po czym, jak twierdzi recepcjonistka, wstał, zadzwonił z telefonu komórkowego i zniknął w piwnicy, gdzie musiał przechowywać hotelowy uniform.

Melanie patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Detektyw wydawał się równie zaniepokojony.

– Facet wszedł do pokoju wiedząc, że jesteście tam we troje?

– Nikt się nie spodziewał, że jestem z FBI – wyjaśnił David rzeczowo. – Nikt też się nie spodziewał, że przyjdę. Podejrzewam, że zabójca zadzwonił właśnie w tej sprawie. Nie wiedział, czy ma działać w obecności trzeciej osoby.

– Ponieważ dostał zamówienie tylko na Larry'ego Diggera i Melanie Stokes.

– Ktoś mu pewnie powiedział, że Melanie wcześniej czy później musi się skontaktować z Diggerem. Dlatego czekał. Dwoje w cenie jednego. Nie tylko u nas ludziom zależy na wydajnej pracy.

Detektyw Jax pokręcił głową. Żuł wykałaczkę z takim napięciem, jakby to był ostatni papieros skazańca.

– Musiał się spietrać, kiedy się dowiedział, że jesteś z Biura. Tego się nie spodziewał.

David pozwolił sobie wreszcie na cień uśmiechu.

– Tak mi się wydaje. Może to jedyna dobra wiadomość tego dnia.

Zerknął z ukosa na Melanie. Zrozumiała. Dobry, stary David Riggs nie mógł odżalować straty świetnego incognito. Teraz musi jej wyjaśnić, dlaczego podszywał się pod kelnera. To będzie bardzo ciekawa rozmowa. Już się nie mogła doczekać.

– No tak – odezwał się Jax. – Mam nadzieję, agencie, że się nigdzie nie wybieracie, bo ta sprawa należy do nas i mamy mnóstwo pytań.

– Ja też prowadzę sprawę.

– Dlatego moje pierwsze pytanie...

– Nie teraz.

– Wcześniej czy później...

– Więc zgódźmy się na później, dobrze?

Wymienili zimne spojrzenia. Wreszcie detektyw Jax uznał się za pokonanego w pierwszej rundzie, wzruszył ramionami i przesunął wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi.

Dopiero teraz obaj raczyli zwrócić uwagę na Melanie. Wyprowadzili ją z pokoju, żeby fotograf mógł przystąpić do pracy. Ktoś w białym fartuchu rozwinął taśmę mierniczą między ciałem Diggera a otwartymi drzwiami. Przybył koroner i rozpoczęły się wstępne badania. Śmierć angażuje duży zespół ludzi, pomyślała Melanie.

– Proszę pojechać z nami do miasta – zwrócił się do niej detektyw Jax. – Chcielibyśmy, żeby pani opisała napastnika. Musimy zrobić portret pamięciowy. Zgłosimy się z nim do miejscowych lekarzy. Może ten gość będzie chciał zadbać o rękę.

– Chcę do domu – oznajmiła twardo.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

– O tym porozmawiamy na posterunku – powiedział David, sięgając po jej rękę.

– Nie sądzę. O ile mi wiadomo, nie jestem aresztowana, co oznacza, że mogę robić, co chcę.

A chcę wrócić do domu.

– Melanie, wysłuchaj mnie...

– Mam cię słuchać? Ciebie? – Gniew zaczął ją ponosić. – Nawet nie wiem, kim jesteś! I dlaczego znalazłaś się w moim domu. Wiedziałaś już wcześniej o Diggerze? Myślałaś, że się pojawi? A może chodziło o coś więcej? Boże... czym ty się naprawdę zajmujesz? Wykorzystałaś mnie! David zdołał chwycić jej rękę.

– Jedziemy, Melanie.

– Nie, nie...

Złapał płaszcz, narzucił go dziewczynie na głowę i powlókł ją do policyjnego samochodu. Nagle wokół wybuchło piekło: trzask aparatów fotograficznych, głosy dziennikarzy.

– Macie jakieś poszlaki?

– Czy to sprawa związana z mafią?

– Czy to świadek? Podejrzana? Prosimy o oświadczenie.

– Pochyl głowę – odezwał się David cicho. – Wsiadaj.

Wepchnął ją na tylne siedzenie i samochód ruszył z miejsca. Odprowadzały ich kamery telewizyjne.

Więc Larry Digger wreszcie się doczekał, pomyślała Melanie. W końcu znajdzie się na pierwszych stronach gazet.

Tylko się przebiorę i pozbieram rzeczy – oznajmił David jakieś pięć godzin później, wchodząc do mieszkania i rzucając klucze na kanapę. Melanie zatrzymała się w progu, nadal tak wściekła, że wołała się nie odzywać. Miała ochotę obedrzeć go żywcem ze skóry. A jeszcze lepiej wysmarować miodem i zostawić w mrowisku czerwonych mrówek.

Gdyby nie była taka wściekła, pewnie musiałaby się bać.

– Jest pani celem wynajętego zabójcy. Co więcej, widziała go pani, więc na pewno nie odpuści. Jeśli pani wróci do swojej rezydencji, po prostu nie możemy zagwarantować bezpieczeństwa.

Agent specjalny Riggs, który najwyraźniej uczył się wrażliwości od zmurszałego pnia, oznajmił, że będzie jej pilnował. Wstąpią tylko do jego mieszkania i zabrają parę rzeczy. Kupią też jakieś rzeczy dla niej. Zatrzymają się na noc w hotelu. Problem z głowy.

Detektyw Jax nawet na nią nie spojrział. Powiedział, że jeśli FBI chce wyrzucać pieniądze, to niech wyrzuca.

– Nie jest to może luksus – wymamrotał David, podnosząc z podłogi rozmaite fragmenty garderoby. – Rzadko tu bywam.

– Kto by pomyślał – wycedziła jadowicie.

Trudno było odgadnąć, jakie meble stoją w mieszkaniu, bo wszystko ginęło pod stertami ubrań, gazet i luźnych kartek. Na podłodze zalegała warstwa zmiętych w kulki serwetek. Stół w jadalni przykrywały nieprzeczytane listy. Spod góry dokumentów na starym dębowym biurku wyglądał kawałek laptopa. Wszystko w tym mieszkaniu było odrapane, brudne i na ostatnich nogach.

Za to na ścianie wisiały dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało park Fenway w nocy, drugie jakiegoś faceta w staroświeckim stroju do baseballu. A koło magnetowidu leżały cztery filmy o baseballu. Można powiedzieć, że mieszkanie jednak miało jakiś styl.

Melanie pociągnęła podejrzliwie nosem i zrobiła krok do tyłu.

– Poczekam na zewnątrz.

– Nie spodziewałem się gości – warknął David i podniósł drugi ręcznik. – Zamknij drzwi i daj mi chwilę. Nie jest tak źle, jak wygląda.

– Nie sądziłam, że coś takiego jest możliwe. – Ale posłusznie weszła do mieszkania i zamknęła drzwi. Nie było to najlepsze rozwiązanie. Nagle znalazła się w ciemności. Żołądek wywrócił się jej na lewą stronę. Znowu zobaczyła zakrwawione zwłoki Larry’ego Diggera.

Odsunęła żaluzje, usiłując wpuścić do środka trochę światła. David natychmiast stanął obok niej i z powrotem zasłonił okno.

– Nie słuchałaś, co ci mówili, czy jak?

– Tu nic nie ma, same drzewa.

– Właśnie. Ktoś może siedzieć na gałęzi i czekać z karabinem.

– Proszę otworzyć żaluzje, agencie, albo zaraz zwymiotuję.

Obrzucił ją zniecierpliwionym spojrzeniem, które po chwili złagodniało.

– Coś ci jest? – spytał niezręcznie, jakby nie umiał się o nikogo troszczyć.

– Przestań – warknęła. – Nie udawaj takiego dobrego.

– Nie udaję!

– Akurat! Okłamałeś mnie. Nie chcesz mi powiedzieć, co się dzieje, i nie pozwalasz mi wrócić do domu.

– Nie jestem twoim wrogiem! Jezu, przed chwilą strzelałem w twojej obronie!

– W mojej obronie! Ha! Chodziłeś za mną i przez cały czas miałeś w tym własny cel. – Dziabnęła go palcem w pierś. Zaczynała ją ponosić. – Zechciej mi coś wreszcie wyjaśnić. Dlaczego pojawiłeś się w moim domu? Kim naprawdę jest ten tak zwany detektyw Cheney? Jaką to sprawą się zajmujecie i co się dzieje, do stu diabłów?

– Nie wiem. Niech mnie cholera, nie wiem. – W oczach błysnęło mu ostrzegawcze światełko.

Melanie nie przestraszyła się. Podeszła bliżej, podniosła głowę wysoko. Miała ochotę walczyć. Chciała działać, byle tylko uciec od strachu i bezradności.

I chciała z niego wykrzesać jakąś reakcją. Lubiła kelnera Davida Reese'a. Wydawał się jej wspaniałym sprzymierzeńcem, a ostatnio miała bardzo niewielu sprzymierzeńców.

„Jeśli to nie ma z tobą nic wspólnego, dlaczego twój ojciec chrzestny tak się przejmuje losem bachora Śmiecia?”

David odwrócił się plecami.

– Muszę się pozbyć tych ciuchów – rzucił szorstko. – Ty też pewnie chcesz się przebrać. Później coś zjemy, a dopiero potem będziemy gadać.

– Odpowiesz na moje pytania? – zawołała za nim.

– Jeśli będziesz pytać grzecznie.

– Mam prawo być tak niegrzeczna, że sobie nawet nie wyobrażasz...

– Co ty powiesz – mruknął, znikając w sypialni. Parę minut później wyłonił się z niej, w dżinsach i szarej bluzie z podwiniętymi rękawami. Miał rozczochrane włosy i lekki zarost, dobrze pasujący do ponurego spojrzenia.

Nie wyglądał już jak agent FBI, lecz jak mężczyzna z krwi i kości. Żyłaste, muskularne ręce, szeroka pierś, wąskie biodra, zaciśnięte szczęki. Zawsze opanowany. Działa tylko według własnych zasad. Lubi niewiele osób. Kocha jeszcze mniej.

Do diabła, aż za dobrze znała ten typ. Ojciec kierował jej życiem, Brian się nią opiekował, William ukrywał swoje tajemnice. I jej ojciec chrzestny...

David zrobił krok w jej stronę. Zauważyła, że kuleje i stara się to ukrywać. Miał kamienny wyraz twarzy i zaciśnięte pięści. Nawet cierpiąc nie zamierzał się odsłonić. Nawet cierpiąc agent specjalny Riggs odsuwał ją od siebie.

Rzucił jej dres.

– Przebierz się. Ja zamówię pizzę.

Skinęła głową i, ku swemu przerażeniu, wybuchnęła płaczem.

David przyniósł dużą pizzę pepperoni i dwie sałatki od „Papy Gino” na rogu. Wrócił w niespełna pięć minut. Usiedli przy stole, wyłonionym spod sterty gazet.

Melanie jakby się skurczyła. Jej drobna sylwetka ginęła w jego starych czarnych spodniach od dresu i czerwonym podkoszulku.

Atak płaczu najwyraźniej ją zawstydził. A jego przeraził jak diabli. David nie wiedział, co się robi z płaczącą kobietą. Cholera, nie wiedział nawet, gdzie podziąć oczy. Czuł się kompletnie bezsilny, i to od chwili, gdy przywiózł Melanie do swojego mieszkania i zdał sobie sprawę, że

nie pamięta, kiedy ostatnio spotkał się tu z jakąś kobietą. Dawno temu... kiedy jeszcze mógł spać przez całą noc bez ataków bólu. Żaden mężczyzna nie chce się dzielić z kobietą takim doświadczeniem.

Przez dziesięć minut jedli w zupełnym milczeniu.

Przerwała je Melanie.

– Dobrze. Zaczynaj.

David niespiesznie przelknął kęs pizzy.

– Pytaj. Odpowiem, jeśli będę mógł.

– A, świetnie, od razu widać, że będziemy rozmawiać szczerze. Wyszczrzył zęby.

– Jestem z FBI. Wszyscy wiedzą, że umiemy porozumiewać się jasno i prosto.

Zacisnęła usta z dezaprobatą.

– Naprawdę jesteś z FBI?

– Tak.

– Naprawdę masz artretyzm? Zacisnął szczęki.

– Tak.

To ją zaciekało.

– Im to nie przeszkadza?

– Wywiązuję się z obowiązków.

– Ale są przecież egzaminy...

– Zdałem.

– Czy inni agenci nie boją się współpracy z kimś, kto...

– Lubię myśleć, że moja olśniewająca osobowość liczy się dla nich bardziej.

Przewróciła oczami.

– Więc czym się zajmujesz?

– Eleganckimi przestępstwami.

– Czyli oszustwami finansowymi, bankowymi, praniem brudnych pieniędzy?

– Mniej więcej. Sam urok.

– Rozumiem. – Spojrzała na niego chłodno. Wydało mu się, że widzi w jej oczach instynkt mordercy. – A ta historia, że byłeś policjantem i dostałeś artretyzmu... to bajeczka, żeby zyskać moje współczucie i łatwiej mną manipulować?

– Musiałem cię skłonić, żebyś pozwoliła sobie pomóc...

– Dlaczego nie powiedziałeś prawdy? Czy w FBI tego nie wolno?

– Owszem. Właśnie o to chodzi. Pochyliła się ku niemu.

– A ten detektyw Chenney? Też jest z FBI?

– Tak.

– A to przedstawienie w moim pokoju? Zbieranie dowodów, pytania, na które musiałam odpowiadać...

– Dowody są w laboratorium, informacje w aktach. To prawdziwe dochodzenie. Chcę ci pomóc.

Omam nie roześmiała się mu prosto w twarz.

– Więc powiedz, co robiłeś w moim domu. Wykrztuś to wreszcie.

Ugryzł kawałek pizzy. Sięgnął po kubek.

– Prowadzę śledztwo w sprawie doktora Williama Sheffielda – oznajmił. Miał nadzieję, że Melanie nie jest już lojalna wobec człowieka, który ją zdradził. – Kłopoty z hazardem sprawiły, że zaciągnął pożyczki z bardzo wątpliwych źródeł i obudził nasze zainteresowanie.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

– Więc dlaczego przyczepiliście się do mnie?

– Bo coś cię z nim łączyło. Nie wiedziałem, jak wyglądają wasze stosunki. Potem wyszłaś z domu z facetem z zupełnie innej bajki.

– Myślałeś, że mu oddaję długi za Williama? Daj spokój. Nie podałam mu szklanki wody na pustyni.

– Oczywiście.

Wyprostowała się. Uznał, że pierwszą rundę zakończył zwycięstwem, bo gniew zniknął z jej twarzy. Była zdezorientowana, niespokojna, ale już nie wściekła.

– Skoro śledziłeś Williama, dlaczego wplątałeś się w moją sprawę?

– Sądzę, że twoje życie jest w niebezpieczeństwie.

– Sądzę, że masz rację. Ale dlaczego?

– Zacząłem badać sprawę Russella Lee Holmesa. Z czystej ciekawości złożyłem także zamówienie na akta Meagan Stokes. Nie dostałem jeszcze wszystkich dokumentów, ale z samych artykułów w gazetach wynika, że bardzo wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Na przykład, czy wiedziałas, że Russell Lee nigdy nie został skazany za zamordowanie Meagan Stokes?

– Co?

– Przyznał się tylko do sześciu morderstw pierwszego stopnia. Policja nigdy nie oskarżyła go o siódme, ponieważ nie istniały żadne fizyczne dowody, łączące go z tą zbrodnią. Twój brat ma rację: ten konik, strzęp materiału... Wtedy ich nie znaleziono. Więc skąd pochodzą? Kto przechowuje przez dwadzieścia pięć lat zabawkę zamordowanego dziecka?

Jej oczy stały się wielkie i okrągłe.

– Myślisz, że mordercą Meagan Stokes jest ktoś inny?

– Może tak, może nie. – Wzruszył ramionami. Dźgnięcie bólu zmusiło go do przygarbienia się. – W sprawie Meagan była mowa o żądaniu okupu. A przecież w przypadku pozostałych ofiar Russell Lee nie chciał żadnych pieniędzy. To do niego nie pasuje. W jaki sposób analfabeta może napisać taki list? Już tylko to świadczy, że to nie on, a przynajmniej że ktoś mu pomagał. Miał jakiegoś wspólnika. Może jakiegoś znajomego rodziny Stokesów, który dobrze znał jej rozkład dnia.

– Myślisz, że ktoś z mojej rodziny pomógł mu porwać i zamordować Meagan?

– Myślę, że dwadzieścia pięć lat temu wydarzyła się zbrodnia, której nie popełnił Russell Lee.

Przez chwilę wyglądała tak, jakby chciała go uderzyć. Potem chyba się przestraszyła. Wzięła kubek z napojem i pociągnęła długi łyk. Ręce wyraźnie się jej trzęsły.

David wstał i sprzątnął pudełko po pizzy. Kiedy wrócił, Melanie już się opanowała. Była blada, ale uniosła głowę, a oczy błyszczały jej uporem.

– W takim razie, agencie, proszę mi przedstawić swoją teorię. Chciałabym wiedzieć, co się tu dzieje.

Proszę bardzo, to mógł jej powiedzieć.

– Dwadzieścia pięć lat temu coś się stało z Meagan Stokes. I był w to wplątany nie tylko Russell Lee Holmes. To dlatego policja nigdy nie znalazła dowodów rzeczowych. To dlatego zabawka i strzęp sukienki Meagan znalazły się w twoim pokoju. A w to, co się wydarzyło, była wplątana twoja rodzina i przyjaciele. Trzymają to w tajemnicy od dwudziestu pięciu lat. Wysłali Russella Lee Holmesa na krzesło elektryczne i żyli sobie spokojnie dalej. Ale teraz pojawił się ktoś nowy. Ktoś, kto nagle pomieszał im szyki. Zadzwoił do Larry’ego Diggera z wiadomością, że wreszcie może znaleźć dziecko Russella Lee Holmesa. Ułożył ołtarzyk w twoim pokoju, sugerując ci, że zajęłaś miejsce Meagan. I wysłała listy.

– Jakie listy?

Zawahał się. Zupełnie zapomniał, że Melanie o tym nie wie.

– Twój ojciec... dostał pewien list.

– Kiedy?

– Na przyjęciu. Kiedy miałaś migrenę. Podśluchałem jego rozmowę z Jamiem O’Donnellem. Twój ojciec powiedział, że ktoś mu zostawił wiadomość w samochodzie. Zawierała to samo, co usłyszał Digger: „Dostajesz to, na co zasługujesz”.

Melanie przyglądała się mu z powątpiewaniem.

– Twój ojciec wiedział także, że Larry Digger przyjechał do miasta – ciągnął David. – Wspomniał o tym O’Donnellowi, który odparł, że jakaś Annie dostaje głuche telefony. Jak ci się wydaje, co to za Annie?

– Ann Margaret? Myślisz, że chodzi o Ann Margaret?

– Jest z Teksasu, jak oni wszyscy. Więc już wiemy, że twój ojciec coś wie, O’Donnell coś wie i Ann Margaret też. Kto jeszcze pochodzi z Teksasu i wspominał coś o liście?

William – szepnęła.

– Sama widzisz. Zostaje twój brat i matka. Brat na widok ołtarza był tak samo wstrząśnięty, jak ty. Ale twoja matka... Nie zachowuje się inaczej niż zwykle?

Melanie westchnęła. David uznał to za potwierdzenie.

– Wczoraj... przyszła do domu prawie o północy. Powiedziała, że była w barze i że mnie kocha. Ale... widziałam, że coś ją strasznie zdenerwowało. Mówiła z takim napięciem, jakby bardzo jej zależało na tym, żebyś wiedziała, co do mnie czuje. Wiesz, tak można by się zachowywać, gdyby się oczekiwało jakiegoś nieszczęścia. Wielkiego nieszczęścia.

Skinął głową.

– A zatem oto teoria numer jeden: z Meagan Stokes wydarzyło się coś, o czym nie wiemy. Prawdopodobnie twoja rodzina miała z tym coś wspólnego i ktoś się o tym dowiedział. Ta osoba teraz straszy twoich bliskich, pokazuje im, że ma ich w garści. A to nas prowadzi do teorii numer dwa. – Zamilkł na chwilę. – I tutaj ty wchodzisz do gry. Jeśli dwadzieścia pięć lat temu coś się wydarzyło, ty o tym wiesz.

– Przecież nie pamiętam... Wypadło mi dziewięć lat...

– Otóż to. Larry Digger nie potrafił samodzielnie znaleźć żony Russella Lee Holmesa, ale zakładał, że mu pomożesz. Jeśli przyjmujemy, że jesteś dzieckiem Russella Lee, pomyśl tylko, co może się kryć w twoich wspomnieniach. Z pewnością ktoś uważa, że wiesz coś ważnego. Stąd te pachnące świece i przedmioty, które miały wyzwolić reakcję...

– Ale ja niczego nie pamiętam.

– Na razie. Ale możesz sobie przypomnieć. Dlatego, tak jak Larry Digger, stałaś się zagrożeniem.

– Larry Digger za bardzo zbliżył się do prawdy – powiedziała powoli, z namysłem. – Miał prawdziwy trop, robił postępy. Więc ktoś, kto nadal usiłuje się ukrywać, kazał go zabić. Ja też mogłam sobie przypomnieć, więc także zostałam skazana na odstrzał. Ale to bez sensu. Skoro komuś zależy, żebym sobie przypomniła, dlaczego nasyła na mnie zabójcę?

– Bo to nie jest ta sama osoba. Ktoś chce, żeby prawda wyszła na jaw, ale z jakiegoś powodu sam nie może jej ujawnić. Może nikt mu nie wierzy, może ma problemy psychiczne. Nie wiadomo. Dlatego usiłuje załatwić to przez was. A przy okazji doprowadza wszystkich do szaleństwa. Zastanów się. Twoja rodzina i przyjaciele są szanowani i popularni. Gdyby świat dowiedział się prawdy...

Zawiesił głos. Melanie zrozumiała go w pół słowa.

– Uważasz, że ktoś, kogo znam, wynajął płatnego mordercę. Kazał mu zabić Larry’ego Diggera, zabrać jego materiały i wyeliminować mnie, żeby zlikwidować dowody, które mogą się kryć w mojej pamięci. Raz na zawsze zatrzeć wszelki ślad Meagan Stokes. O Boże...

Przez chwilę siedziała w milczeniu, przybita, zdruzgotana.

– To prawdziwa wojna – szepnęła. – Ktoś chce wyjawić tajemnicę, ktoś inny nie może do tego dopuścić. A ja stoję im na drodze, adoptowane dziecko, które może znać mordercę. Boże, cokolwiek kryje się w mojej głowie, nie chcę o tym wiedzieć.

– Chyba nie macz wyjścia.

– Zawsze jest jakieś wyjście. – Wstała od stołu, wytarła go, umyła ręce, przez parę minut krążyła po pokoju, by wreszcie znowu usiąść. – Prawdopodobnie to ja jestem dzieckiem Russella Lee Holmesa – oznajmiła z determinacją. Te wspomnienia z szopy, te listy...

– Możemy ekshumować zwłoki Russella Lee i zrobić testy DNA. To raz na zawsze rozwieje wątpliwości.

Skinęła głową w roztargnieniu.

– Ale jest tak wiele niekonsekwencji... Po co moi rodzice mieliby świadomie adoptować dziecko mordercy?

– Może nie zdawali sobie sprawy? Może to Jamie O’Donnell wszystko zaaranżował?

– Jak? Podrzucił mnie w szpitalu i uznał, że Patricia i Harper muszą mnie adoptować?

– Kto wpadł na pomysł, żeby cię zabrać? Powiedzieli ci?

– Matka – odparła bez wahania. – Od pierwszej chwili... coś między nami zaiskrzyło.

– Sama widzisz. Poza tym to nie było zwykłe porzucenie dziecka. Twój ojciec pracował w tym szpitalu i akurat był na izbie przyjęć. Wydaje się prawdopodobne, że o tobie usłyszał i przyszedł, żeby cię zobaczyć na własne oczy. Może przyprowadził cierpiącą żonę, która tak strasznie pragnęła mieć córeczkę...

– Jednak to wszystko wydaje się bardzo przypadkowe.

– Dobrze. Spójrzmy na to od innej strony. Twój rodzice wiedzieli, czyją jesteś córką i adoptowali cię z przyczyn, których na razie nie rozumiemy. Tej samej nocy, w której zginął Russell Lee, zostałam podrzuciona do szpitala Harpera Stokesa. A on akurat pracował, choć jego żona i syn pojechali do Teksasu, żeby być świadkami egzekucji. Można by się spodziewać, że i on powinien być przy nich. – Zrobił pauzę. – Larry Digger miał rację z tymi zbiegami okoliczności. Jeden lub dwa to jeszcze możliwe, ale trzy, cztery?

Melanie spuściła głowę. Zabębniła palcami w blat stołu. Ale kiedy spojrzała na Davida, w jej oczach pojawił się blask, którego się nie spodziewała. Poraził go jak wstrząs elektryczny. Dlaczego wcześniej nie zauważył tych złotych włosów, zapachu cytrusowych perfum, tych oczu o uderzającym kolorze?

– Nawet jeśli... Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę. Rodzice nie tylko dali mi dom, ale byli dla mnie dobrzy. Niczego mi nie odmawiali. Miałam wszystko, czego potrzebowałam, o czym marzyłam. Jeśli zakładasz, że byli „w to” wplątani, czymkolwiek „to” jest, czy nie miałoby do mnie co najmniej urazy? Czy sam mój widok nie przypominałby im człowieka, który zamordował ich córkę? Nie obchodzi mnie, co ma znaczyć ten głupi ołtarzyk. Nie jestem gorszą córką. Moi rodzice nigdy mnie tak nie traktowali. Są niezwykli. Są moją rodziną. To chyba ważne, że ich kocham, a oni kochają mnie.

– No, rodzina to rodzina. Na pewno...

– Gdzieś tam żyje moja prawdziwa matka – przerwała mu. – I mam prawdziwe imię, prawdziwe urodziny. Jeśli wierzyć Diggerowi, mogę mieć szansę, o której marzy każde adoptowane dziecko; znaleźć prawdziwych rodziców. Ale nie jestem ich ciekawa. Rezygnuję z nich, jeśli dzięki temu mogę zachować moją rodzinę. Rodzinę, którą kocham. I zawsze kochałam. I zawsze będę kochać. Oto, co o nich sądzę.

Nie odpowiedział od razu. Patrzył na podłogę i liczył zadrapania po długich nocach, które spędzał bezsennie, krążąc po pokoju.

– Kochające żony przebaczą mężom, którzy ich biją – odezwał się wreszcie cicho. – A oni im za to dziękują, dusząc je w nocy. Kochający rodzice wykupują swoje dzieci z więzienia, by dać im drogą szansę. A potem dostają kulę w głowę. Miłość nie ma nic wspólnego z prawdą. Nie może ocalić życia. Spytaj Meagan. Na pewno także kochała rodziców.

Ruszył do sypialni, zabierając po drodze worek, ale Melanie zdążyła go chwycić za ramię. Zatrzymał się, ale nie spojrzał na nią. Nie chciał widzieć łez na jej bladych policzkach. Tego by nie zniósł. Nagle pomyślał, że nie powinien był mówić tak brutalnie.

– Muszę się spakować – mruknął. – Pora się zbierać.

– Mam tylko moją rodzinę – szepnęła. – Nie odbieraj mi tego. Proszę, nie odbieraj mi ich.

Oswobodził się i odszedł.

David zniknął w sypialni, znacząco zamykając za sobą drzwi. Melanie wstała i obesza salon. Roztarta ramiona. Od czasu strzelaniny bez przerwy było jej zimno.

Głowa bolała ją od wirujących obrazów. Silny, wspaniały ojciec chrzestny, którego uwielbiała. Silny, milczący ojciec, na którego zawsze mogła liczyć. Krucha, wrażliwa mama, którą kochała bez pamięci. Brian, jej bohater. Ann Margaret, jej przyjaciółka.

Ktoś, kto chce ją zabić. Ktoś, kto ukrywa się od dwudziestu pięciu lat.

Usiłowała sobie wmówić, że wszystko to jest idiotyczną pomyłką. Mania prześladowcza. Niestety, rozsądek podpowiadał co innego. Nie mogła zapomnieć o świecach i przedmiotach podrzuconych do jej pokoju. Nie mogła zapomnieć zakrwawionych zwłok Larry'ego Diggera i zabójcy, który wycelował w nią lufę pistoletu. Nie mogła zapomnieć, że policja nigdy nie znalazła żadnego dowodu łączącego Russella Lee Holmesa z Meagan.

A teraz nie wiedziała, co dalej. Była zmęczona, zrozpaczona i bezradna. Rozpaczliwie tęskniła za domem, ale po raz pierwszy w życiu także się go bała. Chciała usłyszeć kojący głos matki, ale nie wiedziała, co mogłaby jej powiedzieć. Chciała odzyskać rodzinę. Zaczęło się jej wydawać, że wcale nie zna swoich bliskich.

Czego się tak bali?

Dziewiąta wieczorem, poniedziałek. Nie znalazła odpowiedzi na swoje pytania, więc spróbowała zająć się czymś innym. Na półce stały tanie metalowe puchary, Na jednym widniała plastikowa figurka człowieka, który chyba strzelał z pistoletu. Zakurzona mosiężna tabliczka oznajmiała, że jest to nagroda w mistrzostwach juniorów, pistolet kalibru dwadzieścia dwa, odległość osiem metrów.

Pomiędzy tą a sześcioma innymi nagrodami tkwiły zaczytane miesięczniki strzeleckie oraz odznaki i plakietki, jeszcze nie rozpakowane. „Ekspert”, było napisane na jednej z nich. A zatem David Riggs był nie tylko samotnikiem, ale i rewolwerowcem. Jakoś jej to nie zdziwiło.

Największa nagroda nie miała nic wspólnego ze strzelaniem. Stała zepchnięta w głąb półki, jakby David nie był pewien, czy powinien być z niej dumny. Statuetka przedstawiała baseballistę z kijem na zakurzonej ramieniu. Mosiężna tabliczka u podstawy była wytarta, jakby ktoś często jej dotykał. Zatarte litery układały się w napis: „Mistrzostwa krajowe”.

Podeszła do zdjęcia baseballisty. „Joe Jackson”, głosił podpis nagryzmołony w rogu. To nazwisko wydało się jej znajome.

Spojrzała jeszcze na zdjęcie parku w nocy, wróciła do półki i znalazła album.

Pierwsze zdjęcie było stare, pomięte, pożółkłe. Młoda kobieta o ciemnych włosach do ramion, ciepłe inteligentne spojrzenie prosto w obiektyw. Matka Davida, odgadła Melanie. Miał jej wspaniałe orzechowe oczy. Robiła wrażenie silnej, rozsądnej kobiety.

Matka bardzo szybko zniknęła z albumu. Zniknął także mały wiejski domek z oliwkowym dywanem i brązowym linoleum. Rodzinne portrety odeszły w przeszłość.

Matka Davida umarła, a album zaczął pokazywać mecze.

Oto David Riggs w wieku ośmiu lat, wbity w strój Małej Ligi. Potem dziesięciolecie w otoczeniu drużyny. David, Steven i Bobby Riggs na boisku. Bobby Riggs rzuca piłki synowi, który stał się już wyższy i szczuplejszy.

W albumie zaczęły się pojawiać dyplomy, dokumentujące osiągnięcia. Potem artykuły w gazetach: „Młody obiecujący miotacz w Woburn”. „Drużyna Woburn w najlepszej formie”. „Nowy przybysz w Dużej Lidze – wszyscy liczą na małego Riggsa”.

I zdjęcia... Nie miała pojęcia, że agent specjalny Riggs może tak wyglądać. Ani śladu ponurego grymasu, zaciśniętych ust. Promieniejąca twarz, entuzjastyczna poza. David pozujący do zdjęcia. David puszcający oko do widzów. Bohater miasteczka. Młody David Riggs, który na pewno zostanie zawodowym graczem i rozśławi Woburn w całym kraju.

David Riggs wyskakujący w górę, by złapać piłkę. Skupiona, przejęta twarz.

Następne ujęcie. Piłka w rękawicy, ciało opadające na ziemię, twarz promieniejąca radością.

Następne. David podnosi piłkę w górę, pokazuje ją ojcu, który coś krzyczy. Mina Davida wyraźnie mówi: tato, to dla ciebie. A rozjaśniona szczęściem twarz Bobby'ego Riggsa, układ jego ust świadczy wyraźnie, że ojciec woła: „To mój syn! To mój syn!”

Pospiesznie zamknęła album. Nie powinna była tego robić. To prywatne zdjęcia z dawnych czasów, które już minęły. Zdjęcia rodziny i baseballu, który był dla Davida chyba jeszcze bardziej intymną sprawą niż rodzina. Powinna zostawić te zdjęcia w spokoju.

Oczywiście znowu otworzyła album i spojrzała jeszcze raz.

Boże, jaki on przystojny, kiedy jest szczęśliwy. Ta pasja, ten ogień... Teraz już wiedziała, że jest dobrym agentem, ale jako baseballista... Jezu!

Nawiedziło ją najbardziej zdradliwe kobiece marzenie: wyobraziła sobie, że dzięki niej na twarz Davida powraca uśmiech, a w oczach pojawia się najczystsza radość. Chciała uleczyć tego mężczyznę i zwrócić mu szczęście.

Tym razem zatrzasnęła album i odłożyła go na miejsce. Uśmiechnięty David stał jej przed oczami. Musiała o tym zapomnieć.

Drzwi sypialni nadal były zamknięte. Podeszła bliżej i usłyszała jego głos. Rozmawiał przez telefon. Z kim? Cokolwiek mówił, prawdopodobnie chodziło o nią. Czyli o jej życie. Czyli to także jej sprawa.

Przytknęła ucho do drzwi. Słyszała teraz każde słowo.

David ochrzaniał kogoś od góry do dołu.

– Sheffield nie siedział w domu, cholera. Powiedział ojcu Melanie, że zeszłego wieczoru wygrał, a to znaczy, że poszedł na bingo. I najwyraźniej w tym samym czasie ktoś się włamał do jego domu. Nie wiemy, czy cokolwiek zginęło, ale włamywacz zostawił list. Chcę się dowiedzieć, co w nim było!... Tak, Cheney, masz rację. Teraz rozumiesz, dlaczego trzeba się trzymać obserwowanego? Dotarło do ciebie? To, że ktoś idzie do domu, bo jest chory, nie znaczy jeszcze, że w nim zostaje!... Słuchaj, nie wiem, co mam o tym myśleć. Na razie to naciągana teoria, ale już nie ma mowy o zbiegu okoliczności. Wiemy, że Harper Stokes dostał list. Melanie sądzi, że jej matka też. Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że ktoś wszedł także do domu Sheffielda. Musimy wiedzieć, co się tam stało... Nie, nie włamuj się! Przeszukaj jego śmieci, tak jest prościej... Tak, obrzydliwe, ale kto ci powiedział, że nie będzie obrzydliwie? Sheffield pracuje w nocy, tak?... Oczywiście, że masz go śledzić. I tym razem go nie zostawiać, nawet w pracy. Zaczyna mnie bardzo ciekawić ta szpitalna sprawa. Na razie anonimowy rozmówca dokładnie wie, o czym mówi, więc może jesteśmy bliżej niż nam się wydaje... Tak, tak, tak, wiem, że nic nie wiesz. Boże, czego oni was tam uczą? Masz na czym pisać? No to uważaj. Na chwilę przyjmijmy, że nasz informator miał rację i rzeczywiście oni tam instalują rozruszniki

zdrowym pacjentom. Ale żaden lekarz, choćby nie wiadomo jak znakomity, nie może samodzielnie zdecydować o takiej operacji. Kardiolog także musi wydać opinię. I kardiochirurg. Są jeszcze lekarze z pogotowia, którzy zgłaszają przypadek, pielęgniarki, zajmujące się chorym, i anestezjolog, który czuwa nad pacjentem i podaje mu rozmaite specyfiki podczas operacji. Wszyscy ci ludzie badają człowieka, czytają jego akta i dobrze wiedzą, co się dzieje. A to i tak przy założeniu, że pacjent nie poprosi o konsultację. Wiele osób to robi, co znaczy, że do pracy przystępuje nowy zespół lekarzy. Dlatego takie oszustwo nie polega tylko na sfałszowaniu karty chorego i postawieniu błędnej diagnozy. Wszystko w szpitalach jest urządzone tak, żeby takie sytuacje nie mogły się zdarzyć. Dlatego nasi podejrzani muszą znaleźć kogoś, kto przynajmniej ma podobne objawy. Najprawdopodobniej pacjenta, który zgłasza się na ostry dyżur jako przypadek „ból w klatce piersiowej – wykluczyć zawał mięśnia sercowego”. To znaczy, że pacjent ma bóle w piersi, ale chcą się przekonać, czy to nie zawał... Tak, Cheney. Mięsień sercowy równa się serce.

Więc zgodnie z procedurą na ogół robi się pacjentowi EKG, przepuszcza się go przez rentgena i pobiera mu sześć do siedmiu fiolek krwi, żeby zbadać enzymy. Ale niektóre testy trwają od dwunastu do trzydziestu sześciu godzin, więc nawet jeśli rentgen i EKG nic nie wykażą, na ogół zatrzymuje się pacjenta na dzień lub dwa. Żeby go obserwować, zwłaszcza jeśli ktoś z jego rodziny chorował na serce, a pacjent należy do grupy ryzyka – ma nadwagę, wysokie ciśnienie i tak dalej. A w szpitalu Stokesa jest bardzo nowoczesne laboratorium, więc mogą od razu zbadać mu naczynia wieńcowe. No wiesz, czy nie ma wieńcówki. W tym laboratorium muszą wprowadzić cewnik w tętnicę udową, by wstrzyknąć kontrast do organizmu pacjenta. W tym celu muszą mu dać narkozę, a potem wysyłają go na OIOM. Cały czas jest w narkozie, bo nie chcą, żeby się obudził w środku nocy i wyjął sobie cewnik. I tutaj mamy pierwszą okazję do przekreślenia. W nocy na OIOM-ie pielęgniarki są zwykle zabiegane i zajmują się poważniejszymi przypadkami. A nasz pacjent leży jak kłoda, nafaszerowany różnymi środkami, z pewnością nawet nie wie, jakimi. Bez trudu można się zakraść do jego pokoju, potraktować go jakimś dodatkowym lekiem lub coś pokombinować z EKG. A potem wyjść, nie budząc niczyjej uwagi... Popytaj się, Cheney. Czy ludzie często widywali doktora Sheffielda na OIOM-ie? To będzie o czymś świadczyć... kompletnie nie rozumiem, co to oszustwo ma wspólnego z Meagan Stokes, ale nasz informator wie więcej niż my. Coś już przysłali z laboratorium?... Dwa typy krwi? Naprawdę? Jezu, to się robi coraz dziwniejsze. Coś jeszcze?... Wiem, że za wcześnie. Jestem optymistą. Dobrze, niech zrobią badanie DNA. Podejrzewam, że jedna próbka krwi należy do Meagan Stokes. Co do drugiej, nie mam pojęcia. Czy z Houston już przysłali akta sprawy Meagan? Jak to nieosiągalne? Ta sprawa jest zamknięta od dwudziestu pięciu lat! Na pewno ją odesłali do archiwum!... Nie może jej nie być. FBI to nie biblioteka, jak rany... Niech to diabli, on się z nami bawi. Dobrze, a co z tą policją w Houston? Przefaksowali swoje akta? Mhm. Streść pokrótce... ubezpieczenie na życie. Dla dwojga dzieci. Po milionie na głowę. Jasna cholera. Co za rodzice ubezpieczają dzieci na milion dolców? No, ale przynajmniej wiadomo, skąd ten dom na Beacon Street... Nie znaleziono żadnych dowodów w sprawie Meagan? Mhm, tak myślałem. Dobrze, jak już dotrę do hotelu, zadzwonię jeszcze raz, wtedy mi przefaksujesz. Nie przejmuj się Lairmore'em. Jestem twoim zwierzchnikiem, więc to ja oberwę. Najprawdopodobniej zmiesza mnie z błotem jutro z samego rana. A potem będziemy żyć dalej. Przygotowałaś się na dzisiaj?... Tak, wiem, jesteś zmęczony. Ja też. Niestety, temu komuś cholernie się spieszy. Larry Digger

pojawił się w sobotę, ołtarz był w niedzielę, a płatny morderca w poniedziałek. Bóg raczej wie, co się dzieje w tej chwili... Ja pilnuję Melanie Stokes. Wiem, wiem, trafiają mi się najlepsze zadania. Miłej zabawy z Sheffieldem. No to cześć.

Melanie rzuciła się pędem ku sofie. Drzwi sypialni w chwilę potem otworzyły się z rozmachem i David wyszedł wielkimi krokami, nachmurzony i roztargniony.

– Laboratorium nie miało dość czasu na gruntowną analizę – oznajmił bez wstępu – ale już wiemy, że na tym niebieskim materiale były dwa typy krwi. Jeszcze to badają.

Skinęła głową. Nie powiedział nic więcej. Stał na środku pokoju z rękami na biodrach, myślami błądząc zupełnie gdzie indziej. On też jest zmęczony, pomyślała Melanie. W kącikach ust i oczu pojawiły się mu głębokie zmarszczki. Twarz miał napiętą, przez co wyglądał wyjątkowo surowo i groźnie.

Podszedł do telefonu z sekretarką. Wcisnął klawisz i wyszedł po torbę. Wrócił w samą porę, by wysłuchać pierwszej wiadomości.

– Cześć, tu tato. Ciągłe nie dostałem od ciebie wiadomości. Pewnie masz dużo pracy. Chcesz przynieść berettę? Mam parę drobiazgów, które mógłbym wypróbować. – Głos Bobby’ego Riggsa załamał się niespodziewanie. Melanie usłyszała, że ojciec Davida przetyka ślinę. – Cóż... Chciałem tylko sprawdzić, czy już jesteś. Nie mam żadnej sprawy. Zadzwoń, jeśli będziesz mógł. Mam bilety na Red Soksów... albo... a, co tam. Dawno cię nie było. Zadzwoń kiedyś.

Spojrzała na Davida. Stał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Zaczęła się następna wiadomość. Inny głos.

– Riggs, sprawdziłbyś czasami pocztę głosową. Dostałem wiadomość, że byłeś zamieszany w strzelaninę. Szef policji mówi o zabójstwie. Miały być tylko oczy i uszy, o ile pamiętam, i co się stało? A co się stało z przepisami? Jeżeli mój agent używa broni, nie chcę się o tym dowiadywać od policji. Skoro nadal ignorujesz pocztę głosową, informuję cię, że masz być jutro w moim gabinecie dokładnie o siódmej zero zero! I przynieś ze sobą raport!

Wiadomość urwała się gwałtownie. David tylko się uśmiechnął.

– To mój szef – wyjaśnił pogodnie. – Chyba jednak nie dostanę nowego gabinetu.

Z taśmy przemówił opanowany, chłodny głos.

– Tu dyrektor Pierce Quincy z Quantico. Przepraszam, że dzwonię na pański numer prywatny, ale wydział policji w Houston powiadomił mnie dzisiaj, że prosił pan o akta sprawy Meagan Stokes. Chciałbym wiedzieć, dlaczego interesuje pana ten przypadek. Proszę o kontakt pod telefonem...

Wyrecytował numer. Melanie zerknęła na Davida, który stał całkowicie nieruchomo.

– No, no! – powiedział po chwili, zapisując numer. – Co to znaczy, do cholery?

– Powiedział, że prosiłeś o akta.

– Co ty powiesz. Najpierw w Houston mówią, że akta są nieosiągalne, potem Quantico dzwoni mi do domu po niespełna dwudziestu czterech godzinach. Dlaczego wszyscy nagle dostali fioła na punkcie zamkniętej sprawy? I dlaczego dzwonił akurat Quincy?

Melanie spojrzała na niego bez zrozumienia.

– Zechcesz to przetłumaczyć tym z nas, którzy nie przeszli szkolenia w FBI, a tylko znajdują się w niebezpieczeństwie?

David pokręcił głową. Najwyraźniej ciągle nie mógł się otrząsnąć. Co więcej, wydawał się zdenerwowany. Wreszcie poszedł do kuchni, chwycił torbę mrożonej marchwi i przyłożył ją

sobie do krzyża.

– Nie słyszałaś nazwiska? Pracował przy sprawie Jima Becketta, w zeszłym roku, na jesieni.

– Tego seryjnego mordercy, który uciekł z Walpole? – Coś o nim słyszała. W całej Nowej Anglii ludzie barykadowali się w domach, kiedy rozeszła się wiadomość, że były policjant i morderca dziesięciu kobiet uciekł z Walpole. W czasie krótkiego pobytu na wolności Beckett zabił mnóstwo ludzi. Nie pamiętała, ilu. Bardzo wielu.

– Quincy sporządził jego portret psychologiczny – wymamrotał David. – Pracował jako konsultant FBI, kiedy znowu zorganizowano zespół, i bardzo im pomógł przy opracowywaniu strategii. Wiesz, Beckett zamordował agentkę FBI. Były pewne wątpliwości co do jej roli w sprawie, ale Quincy oświadczył, że zginęła podczas pełnienia obowiązków służbowych, a jak Quincy tak mówi, to wierz mi, wszyscy go słuchają. Odkąd pomógł złapać Becketta, jest oficjalnym ekspertem i w ogóle świętą krową Biura. Można powiedzieć, że sam Bóg zadzwonił w sprawie Meagan Stokes.

Dlaczego zadzwonił w sprawie Meagan? – Możemy się dowiedzieć tylko w jeden sposób. – David pomachał kartką z numerem.

Zawahała się. Podniosła wysoko głową i usiadła wyprostowana. Coś jej mówiło, że powinna być silna. To jej rodzina, a dla rodziny zrobiłaby wszystko.

A jednocześnie czuła się obolała i przygnębiona. Chciała dowiedzieć się prawdy, ale także się jej bała. Prawda nie zawsze wyzwala. Prawda może okazać się niewyobrażalnie okropna i pozbawić cię ukochanych osób.

– Może pójdziesz do sypialni? – zaproponował David. – Odpoczniesz, a ja tymczasem zadzwonię.

– Nie. Jestem gotowa.

– Dość już dziś przeżyłaś.

– Chodzi o moją rodzinę. Chcąc to zrobić.

Przez chwilę milczał. Wreszcie wzruszyła ramionami. Ale David patrzył na nią jakoś inaczej. Jakby ze zrozumieniem, pomyślała z nagłym trzepotem serca. Boże, zlituj się, jeśli David Riggs zacznie być dla niej miły, z pewnością się załamie.

Odwrócił się do niej plecami, zanim stało się coś, na co oboje nie byli gotowi.

Postawił telefon na stole i usiadł obok. Było już po godzinach pracy, ale dyrektor wydziału Pierce Quincy podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

– Mówi agent specjalny David Riggs – odezwał się David, wciskając klawisz telefonu. – Chciałbym pana uprzedzić, że włączyłem głośnik. W pokoju jest także Melanie Stokes.

– Dobry wieczór pani – powiedział Quincy bez zdziwienia. – Dlaczego rozmawiamy we trójkę?

– Bo prowadzę sprawę, która jej dotyczy – wyjaśnił David szorstko. – I to ze względu na nią prosiłem o akta sprawy Meagan Stokes. Dlaczego pan się tym zainteresował? Czy ta sprawa nie jest zamknięta?

– Jest. Dlatego tak się zdziwiłem, że ktoś z bostońskiej filii prosił o te informacje. Powiedziano mi, że pracuje pan w sekcji przestępstw gospodarczych.

David zeszywniał. Melanie nabrała wrażenia, że między dwoma agentami trwa cichy konflikt i że obaj będą sobie udzielać informacji w możliwie najmniejszych dawkach. David, niższy rangą, musiał zacząć pierwszy.

– Na razie wolałbym nie wyjaśniać mojego udziału w tej sprawie. Melanie Stokes jest adoptowaną córką Harpera i Patricii Stokesów. Dwa dni temu pewien dziennikarz, Larry Digger...

– Z „Dallas Daily”?

– Ten sam. Pojawił się w jej domu twierdząc, że Melanie jest córką Russella Lee Holmesa. Wczoraj w jej sypialni ktoś postawił... rodzaj ołtarza. Do tego celu użył czerwonego drewnianego konika, prawdopodobnie zabawki Meagan Stokes, strzępu niebieskiego materiału, prawdopodobnie z sukienki Meagan Stokes, oraz czterdziestu czterech świeczek o zapachu gardenii, ułożonych w imię „Meagan”. Dziś Larry Digger zginął w strzelaninie. Dlaczego właśnie pan ma akta Meagan Stokes?

– Czterdzieści cztery...? – Przez głośnik słychać było szmer przekładanego papieru. Quincy robił notatki. – Pochodzenie zabawki i materiału zostało potwierdzone?

– Na razie są w laboratorium. Brian Stokes, brat Melanie, dokonał wstępnej identyfikacji.

– Ciekawe. Nie widzę żadnych wzmianek o znalezieniu czerwonego drewnianego konika czy niebieskiej sukienki. Tymczasem w chacie Holmesa znaleziono wiele przedmiotów należących do innych ofiar.

– Dlaczego to pan ma akta?

– Spokojnie, agencie – rzucił Quincy lekko. David zmarszczył brwi. – Przykro mi, jeśli pana zaniepokoiłem, ale właśnie zająłem się Russellem Lee Holmesem w ramach wewnętrznego projektu rozwijania zasobów intelektualnych...

– Co on mówi? – spytała Melanie szeptem.

– Że bada sprawę Russella Lee Holmesa, żeby dodać jego portret psychologiczny do bazy danych – przetłumaczył David. – Sprawa Becketta musiała być niezła, bo Biuro pozwala na prowadzenie wewnętrznych projektów tylko wtedy, gdy agent jest o krok od załamania.

– Im dłużej ma się do czynienia ze śmiercią, tym bardziej docenia się uroki życia – powiedział Quincy cicho.

Melanie dałaby głowę, że w jego głosie brzmi nie zaduma, lecz żal. Zdała sobie sprawę, że zaczyna go lubić.

– Agent specjalny Riggs ma rację – ciągnął Quincy. – W wydziale zabójstw mamy bank danych na temat morderców, gwałcicieli, wszystkich tych, których nie chciałoby się zaprosić na obiad do domu. To dzięki analizie i porównywaniu spraw możemy znaleźć cechy wspólne i charakterystyczne zachowania, które później wykorzystujemy przy tworzeniu portretów psychologicznych. To ja zaproponowałem, żebyśmy zanalizowali słynne, zamknięte już sprawy. W zeszłym miesiącu zająłem się Russellem Lee Holmesem. I wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy w trakcie pracy dostałem prośbę o część akt. Co pani wie o sprawie Meagan Stokes?

– Moja rodzina o niej nie wspomina.

– Domyśla się pani, dlaczego Larry Digger zgłosił się do pani?

– Znaleziono mnie w szpitalu, kiedy miałam dziewięć lat. Nie pamiętam, co się ze mną działo do tego czasu. Przez to jestem łatwym celem.

– Prowadzimy śledztwo – wtrącił David niecierpliwie. – Istnieją powody, by uwierzyć Larry’emu Diggerowi. Ale nie dlatego prosiłem o akta sprawy Meagan Stokes.

– Więc dlaczego?

– Bo nie jestem ślepy, głuchy ani głupi – warknął David. – Bo umiem czytać między wierszami i, jak pan zapewne się domyśla, istnieje wiele powodów, by wątpić, czy Russell Lee Holmes zabił Meagan Stokes.

Nawet teraz, słysząc to po raz drugi, Melanie poczuła wstrząs. Ale Quincy, oddalony o setki kilometrów, nie zdradził zaskoczenia.

– Doskonale. Przez dwa tygodnie zastanawiałem się, co robić. W końcu nie ma co liczyć na przedawnienie zbrodni, a ja mam prawie sto procent pewności, że Russell Lee Holmes nie popełnił tego morderstwa.

– Był niewinny? – spytała Melanie.

– Tak bym go nie nazwał. Zabił sześcioro dzieci. Ale nie wierzę, że porwał i zamordował Meagan Stokes.

– Russell Lee Holmes nigdy nie odpowiadał za morderstwo Meagan Stokes – dodał David. – Skazano go za sześćcioro innych dzieci, a do zabicia Meagan przyznał się później, już po wyroku. Wyznał to Larry’emu Diggerowi.

– Dlaczego pan tak sądzi? – spytał Quincy surowo, jak profesor przepytujący studenta.

– I tak był już skazany na śmierć. Co mu szkodziło przyznać się do jeszcze jednego morderstwa?

– Zaraz, chwileczkę – zaprotestowała Melanie. – Nawet jeśli to już nie zmieniało jego sytuacji, niby dlaczego miałby to robić? Nie był taki uczynny.

– Nie sądzę, żeby to zrobił altruistycznie – powiedział David, po raz pierwszy unikając jej spojrzenia. – Wydaje mi się, że dostał propozycję nie do odrzucenia.

Nie rozumiała. Przecież już o tym rozmawiali. Dlaczego nie powiedział tego wtedy? Co mu się znowu wyklulo w głowie?

– Sądzę – zaczął powoli – że właśnie się dowiedzieliśmy, dlaczego twoi rodzice mogli świadomie adoptować dziecko mordercy. Mianowicie dlatego, że on wziął na siebie ich grzech.

Wstrzymała oddech. Doznała dziwnego wrażenia, że mieszkanie zaczyna się przechylać, a ona spada w przepaść.

– Melanie...? – odezwał się David cicho. Zdołała odwrócić głowę w jego stronę. Patrzył na nią z autentyczną troską. Jego oczy były zupełnie złote. Łagodność i gniew, zatopione w bursztynie. Dlaczego dotąd tego nie zauważyła?

Nagle zapragnęła znaleźć się w jego ramionach, poczuć je znowu, tak jak tamtej pierwszej nocy, gdy przyniósł ją z parku, a ona czuła zapach Old Spice’a i czuła się bezpiecznie.

Spuściła oczy. Z wielkim wysiłkiem zaczerpnęła powietrza... i jeszcze raz. Powoli ból w piersi zelżał, zaciśnięte gardło nieco się rozluźniło.

– Może spróbujmy to jakoś uporządkować – zaproponował Quincy. – Wyciągnął pan bardzo interesujące wnioski, ale nie ma pan doświadczenia, a informacje są jeszcze niepełne. Czy na pewno chce pani w tym brać udział? – zwrócił się do Melanie.

– Tak – szepnęła ochryple. – Tak.

– W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym – zaczął Quincy niemal ze współczuciem – kiedy Russell Lee Holmes porwał pierwsze dziecko, Howard Teten dopiero opracowywał techniki, które dziś nazywamy sporządzaniem profilu psychologicznego. Bez doświadczenia w prowadzeniu takich spraw lokalna policja i FBI traktowały sprawę Russella Lee Holmesa jako zwykłe dochodzenie. Skupiono się na metodzie popełnienia morderstwa; nie szukano pobudek, którymi kierował się morderca. To duża różnica, ponieważ zbrodniarz może zmieniać metody działania. Kiedyś wiązał swoje ofiary, teraz je oszalał narkotykami i tak dalej. Natomiast jego potrzeby, czyli chęć dominacji nad kobietami, pozostają bez zmian. Nazywamy to podpisem mordercy. Ten podpis będzie taki sam w przypadku każdego zabójstwa, od pierwszego do trzydziestego, nawet jeśli inne elementy zbrodni wydają się różnić. Jednak w roku sześćdziesiątym dziewiątym policja jeszcze o tym nie wiedziała. Mylnie przypisali Russellowi Lee morderstwo, ponieważ brakowało im narzędzi do głębszej analizy. Russell Lee Holmes nienawidził białych dzieci z biednych rodzin. Zgadza się co do tego, prawda?

David skinął głową. Melanie zdołała wykrztusić ciche „tak”.

– Russell Lee Holmes miał cztery klasy podstawówki. Był analfabetą. Zarabiał pracą fizyczną, zachowywał się obrzydliwie, a ostatni pracodawca zanotował w aktach: „Często

spluwa”. Najprawdopodobniej nienawidził biednych białych dzieci, ponieważ w głębi duszy nienawidził sam siebie. I reagował patologicznie, wybierając małe bezbronne dziewczynki i chłopców; tak naprawdę usiłował zniszczyć własne korzenie. Nie miał wyrzutów sumienia. Za to rozpiekała go potworna wściekłość. Jako analfabeta bez wykształcenia nie potrafił wyrazić tej wściekłości w bardziej wyrafinowany sposób. Te sześć morderstw to były błyskawiczne ataki. Holmes pojawiał się w biednych dzielnicach, które najwyraźniej dobrze znał i w których poruszał się swobodnie. Porywał pierwsze dziecko, które wpadło mu pod rękę. Później policja znalazła szopę, w której dokonywał najgorszych zbrodni.

– Stoi w lesie, prawda? – szepnęła Melanie. – Jedna izba. Mocna konstrukcja, ani jednej szpary. Ale okno jest zakurzone, nic przez nie nie widzę. I pęknięte przez środek. Widzę w tej szparze pająka.

– Tak się składa – powiedział Quincy ostrożnie po chwili milczenia – że mam przed sobą zdjęcia tej szopy. Kolorowe fotografie policyjne. Nie wiem, co pani opisuje, ale szopa Russella Lee Holmesa nie miała okien. Za to miała mnóstwo szpar. W podłodze brakowało kilku desek. Pod nimi policja znalazła zbiór „trofeów”.

Melanie znieruchomiała.

– Więc to... to, co opisuję, nie jest szopą Russella Lee?

– Zdecydowanie nie. Spojrzała na Davida.

– Więc może mnie tam nie było. Może nie jestem...

– A może Russell Lee Holmes trzymał Meagan w innym miejscu.

– A może wcale nie był w to zamieszany – wtrącił Quincy.

– Więc dlaczego jestem w tym pokoju, dlaczego widzę Meagan? – jęknęła Melanie, patrząc na Davida.

– Nie wiem. Może Meagan była trzymana w innym miejscu... razem z tobą.

– Panno Stokes – odezwał się Quincy. – Co to znaczy, że widzi pani Meagan Stokes?

Melanie poruszyła ustami, z których nie wydobył się żaden dźwięk. Spojrzała błagalnie na Davida.

– Panna Stokes ostatnio zaczęła sobie przypominać różne rzeczy. Także z tego powodu sądzimy, że Larry Digger mógł mówić prawdę. Melanie przywołała wspomnienia z jednoizbowej chaty, w której była zamknięta razem z Meagan Stokes.

– Co jeszcze sobie pani przypomina?

– Tylko tyle.

– Ale te wspomnienia pojawiły się niedawno, prawda? Ciekawe, co jeszcze kryje pani pamięć. Możemy się od pani dowiedzieć bardzo wiele, zwłaszcza o sprawie Meagan Stokes. Zechciałaby pani tutaj przyjechać? Znam doskonałego hipnotyzera, który mógłby nad panią popracować.

Omam nie parsknęła śmiechem.

– Niesamowite, jak wszyscy się interesują moją pamięcią. Wszyscy z wyjątkiem mnie.

– Hipnoza, panno Stokes, w bezpiecznych warunkach... Obiecuję, że dobrze się panią zajmujemy.

– Nie, dziękuję.

– Ale...

– Powiedziałam: nie! Nie miłość boską, to wszystko się wydarzyło dwadzieścia pięć lat temu, a ja nie chcę sobie przypominać umierających dzieci! Quincy zamilkł, najwyraźniej urażony.

– No tak – powiedział po chwili. – Więc przynajmniej zajmijmy się tym, co wiemy z policyjnych akt. Russell Lee Holmes nienawidził biednych białych dzieci. Porywał je, torturował w chacie na pustkowiu, a kiedy z nimi skończył, dusił gołymi rękami – kolejny symbol bardzo osobistego aktu przemocy. Porzucał ciała byle gdzie, nagie, w kanałach, na śmietnikach, w polu. Dzięki temu zaspokajał swoją potrzebę zniszczenia, wyrzucając zwłoki jak zepsute lalki, niewarte nawet ochrony przed deszczem i słońcem. Krótko mówiąc, każdy jego czyn zdradzał nienawiść do młodości, biedy i słabości. Ujawniał jego nienawiść do siebie samego. Po czym nagle pojawiła się Meagan Stokes.

– Nie była biedna – wtrącił David. – Porywacz zażądał okupu. A jej ciało zostało zakopane w lesie. Bez głowy.

– Była w samochodzie niani – szepnęła Melanie. – Zaparkowanym przed domem matki niani. Myślałam, że ten dom stał w biednej dzielnicy.

– Dzielnicę zamieszkiwali ludzie niezbyt zamożni – przyznał Quincy ostrożnie – ale nie przypominała zwykłych terenów łowieckich Holmesa. Poza tym ofiara różniła się od wszystkich pozostałych. Meagan była dobrze ubrana, zadbana. Siedziała w pięknym samochodzie i bawiła się zagraniczną zabawką. Była ładna i rezolutna. Gdyby Holmes kierował się prymitywną żądzą samozniszczenia, nie zobaczyłby w niej nic, co by w nim wyzwoliło chęć mordu. Nic, co przypomniałoby mu siebie samego.

– Może to była zemsta. Innych dzieci nienawidził, bo go przypominały. Meagan zabił dlatego, że była od niego lepsza.

– Być może, choć to nieprawdopodobne. To zbyt wyraźna zmiana motywu, a takie zmiany rzadko się spotyka w przypadku seryjnych morderców. Czasami zabijają ofiarę inną niż zwykle, ponieważ nie mogą dopaść upatrzonej. Powiedzmy, że morderca preferuje młode dwudziestoparoletnie blondynki, ale kiedy żądza mordu przeszkadza mu już żyć, ostatecznie zadawała się trzydziestoletnią brunetką. Jednak w tym przypadku kieruje się potrzebą zabijania kobiet i nie dba o szczegóły. Natomiast dla innego mordercy rodzaj ofiar jest rodzajem znaku firmowego. On nie chce tylko zabijać kobiet. Zabija, powiedzmy, „rozpustnice”, dlatego nigdy nie wybierze matki trojga dzieci zamiast prostytutki, nawet jeśli zabicie tej pierwszej jest znacznie łatwiejsze. Taka zbrodnia nie zaspokoi jego żądzy. Dla niego znalezienie odpowiedniej ofiary jest jak szukanie miłości. Przez całe tygodnie, miesiące, lata czeka na tę, jedyną. Zaczyna od cech fizycznych – w przypadku Russella Lee były to małe dzieci, niedożywione, brudne i biedne. Potem po prostu ją widzi. Na jej widok serce bije mu szybciej. Dłonie zaczynają się pocić, i już wie: to ona.

– Są jeszcze inne czynniki – przerwał mu David, patrząc na Melanie. – Na przykład jak analfabeta może napisać list z żądaniem okupu?

– Celna uwaga – przyznał Quincy. – Mam tutaj kopię tego listu. Jak stwierdziła policja w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, jest to bardzo prymitywna wiadomość, ze słowami wyciętymi z gazet i błędami gramatycznymi. Została dostarczona do szpitala, w którym pracował Harper Stokes. Proste, ale sprytne. Wszystko to pasowało do wyobrażenia, jakie policja miała o Holmesie. Jednak jeśli dokładnie przyjrzeć się temu listowi, ta wersja nie trzyma się

kupy. Słowa są przyklejone zbyt pieczołowicie jak na niewykształconego, wściekłego młodego mężczyznę. Nie ma śladów kleju, co wymaga precyzji. Wreszcie nie znaleziono odcisków palców, znaczka, nawet śliny, którą zakleiono kopertę. Nadawca listu był cierpliwy, inteligentny i znał się na policyjnych procedurach. A to nie pasuje do portretu psychologicznego Russella Lee Holmesa.

Melanie wstała i nałala sobie szklanekę wody z kranu. Ręce jej się trzęsły.

– Więc dlaczego widzisz Meagan w tej szopie? Jeśli Russell Lee jej nie porwał, dlaczego tam była?

– Tego nie wiem. Jestem bardzo ciekaw pani wspomnień i tego, co mogą wyjaśnić. Mam wrażenie, że ktoś naśladował Russella Lee Holmesa, wiedząc o jego zwyczajach. A robił to racjonalnie, po to, by zatuszować własną zbrodnię. Meagan została porwana w chwili, gdy zaczęto już podejrzewać, że Holmes trzyma gdzieś swoje ofiary. Może morderca wybrał szopę w trosce o jak największą wierność szczegółom. W siedemdziesiątym drugim roku to wystarczyło, żeby oszukać policję i FBI. Ale jak już wspomniałem, sporządzanie profilu psychologicznego wychodzi poza zwykłe fizyczne symulacje zbrodni i sięga do ukrytych motywów i zachowań. I znowu przypadek Meagan Stokes nie pasuje do motywów Russella Lee. To prowadzi nas do ostatniego poważnego czynnika – pochówku jej ciała. Wszystkie ofiary Russella Lee Holmesa znajdowano nagie, porzucone w przypadkowych miejscach. Wszystkie, z wyjątkiem Meagan Stokes. Ona także była naga, ale jej ciało owinięto kocem. Nie porzucono jej, lecz starannie zakopano. Była także okaleczona. Ktoś obciął jej głowę i dłonie. Co panu wiadomo o dekapitacji?

– W jakim sensie?

– Dekapitacji dokonuje się zwykle z dwóch powodów. Jeden to względy praktyczne. Co bardziej inteligentni przestępcy, przeważnie psychopaci, którzy starają się ukrywać swoje czyny, obcinają swojej ofierze głowę, żeby utrudnić identyfikację. W niektórych przypadkach postępują tak również z jej dłońmi.

– Ale już ustaliliśmy, że Russell Lee Holmes nie kierował się inteligencją ani logiką. A drugi powód?

– Emocje. Czasami, jeśli morderca ma wyrzuty sumienia, okalecza głowę lub dłonie, by zdepersonalizować swoją ofiarę. Obcięcie głowy może stanowić wskazówkę, że ofiara była bliską znajomą mordercy.

– Boże – szepnęła Melanie. Wiedziała już, na co się zanoszą.

– A zatem – powiedział Quincy cicho – ciało zakopał ktoś bardzo ostrożny lub bardzo związany z ofiarą.

– Rodzice – dokończył David. – Dla pieniędzy. Dla miliona dolców.

– Co?! – krzyknęła Melanie.

– Harper i Patricia Stokesowie ubezpieczyli swoje dzieci na milion dolarów każde – potwierdził chłodno Quincy. – Prawdę mówiąc, zanim Russell Lee przyznał się do morderstwa, policja sprawdzała Harpera Stokesa. W latach siedemdziesiątych kiepsko mu się wiodło. Stracił sporo pieniędzy na giełdzie. Gdyby nie pieniądze z ubezpieczenia, musiałby ogłosić bankructwo.

– Nie zabija się własnego dziecka dla pieniędzy! – jęknęła Melanie. – Nawet... nawet dla miliona! I dlaczego Meagan, skoro oboje byli ubezpieczeni? O Boże, dlaczego nie Brian? Spuściła głowę, jeszcze bardziej przerażona. Oczywiście Brian pewnie domyślił się już

wcześniej. Najprawdopodobniej jej gnębiony depresją brat od dwudziestu pięciu lat zadawał sobie to samo pytanie: dlaczego nie ja? I zawsze zachowywał się wrogo wobec ojca, prawie jakby go nienawidził. Czy wiedział? Czy podejrzewał? Och, Brianie... – Dlaczego po prostu nie zaaranżować porwania? Czy nie mogli udać, że ktoś porwał Meagan, zatrzymać ją w szopie i uzyskać okup z banku czy skądś tam? To by pasowało do tego, co wiem...

– Ale nie mogliby wyjaśnić, skąd wzięli pieniądze – odparł David spokojnie. – Gdyby nagle wzbogacili się o sto tysięcy dolarów, ludzie mogliby zacząć coś podejrzewać. Ale jeśli stracili córkę i otrzymali pieniądze z ubezpieczenia, wszystko jest jasne i proste.

– Tylko że ich córka nie żyje! Oni by tego nie zrobili. Przecież ich znam. To moi rodzice i przysięgam, że nie są zdolni do takiej potworności. Nie zabiliby córki dla pieniędzy.

– Wiem, że nie chce pani o tym słyszeć – przerwał jej Quincy – ale wszystko wskazuje na to, że morderca obciął Meagan głowę, kierując się poczuciem winy, pochował ją ze skruchy, a owinął kocykiem z miłości. Widziałem tylko trzy przypadki, kiedy ciało dziecka było tak starannie okryte i pochowane. I we wszystkich przypadkach morderczynią była matka dziecka.

– Boże!

– Seryjni mordercy nie czują potrzeby, by owijać zwłoki w miękkie kocyki. Ale troska o dziecko, nawet gdy jest już za późno, nawet gdy stało się coś strasznego, jest cechą wybitnie macierzyńską. Opierając się na wszystkim, co mi wiadomo, chętnie otworzyłbym sprawę na nowo. I bardzo starannie przyjrzałbym się członkom rodziny. Zbadałbym ich motywy i wszystko, co naprawdę wydarzyło się w lecie siedemdziesiątego drugiego roku, włączając w to przyjaciół i krewnych. A zacząłbym od Patricii Stokes.

Hotel „Waltham” okazał się całkiem przyzwoity. Apartament z dwiema sypialniami był utrzymany w błękitach i fioletach i umeblowany wiktoriańskimi podróbkami. Jedna sypialnia znajdowała się na antresoli, druga na dole, naprzeciwko małej kuchni. David postawił swoją torbę w sypialni na parterze, bliżej drzwi. Melanie krążyła niespokojnie po salonie, nadal biała jak prześcieradło.

W aptece koło mieszkania Davida kupili podstawowe kosmetyki. Niestety, w pobliżu nie było sklepu z ubraniami, więc Melanie musiała się zadowolić starym podkoszulkiem Davida i za dużymi spodniami od dresu. Wyglądała w nich na bardzo drobną, zwłaszcza kiedy splotła ręce na piersi i stanęła przy oknie, wpatrzona w bezksiężycową noc. Z autostrady dochodził ryk pojazdów. Światło reflektorów omiało jej twarz, rozbłyskiwało w oczach.

– No i? – odezwał się w końcu David. – Co sądzisz?

– Jest świetnie.

Czekał na coś więcej, ale nie odezwała się ani słowem. Nie wiedział, co powinien zrobić. Od czasu rozmowy z Quincym Melanie zamknęła się w sobie. Jej oczy przygasły i patrzyły martwym spojrzeniem; usta zacisnęły się w bezkrwistą linię. Dotarła do krańca wytrzymałości, pomyślał. Teraz albo się ugnie, albo złamie. Niestety, nie potrafił się zorientować, na co się zanoszą, a to go trochę przerażało.

Melanie włączyła telewizor. Elegancka spikerka spoglądała poważnie w kamerę i mówiła:

– Dziś rano w centrum Bostonu miała miejsce strzelanina. Pokazano fasadę hotelu. Ludzie gapili się na drzwi wejściowe. Paru turystów robiło zdjęcia.

– Na razie nie wiadomo, co się stało – powiedziała spikerka i migawka skończyła się bez komentarza.

Melanie wyłączyła odbiornik. Wzięła gazetę, przejrzała ją, odłożyła. Wzięła popielniczkę. Ręce jej się trzęsły. Jezu, jakie ona ma małe dłonie, zauważył Dawid. Nie wyobrażał sobie, żeby kiedyś była zamknięta w szopie z kimś w rodzaju Russella Lee Holmesa.

Postawił laptopa na stole. Zamierzał pracować przez całą noc: szukać informacji, załatwić dokumenty. Punktualnie o siódmej rano miał się spotkać z Lairmore'em. Nie będzie miło. Lairmore lubił porządek, chciał mieć wszystko poukładane jak w pudełeczku. Nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, że jego agenci badają sprawę morderstwa sprzed dwudziestu pięciu lat.

Poszedł do kuchni, wrzucił mrożonki do lodówki i zawahał się.

Plecy go zabolęły. Cholera, ból narastał.

Nie spał dobrze, był zdenerwowany. No i strzelał, a kopnięcia broni nigdy nie wychodziły mu na zdrowie. Dobrze, że go przydzielono do tych nudnych papierzyk. Nie mógłby ganiać przestępców po ciemnych zaułkach. Nie był już Supermanem. Jego życie ograniczało się do trzech radosnych opcji każdej nocy: marchewka, kalafior czy brokuły?

Wybrał kalafiora i wetknął dwie torby mrożonek za pasek dzinsów. Wyglądał jak idiota i tak też się czuł.

Melanie nie siedziała już na kanapie. Wróciła do okna i stała z dłońmi na szybie. W jej postawie było coś przeraźliwie smutnego i zastraszonego.

Nagle nawiedziło go wspomnienie. Miał dziewięć lat, a matka wreszcie wróciła ze szpitala. Leżała na kanapie w salonie, a on, ojciec i Steven stali wokół niej. Ojciec i brat uśmiechali się z wysiłkiem. Ojciec wyjaśnił im to wcześniej: mama umiera. Nie można już nic zrobić. Teraz muszą być dzielni. Jak najdzielniejsi.

Mama potargała mu włosy, pogłaskała Stevena po policzku, jak dziecko, i odwróciła głowę spokojnie, z pokorą. W jej oczach było tyle bólu, że David stracił dech.

Wszyscy usiłowaliśmy być dla niej dzielni, zdał sobie wtedy sprawę. A tak naprawdę to ona była najdzielniejsza. Chcieliśmy być bohaterami, a ona była największą bohaterką z nas. Och, jego matka była najwspanialszą kobietą na świecie!

Niedługo potem rak zabrał ją z tego świata.

Wrócił do hotelowego pokoju. Teraz był dorosły. Stał z mrożonkami za paskiem spodni. Znany ból obejmował mu żebra.

Powinien być silniejszy. Powinien się zachowywać jak mężczyzna. Niech to szlag...

– Musisz się przespać – rzucił opryskliwie.

Melanie odwróciła się do niego. Jej twarz nie wyrażała nic.

– A ty? Co zamierzasz?

– Pracować. Jutro mam spotkanie z szefem, a potem z wywiadowcą Jaksem. Dużo roboty.

Zmarszczyła brwi!

– A co ja mam robić?

– Nie rzucać się w oczy. Odpocząć. Pooglądać telewizję.

– Pooglądać telewizję? – powtórzyła zduszonym głosem. Na policzki wystąpił jej ciemny rumieniec. Może jednak przesadził z tą beztróską. – Ależ oczywiście. Telewizję. Od dwóch dni podejrzewam, że jestem bachorem mordercy, adoptowanym przez innych morderców, którzy chcieli zatuszować swoją zbrodnią. I mam sobie pooglądać telewizję. Cholernie dobry pomysł. Cofnął się o krok. W nim także się gotowało. Trudno, nie znalazł właściwych słów. I co z tego? Był zwykłym facetem. Przepracowanym, niedocenionym, sfrustrowanym seksualnie facetem.

– Zabrałbym cię ze sobą – poinformował ją zimno – ale w FBI nie ma ochronki.

Zacisnęła pięści. Widział wyraźnie tętno pulsujące jej na szyi. Nagle zabrakło mu tchu.

Melanie chce walczyć, zdał sobie sprawę. Ma ochotę wrzeszczeć, krzyczeć, uciekać. Widział to wszystko w jej oczach.

Święta Melanie, dobra Melanie, idealna córka i siostra. Wreszcie ją zrozumiał. Chowała w sobie cały gniew, nienawiść, strach, ponieważ była adoptowana i nie mogła sobie pozwolić na niewdzięczność. Nie mogła być gorsza od Meagan.

Nagle zapragnął ją pocałować. Chciał się znaleźć tuż przy niej, dotknąć jej warg i poczuć, jak pulsują w nim uczucia. Dzika Melanie. Zraniona Melanie. Prawdziwa Melanie. Chciał uczciwości, a było to kłamstwo największe ze wszystkich.

– Chcę być sama – oznajmiła niespodziewanie.

– Ciągłe się ukrywasz? Będziesz się dalej uśmiechać i udawać, że wszystko w porządku?

Zrobił krok w jej stronę.

– I kto to mówi! – Uniosła wysoko głowę. Usiłowała udawać spokój, ale widział, że jest wkurzona jak sto diabłów. Policzki jej płonęły, oczy także. Wyglądała wspaniale.

Zrobił jeszcze jeden krok. Pokręciła głową.

– Nie! Cholera, nie i koniec! Nie obchodzi mnie, jak wyglądasz, ani to, że pachniesz „Old Spice’em”. Nie obchodzi mnie, że nie kochałam się od nie wiem kiedy. Nie obchodzi mnie, że kochanie się z tobą byłoby o niebo lepsze niż rozmyślanie o Russellu Lee Holmesie...

– Więc o tym myślałaś! – wyrwało mu się tryumfalnie. Zacisnęła usta.

– Pewnie, że tak. Wzięłaś mnie na ręce, wtedy, pierwszego dnia, i przy tobie czułam się bezpiecznie. – Głos jej zadrżał. Westchnęła tęsknie, a to westchnienie pociągnęło go ku niej. Ale Melanie potrząsnęła głową i znowu była spokojna. – Ale to nie była prawda, co? To nie był akt dobroci, tylko obowiązek służbowy. Okłamałaś mnie! Mam już tego dość, wszyscy mnie okłamują!

– Miałem zadanie do wykonania. Nie wszystkie kłamstwa są takie same. Parsknęła nieprzyjemnym śmiechem.

– To tylko słowa. Tylko słowa. Boże, Boże...

Osunęła się na krzesło. David posłał wszystko do diabła i podszedł do niej.

Opierała mu się, uciekała. Objął ją ramieniem; jeśli go zdzieli pięścią, będzie mógł mieć pretensję tylko do siebie. Ale nie uderzyła. Westchnęła, rozpaczliwie i bezbronne. A potem silna, samodzielna Melanie Stokes rzuciła mu się w ramiona.

Była taka malutka... Prawie jej nie czuł. I te jedwabiste jasne włosy, i cytrusowy zapach... Chciał, żeby była przy nim bezpieczna. Zmiłuj się, Boże, ale chciał być jej bohaterem.

Posadził ją sobie na kolanach i zaczął kołysać.

Nie płakała. Domyślił się już, że nie mogła. Zacisnęła dłonie na jego bluzie, schowała twarz na piersi. Oparł policzek na jej głowie.

– Kocham ich – szepnęła. – To moja rodzina, a ja ją kocham. Czy to źle?

– Nie – wymamrotał ochryple. – Nie.

– Zawsze dawali mi wszystko. Bawili się ze mną, kochali mnie. Boże, chodzili ze mną na wyprzedaże. Stokesowie na wyprzedażach. Przecież wtedy mnie nie oszukiwali. To niemożliwe.

– Nie wiem. Nie wiem.

Mocniej zacisnęła pięści.

– Znowu mam dziewięć lat. Obudziłam się w szpitalu z tymi przewodami i igłami w ciele, ale tym razem nikt po mnie nie przyjdzie. Tym razem nie ma nikogo.

– Ciii...

Zaczęła płakać, więc pocałował ją w czubek głowy. I jeszcze raz, tylko mocniej. Odgarnął jej włosy, scałował łyż z policzków. A w chwilę potem całował już jej kark, czoło, uszy. Wszystko, byle nie usta. Nie przekraczać granicy, nie przekraczać granicy.

Podniosła twarz. Musnął kącik jej warg, brodę, czubek nosa, dołeczek w policzku.

– Jeszcze – szepnęła. – Jeszcze...

Więc pocałował szyję, delikatnie, jakby był nastolatkiem. Objął wargami płatek ucha i przesunął po nim językiem. Westchnęła, poruszyła się niespokojnie. Skubnął jej ucho zębami, a ona napała na jego krocze. Teraz oboje oddychali bardzo szybko.

Miała długą, piękną szyję. Ach, ta szyja... I policzki. Gładkie jak jedwab. Przesunął wargami po linii szczęki, a potem wrócił, jakby przyciągał go magnes, do kącika ust. Oddech Melanie parzył mu skórę. Czuł jej napięcie, oczekiwanie pełne uniesienia. Gdyby któreś z nich odrobinę odwróciło głowę, jeden pocałunek przeważałoby szalę. Jej usta, rozchylające się łakomie. Wspaniały, upajający zapach Melanie Stokes.

Czuł jej drzenie. Boże, serce mu się rwało na strzępy.

Powoli, bardzo powoli oderwał się od niej. Oboje westchnęli, a to o czymś świadczyło.

Prowadził dochodzenie przeciwko jej ojcu i nadal nie powiedział jej całej prawdy. A przecież wychowano go na innego człowieka. Jeśli nawet nie mógł być baseballistą, o czym marzył jego ojciec, potrafił zachować się jak mężczyzna.

– Jak się czujesz? – szepnął po chwili.

– Lepiej.

Nadal dotykała jego krocza. Najwyraźniej jej to nie przeszkadzało. Cóż, jemu także nie. To jeden z plusów bycia dorosłym. Można się swobodnie przytulać.

Owinął sobie na palcu pasmo jej włosów. Miała piękne włosy. I pięknie pachniały. Można by w nich zanurzyć obie ręce i twarz.

Erekcja zaczęła się robić niewygodna. Musiał zmienić pozycję.

– Używasz „Old Spice’a” – wymamrotała Melanie. – Nie wiedziałam, że ktoś jeszcze tego używa.

– Mój ojciec – wyjaśnił z roztargnieniem i zajął się badaniem małego, podobnego do muszelki uszka.

– Jesteście ze sobą blisko, prawda?

– Byliśmy. – Miała ładne uszy. Pewnie ma także śliczne paluszki u stóp, pomyślał.

Podniosła głowę i spojrzała na niego.

– Byliście?

– To się zmieniło. Tak bywa.

– Przez twoją chorobę? Czy ojciec jest tak samo rozmowny, jak ty?

– Wszystkiego nauczyłem się od niego.

– Ach, tak. I nie ma już matki, która was ze sobą łączyła. To niedobrze.

– Chyba tak. – Nigdy o tym nie myślał w ten sposób. Może miała rację.

– Opowiedz mi o matce – poprosiła poważnie. – Powiedz mi, jak to jest, kiedy się mieszka z ludźmi, którzy na pewno są twoimi rodzicami i zawsze będą cię kochać.

Nie mógł odpowiedzieć. Ból w jej oczach był tak wielki, że gardło mu się ścisnęło.

– Proszę...

– Nie wiem. Niewiele pamiętam. Wiesz, jakie są dzieci. Dostajesz świat i uważasz, że ci się należy.

– Czy piekła ciasteczka? Kiedy leżałam w szpitalu, wyobrażałam sobie mamę w białym fartuszkach z falbankami, piekącą ciasteczka z czekoladą. Nie wiem, dlaczego mi to przyszło do głowy.

– Tak, piekła ciastka. Z czekoladą. I makaroniki. I takie z zielonym lukrem na dzień świętego Patryka. Boże, od dawna o tym nie myślałam. – Potarł czoło. – I, eee... czytała nam bajki. I kazała nam sprzątać. Śmiała się nawet z opowieści ojca. I była bardzo ładna. Pamiętam, że według mnie była najładniejsza na całym osiedlu.

– Była wspaniała.

– Tak – szepnął. – Była. Pamiętam... Pamiętam, jak wróciła z tatą ze szpitala. Kazali nam usiąść. Pamiętam, że trzymali się za ręce, a tato płakał. Pierwszy raz w życiu widziałem, że płakał. Potem powiedzieli: „Rak”. Tylko tyle. „Rak”, jakby to wyjaśniało wszystko.

– Nie wiem, jak to wyjaśnić dziecku.

– Oni też nie wiedzieli. Ojciec powiedział, że musimy pomagać mamie w domu, więc razem z bratem zabrałem się do sprzątanego zaraz tego pierwszego dnia. Po raz pierwszy w życiu sprzątałem łazienkę i było to spore zaskoczenie. Do twojej wiadomości: mydło nie czyści nierdzewnej stali. A żebyś nas widziała z odkurzaczem...!

– Narobiliście bałaganu?

– Wessało nam zasłony. Kto by pomyślał? Uśmiechnęła się.

– Musieliście wyglądać słodko.

– Aha. Mama poszła na chemioterapię, a my wyszorowaliśmy podłogę w kuchni. Zaczęły się naświetlania, umyliśmy okna. Matka nie wstawiała z łóżka, wypraliśmy dywany. Sąsiedzi nieustannie do nas wstępowali. Przynosili nam zapiekanki i takie różne, bo kiedy żona „nie czuje się dobrze”, mąż i dzieci z pewnością głodują. Chwalili nas za to, że tak pięknie sprzątam w domu, że tak dobrze wyglądamy. Jacy z nas dzielni chłopcy. Mama wróciła do szpitala. Zdjęliśmy pościel z łóżek i wymyliśmy wszystkie meble. Wypraliśmy zasłony, wypolerowaliśmy sztukę. A potem wróciła do domu. Wróciła do domu, położyła się w naszym przepięknie wysprzątanym salonie i umarła. Bo rak jest właśnie taki. Zabija cię, nawet jeśli masz wspaniałych synów i wspaniałego męża, którzy wychodzą ze skóry, żeby utrzymać cię przy życiu.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Bardzo mi przykro...

Wzruszył ramionami. Był bardziej wstrząśnięty niż się spodziewał. Nie znalazł odpowiednich słów, by zmienić nastrój. Nigdy o tym nie myślał. Nie myślał i już. A teraz czuł się bezbronny.

Zdjął Melanie z kolan, wstał i odszedł parę kroków. Widział, że zrobił jej przykrość, ale nie potrafił się zmusić do powrotu.

– Ja... nie umiem o tym mówić – wyznał.

– Wiem.

– Muszę... no, muszę mieć trochę swobody.

– Wiem.

– Jezu, ile pecha można mieć w życiu?

Tym razem nie znalazła odpowiedzi. Zrobił wdech i wypuścił powietrze ze świstem. Pozbieraj się, Riggs, do cholery. Pozbieraj się. Rozejrzył się po pokoju.

– Robi się późno. Co ty na to?

– Tak, pora do łóżka. – Nagle oblała się rumieńcem. – To znaczy... spać. Każde w swoim pokoju.

– Ty idź na górę. Chcę być blisko drzwi.

– Naprawdę nie będzie cię przez cały dzień?

– Muszę iść na to spotkanie. Szef się trochę wkurzył, jak usłyszał o strzelaninie. Nie wiem, co sobie wyobrażasz, ale to się nie zdarza co dzień, zwłaszcza w sekcji przestępstw gospodarczych.

– Spisałeś się znakomicie – powiedziała z przekonaniem. – Obroniłeś mnie. Zraniłeś go.

Skrzywił się niechętnie.

– Po tylu godzinach strzelania do tarczy powinienem umieć trafić tam, gdzie by go zabolalo.

– To był człowiek, nie tarcza.

– No, zobaczymy, co będzie, kiedy znowu się pojawi. Spróbuję nie siedzieć za długo w biurze. Wyśpij się, zamów duże śniadanie, odpocznij, złap oddech.

– Może tak zrobię – powiedziała po chwili milczenia. – Powinnam zadzwonić do matki.

– Nie.

– Tak. Nie mogę zniknąć na całą noc i nie dać jej znać. Nie masz pojęcia, jak ona się o mnie martwi.

Rzucił jej przeciągłe spojrzenie.

– Nie mów jej, co tu się naprawdę dzieje. To niebezpieczne. Ciągłe nie wiemy, kto jest w to zamieszany i dlaczego.

– Powiem, że zostanę na noc u koleżanki.

– Tylko bez szczegółów. Szczegóły są niebezpieczne.

– Tak, sir – mruknęła. Zrobiła krok ku schodom, ale kiedy spojrzała na mroczną antresolę, ramiona same się jej zgarbiły.

– Wiesz co, zostawię światło zapalone – powiedział.

– Nie, nic się nie dzieje. Jestem dorosła. Nie boją się ciemności.

– Tak, ale ja jestem z FBI i, prawdę mówiąc, nie ma takiego agenta, który by nie spał przy zapalonym świetle. Przysięgam, że tak jest.

W jej uśmiechu było tyle wdzięczności, że serce mu się ścisnęło.

– Dziękuję.

Poszła na górę. Patrzył za nią, a strużki wody z mrożonego kalafiora ściekały mu po plecach.

Zajął się komputerem. Przyniósł faks, który dostał od Chenneya. Otworzył policyjne akta sprawy sprzed dwudziestu pięciu lat.

Pulsujący ból rozrywał mu plecy. Oczy piekły od niewyspania. Zrobił sobie rozpuszczalnej kawy i pracował dalej.

– Nie, nie chciałam tego powiedzieć! Melanie, pomieszłaś mi w głowie, wszystko mi się poplątało...

Melanie jakby jej nie słyszała.

– Mam rodzinę, bo wyglądałam jak zamordowana dziewczynka. Mam dom, twoją miłość... bo ty chciałaś ją odzyskać.

– Nie! Nie to chciałam powiedzieć...

– Tak, mamo, to. Wreszcie zbliżamy się do prawdy. Dlaczego w naszej rodzinie to takie trudne?

– Melanie, kochanie, posłuchaj mnie. Jestem tylko człowiekiem. Na początku... na początku nie byłam całkiem zdrowa. Może widziałam to, co chciałam widzieć. Wiedziałam, że nie jesteś Meagan. Pamiętasz, jak cię ubierałam w te koronkowe sukienki i jak ci kręciłam loki? Pamiętasz, jak się wtedy czułaś? A ja to dostrzegłam. Zdałam sobie sprawę, że robię ci krzywdę... i przestałam. Zdałam sobie sprawę, że jednak nie szukam Meagan. Już jej nie miałam, ale dzięki Bogu dostałam inną dziewczynkę, Melanie Stokes, która lubiła używane ubrania i stare meble. I przekonałam się, że kocham tę dziewczynkę z całego serca. Uleczyłaś mnie, skarbie. Jesteś moim największym szczęściem i przysięgam, że nie żyłaś w kłamstwie. Kocham cię. Przysięgam.

Nie usłyszała odpowiedzi. Tylko lodowate milczenie, oznaka wątpliwości jej córki, oznaka bólu.

Zamknęła oczy. Po policzku potoczyła się łza. Nie otarła jej.

– Melanie? – szepnęła.

– Kochałaś Meagan?

– O Boże, dziecko... Ponad życie. Znowu milczenie.

– Muszę... muszę już kończyć.

– Melanie, ciebie także kocham.

– Dobranoc, mamó.

– Melanie...

– Dobranoc.

Trzask odkładanej słuchawki. Patricia została sama w ciemnościach.

Wróciła myślą do tych ciepłych słonecznych dni w Teksasie, kiedy jeszcze miała swoją pierwszą ukochaną córeczkę. Pomyślała o liście zostawionym w jej samochodzie. I o synu, który już się nie odzywa do ojca. O Jamiem O'Donnellu i o wszystkich grzechach, których nie można odkupić.

– Już dość, Boże – szepnęła. – Ta rodzina już zapłaciła za wszystko.

Doktor William Sheffield spał na twardej szpitalnej kozetce. Nauczył się tego jeszcze jako stażysta. Minęła trzecia rano; zegarek na jego ręce zasygnalizował to cichym brzęczykiem.

William usiadł szybko, przechodząc z głębokiego snu do natychmiastowej przytomności – specjalność lekarzy. W głowie czuł pulsujący ból. Whisky, oczywiście.

Tego dnia wniósł do szpitala butelkę, którą opróżnił dla dodania sobie odwagi. Dotknął pistoletu ukrytego pod białym fartuchem. Nie chciał myśleć o tym, co wczoraj znalazł w domu – o stercie zdrowych, różowych wnętrzości i lśniącym czerwonym jabłku na łóżku. A w łazience na lustrze widniało zdanie: „Dostajesz to, na co zasługujesz”, wypisane krwią. Whisky zaniósł go do wysnionego miejsca, w którym był złotym chłopcem, doskonałym anestezjologiem, człowiekiem, który zawsze wygrywał w ruletkę dzięki szczęśliwej ósemce.

– Jeszcze tylko paru – powtórzył Harper tego dnia.

– Nie, to zbyt ryzykowne – sprzeciwił się William.

– Nonsens! – krzyknął Harper, ale widać było, że on też się boi. W ostatnich czasach ten spokojny, opanowany Harper Stokes nie wydawał się już taki pozbierany. William przyłapywał go na nerwowym zerkaniu za siebie, jakby wielki doktor Stokes spodziewał się czegoś złego.

– Jeszcze tylko trzech – powiedział wreszcie Harper. – Jakoś sobie poradzisz. Spłacisz długi i zaczniesz od nowa, z czystym kontem. Jako anestezjolog ciągle wyciągasz pół miliona. Jeśli znowu nie zaczniesz grać, będziesz mógł prowadzić bardzo dobre życie. I nikomu nie stanie się krzywda, nikt się nie dowie. Przecież o to ci chodziło, nie?

Tak, o to mu chodziło. O piękny dom, piękny samochód, piękne ubrania. O wszystkie symbole sukcesu. Dlatego się zgodził. Kupił sobie whisky, a przed godziną wszedł na OIOM i beczelnie podał fiolkę propranololu upatrzonemu kandydatowi.

Teraz pogrzebał w kieszeni fartucha i znalazł drugą igłę.

Wyszedł na korytarz.

O trzeciej nad ranem szpital zwolnił obroty. Przygaszono światła, żeby pacjenci mogli spać, pielęgniarki mówiły ciszej, maszyny pulsowały rytmicznie. Na korytarzach nie było nikogo. William zakradł się na OIOM.

Kandydat znalazł się rano. Tak właśnie William o nich myślał: kandydaci. Dzisiejszy miał sześćdziesiąt pięć lat. Zdrowy. Aktywny. Historia chorób serca w rodzinie: ojciec umarł w wieku pięćdziesięciu lat na zawał, i to na jego oczach. Dlatego po pierwszych bólach w klatce piersiowej kandydat zadzwonił na pogotowie.

Przeszedł przez wszystkie badania, w tym także fluoroskopowe, które wykazało, że nie ma zablokowanych tętnic. Dziś dostał znieczulenie, żeby nie wyciągnął sobie przez sen cewnika. Wyniki wyglądały dobrze. Jeszcze nie znaleziono żadnych niebezpiecznych enzymów. Najprawdopodobniej wypuszczono by go z samego rana.

Ale tu właśnie wkroczył doktor William Sheffield, który przed godziną zrobił mu zastrzyk z beta blokera propranololu, wywołującego czasowe zaburzenie pracy serca, któremu mogło przeciwdziałać tylko podanie pięciu miligramów atropiny. To był pierwszy akt. Teraz nadeszła pora na akt drugi, bo przepracowana pielęgniarka znowu wyszła z pokoju.

To przez te cięcia budżetowe, pomyślał William tępo. To przez te głupie pielęgniarki, które nie bronią swoich podopiecznych przed kimś takim, jak on. To wina samych kandydatów, tych

paranoików, którym się wydaje, że mogą się bezkarnie obżerać pizzą *pepperoni* i czosnkowym chlebem.

To oni są winni, nie on. On jest tylko samotnym, opuszczonym dzieckiem, które usiłuje się utrzymać na powierzchni. Wszyscy inni mają lepiej.

Chwycił kroplówkę i wsadził drugą igłę.

Tętno kandydata spadło poniżej trzydziestu uderzeń na minutę. Monitor zaczął przeraźliwie piszczeć.

William śmignął do drzwi. Był już prawie przy nich, kiedy zobaczył pielęgniarkę pędzącą korytarzem. Druga biegła tuż za nią.

Cholera, zaraz go zobaczą. Jak ma wytłumaczyć swoją obecność? Co robić?

Chować się. Rzucił się na podłogę i potoczył za stertę brudnych prześcieradeł. W chwilę potem do pokoju wpadła pielęgniarka.

– O nie, o nie – jęknęła. – Nie rób mi tego znowu. Pojawiła się druga.

– Jest tętno.

– Jeszcze oddycha. Co z ciśnieniem?

Chrypienie ciśnieniomierza. Przekleństwa. Pisk alarmu – serce kandydata uparcie nie chciało przyspieszyć.

– Atropina! – krzyknęła pierwsza pielęgniarka. – Drugi raz tej nocy. Zlituj się, Harry, co ty wyprawiasz? Wszyscy cię lubimy, słowo.

Wybiegła z pokoju, po chwili wróciła. William słyszał, jak stuka w igłę, żeby usunąć z niej pęcherzyki powietrza.

Atropina, pomyślał. Boże, niech tylko nie upuści tej igły, niech się po nią nie schyla.

– No, no, no! – mruzczała pielęgniarka. Nagle pisk aparatury ucichł. Atropina z powodzeniem przywróciła sercu normalne tempo.

– Jest stabilny – oznajmiła pielęgniarka i westchnęła.

– Dzwoniłaś do doktor Garson-Miller?

– Jeszcze nie, ale teraz zadzwonię. To drugi atak w ciągu trzech godzin. Niedobrze.

– Jestem ci jeszcze potrzebna?

– Nie, wszystko mam. Dzięki, Sally.

– Nie ma za co. Czyli w M&M o czwartej?

– Jasne.

Sally wyszła. Druga pielęgniarka podniosła słuchawkę i zadzwoniła do dyżurnej kardiolog.

Wszystko toczyło się zgodnie z planem.

Harper wyjaśnił mu to przed dwoma laty.

„Na czym polega słabość szpitali? Na tym, że bazują na rutynie. Mają przepisy na wszystkie okazje. Wszystko jest zaplanowane i przewidywalne. Okazuje się, że medycyna jest maszynką czego lekarze nie lubią przyznawać. A my to możemy wykorzystać”.

– Dwa razy miał bradykardię – mówiła pielęgniarka do doktor Garson-Miller, którą bez wątpienia wyrwała ze snu w innym pustym szpitalnym pokoju. – Za każdym razem podałam atropinę.

William dobrze wiedział, jak brzmi odpowiedź lekarki. „Dwa razy? Czuwaj nad nim. Rano jego lekarz prowadzący musi go zbadać. Zadzwonić do doktora Stokesa w sprawie konsultacji. Zerknij na jego grafik, dobrze? Dobranoc”.

Trzask odkładanej słuchawki. William bardzo ostrożnie wypuścił wstrzymywany oddech. Ciągłe czuł się bliski hysterii, choć nie rozumiał dlaczego. Przecież wszystko poszło jak po maśle. Teraz kardiolog zaleci założenie rozrusznika, doktor Harper Stokes potwierdzi diagnozę i gotowe.

Dlaczego ta pielęgniarka jeszcze nie wychodzi? Powinna już iść.

Na korytarzu rozległy się kroki. Głośne, ciężkie kroki. W polu jego widzenia pojawiły się męskie buty. Brązowe zamszowe mokasyny.

– Przepraszam, ale nie można wchodzić na OIOM – powiedziała pielęgniarka natychmiast.

– Eee... wiem... tylko rodzina... – odezwał się mężczyzna.

– W godzinach odwiedzin – dodała pielęgniarka. – Tylko w godzinach odwiedzin.

– No tak, wiem. Ale jestem z FBI... William zagryzł wargę.

– Jestem jego przyjacielem. To stary przyjaciel rodziny. Dowiedziałem się, że miał jakieś bóle w piersi i pojechał na pogotowie. Podobno to nic takiego, ale potem okazało się, że jest na OIOM-ie. Obiecałem ojcu, że do niego zajrzę. Oczywiście mam taką pracę, że normalne godziny odpadają. Chciałem tylko zajrzeć, ale ta pani w recepcji powiedziała, że były jakieś problemy. Czy może pani chociaż powiedzieć, co się dzieje?

Kłamał, oczywiście. Nawet dziecko poznałoby, że to same kłamstwa. Agent FBI pojawia się w szpitalu o trzeciej nad ranem, żeby odwiedzić przyjaciela?

Wtedy zrozumiał. To o to chodziło – dostajesz, na co zasługujesz. I organy, no tak, te zwierzęce organy to symbol tego, co robił razem z Harperem. Ktoś wiedział. Ktoś nasłał na niego FBI. Teraz agent za chwilę uda, że upadła mu broń, pochylił się i zastrzelił go!

Byłeś niegrzeczny, bardzo niegrzeczny. Niegrzeczny Billy.

– Ojejku – powiedziała pielęgniarka. – Naprawdę nie wolno tu panu być. Bardzo proszę, niech pan wyjdzie.

– Ale jak on się czuje?

– Niestety, pan Boer miał dość ciężką noc. Najprawdopodobniej rano czeka go operacja, ale lekarz prowadzący powie panu więcej.

– A, operacja na otwartym sercu? – W głosie agenta słychać było zdumienie i triumf.

– Tak, to możliwe.

Nogi zniknęły z jego pola widzenia. Pielęgniarka popychała agenta do wyjścia. Ale przy okazji wyjaśniała mu sytuację.

William trwał jak przymurowany.

Dostajesz to, na co zasługujesz.

Powoli sięgnął pod pachę i wyjął broń. Odciągnął bezpiecznik.

Jestem gotowy, zapowiedział sobie. Nie jestem już przestraszonym mięczakiem.

W teksańskim sierocińcu nauczyłem się wielu rzeczy.

Pora zacząć myśleć, William. Pora zapanować nad sytuacją.

Dostajesz to, na co zasługujesz.

Podjął decyzję. Jeśli tak ma się to rozegrać, on w to wchodzi. Doktor Harper Stokes uważa go za mięczaka, może nawet za ofiarę, ale w końcu co on może wiedzieć?

W mrocznym gabinecie „Four Seasons”, dokładnie naprzeciwko domu Stokesów na Beacon Street, Jamie O'Donnell siedział na sofie z błękitnego aksamitu, trzymając w jednej ręce kieliszek koniaku, a w drugiej pilot telewizora.

Dlaczego stary idiota siedzi po nocy, skacząc z kanału na kanał? Powinien wyłączyć to pudło i iść do łóżka. Przytulić się do Annie, rozkoszować się jej słodkim oddechem. Piękna kobieta z tej Annie. Najwspanialszy dar losu dla niego.

I dalej siedział przed telewizorem, skacząc po kanałach.

Pod wieloma względami Jamie uważał się za prostego człowieka. Przez całe życie ciężko pracował. Wydzwignął się z biedy. Zabijał ludzi, widział ich śmierć. Robił rzeczy, z których był dumny, a także takie, o których wołał nie myśleć. Robił, co musiał.

Przyjechał do Teksasu w dojrzałym wieku trzynastu lat. Rok później pracował już przy szybie naftowym. Zanim skończył dwadzieścia lat, wyrobił sobie szerokie bary i byczy kark pracownika fizycznego. Twarz miał zwykle tak brudną, że białka tylko w niej błyskały. Nie był przystojny, ale nigdy mu to nie przeszkadzało.

Po zachodzie słońca schodził z szybu jako pierwszy, brał prysznic i szedł do miasta. Uwielbiał miasteczko akademickie. I tam właśnie spotkał Harpera Stokesa. Poznali się przez wspólnych przyjaciół i natychmiast się nawzajem ocenili. Sprytny Harper zorientował się, że Jamie nie pasuje do tego towarzystwa – ten wielki, ogorzały chłop nie mógł być studentem. Jamie także zrozumiał od pierwszej chwili, że Harper tu nie pasuje – ten wystrojony chuderlak nie mógł być prawdziwym arystokratą. Obaj byli obcy i od razu się wyczuli. Przez parę miesięcy rywalizowali w wyścigu do lepszego towarzystwa. Intrygowali przeciwko sobie, ośmieszali się nawzajem i jakimś cudem w trakcie tego wszystkiego zostali przyjaciółmi.

Już wtedy Harper lubił mówić o pieniądzach. Miał obsesję na punkcie ciuchów i samochodów. Jamie to rozumiał. Zbyt długo harował przy ropie naftowej, żeby nie zapragnął osiągnąć czegoś więcej. Harper w kółko gadał, jakie ważne jest wykształcenie, dobra wymowa i strój. Jamie doszedł do wniosku, że w tym coś jest. Nieco się ogarnął. Potem nauczył Harpera prawidłowego prawego sierpowego. To było coś, co każdy mężczyzna powinien umieć.

A w piątkowe wieczory wzajemna edukacja nabierała innego wymiaru. Niewydarzony Harper, rozpaczliwie pragnący ożenić się z panną z wyższych sfer, nie potrafił się umówić na zwykłą randkę. Z kolei Jamie miał kobiety na pęczki. Uwielbiał je, a one oczywiście rewanzowały się tym samym. Od czasu do czasu podsuwał jedną z nich Harperowi. To wydawało się przyjacielskim gestem.

Potem w ich życiu pojawiła się Patricia.

Co za ironia losu. Mężczyźni robią z miłości o wiele gorsze rzeczy niż z nienawiści.

Życie toczy się dalej, Jamie już to wiedział. W wielu sprawach on i jego przyjaciel dostali dokładnie to, czego pragnęli. Harper mieszkał we wspaniałym domu. Miał efektowną żonę, wspaniałe dzieci, sławę. Przewyższył wszystkich znanych mu arystokratów.

Jamie także nie miał powodów do narzekań. Podróżował po całym świecie, stworzył własne imperium. Bywał we właściwych miejscach, spotykał się z właściwymi ludźmi. No, nie wszyscy należeli do śmietanki towarzyskiej. Ale za to miał władzę. Pracował wyłącznie na siebie.

Dwaj dojrzały mężczyźni. Mądrzejsi o wiele lat.

A kiedy wszystko zostało powiedziane i dokonane, okazało się, że za ich przyjaźnią kryje się pogarda. I to była najciekawsza życiowa lekcja.

Godzinę temu Harper zadzwonił do niego, wrywając go z głębokiego snu. Miał zbyt spokojny głos. Zawsze wściekał się na zimno.

– Co ty wyprawiasz, O'Donnell? Minęło dwadzieścia pięć lat! Dotrzymałem umowy, a jesteśmy za starzy na takie duperele.

Jamie ziewnął w słuchawkę.

– Harper, jest druga w nocy. Nie wiem, o czym mówisz, a nie chce mi się zgadywać.

– Mówię o tym liście w moim samochodzie, do diabła. I o tym numerze z Williamem. Włamać mu się do domu i podrzucić świńskie flaki? Klasa, O'Donnell. Pozazdrościć.

– Ktoś podrzucił Williamowi flaki? – Jamie parsknął śmiechem. – I co, mały się porzygał? Na pewno. Chętnie bym zapłacił, żeby to zobaczyć, wiesz? Nigdy nie lubiłem tego oślizłego mięczaka.

– Daj spokój. Chcę wiedzieć, dlaczego to robisz. Do diabła, wszyscy mamy zbyt wiele do stracenia.

– Wszystko ci się pomieszało, bracie. Nie rozumiem, co się dzieje ani kto to robi, ale dziś wieczorem ja także dołączyłem do klubu.

– Co?

– Też dostałem prezent. Doręczony dozorczy do rąk własnych. I ładnie opakowany, trzeba przyznać. Ze wstążeczkami i tak dalej. Spodobałoby ci się.

– Co to było? – spytał Harper nieufnie. Nie lubił niespodzianek, a ta odebrała mu rozpęd.

– Słoik. A w nim, w jakimś płynie, o którym nawet nie chcę myśleć, fiut i jaja. Penis. Marynowany penis.

Nastąpiła chwila milczenia pełnego zgrozy. Potem Harper parsknął śmiechem.

– Penis, jak miło – wycedził – Powiedz, Jamie, ciągle o niej marzysz? Ciągłe pożadasz mojej żony?

– Na miłość boską, Hap, powtarzam ci, że to nie ja jestem odpowiedzialny za to, co się dzieje. Minęło wiele lat. Wszyscy mamy swoje życie.

– Ach, wiele fet, oczywiście. Nawet miss piękności się starzeją.

– Jesteś idiotą.

– Tak ci się wydaje. Ale to ja zdobyłem tę dziewczynę, nie? I wiem, że ciągle nie możesz mi tego darować. Po prostu nie możesz znieść, że nigdy nie rozumiałeś Pat, tak jak nie rozumiałeś mnie.

– Hap, zbaczasz z tematu.

– Z jakiego tematu?

– Ktoś wie. Po tylu latach znalazł się ktoś, kto wie o Meagan.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowała cisza. Potem Harper skupił się na problemie i razem zrelacjonowali sobie fakty. Sytuacja nie wyglądała dobrze. Harper dostał list. William – świńskie jelita i list. Jamie penisa w słoiku. Oraz głuche telefony do Annie. A Larry Digger przyjechał do miasta.

– Może to on – powiedział Jamie.

– On nie ma o niczym pojęcia. Nawet mu nie zaświtało.

– A Patricia? Dostała coś?

– Nie mówiła.

– I nie powie, przynajmniej nie tobie.

Harper nie zaprotestował. Nie mógł zaprzeczyć, że ich uczucia nie były już takie jak kiedyś.

– Ale powiedziałaaby Brianowi – zdecydował po namyśle. – A Brian by sobie nie darował tej przyjemności i powtórzyłby mnie.

– Nawet teraz?

– Wiesz równie dobrze jak ja, że mój syn nienawidzi mnie bardziej niż kiedykolwiek. Pewnie cię to cieszy.

– Nie, nie cieszy.

Harper odchrząknął. Nie mógł się pogodzić z zachowaniem Briana. Jamie uważał, że Harper źle z nim postępował, ale teraz był autentycznie wstrząśnięty. Ta świadomość obudziła w Jamie coś, czego nie spodziewał się ani przez moment – litość.

Czasami nienawidził Harpera. Wiedział o wszystkich jego czynach, o których rodzina nie miała pojęcia. Czasami wydawało mu się, że Harper Stokes jest diabłem. Bywały chwile, kiedy przerażał nawet jego. Ale chyba kochał Briana. Jego niespodziewane oświadczenie wydało mu się zdradą.

– Melanie ma migreny – odezwał się nagle Harper.

– I co z tego?

– Myślałem, że to stres, ale jeśli nie? Nie miała migreny od dziesięciu lat, nawet po rozstaniu z Williamem. Więc skąd teraz? Chyba że chodzi o coś więcej. Chyba że to wspomnienia.

– Możliwe. Możliwe.

Jamie nie mógł powiedzieć nic więcej. Czuł, że Harper boi się tak samo jak on. Wspomnienia Melanie były niebezpieczne. W jednej chwili mogły zniszczyć wszystko. Na początku ta myśl dręczyła ich dniem i nocą. Po dwudziestu pięciu latach wydawało się, że mogą odetchnąć.

– Prawda żyje własnym życiem – odezwał się Jamie. – Może powinniśmy się dziwić, że spokój trwał tak długo.

– Kto to jest? – wybuchnął Harper.

– Nie wiem.

– Może ty? A może Brian?

– Stary, co moglibyśmy na tym zyskać? Czy wyszlibyśmy z tego cało? Melanie znienawidziłaby nas do końca życia. Może tobie jest to obojętne, ale mnie nie. I na pewno nie Brianowi.

– Za późno, O'Donnell. Wszyscy na tym zyskaliśmy, nie pora przegrywać. Wyjeżdżam z całą rodziną do Europy.

– Co?

– A co, nie mówiłem ci? – spytał Harper niewinnie. Jamie zrozumiał, że jego przyjaciel przygotowuje się do zadania śmiertelnego ciosu. – Dziś rano mówiłem o tym z Pat. Wyjeżdżamy na wakacje. Wszyscy, także Brian. Pakujemy walizki i do diabła ze wszystkim. Bardzo romantyczne, jak mówi Pat. Nawet się cieszy. Ja też, na pewno.

Jamie słuchał bez słowa. Nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Nie rozumiesz, bracie? Patricia mnie kocha. Zawsze mnie kochała. Umieję ją uszczęśliwić, O'Donnell. Jesteśmy tacy sami. Więc zajmij się tym kimś, dobra? Obaj wiemy, że to ty jesteś od

brudnej roboty.

Rozłączył się. Mimo to Jamie wyszeptał:

– Tak, zawsze cię kochała. Ale ciebie to nie obchodziło, bracie. Masz tę swoją cholerną wspaniałą rodzinę i wcale cię ona nie obchodzi!

Trzasnął słuchawką. Poczuł, że jest bardzo zmęczony.

Czwarta rano. Nowe wiadomości. Doniesienie o strzelaninie w hotelu. Zginał dziennikarz Larry Digger.

Jamie zamarł. Harper nic o tym nie wspomniał. Jamie z całą pewnością nie miał z tym nic wspólnego. Co się dzieje?

Podkreślił dźwięk. Zabójca uciekł. Policja prowadzi poszukiwania. Na ekranie pojawił się rysunek. Jamie znał tę twarz.

Cisnął przez cały pokój pilotem, który roztrzaskał się na ścianie. Mało! Przewrócił stolik ze szklanym blatem.

– Skurwiel! Trzęsący dupą, podły, mały skurwiel! Jak śmiał mnie tak zdradzić! Jak śmiałeś mnie zdradzić? – W drzwiach sypialni stanęła okręcona prześcieradłem Ann Margaret. Patrzyła na niego z niepokojem.

– Jamie...?

– Idź spać! Nie drgnęła.

– Co się stało?

– Idź stąd, idź natychmiast. Zrobiła krok w jego stronę.

– Nie ma mowy – oznajmiła ze spokojem. – Razem damy sobie radę ze wszystkim. Kocham cię. Naprawdę.

Zwiesił głowę i jęknął.

Wiedział, że nie powinien tego robić. A jednak wystarczyło zrobić trzy kroki i już był przy niej. Serce biło mu jak młotem, nagle zaczął się pocić. Wziął ją w ramiona, upokorzony i przejęty podziwem.

Ta kobieta była piękna na swój sposób. I silna. Niepokonana duchem i ciałem. Żadnych pretensji do szlachetnego pochodzenia, żadnych pięknych słówek. Miała rację: cokolwiek by zrobił, ona dałaby sobie z tym radę. Żadne z nich nie było lepsze ani gorsze niż to drugie.

I za to ją kochał. Kochał ją z całego serca. I była to jedna z nielicznych rzeczy, które go przerażały.

Wyplątał się z jej objąć. Miał sprawą do załatwienia, a takie sprawy najlepiej załatwia się w ciemnościach.

Telewizor ciągle działał, rzucając na ściany upiorne sine refleksy. Jamie zapomniał, że słój ciągle stoi na widoku. Ann Margaret nagle go zauważyła.

– Co to jest? – wyszeptała. Zamknął oczy.

– Ktoś mi to przysłał – burknął. – Jakiś koszmarny dowcip.

– Chodzi o nią, tak?

– Annie, to było tak dawno...

– Chyba nie dość dawno. Nie dość dawno, żeby ktoś nie pamiętał. Ktoś, kto chce, żebyś za to zapłacił.

Nie mógł na to odpowiedzieć.

– Ciągle ją kochasz?

– Nie, Annie.

– Czy ona także dostała penis cudzołożnika? Czy pas cnoty? Wziął ją za ramię, zmusiłby spojrzeć mu w oczy.

– Annie – powiedział cicho i z naciskiem. – Tu nie chodzi tylko o Patricię.

– Skąd wiesz? Co tu się dzieje?

– Harper dostał list.

– Jaki list?

– Taki, w którym ktoś pisał, że dostanie to, na co zasługuje. Larry Digger przyjechał do miasta, Melanie znowu ma migreny, a William... Annie, William też dostał... list. „Dostajesz to, na co zasługujesz”.

– O Boże. – Rozsądna, twarda Annie zadrżała. – Czy to się nigdy nie skończy?

– Nie wiem. Chyba tak musi być. Jedni żyją spokojnie, inni nie. Wziął pistolet.

– Nikogo nie wpuszczaj. I nie odbieraj telefonów.

– Dokąd idziesz? Co chcesz zrobić?

– Jeszcze nie wiem.

– Jamie!

Ruszył do drzwi. Otworzył je. Zrobił krok na korytarz. Odwrócił się. Podszedł do niej blisko, tak blisko, jak trzeba, kiedy mówi się najważniejsze rzeczy.

– Zaopiekuję się tobą. Tobą i Melanie. Przysięgam.

Kiedy Brian Stokes obudził się z krzykiem po raz piąty tej nocy, jego kochanek wreszcie nie wytrzymał.

– Chcesz o tym porozmawiać, czy mam ci przynieść żyłki?

– Daj mi spokój.

– Miałeś koszmary, wiesz? Słyszałem, że powtarzasz pewne imię. Brian odwrócił się do niego plecami.

– Odwał się.

Nate usiadł. Oprócz Melanie był jedyną osobą której Brian ufał. Nigdy nie dawał się zbyć, zawsze dostrzegał zbyt wiele. Teraz odrzucił kołdrę i podciągnął spodnie od pizamy na okrągłym brzuszku – wyraźny znak, że szykuje się do poważnej rozmowy.

– Wołałeś Meagan – powiedział łagodnie. – Normalnie nigdy o niej nie wspominasz.

Brian poczuł, że za chwilę się rozplacze.

– Pieprz się.

Wstał, podszedł do okna i spojrział na uśpione miasto. Ale nie widział niczego oprócz wizji, które go obudziły.

Pogrzeb w szary deszczowy dzień. Matka zataczająca się z rozpacz i od dzinu. Ojciec z kamienną twarzą patrzący na nią nienawistnie.

Milczenie późniejszych dni. Wielki dom, bardzo cichy bez dziecięcych pisków.

Jedna noc, kiedy Harper krzyczał:

– Gdzie byłaś przez cały dzień? Gdybyś siedziała w domu...

– Nie wiedziałam... – płakała matka. – Nie wiedziałam... Myślałam, że Brian chce pobyć sam ze mną. Wiesz, jaki jest, zwłaszcza w jej towarzystwie.

– Teraz ma cię tylko dla siebie, tak? Dopiął swego!

Przepraszam. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego byłem taki okrutny.

Nate stanął za jego plecami.

– Martwisz się o siostrę, tak? – spytał, masując mu ramiona. – Zachowujesz się tak, odkąd od niej wróciłeś.

– Nie chcę o tym mówić.

– Naturalnie – zgodził się Nate bez urazy. – A jak długo będziesz jeszcze nienawidził siebie? I jak długo będziesz nienawidził Melanie za to, że ośmieliła się kochać?

– Ja nie...

– Przyszła do ciebie, żebyś jej pomógł. A ty nawet do niej nie zadzwoniłeś.

– Ty tego nie rozumiesz.

Nate rzucił mu znaczące spojrzenie. Widział już Briana w najgorszych dniach, kiedy nienawiść do samego siebie tak go przepelniała, że nie był w stanie podnieść się z łóżka. Nate go dobrze rozumiał.

– Więc wyjaśnij mi. Daj mi jeden logiczny powód, dla którego odpychasz od siebie tę swoją biedną siostrę.

Brian przestąpił z nogi na nogę.

– Lepiej jej beze mnie.

– Ha! Ona cię uwielbia. Ma kłopoty i do kogo dzwoni? Do starszego brata. Ponieważ wie, że nie jest ci obojętna. Ponieważ zawsze się nią opiekowałaś. Ona ci ufa. Kocha cię. Dlaczego robisz takie problemy?

Brian zacisnął zęby.

– To co innego.

– Twoja siostra potrzebuje pomocy. Co w tym innego?

– To skomplikowane, rozumiesz? Ona nie wie o Meagan. Nikt o niej nie wie. Cholera, ja też nie chcę o niej wiedzieć!

– Wiesz co? – powiedział Nate cicho. – Jesteś jedynym znanym mi facetem, który oznajmił, że jest gejem, żeby ukryć większą tajemnicę.

– Wcale nie...

– Znam to. Znam te objawy. Widziałem, jak inni się przyznają i nigdy nie było to łatwe. Ale na ogół przeżywali potem chwilę ulgi. A ty nie. Prawda? Minęło pół roku, a ty dalej jesteś tak samo napięty i udręczony. Dlaczego? Wreszcie ujawniłeś wielką tajemnicę, więc dlaczego robisz takie wrażenie, jakbyś był jeszcze bardziej wściekły?

Nie mógł na to odpowiedzieć. Zresztą Nate nie czekał.

– Bo nie o tę tajemnicę chodziło, prawda?

Brian nie odpowiedział.

Piąta rano. Nad horyzontem pojawiły się pierwsze zapowiedzi świtu. Ulice miasta nabrały złotego koloru.

Odwrócił się od okna. Był zmęczony po długiej, ciężkiej nocy, ale i pełen uniesienia.

Gra toczyła się już pełną parą. Pionki zmieniły położenie. Ciekawe, że ludzie, którzy właściwie się nienawidzą, od dwudziestu pięciu lat pozostają tak blisko siebie. Dzięki temu łatwo mieć nad nimi kontrolę.

Harper ogląda się za siebie. William wszędzie chodzi z bronią. Brian Stokes cierpi na bezsenność. Reszta stara się jak może, żeby dalej ukrywać swoje tajemnice.

Zabójca rozpoczął działalność. Miał już pierwsze wyniki.

A Melanie? Nie wiedział nawet, gdzie jest, ale zakładał, że nic jej nie grozi. Gdyby było inaczej, dowiedziałby się o tym.

Melanie była najważniejszym pionkiem. Królem. Nagrodą w grze, jedynym powodem, dla którego wszystko to się zaczęło. I jedynym, co mógł zyskać.

Postaraj się, Melanie. Teraz wszystko zależy od ciebie.

Przypomnij sobie, słoneczko. Poskładaj to wszystko do kupy.

Wróć do tatusia.

Wróć do mnie.

W porządku, co jest grane? – spytał Lairmore cierpko. O siódmej rano nie wolno denerwować zwierzchnika. Lairmore miał na sobie idealnie wyprasowany dwurzędowy garnitur i białą wykrochmaloną koszulę. Włosy na jeża, po wojskowemu. Siedział za wielkim biurkiem, za plecami miał niebieski symbol FBI w aureoli trzynastu gwiazdek. Nawet podczas zwykłych spotkań miało się wrażenie, że Lairmore prowadzi konferencję prasową.

A David i tak go lubił.

Szef bostońskiego wydziału przestępstw finansowych potrafił dokładnie wytłumaczyć, co symbolizuje każdy kolor i rysunek w odznace FBI. Miał także niezłomne przekonanie, że Hoover nigdy w życiu nawet nie dotknął damskich majtek, to musiało być jakieś straszliwe nieporozumienie. Był biurokratą i konserwatystą, ale również głęboko wierzył, że nadużycia w służbie zdrowia to najgorsza plaga od czasu przestępczości zorganizowanej – zmarnowane dziesięć centów od każdego dolara, nie wspominając już o złym leczeniu, zbędnych zabiegach i niebezpieczeństwie dla ludzkiego życia. Dlatego wypruwał z siebie żyły, żeby jak najwięcej zmienić. I wierzył, że to, co robi, ma sens. W obecnych czasach to rzadkość, uważał David.

Stali przed nim wymiętoszeni, obaj po bezsennej nocy.

– Na miłość boską! – wybuchnął Lairmore po paru minutach potępiającego milczenia. – Nie mogliście się chociaż ogolić? Tu nie knajpa.

David i Cheney spojrzeli na siebie. Pokręcili głowami.

– Śledziłem Sheffielda – wymamrotał Cheney. Oczy mu się zaświeciły. – Mam coś wspaniałego!

– Badałem sprawę Meagan Stokes – oznajmił David. – Strzelałem do obcego faceta. Rozmawiałem z dyrektorem Quincym. Nic nie mam.

– Rozmawiałeś z Quincym? Z Quantico?

– Aha. Wczoraj w nocy. On też zawsze siedzi w pracy. Co to za praca? Cheney patrzył na Davida z nabożnym podziwem.

– Super!

– Jezusie, Mario, Józefie święty! – wrzasnął Lairmore i poderwał się z krzesła. – Na korytarz! Już!

Wypadł z gabinetu. Poszli za nim. Lairmore wepchnął parę monet do automatu z kawą i podał obu agentom parujące kubki. Wzięli je posłusznie i ruszyli z powrotem do gabinetu, gdzie David dostał długie kazanie na temat jego kompetencji oraz narażenia na szwank „bardzo ważnego, jeśli nie krytycznego” dochodzenia. David obracał w palcach kubek z kawą i zbierał myśli, żeby w odpowiedniej chwili zaprezentować swoje argumenty. Okazja nadarzyła się wcześniej niż się spodziewał.

– Zacznijmy od sprawy Meagan Stokes. – Lairmore rzucił z trzaskiem teczkę z aktami sprawy Harpera Stokesa i Williama Sheffielda. – Jak to się stało, do nagłej i ciężkiej cholery, że raptem zacząłeś pracować nad zamkniętą sprawą zabójstwa sprzed dwudziestu pięciu lat?

David zaczął od samego początku, a zakończył, wyrażając przekonanie, że rodzina Stokesów ma na sumieniu coś więcej niż zwykle oszustwo. Lairmore prawie się z nim zgodził.

– Przestępcy na ogół popełniają drobne oszustwa, niejako na marginesie właściwej działalności. Na przykład naciągają towarzystwo ubezpieczeniowe. Ale w całej mojej karierze

nie spotkałem się jeszcze z człowiekiem, który zacząłby od zamordowania własnego dziecka dla pieniędzy z ubezpieczenia, a potem przeszedłby do zwykłych oszustw finansowych.

David uśmiechnął się ze zmęczeniem.

– I nawet nie wiemy, czy Harper Stokes popełnia oszustwa. I czy ma coś wspólnego z zamordowaniem Meagan. Quincy stawia na matkę...

– Harper jest winny! – wpadł mu w słowo Cheney. – Mam go! Mam Sheffielda!

Resztę opowiedział jednym tchem: Harry Boer miał bóle w klatce piersiowej, więc pojechał na pogotowie. Wieczorem przeniesiono go na OIOM. Był pod narkozą, ale wszystko wydawało się w porządku. I nagle trach! Dwa przypadki bradykardii w ciągu pięciu godzin. Teraz czeka na operację, a rozrusznik założy mu nie kto inny, tylko doktor Harper Stokes. A William Sheffield pojawiał się na OIOM-ie parę razy, już po zakończeniu swojej zmiany, choć na oddziale nie było jego pacjentów. Po prostu „przechodził obok”. Bardzo ładnie z jego strony.

– Z samego rana zadzwoniłem do mojej koleżanki, farmaceutki – ciągnął. – Powiedziała, że jeśli chce się sfingować taki stan, istnieją dwa leki, które skutecznie wchodzą w interferencję z elektrycznym przewodnictwem serca. To propranolol i digoksyna. Propranolol to beta bloker. Używa się go do zwolnienia częstości pracy serca. Digoksyna także zmniejsza kurczliwość komór, ale może je także niebezpiecznie przyspieszyć. Trochę ryzykowne, powiedziała. Najprawdopodobniej używają propranololu. A więc – oczy małego lśniły tryumfalnie – to Sheffield zakrada się na OIOM. Dlatego tak często siedzi w szpitalu. Podanie propranololu tylko raz mogłoby spowodować reakcję, ale to nie wystarczy, żeby od razu zalecać operację. Natomiast jeśli takie epizody mają miejsce parę razy z rzędu...

– ... Wygląda na to, że pacjent ma problemy z krążeniem i operacja jest niezbędna – wpadł mu w słowo David.

– Proste i genialne – powiedział Lairmore. – Każde podanie leku trwało jakieś dwie minuty. Później trzeba było tylko wykonać operację, która trwa godzinę i przynosi Harperowi dwa tysiące zysku, a kolejne cztery za rozrusznik, bo używa tylko swoich, robionych na zamówienie. Jeśli trafi się parę takich operacji w tygodniu...

– Sheffield bez problemu spłaci swoje długi, a Harper wyda pieniądze na cokolwiek. – David westchnął. – Trzeba mu przyznać, że lubi życie na wysokiej stopie.

Lairmore przyglądał się im w zamyśleniu. Cheney spochmurniał.

– Ale nawet jeśli zdołamy mu udowodnić zarabianie na nielegalnych operacjach, jak go powiążemy z morderstwem Meagan Stokes?

– Właśnie tego chciałem się dowiedzieć. – David oparł łokcie na kolanach. Padał ze zmęczenia po całonocnym ślęczeniu nad dokumentami. – Przetrzęsnałem wszystko na temat tej sprawy i znalazłem parę rzeczy. Po pierwsze w siedemdziesiątym drugim roku Stokesowie byli w dołku finansowym. Mieszkali w dużym domu, ale kupił go ojciec Patricii. Harper nie mógł sobie na niego pozwolić. Był tylko stażystą, z trudem wyciągał dziesięć tysięcy rocznie i wypruwał z siebie żyły, żeby utrzymać styl życia, do którego przywykła jego żona. Zaciągnął dług hipoteczny. W chwili zniknięcia Meagan miał trzy niespłacone raty. Krótko mówiąc, z finansowego punktu widzenia śmierć Meagan była dla niego darem niebios.

– Więc mamy motyw.

Chenney nie był przekonany.

– Jeśli chodzi tylko o pieniądze, to czy Harper nie mógł wcześniej wpaść na pomysł tych operacji?

– Nie. Stażyści dostają pensję, nie płacą im od operacji. Jedna czy dziesięć, to dla niego wszystko jedno.

Teraz to Lairmore wystąpił z wątpliwością.

– Ale mógł robić co innego... sprzedawać na lewo lekarstwa, przyjmować łapówki. Wszyscy wiemy, że lekarz ma mnóstwo okazji do nielegalnych zarobków. Cheney ma rację. Ustaliliśmy, że Stokesowie potrzebowali pieniędzy, ale jeszcze nie jestem przekonany, że to ludzie, którzy mogliby zamordować swoje dziecko z zimną krwią.

– Dobrze, w porządku. Teraz moje najważniejsze odkrycie. Harper nie tylko miał motyw, ale w tamtych czasach chyba wszyscy członkowie rodziny mieli kłopoty. W roku siedemdziesiątym drugim policja znalazła czworo podejrzanych: Harpera Stokesa, Patricję Stokes, Jamiego O'Donnella i, wiercie lub nie, Briana Stokesa. – Spojrzał na ich zaskoczone twarze. – Właśnie. Ta rodzina to kłębowisko węży. Jeśli sądzicie, że to nie Harper popełnił morderstwo, proszę bardzo, może być kto inny. Zacznijmy od Patricji Stokes. Poznała Harpera jako panna z bogatego domu. Rodzina potentatów naftowych, dominujący ojciec, a ona była jego oczkiem w głowie. Zdaje się, że tatuś nie przepadał za Harperem. Uważał, że nie zasługuje na jego córkę. Ale to mu nie przeszkodziło wyprawić huczne wesele i podarować młodej parze prawdziwy pałac. Niestety, kiedy Patricia została żoną doktora, przekonała się, że nie lubi takiego życia. Brian jeszcze nie wyrósł z pieluch, a ona już była znudzona i nieszczęśliwa. Zaczęła wydawać mnóstwo pieniędzy. Bawiła się, spędzała więcej czasu z Jamiem O'Donnellem niż z własnym mężem. A jej mąż spędzał więcej czasu z młodzietkami pielęgniarkami niż z własną żoną. Przyjaciele rodziny twierdzą, że usiłowali się pogodzić. Harper częściej przychodził do domu. Postanowili mieć drugie dziecko, Meagan. Tym razem zadziało. Patricia, matka dwojga dzieci, wreszcie porzuciła życie towarzyskie i skupiła się na macierzyństwie. Prowadziła działalność charytatywną, należała do paru organizacji, ale przeważnie zadowalała się opieką nad dziećmi. Gospośia mówiła, że znów dzieliła z mężem sypialnię, ale służąca nie musiała po takich nocach zmieniać prześcieradła, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi.

– Tak jest w wielu związkach – powiedział Lairmore bez emocji. – Jeśli to ma być oznaka zbrodniczej działalności, powinniśmy aresztować wszystkie małżeństwa żyjące ze sobą dłużej niż pięć lat.

– Tak, ale to nie wszystko. A zatem pojawia się Meagan Stokes. Mieli dwoje dzieci i żyli razem długo i szczęśliwie... Ale pół roku przed śmiercią Meagan Patricia i Harper wszczynają kłótnię. Pewna pokojówka najwyraźniej rozplotkowała o tym wśród przyjaciół lub rodziny. Patricia wyrzuciła ją z pracy następnego dnia po fackie. I, dziw nad dziwy, Jamie O'Donnell znowu zaczął odwiedzać ich dom.

– Między nim i Patricia coś było – odgadł Cheney.

– Na to wygląda. Policja nie mogła tego udowodnić, ale trudno uwierzyć, żeby się tak przyczepił do Stokesów dla dobrej kuchni. A Patricia zaczęła nadużywać dzinu. Wszyscy mówią, że załamała się po śmierci Meagan, ale policja znalazła dowody na to, że piła jeszcze przed tragedią. Na krótko przed, co oznacza, że nawet jeśli się na coś zanosilo, Patricia znalazła się w niestabilnym stanie. A kto wie, do czego zdolna jest taka kobieta.

Lairmore powoli skinął głową.

– Ciekawe. Więc mamy chciwego lekarza – pracoholika, nieszczęśliwą alkoholizkę – jego żonę oraz miłosny trójkąt. Kim właściwie jest Jamie O'Donnell dla Stokesów?

– Starym znajomym ze studenckich czasów, co nie znaczy, że sam studiował. Uczył się o własnych siłach. Zaczął jako robotnik przy szybie naftowym i wszystkiego dorobił się sam. Z pozoru wydaje się zupełnie inny od Harpera, ale obaj postępują podobnie. Oczywiście obrali różne drogi. Harper jest Znany i Szanowany, a Jamie O'Donnell ma znajomości. Interpol się nim interesuje.

– Co? – ożywił się Lairmore. David machnął ręką.

– Interpol rozpaczliwie chce udowodnić, że O'Donnell handluje bronią, ale nigdy nie znalazł na to żadnego dowodu z wyjątkiem niebanalnych znajomości. Poza tym prowadzi całkowicie legalną firmę importową, płaci podatki w terminie i jest dokładnie taki, jak wszyscy.

– Ale wszyscy nie śpiją z Patricią Stokes – mruknął Cheney.

– Aha. Na razie mamy motyw finansowy i trójkąt miłosny. Może Harper był tak wściekły na żonę, że uznał śmierć Meagan za zemstę i zarazem dogodne rozwiązanie finansowych problemów. A może Jamie O'Donnell uznał, że Patricią nigdy nie zostawi Harpera, dopóki będą mieli wspólne dzieci, więc postanowił coś z tym zrobić. A może Patricią była zbyt zdenerwowana, wypłała za dużo, a Meagan wybrała sobie akurat tę chwilę, żeby nabroić. I trzask, zegnaj, Meagan. Teraz przechodzimy do trzeciej ewentualności. Brian Stokes.

– Robi się coraz weselej – zauważył Cheney.

– Brian ma szczególnie ciekawe akta. Policja z Houston donosi, że często niszczył domowe meble i niemal co wieczór doprowadzał matkę do łez. Funkcjonariusz, który przeprowadzał przesłuchanie, napisał, że niania miała wyraźny rozkaz, by nie zostawiać go samego z Meagan. Lubił niszczyć jej zabawki. A wreszcie, żeby nie przedłużyć, w roku siedemdziesiątym drugim zaczął chodzić na psychoterapię. I zdaje się, że miał na koncie zabawy z zapalkami.

– Nie żartuj. – Lairmore wyprostował się czujnie. – Jeśli jeszcze powiesz, że moczył się w nocy i torturował zwierzęta...

Była to słynna triada, odkryta przez specjalistów od portretów psychologicznych. Z jakiegoś powodu seryjni mordercy zawsze zdradzają przynajmniej dwa z trzech wymienionych objawów. Ale nie Brian Stokes.

– Nie, chodziło tylko o niewielkie podpalenia. A żeby było jeszcze ciekawiej, w dniu zniknięcia Meagan on i Patricią nie mieli alibi. Patricią zeznała, że zabrała go do psychoterapeuty. Owszem, tak było, ale spotkanie skończyło się o dziesiątej rano. Niania zadzwoniła na policję o drugiej po południu, donosząc o porwaniu dziecka. Patricią i Brian wrócili do domu o piątej, gdzie czekały ich już nowiny.

– A Harper Stokes i Jamie O'Donnell? Mają alibi?

David pokręcił głową.

– Harper twierdził, że był w pracy, ale nikt tego nie potwierdził. O'Donnell podobno był poza miastem, ale także nie dostarczył żadnego dowodu. Jest jeszcze lepiej. Policja nie była przekonana, czy niania mówi prawdę, jeśli chodzi o godzinę zaginięcia Meagan. Ledwie mówiła po angielsku, unikała ich spojrzeń przy odpowiadaniu na pytania i przez cały czas usiłowała się chować za Harperem. Policja podejrzewała, że dziewczyna miała z nim romans, a już na pewno sprawdzała, czy to, co mówi, znajduje jego aprobatę. Krótko mówiąc, Meagan mogła zostać porwana z dowolnego miejsca o dowolnej porze. Po prostu zniknęła. A następnego dnia do

szpitala Harpera przyniesiono żądanie okupu i od tej pory porywacz nie dał znaku życia. Wreszcie po ośmiu tygodniach ciało Meagan odnalazł mężczyzna, który wyszedł z psem na spacer. Quincy ma rację. Sprawa Meagan Stokes śmierdzi z daleka, a nikt z tej rodziny nie jest zupełnie czysty. Gdyby Russell Lee Holmes nie przyznał się do zabicia Meagan, policja dalej prowadziłaby śledztwo wśród Stokesów i ich znajomych, dopóki by coś nie wyszło na jaw. A jak długo sprawa byłaby otwarta, towarzystwo ubezpieczeniowe nie zapłaciłoby ani grosza. Czyli dzięki temu niespodziewanemu wyznaniu Russella Lee rodzina nie musiała znosić bardzo krępującego dochodzenia i dostała milion dolarów.

– Bardzo to dla nich wygodne – mruknął Lairmore – że Russell Lee Holmes zechciał się przyznać.

– Prawda?

– Quincy chce otworzyć sprawę na nowo?

– Tak powiedział. Ale chyba nie musi tego robić oficjalnie. Uważamy to za część naszej sprawy.

– Nie.

– Nie?

Lairmore zmierzył go surowym spojrzeniem.

– Z całym szacunkiem, jesteś w wydziale oszustw finansowych. Agent Cheney odkrył, że mamy dowód oskarżenia przeciwko doktorowi Harperowi Stokesowi i doktorowi Williamowi Sheffieldowi, oczywiście jeśli zdołamy udowodnić ich winy. To twoje zadanie. Nad tą sprawą musisz się skupić.

– Ale zabójca Larry’ego Diggera...

– Tą sprawą zajmie się bostońska policja. To podpada pod ich jurysdykcję. A sprawa Meagan Stokes znajduje się w godnych zaufania rękach Quincy’ego.

– Jasna cholera! – David zerwał się z krzesła. – To moja sprawa! Wyprułem sobie żyły, żeby połączyć te punkty, muszę się opiekować przerażoną kobietą, która nawet nie wie, czy nie grozi jej niebezpieczeństwo ze strony własnej rodziny i mam bezpośrednie powiązanie ze sprawą, nad którą pracowałem.

– Nie masz żadnego powiązania! – wypalił Lairmore. Rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie, ale David nie dał się zastraszyć.

– Właśnie, że mam! Przed dwudziestu pięciu laty Stokesowie potrzebowali pieniędzy, a ich córka umarła, dzięki czemu dostali milion dolarów. Teraz Harper znowu ma deficyt w budżecie i znalazł inny sposób ściągania forsy: operowanie zdrowych ludzi. To schemat!

Teraz nawet Cheney patrzył na niego jak na wariata.

– Nie ma żadnego schematu! Zamordowanie dziecka raczej nie przypomina instalowania rozruszników.

– Oszukanie towarzystwa ubezpieczeniowego i oszukiwanie pacjentów!

– To pierwsze to morderstwo! Drugie to przestępstwo, owszem, ale nawet niepotrzebny rozrusznik nie stanowi zagrożenia dla życia. Działa tylko wtedy, jeśli jego nosiciel ma zawał serca.

– Ktoś mógłby mu umrzeć na stole. Narażanie ludzkiego życia.

– Ciągłe trochę daleko do zamordowania własnego dziecka.

– Mały ma rację – zawyrokował Lairmore. – Masz motyw, ale nie charakter. Wiemy, że Harper Stokes lubi wystawne życie na tyle, że mógłby popełnić oszustwo. Ale czy mamy dowody na to, że jest zdolny do morderstwa? Czy kiedykolwiek był oskarżony o użycie przemocy?

– Nie.

– Maltretowanie dziecka, żony? Zaniedbanie?

– Nie.

– Wszystko wskazuje na to, że wychował dwoje zdrowych dzieci. Żadnych wycieczek na pogotowie, żadnych doniesień o awanturach. Czy w pierwszym raporcie nie napisałeś, że doktor Stokes ma opinię czułego ojca i nadmiernie wyrozumiałego małżonka?

David zgrzytnął zębami.

– Napisałem.

– A Patricia Stokes? Wiem, że Quincy się zainteresował starannie owiniętym ciałem dziecka, ale czy wiadomo coś o jej skłonności do agresji czy zaniedbania?

– Ma problem alkoholowy.

– Który powrócił pół roku temu. Czy wówczas pojawiły się jakieś oznaki przemocy?

Musiał pokręcić głową.

– Co nas prowadzi do Jamiego O'Donnella. Tu możemy mieć nawet przestępczą przeszłość. Larry Digger twierdzi, że O'Donnell odwiedził akuszerkę w Teksasie. Ale wszystkie źródła donoszą, że chrześniacy są mu bardzo bliscy, podobnie jak reszta rodziny. I wreszcie zostaje Brian Stokes. Sam twierdzisz, że uwielbia swoją drugą siostrę i zawsze zachowywał się wobec niej wyjątkowo opiekuńczo. Zrozum wreszcie, ta sprawa cię przerasta. Masz motyw, masz dogodną możliwość, ale nikt nie wydaje się prawdopodobnym kandydatem do roli mordercy. Przynajmniej dla nas. Zostaw to specjalistom. Zostaw to Quincy'emu.

– Powiązanie istnieje – wycedził David. – Spróbuję wam to wyjaśnić.

Lairmore i Cheney popatrzyli na niego ze zniecierpliwieniem.

– Informator. Anonimowy rozmówca, który zwrócił nam uwagę na nadużycia doktora Stokesa w tym samym czasie, kiedy zwrócił uwagę Larry'emu Diggerowi na Melanie. Wydaje się, że kieruje nim chęć zemsty za Meagan Stokes. I stara się, żeby dosięgła wszystkich, którzy na to zasługują. Jeśli on nas w to wciągnął, to te sprawy mają powiązanie.

Lairmore zastanawiał się przez dłuższą chwilę, ale wreszcie westchnął.

– Dobrze. Daję ci ostatnią szansę. Ustal charakter sprawy. Daj mi jakikolwiek dowód na to, że Harper, Patricia lub Brian Stokes mają w sobie dość okrucieństwa, są tak nieczuli czy chorzy, by zaplanować morderstwo czteroletniej Meagan Stokes. Daj mi go, a pozwolę ci pracować nad tą sprawą... w wolnym czasie. Na razie zleciłem wam tylko badanie nadużyć finansowych.

– Dobrze – warknął David.

Lairmore nie chciał już więcej słyszeć o przestępstwach sprzed dwudziestu pięciu lat, więc skupili się na odkryciu Cheneya. Nie mieli żadnych niezbitych dowodów, więc możliwości były ograniczone. Mieli pewny motyw – pieniądze – oraz możliwość popełnienia zbrodni. Ale potrzebowali prawdziwego dowodu lub zeznania naocznego świadka. Niestety, w szpitalach naoczni świadkowie zdarzają się zdecydowanie zbyt rzadko. Za wiele tam pielęgniarek i lekarzy, by pacjenci mogli się w tym połapać, a pielęgniarki i lekarze są zobowiązani do milczenia. Nie donoszą na siebie nawet wtedy, gdy zobaczą dowód popełnienia zbrodni.

Uznali, że najlepiej będzie umieścić Chenneya w szpitalu jako sprzątacza. Będzie mógł zaglądać na OIOM, wypytywać pielęgniarki, może nawet przyłapie Sheffielda na gorącym uczynku.

David dostał pasjonujące zadanie przewertowania wszystkich dokumentów. Musiał przejrzeć zeznania podatkowe Stokesa, by udowodnić motyw, a także znaleźć dowód układów finansowych między Harperem a Sheffieldem.

Potem zajęli się Melanie Stokes. Tutaj David zabrał się do pracy na poważnie. Pod koniec dnia udowodnił tylko, że Lairmore ma rację. Jeśli nie liczyć migren, Melanie cieszyła się doskonałym zdrowiem. Nie miała ani jednej złamanej kości, ani jednego podejrzanego siniaka. Opisywano ją jako osobę szczęśliwą i zadowoloną z życia. Miała najwspanialsze przyjęcia urodzinowe w całej okolicy.

Najwyraźniej wszyscy w tej rodzinie byli w niej zakochani na śmierć i życie.

Melanie obudziła się we wtorek rano z myślą o Meagan. I o rodzinie, którą tak bardzo kochała i której miłości była tak pewna. Stała przed lustrem i przyjrzała się sobie. Cholera, nie przypominała Meagan. Nie była piękna.

Uderzyła pięścią w szafkę i zbiegła na dół.

David nie było, ale zostawił list na kuchennym stole:

„Wyszedłem na spotkanie. Wrócę po piątej. Pamiętaj, nie wychodź. D.”

Odłożyła list i zaczęła krążyć po pokoju. W lodówce znalazła mrożonki. Na szafce – słoik rozpuszczalnej kawy. Postawiła wodę na gazie, żeby się czymś zająć. Czekając, aż się zagotuje, wygrzebała z torebki notatnik i zajrzała do rozkładu dnia na dzisiaj. Dawno powinna już była wysłać książki do antykwariusza. Miała się dziś spotkać z przyjaciółką z Wellesley, a po południu czekało ją zebranie komitetu w sprawie zimowego balu na rzecz szpitala pediatrycznego. Był dopiero czerwiec, ale oni musieli już zacząć przygotowania.

Zasiadła przy telefonie i odwołała wszystkie spotkania. Powiedziała, że ma grypę. Rozmówcy wyrazili swoje współczucie. Poradzili, żeby dobrze wypoczęła. Oczywiście, że sobie bez niej poradzą.

Odłożyła słuchawkę z poczuciem zawodu. Oczekiwała protestów, okrzyków: „Nie, nie zostawiaj nas, Melanie, nie poradzimy sobie bez ciebie”.

Jesteś wyjątkowa. Niezastąpiona. Nie jesteś zastępczą córką.

Niech to diabli, jak matka mogła powiedzieć, że chciała mieć znowu Meagan? Jak mogła spojrzeć na nią i zobaczyć Meagan?

Czy zawsze chodziło tylko o Meagan?

Czy wszyscy tak uważają? Matka, ojciec, brat, ojciec chrzestny? Ludzie, którzy ją przyjęli do swojej rodziny, dali jej dom. Ludzie, którym ufała.

Do diabła z pytaniami. Znajdzie na nie odpowiedzi.

Narysowała na kartce kółko i podpisała „Meagan”. Wokół niego nakreśliła kółka dla matki, ojca, brata i Jamiego. Potem wpisała Russella Lee Holmesa, Larry Diggera i siebie. Dodała jeszcze Ann Margaret. David uważał, że ona też jest wmieszana w sprawę, a na tym etapie Melanie nie mogła wykluczyć żadnej możliwości. Pamiętając o tym, wpisała jeszcze Williama Sheffielda.

Dziewięcioro ludzi otaczało małą dziewczynkę.

Połączyła liniami Meagan z matką, ojcem, bratem i ojcem chrzestnym. Miała wrażenie, że właśnie przekonała się o istnieniu rywalki. Musiała się pogodzić z prawdą. Takie były fakty, Meagan miała pierwszeństwo. Dodała Larry’ego Diggera. Nie znalazła bezpośredniego połączenia dla Williama Sheffielda i Ann Margaret.

Więcej kłopotów miała z Russellem Lee Holmesem. Chciała wpisać „morderca”, ale Quincy zasiał w niej ziarno wątpliwości. Russell Lee nie miał bezpośredniego połączenia z Meagan. Natomiast miał je z ludźmi otaczającymi dziewczynkę.

Po chwili wahania przeciągnęła linię pomiędzy nim a sobą. Ojciec i córka. Wreszcie zobaczyła to napisane czarno na białym.

Kiedy już to ustaliła, reszta potoczyła się łatwiej.

Nieco po wpół do szóstej do drzwi zapukał David. Trzy razy. Potem wszedł. Niósł papierową torbę. Melanie, usadowiona na kanapie, uniosła pytająco brew.

– Przyniosłem chińszczyznę – wyjaśnił. Pokazał jej torbę. Najwyraźniej usiłował ocenić jej nastrój.

– Fajnie.

Wycofał się ostrożnie do kuchni.

– Wołowina na ostro i kurczak Tsao.

– Dobrze. – Wbrew jego obawom nie była na niego zła. Przez cały dzień siedziała nad wykresem i doszła do wniosku, którego potrzebowała: nikt z jej rodziny nie mógł zabić Meagan. A to wprawiło ją w dobry humor.

Wstała z kanapy i poszła za nim do kuchni.

David zdjął marynarkę, rozluźnił zielony krawat we wzorek, a rękawy białej koszuli podwinął do łokci. Włosy miał już za długie, powinien pójść do fryzjera. Widać było, że ustawicznie przejeżdża po nich palcami. A w kącikach oczu pojawiły mu się zmarszczki.

Wyglądało na to, że miał kiepski dzień. Nagle zapragnęła dotknąć jego policzka. Była ciekawa, czy wtuliłby twarz w jej dłoń. Była ciekawa, czy zbliżyłby się do niej...

Wczoraj w jego objęciach było bardzo miło.

– Miseczki są w szafce – powiedział.

Wyjęła je i wygarnęli na nie jedzenie. Żuli w milczeniu przez jakiś czas.

– Jak ci minął dzień?

– Oglądałam telenowełe. Mówi samo za siebie. A tobie? Dźgnął widelcem smażony ryż.

– Wołałbym oglądać telenowełe. Spałaś trochę?

– Trochę.

– Śniłaś o Meagan?

– Niewyraźnie. Śniła mi się w tej chacie. Ale ty też tam byłeś.

Podniósł na nią zdziwione oczy. Do dolnej wargi przylepiło mu się ziarenko ryżu. Niewiele myśląc, strzepnęła je kciukiem. Ten ruch speszzył oboje. Szybko cofnęła rękę.

– By... byłam w chacie z tobą i Meagan – powiedziała nieco zbyt szybko.

– Ze mną? – Spuścił głowę, wbił spojrzenie w miseczkę. – I co robiłem?

– Porządki.

– Co?

Nabrała kęs jedzenia na widelec.

– Meagan siedziała w kącie izby. Ścisnęła drewnianego konika i bardzo się bała. Potem wszedłeś ty i zacząłeś sprzątać. Zamiotłeś podłogę, usunąłeś pajęczyny, umyłeś okna. A, i zawiesiłeś zasłony.

– Wieszaleś zasłony? – powtórzył prawie ze zgrozą. – I po to szedłem do FBI?

– Bardzo ładne zasłony. Meagan była zadowolona.

– Gospościa doskonała – mruknął i odsunął od siebie pustą miseczkę. Westchnął ciężko. Miał na twarzy wyraz takiego zmęczenia, że serce jej się ścisnęło. – Chcesz wiedzieć, czego się dziś dowiedziałem? – spytał poważnie.

Przestała jeść. Wyprostowała się.

– Jasne. Mów.

– Niczego. Wielki agent FBI nie dowiedział się niczego. Ta cała sprawa po prostu nie ma sensu. – Wstał i zaczął zbierać naczynia.

– A ten zabójca?

– Jax powiedział, że sprawdzają szpitale i przychodnie. Na razie bez skutku.

– A jakieś dowody z pokoju Larry’ego Diggera? Notatki?

– Nic, kompletnie nic. – Poszedł do kuchni, wrzucił naczynia do zlewu.

– A sprawa Meagan? Rozmawiałeś o niej?

– Jasne. Z moim szefem i z Chenneyem. Zgodziliśmy się, że Quincy postawił znakomite pytania. Ni cholery nie wierzę, że to Russell Lee ją zabił. W związku z czym zostaje nam twoja rodzina. Mieli motyw.

– Pieniądze – powiedziała głosem bez wyrazu i także wstała. Ta rozmowa była zbyt bolesna, by prowadzić ją na siedząco. – Polisa ubezpieczeniowa na milion dolarów.

– Jeszcze lepiej. Uważamy, że twoja matka mogła mieć romans z Jamiem O’Donnellem.

– Co?

– To doniesienia policji. O’Donnell mnóstwo czasu spędzał w waszym domu, a twoi rodzice mieli małżeńskie problemy. Krzyki i tak dalej.

Melanie pokręciła głową.

– Rodzice nie krzyczana siebie. „Dyskutują” za zamkniętymi drzwiami.

– Aha, ale wtedy wrzeszczeli tak, że słyszała ich pokojówka i przyjaciele. Wygląda na to, że twój ojciec nie był wiernym małżonkiem...

– Ma wiele flirtów... – Podniosła rękę i dodała: – Może nie tylko flirtuje, ale choć brzmi to dziwnie, wydaje mi się, że mamie to nie przeszkadza. Chyba zaakceptowała pracę i styl życia ojca jako męską słabość.

– A skoro jemu było wolno...

Wydeła usta. Nie podobało się jej to nowe oskarżenie, ale zaczęło już do niej docierać, że być może nie wie wszystkiego o swojej rodzinie.

Przyniosła kartkę, na której widniały rezultaty jej całodiennej pracy.

– No i jest jeszcze twój brat.

– Brian miał dziewięć lat!

– I takie problemy, że posłali go do psychoterapeuty. A twoja mama kazała niani nie zostawiać go samego z Meagan. Był o nią bardzo zazdrosny, niszczył jej zabawki. Pamiętasz? Powiedział, że rzucił jej drewnianym konikiem o kominek. I tak doszliśmy do pieniędzy, miłości i problemów psychicznych. Ale mamy szkopuł. Przeczytałem wywiady na temat twojej rodziny i po prostu nie istnieje nic, co by sugerowało, że są zdolni do zamordowania czteroletniego dziecka.

Skinęła głową z zapalem, machnęła kartką.

– Właśnie! Tylko spójrz. Zapisałam to, co Quincy powiedział o mordercy i sama przeprowadziłam analizę. Twierdziłam, że moja rodzina jest niewinna, ponieważ ich kocham. A że dla policji nie ma to wielkiego znaczenia, postanowiłam działać tak jak wy.

Usiadła na kanapie i położyła kartkę na stoliku. David usiadł obok niej. Czowała ciepły dotyk jego nogi. Kiedy się odezwała, mówiła trochę za szybko i nie odrywała oczu od wykresu.

– To Meagan i moja rodzina. Tu jest wszystko, co wiemy o naszych wspólnych stosunkach, a tutaj to, co wiemy o każdym z osobna. Zastanawiałam się nad tym, co powiedział Quincy...

o tym, że za zachowaniem stoi psychika. Nie potrafię powiedzieć obiektywnie, czy moi rodzice są dobrymi ludźmi, ale wiem, czy są inteligentni, precyzyjni lub nieporządni.

– Dobrze – powiedział, przyglądając się wykresowi. – Tyle mogę ci przyznać.

– Tu jest to, co Quincy powiedział o mordercy Meagan. Jest to osoba precyzyjna i świadoma policyjnych procedur. Jest też na tyle inteligentna i budząca zaufanie, by mogła zbliżyć się do Meagan. Ponadto myślę, że na tyle twarda, by prowadzić pertraktacje z osobnikami w rodzaju Russella Lee Holmesa. Jednak osoba ta ma uczucia macierzyńskie, a przynajmniej jest na tyle wrażliwa, że owija Meagan w koczek i zakopuje jej ciało. Osoba ta ma również wyrzuty sumienia, ponieważ... pozbawia ciało głowy.

Nawet na papierze ten aspekt zbrodni wydawał się przerażający. Przełknęła ślinę i puknęła ołówkiem w kartkę, nie chcąc tracić przewagi, bo David słuchał jej z uwagą.

– To bardzo szczególny zestaw cech. Rzuca się w oczy, nie uważasz? Więc spójrzmy na aktorów w tej sztuce. Mamy ojca, który jest bardzo precyzyjny i inteligentny. Ale, choć go bardzo kocham, nie mogę powiedzieć, żeby był uczuciowy. Pocałunki i ciepłe gesty to domena mojej matki. Co do znajomości policyjnej procedury, nie sądzę, żeby ojciec choć raz w życiu dostał mandat. Nie ogląda filmów gangsterskich, nie czyta kryminałów, więc podejrzewam, że nie ma zaplecza. A czy jest na tyle twardy, żeby prowadzić pertraktacje z Russellem Lee Holmesem? Dajże spokój, ten człowiek jest chory, jeśli raz w tygodniu nie pójdzie do manikiurzystki. Russell Lee pożarłby go żywcem.

A matka? Tak, ona ma uczucia macierzyńskie, jest skłonna do skruchy i wyrzutów sumienia. Ale czy naprawdę sądzisz, że jest precyzyjna? Widziałeś, jak jej się trzęsą ręce? A choć uważam ją za inteligentną, brak jej sprytu i z pewnością nic nie wie o obyczajach policji. Co do jej rozmowy z Russellem Lee... Potrafisz to sobie wyobrazić? Więc ona także nie pasuje.

Mój ojciec chrzestny... Będę szczerą. Zawsze miałam wrażenie, że Jamie widział niejedno. Ma takie ruchy... sam wiesz. Jeśli jest się kobietą, którą kocha, ma się poczucie bezpieczeństwa. Jakby był najsilniejszym chłopcem w klasie i cię ochraniał. Jest twardy i z pewnością mógłby zastraszyć Russella Lee. Prawdopodobnie zna się na procedurach policji. Ale nie jest precyzyjny. Działa brutalnie, szybko i gwałtownie. I nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mógł zrobić krzywdę małej dziewczynce. To by było... niegodne. Potrafi być okrutny, ale prędzej odciąłby sobie rękę niż podniósł ją na dziecko. W stosunku do dzieci stać go także na czułość. Wobec Briana i mnie był bardzo kochany. Nie jest zimny, precyzyjny, bezlitosny. I jeszcze mój brat...

– Jest lekarzem – wtrącił David. – Więc musi być precyzyjny.

– Jako dziewięciolatek? Poza tym, co mógłby wiedzieć o policyjnych procedurach? I jak dziecko mogłoby przekonać Russella Lee, żeby przyznał się do zbrodni, której nie popełnił? Nie rozumiesz? – Spojrzała mu prosto w oczy. – Na tej kartce nikt nie pasuje do osoby, której szuka Quincy. Nie jestem specjalistą, to prawda, ale na tym etapie to się nie sprawdza. Mordercą nie jest nikt z mojej rodziny. Koniec, kropka.

Oddechnęła. Ale wtedy David przysunął kartkę ku sobie. Wziął ołówek. Narysował kilka linii. I bez trudu zniszczył jej nadzieję.

– Masz rację – powiedział. – Absolutną rację. W pojedynkę żaden członek twojej rodziny nie spełnia wymagań. I to właśnie miała znaczyć wiadomość. Idiota ze mnie, że od razu tego nie zauważyłem. Listy nie przychodzą do jednej osoby, lecz do wszystkich. To oni! I jeśli ich razem zestawisz...

Spojrzał jej w oczy.

– Twoja matka, ojciec, brat czy ojciec chrzestny nie mogli popełnić zbrodni. Za to cała rodzina...

– Nie...

– Tak. Przykro mi, ale tak jest.

Musiała wstać. Parę razy obeszła pokój. W głowie jej szumiało.

– To kombinacja – mamrotał David, robiąc szybkie notatki. Wyglądał, jakby mówił do siebie. – Każdy z nich przegra w pojedynkę, ale jako grupa mają wszystkie cechy i wiedzę, by popełnić zbrodnię. Harper sporządza żądanie okupu, wpada na pomysł przypisania morderstwa komu innemu. Dręczona wyrzutami matka owija ciało Meagan w kocyk. Ojciec chrzestny pozbywa się zwłok i rozmawia z Russellem Lee Holmesem. Gdy policja zaczyna zadawać niewygodne pytania, Russell Lee przyznaje się do cudzej zbrodni, a w zamian twoja rodzina zapewnia dom jego dziecku. Przez całe życie nienawidził nędzy, a teraz raptem dowiaduje się, że jego córka może żyć w luksusie. Cóż za okazja.

– Ale... ale morderstwo... – zaprotestowała. – Nikt z nich nie jest tak okrutny. Sam powiedziałeś: żadne z nich nie jest tak okrutne, żeby popełnić morderstwo!

Podniósł na nią roztargnione spojrzenie. Zdała sobie sprawę, że jej życie stało się dla niego akademickim zagadnieniem, grą, w której wielki agent może się wykazać. Pobladła.

– A jeśli to nie było morderstwo? A jeśli to nieszczęśliwy wypadek? A jeśli mały Brian za bardzo się zapamiętał w ataku wściekłości?

– Boże – szepnęła ze zgrozą.

– Zastanów się. Dziewięcioletni chłopiec robi Meagan krzywdę. Jak postępują twoi rodzice? Jedno dziecko już stracili.

– Nie!

– Jamie O'Donnell jest wobec nich lojalny. Zrobiłby wszystko, żeby oszczędzić Patricii dalszego cierpienia. Wreszcie mamy sytuację, w której troje dorosłych ludzi przewycięża dzielące ich różnice i zaczyna wspólnie działać.

– Ale obcięcie głowy... i rąk...

– Może to było konieczne. Quincy powiedział, że dekapitacja służy także do zatarcia śladów. Usiłowali naśladować mordercę, który dusił swoje ofiary. Ale jeśli Meagan zginęła w wypadku? Może spadła ze schodów, może uderzyła się w głowę? Musieli się zdecydować na dekapitację. W przeciwnym razie policja mogłaby określić prawdziwą przyczynę śmierci. Jeśli została uderzona tępym narzędziem, można by znaleźć w ranie odpryski farby, włókna czy cząsteczki metalu, na podstawie których określono by rodzaj narzędzia zbrodni. Dlatego odcinają głowę i ręce, żeby ukryć jeszcze jakieś rany, i postanawiają naśladować mordercę, o którym piszą wszystkie gazety.

Melanie kręciła głową bez słowa.

– Ale policja nie jest przekonana ciągnął David. – Harper nie zna szczegółów, więc naśladownictwo nie jest dokładne. Potem Russell Lee wpada, więc postanawiają zwrócić się prosto do niego. Jamie... Tak, Jamie składa mu wizytę. I dobijają targu.

Spojrzał na nią chmurnie.

– Przykro mi, Melanie, ale tak to wygląda. Jesteś dzieckiem Russella Lee Holmesa, a oni przyjęli cię do swego domu w noc jego śmierci w zamian za to, że pomógł im zatuszować śmierć

Meagan.

– To nieprawda, nieprawda...

Mocno oplotła się ramionami. W jej głosie mimo woli brzmiała rozpacz.

David podniósł się z kanapy. W jego oczach ujrziała coś, czego dotąd nie zauważyła. Może czułość. Albo współczucie. Wziął ją za ręce, niespodziewanie przyciągnął do siebie i przytulił jej głowę do swojej piersi. Dopiero teraz poczuła, że dygocze.

– Może – szepnął ochryple. – Ale nie ma wątpliwości, że ktoś kazał zabić Larry’ego Diggera. A także ciebie.

Kolana ugięły się pod nią, osunęłyby się na ziemię, gdyby David jej nie podtrzymał. Chwyliła obiema rękami jego koszulę. Zawisła na nim całym ciężarem.

– Nie bój się – szepnął w jej włosy. – Nie pozwolę, żeby cię skrzywdzili. Nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić.

– Ale... przecież... ja ich kocham...

Schowała twarz na jego piersi i mocno zacisnęła pięści.

Powoli najgorsze minęło. Stopniowo zdała sobie sprawę, że David prowadzi ją na kanapę. Położył się razem z nią. Czowała dotyk jego szczupłego ciała. Głaskał ją po włosach, po plecach. Musnął wargami policzek, potem płatek ucha. Czule. Łagodnie.

Odwróciła się do niego z dziką gwałtownością i pocałowała mocno. Wargi napierające na wargi, zderzające się zęby, zdyszane oddechy. Wyprężyła się, usiłując zatonać w doznaniach. Pochłaniał ją: jego język wtargnął w jej usta, wypełnił ją, sprawił ulgę...

A kiedy sutki zaczęły pulsować, a całe ciało tętniło oczekiwaniem, odsunął się od niej. Słyszała jego ochryply oddech, widziała pulsowanie tętna na szyi. Widziała, że trzęsą mu się ręce.

– Dość – powiedział ochryple.

– Dlaczego?

– Bo to nie w porządku. Chcę, żeby wszystko było jak należy.

Wstał pospiesznie z kanapy. Najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że Melanie w tym stanie nie zniesie sprzeciwu, a i on nie czuł żadnej satysfakcji z opierania się jej. Na jego spodniach rysowało się wyraźne wybrzuszenie. Musiał włożyć ręce do kieszeni, bo same wyciągały mu się w stronę Melanie.

Przez jakiś czas rozważała, czy warto nalegać. Pragnął jej, a ona chciała, żeby ktoś jej pragnął. Ktokolwiek.

Ale miał rację. Była zbyt zdesperowana. Później znienawidziłaby go za to.

Wstała i podeszła do okna.

– Nigdy nie zrobili mi krzywdy. Byli dla mnie dobrzy.

Nie odpowiedział. Chwile dłużyły się w nieskończoność.

– Policja powinna wkrótce znaleźć tego zabójcę – odezwał się w końcu. – Kiedy wezmą go w obroty, zdradzi nam parę ciekawych rzeczy.

– Na przykład, kto go wynajął.

– Właśnie.

– I wtedy się dowiemy.

– Właśnie.

– To dobrze. Dobrze. Wyprostował ramiona, przeciągnął się.

– Muszę się przespać.

– Wiem.

– Ty nie? Nic ci nie jest?

– Nie.

– Niedługo się dowiemy – powtórzył.

Tylko się uśmiechnęła. Nie była już taka pewna siebie. Zastanawiała się, czy jej rodzina kryje jeszcze coś, co nie powinno ujrzeć światła dziennego.

David ruszył ku sypialni. Nagle zatrzymał się i odwrócił z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Wiesz co? Nie potrzebujesz ich tak bardzo, jak ci się zdaje. Jesteś silniejsza niż sądzisz.

– Co to ma wspólnego z tym, że ich kocham?

Na to nie miał odpowiedzi.

Jeszcze długo siedziała bezsennie, skulona, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Myślała o rodzicach, bracie i ojcu chrzestnym. O tym, jak się z nią bawili, jak ją rozśmieszali, jak się nią zachwycali. Jak poświęcali jej swój czas i uwagę, jakby była upragnionym prezentem, który wreszcie dostali na własność.

Tuż przed zapadnięciem w sen pomyślała: jeśli naprawdę jestem dzieckiem Russella Lee Holmesa, dlaczego Quincy powiedział, że to miejsce, które widzę we wspomnieniach, to nie jest jego szopa? A jeśli zrobili to wszystko po to, żeby ratować Briana, czy nie jest dziwne, że ojciec go wydziedziczył?

Zabójca, pomyślała w ostatniej chwili. On nam powie.

Ale nie mieli takiego szczęścia. Rano obudził ich dzwonek telefonu. Detektyw Jax donosił, że znaleźli wreszcie zabójcę.

A raczej jego zwłoki.

Widok nie będzie przyjemny – ostrzegł ją David. Skinęła głową w milczeniu, odwrócona do okna. Samochód mknął autostradą; w oddali majaczyły fabryczne kominy z pióropuszcami dymu. Zbliżali się do dzielnicy portowej. Czuła już pierwsze podmuchy słonego wiatru.

– Jax mówił, że leżał w wodzie – dodał David. – Takie zwłoki zawsze wyglądają gorzej. Naprawdę, powinnaś poczekać, aż ktoś się zajmie ciałem. Możesz je zidentyfikować na taśmie wideo.

– Ale ta taśma będzie dopiero jutro, prawda?

– Wydział zabójstw jest trochę przepracowany.

– Więc chcę to zrobić teraz – oznajmiła zdecydowanie. Powtarzała to od samego rana. – Jeśli to on, mogę wracać do domu. Nie ma sensu odkładać tego, co się musi stać.

– Nie spieszmy się z decyzjami – zaproponował niedbale, co oznaczało, że zamierza zrobić z tego problem. Rzuciła mu ostre spojrzenie, ale nie patrzył jej w oczy. Najwyraźniej na razie nie chciał wszczynać kłótni. Proszę bardzo, mogła poczekać do identyfikacji. Nie zmieni decyzji. Myślała nad tym prawie przez całą noc i wyrobiła sobie własną opinię.

Znowu wyrzała przez okno. Po prawej stronie mieli zjazd; David śmignął na ukos przez trzy pasy. Ryknął jakiś klakson, ale nikt inny nie zwrócił na nich uwagi. W oddali pojawił się port. To miejsce zbrodni z pewnością rzucało się w oczy.

Wokół stały czarno-białe policyjne radiowozy. Ulicę oddzielała żółta taśma. Przed nią stał umięśniony policjant z odpychającym wyrazem twarzy. Puścił ich dopiero wtedy, gdy David pokazał mu swoją legitymację. Rodzaj przynależności do elitarnego klubu. Dzięki niej mieli prawo przyjrzeć się martwemu człowiekowi.

Zatrzymali się obok dwóch ciemnych sedanów i jakiegoś starego gruchota. David otworzył przed nią drzwi. Zdała sobie sprawę, że zawsze tak robił. Zawsze podsuwał jej krzesło. Ręka matki, pomyślała. Skorzystała z jego pomocy przy wysiadaniu, ale kiedy podał jej ramię, pokręciła głową. Tą drogą wołała iść sama.

Podeszli do grupy wywiadowców w cywilnych ubraniach. Powietrze było gęste od zapachu soli i rozkładu. Ta część bostońskiego portu nie wyglądała efektownie. Melanie nigdy tu nie zaglądała. Stała tu stara fabryka rybnych konserw, dobre dni mająca już dawno za sobą. W ciemnej, oleistej wodzie unosiły się martwe ryby, mewy, a dziś także ludzkie zwłoki. Mimo wszystkich ostrzeżeń nie zdołała powstrzymać dreszczu obrzydzenia.

Detektyw Jax podszedł do nich z wyciągniętą ręką. Znowu miał wykałaczkę w ustach. Ucisnął mocno dłoń Davida. Uśmiechnął się do Melanie ze współczuciem.

– Jak się pani czuje?

– Na razie nikt do mnie nie strzelał. Jest lepiej niż w poniedziałek. Wyszczrzył zęby, ale zaraz spoważniał.

– Ostrzegam tylko, że to nie jest ładny widok.

– David mi już mówił.

– Na pewno nie chce pani poczekać na nagranie...?

– Już powiedziałam.

– Dobrze, dobrze, rozumiem. Znudziło się pani w hotelu i chce pani do domu. Świetnie. Zrobimy tak: nie musi się pani w niego wpatrywać. Wystarczy jedno spojrzenie. Powie nam pani,

czy wygląda podobnie. Jedno spojrzenie i do widzenia.

– Pójdę do domu i zapomnę o wszystkim... – mruknęła pod nosem i poszła za policjantem.

David położył jej rękę na plecach.

Nie było wątpliwości, że ma przed sobą martwego człowieka. Leżał na asfalcie. Opuchnięta sinofioletowa twarz. Opuchnięte ręce, ciało wyskubane przez ryby. Ciemny garnitur czarny od wody i pokryty wodorostami. Na białej koszuli czarne dziury po kulach.

Tym razem nie było krwi. Woda załatwiła sprawę.

– I co? – spytał detektyw Jax.

– To on. – Nie mogła oderwać wzroku. Zmarli nigdy nie wyglądali tak, jak się spodziewała. Digger był zbyt zakrwawiony. A ten w ogóle nie wyglądał jak człowiek. W wodzie zmienił się w woskową lalkę.

– Zdaje się, że strzelano do niego dwa razy z niewielkiej odległości – wyjaśnił pogodnie detektyw Jax. – Pewnie wczoraj. Trzeba będzie się trochę wysilić, żeby go zidentyfikować. Nie ma dokumentów, nie pobierzemy odcisków palców. Rybki nieźle się pożywiły. Wyślemy go do laboratorium. Przez tę wodę będzie trudniej, ale prosiłem Jeffrey'a Amesa, żeby się tym zajął. Jest najlepszy.

– Znam go – wtrącił David. – Rzeczywiście jest dobry.

– Znasz Jeffa? – Detektyw Jax przesunął wykałaczkę do lewego kącika ust.

– Należę do Towarzystwa Strzeleckiego – wyjaśnił David. – On też.

– Naprawdę? Zaraz, zaraz... David Riggs... Jesteś synem Bobby'ego Riggsa?

David skinął głową. Detektyw rozpromienił się w uśmiechu.

– Jasna cholera, ale się cieszę, że cię poznałem! Uwielbiam Bobby'ego. Jest niesamowity. Przekaż mu ode mnie pozdrowienia, dobra? A, i powiedz, że chcę mu podrzucić moją spluwę. Ta cholerna szczerbinka doprowadza mnie do szału.

– Powiem mu. Kiedy będziecie mieli wstępne wyniki?

– Może za czterdzieści osiem godzin. Będę ich poganiał, ale mamy sporo roboty. Na wiosnę zaczyna się sezon.

– Domyślcie się, kto go zabił? – odezwała się Melanie. Czowała narastające mdłości.

– Nie ma żadnych świadków, jeśli o to pani pyta. Ciągłe szukamy, ale na razie nie widać efektów. Prawdopodobnie zginął gdzie indziej. Może w laboratorium znajdą coś na jego butach czy ubraniu, dzięki czemu łatwiej znajdziemy miejsce morderstwa. Niesamowite, ile może dokonać paru dobrych chemików.

– Zabrał notatki Diggera. Co z nimi?

– Nic. Zero papierów. Podejrzewam, że pojawił się na spotkaniu z klientem, dostarczył towar i spodziewał się, że dostanie zapłatę. Ale albo zleceniodawca nie był zadowolony, że narobił takiego zamieszania, albo transakcja nie była zakończona. Więc przypieczętował ją paroma kulkami. Złodzieje nie mają honoru.

– Więc tak naprawdę jeszcze nic nie wiemy – szepnęła. – Ten tutaj nie żyje, ale klient mógł zaangażować kogoś innego. A potem jeszcze jednego, i jeszcze... – W jej głosie dzwięczały nutki hysterii. Jednak pękła.

David i detektyw patrzyli na nią uważnie. Wzięła głęboki oddech i skupiła się na znajomym, ciepłym dotyku dłoni Davida. Skinęła głową. Obaj odetchnęli z ulgą.

– I jak, zaczęliście to wyjaśniać? – spytał detektyw. – Czy mam czekać do następnych zwłok?

– Nie wiem. Kiedy zamierzacie znaleźć następne zwłoki?

– O Jezu, jak ja nie lubię agentów – wymamrotał Jax przez wykałaczkę. – Słuchaj, człowieku, robię co mogę. Nie mam takich możliwości jak FBI, ale w końcu wydaje mi się, że i my, biedni gliniarze, na coś się przydademy. Zechcesz mnie naprowadzić na jakiś trop, czy mam się kręcić jak pies za własnym ogonem?

– Larry Digger powiedział, że ma dowód na to, kim są moi prawdziwi rodzice – odezwała się Melanie. – Ktoś chyba nie chce, żebym się tego dowiedziała.

– Dlaczego? Ostatnio wszyscy szukają swoich prawdziwych rodziców. To jakaś epidemia.

– Może dlatego, że mój ojciec był seryjnym mordercą. I może moja rodzina woli nie ujawniać, że świadomie zaadoptowała dziecko kogoś takiego.

Detektyw Jax wreszcie zwrócił na nią uwagę.

– O kurczę, to ci dopiero. Więc ten cały Larry Digger twierdził, że ma na to dowód?

– Tak powiedział. Nigdy nam go nie pokazał, ale usłyszeliśmy część jego historii.

– I twierdził, że pani rodzice adoptowali panią świadomie? Tacy są dobrzy, czy jak? Nie sądziłem, że arystokracja jest taka postępową. Panno Stokes, może jestem głupi, ale wydaje mi się, że to bez sensu. Jeśli mam pomóc, niech mi pani powie prawdę. Zobaczę, co mogę zrobić. Witam w szkole sprawiedliwości Jaksy.

– Nie muszę dodawać – wtrącił David bez nacisku – że prowadzimy dochodzenie w tej sprawie. Jeśli chce pan pomóc, proszę bardzo. Nasz zabójca nie żyje, ale ciągle nie wiadomo, kto go wynajął. A ponieważ nie wypełnił warunków umowy, całkiem możliwe, że ktoś inny już dostał zlecenie zabicia Melanie. Jeśli się czegoś dowiedzie...

– Na pewno damy znać. – Jax zwrócił się do Melanie, kręcąc głową. – Dam z siebie wszystko, a pani ma tego dzielnego agenta, ale te rzeczy wymagają czasu. Pierwszego raportu możemy się spodziewać dopiero za parę dni, a i to zakładając, że pierwsze analizy dadzą jakieś wyniki. Nie można szybciej, jeśli ciało leżało w wodzie. Już teraz wiem, że pociski były z miękkiego ołowiu, więc nie będą miały bruzd. A to znaczy, że określenie rodzaju broni będzie trwało dłużej. Prawdę mówiąc, nie spodziewam się poważnych wyników wcześniej niż za parę tygodni, a zważywszy, że jest pani w niebezpieczeństwie...

– On ma rację – poparł go David. – Wrócimy do hotelu. Kupię ci jakieś ubrania, wymyślimy bajeczkę dla rodziców. Możesz im powiedzieć, że potrzebujesz czasu, żeby się nad sobą zastanowić. To mniej więcej prawda. I na pewno w ten sposób będziesz bezpieczniejsza...

– Nie.

– Tak.

– Nie! Wiem, kim jestem. Mam dwadzieścia dziewięć lat. Przez ostatnie dwadzieścia lat mieszkałam ze Stokesami i tam jest moje miejsce...

– Nic z tego. Oni chcą cię zabić.

– Tego nie wiesz na pewno. Nie mamy ani strzępu dowodu, nic, z wyjątkiem teorii. Nie zamierzam uciekać. Zresztą jeśli wrócę do domu, może się wydarzyć coś, co posunie dochodzenie naprzód.

– Nie zaryzykuję twojego życia dla głupiego dochodzenia!

– To moja decyzja, nie twoja. Wracam do domu!

Obróciła się na pięcie i zrobiła krok w stronę samochodu. David chwycił ją za ramię.

– Nie narażaj się!

– Nic mi nie grozi – oznajmiła uparcie. – Nie zrobią mi krzywdy.

– Jesteś ślepa i głucha, jeśli chodzi o twoich rodziców. Tak wierzysz w te romantyczne historie o rodzinie, że dasz się dla nich zabić!

– Bardzo ci dziękuję, ja także wierzę w twoją inteligencję i zdrowy rozsądek.

Wyszarpnęła mu się i pobiegła do auta. Detektyw Jax gwizdnął cicho.

– Chyba się wkurzyła.

– Ona nic nie rozumie.

– Ta kobieta przed chwilą obejrzała sobie trupa. Zdaje się, że rozumie bardzo dużo.

– Nie, nie rozumie. Pan też jej nie rozumie. Kiedyś rodzice ją porzucili. Przez to ma zakłóconą ocenę sytuacji. Jej rodzina jest idealna, jej rodzina jej potrzebuje. To piękne marzenie, zupełnie zrozumiałe. Ale przez to marzenie może zginąć.

Policjant wzruszył ramionami.

– A jakby to była pańska rodzina? Gdybyśmy mówili o pańskim ojcu? Kto by się wtedy zachowywał jak naiwniak?

David warknął coś niecenzuralnego i poszedł za Melanie. Wracali do miasta w ciężkim milczeniu. David bębnił palcami w kierownicę. Melanie nie odrywała wzroku od okna.

– Jesteś głupia – powiedział w końcu.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– To cecha rodzinna.

Przejechali jeszcze pół kilometra. W końcu David nie wytrzymał.

– Do diabła, nie możesz udawać, że wszystko w porządku! Ktoś chciał cię zabić!

– Wiem.

– Wchodzisz prosto w paszczę lwa!

– Nieprawda! Wracam do domu. Mam prawo. Pocałuję matkę w policzek, uścisknę ojca, dopadnę brata i porozmawiam z nim poważnie, a potem przycisknę mojego chrzestnego ojca.

– I myślisz, że od razu ci wszystko powiedzą? Przez dwadzieścia pięć lat ukrywali to, co się stało z Meagan. Teraz ktoś się zagalopował i wynajął płatnego zabójcę. Naprawdę, jakoś mi się nie wydaje, żeby zechcieli ci wyjawić prawdę.

Melanie zamrugła.

– Nie są potworami.

– Nie dałbym głowy. Cholera! – uderzył dłonią w kierownicę. – Mam ci to powiedzieć? Zmuszasz mnie?

– Może.

– Jestem z FBI. To zabronione.

– Więc nie zamieszczę tego w aktach.

Nie zamierzała mu odpuścić. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, ile to dla niej znaczy. Pochyliła się ku niemu i spojrzała z napięciem. Pragnęła go jeszcze bardziej niż się jej zdawało. Chciała usłyszeć, że i ona nie jest mu obojętna. Że ostatnie dni nie były kolejnym przywidzeniem.

– Zależy mi na tobie, cholera! – rzucił niechętnie. – Jesteś dla mnie ważna bardziej niż powinnaś i nie chcę, żeby ktoś ci zrobił krzywdę.

– Wiem.

– Współczuję ci, rozumiesz? To twoja rodzina, a chociaż sam nie jestem najlepszym synem na świecie, dla mnie rodzina też jest ważna. Gdyby chodziło o mojego ojca czy brata, chyba bym się nie zachował inaczej.

– Muszę im zaufać. Oni mnie kochali.

– Oczywiście. Jesteś dla nich najlepszym substytutem Meagan, jaki mogli znaleźć.

Cofnęła się gwałtownie. Wiedziała, że David specjalnie chce nią wstrząsnąć. Owszem, udało się mu. W oczach zakręciły się jej łzy. Jeszcze chwila i się rozsłocha.

Wszyscy chcą być kochani tylko za to, że są sobą. Nie powinien tego mówić. Nie powinien jej uświadamiać, że bez względu na wszystko zawsze będzie tylko zastępczą córką.

Odwróciła się i wyjrzała przez okno.

Przejechali przez dzielnicę banków i skręcili w Beacon Street. Byli o trzy przecznice od jej domu. Samochód zwolnił. Melanie wezwała na pomoc wszystkie siły ducha, żeby się opanować. Kiedy się zatrzymali, ciągle nie czuła się gotowa.

– Uważaj na siebie – odezwał się cicho David. Nie marszczył już brwi. Wydawał się autentycznie zmartwiony, a to ją wzruszyło.

– Dziękuję. Musnęła jego rękę.

Cofnął ją, pokręcił głową.

– Nie chcę twojej wdzięczności. Za daleko zaszedłem, żeby udawać, że chodzi o zawodową uprzejmość.

– Tak, w tym twój urok.

– Nie mam żadnego uroku. Jestem stary, wredny i mam artretyzm. Przeważnie jestem tak samo miły jak jeżozwierz. Nie wmawiaj mi takich rzeczy.

– Masz urok, bo pod tą brzydką skorupą bije dobre serce.

– Kobięce złudzenia.

– Nie, to prawda.

Miała wrażenie, że chce się z nią dalej sprzeczać, ale westchnęła i teraz to on ujął jej rękę.

– Z wielu przyczyn, które chyba znasz, nie mogę cię odwiedzić w domu.

– Tak myślałam.

– Będziesz zdana na własne siły.

– To także rozumiem.

– Przerażasz mnie.

– Założmy.

– Jak chcesz. To jest numer mojego pagera. – Nagryzmolił cyferki na strzępku papieru. – Jeśli będziesz miała kłopoty, zadzwoń. Jeśli przyśni ci się zły sen, zadzwoń. Jeśli zdarzy się cokolwiek, dzwoń natychmiast. A ja przyjadę. Na pewno.

Wzięła wymięty świstek.

– Dziękuję – powiedziała. Znowu skrzywił się niechętnie. – Muszę już iść.

Mel, zaczekaj.

Ale nie zaczekała. Wsiadła, ruszyła przed siebie i nie obejrzała się nawet wtedy, gdy włączył silnik i odjechał.

Została sama.

Wiatr kołysał gałęziami kwitnących wiśni. W powietrzu unosiła się cudowna woń hiacyntów.
Piękny dzień w pięknym mieście.

Spojrzała na dwupiętrowy budynek, który uważała za swój dom. Spojrzała na masywne drzwi, na bramę z kutego żelaza. Spojrzała w okna swojej sypialni.

I wzdrygnęła się ze strachu.

Potem otworzyła drzwi i weszła do środka.

Pokojówka Maria skinęła na jej widok głową. Zauważyła jej zmięte ubranie i rozczochrane włosy, ale nie zdradziła zaskoczenia. – Rodzice panienki i senor O'Donnell są na patio. Jedzą obiad. Czy coś przynieść?

Melanie pokręciła głową i poszła na patio.

W drzwiach spotkała Jamiego. Na jej widok zatrzymał się gwałtownie. W oczach mignęło mu zdziwienie.

– Melanie... – powiedział, wyciągając do niej ramiona jak zwykle, ale wyraźnie speszony.

Przytuliła się do niego. Potrzebowała jego uścisku bardziej niż się jej wydawało. Zanim zdołała pozbierać myśli, odsunął ją od siebie.

– Co się dzieje? Podobno zniknęłaś na dwa dni. Dlaczego tak niepokoisz matkę? To do ciebie niepodobne.

Nie odpowiedziała. Zdała sobie sprawę, że właściwie nie wie, co chce powiedzieć. A może, co chce usłyszeć. David miał rację. To trudniejsze niż się jej wydawało. Pierwsze pytanie zaskoczyło nawet ją.

– Kochasz mnie?

– Oczywiście! Jesteś moją najukochańszą kobietą.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – Jamie uniósł brew i spojrzał na nią z większą powagą. – Oho, jaki humor. Nie wiem. Dlaczego się kogoś kocha? Bo tak.

– Naprawdę? Zawsze przy mnie byłeś. Byłeś, kiedy pojawiłam się w tym domu, kiedy poszłam do szkoły, na moich urodzinach, balach, zawsze. Bardzo się interesujesz życiem swojej chrzestnej córki.

– Bo jesteś wyjątkowa.

– Ale dlaczego? Dlaczego mnie tak kochasz? Czego ode mnie chcesz?

Głos uniósł się jej mimowolnie. Jamie natychmiast ukoił jej niepokój.

– Kocham cię za to, że jesteś sobą – powiedział bez wahania. – I zawsze chciałem tylko tego, żebyś była szczęśliwa.

Pomyślała, że to najpiękniejsza rzecz, jaką usłyszała od kogokolwiek... i zupełnie w to nie uwierzyła. Po raz pierwszy w życiu zwątpiła w słowa swojego chrzestnego ojca.

Mijały chwile. Milczenie stawało się coraz bardziej wymuszone. Jamie wyraźnie się zaniepokoił.

– Gdyby coś się z tobą działo, powiedziałabyś mi, prawda?

– Nie wiem. A gdyby z tobą coś się działo, powiedziałabyś mi, prawda?

– Nie.

– Dlaczego? Mam dwadzieścia dziewięć lat. Mogę cię wysłuchać.

– A ja mam pięćdziesiąt dziewięć i jestem starszy i mądrzejszy. Umiem sobie radzić.

– Radzić z czym? Z jakimś Larrym Diggerem czy akuszerką? Z Brianem i Meagan?

Jamie przyjrzał się jej w milczeniu. Miał bardzo przenikliwe oczy. Zobaczyła w nich wiedzę, której dotąd nie dostrzegala.

– Nie z Brianem. Z tobą, dziecko. Z tobą.

– Jamie...

Odsunął się, demonstracyjnie otrzepał prochowiec.

– Przez jakiś czas będę w mieście. Interes kwitnie. Gdybyś czegoś potrzebowała – posłał jej znaczące spojrzenie – zadzwoń do „Four Seasons”. Przyjadę o każdej porze.

– Jamie...

– Poznałem pewną kobietę, wspomniałem ci? Zastanawiam się, czy się nie ustatkować. Może bym tu zamieszkał... Co sądzisz? Wyobrażasz mnie sobie jako żonkosia? Ha! Masz rację, masz rację. Co mi strzeliło do głowy? Ja i rodzina? To specjalność Harpera. Znowu coś mi się śni. Na starość stałem się sentymentalny.

– Jamie...

– Mieszkam w „Four Seasons”. Zadzwoń, a przyjadę. Teraz pora się przespać.

I już go nie było.

Melanie stała przez chwilę bez ruchu. Potem otworzyła oszklone drzwi i wyszła na patio.

Rodzice jedli obiad. Harper, w szpitalnym uniformie, czytał gazetę. Pewnie rano miał operację. Patricia siedziała naprzeciwko niego i wycinała kawałki grejpfruta, którego zagryzała kęskami suchego tosta. Melanie nie pamiętała, żeby matka zjadła kiedyś na obiad coś innego niż grejpfruta i suchy pszenny tost.

Patricia odwróciła się, słysząc jej kroki. Na widok Melanie otworzyła szeroko oczy. Popatrzyły na siebie z niepokojem. Wspomnienie nocnej rozmowy położyło się cieniem między nimi. Po raz pierwszy w życiu Melanie poczuła się niezręcznie w towarzystwie własnej matki.

Wreszcie Patricia uśmiechnęła się drżącymi wargami i wyciągnęła do niej rękę.

Melanie doznała ulgi tak wielkiej, że kolana się pod nią ugięły. Tego właśnie pragnęła, choć o tym nie wiedziała. Przez ostatnie dwa dni marzyła o powrocie do matki. Pragnęła poczuć zapach Chanel Numer Pięć i kremu Lancôme, które znała od zawsze. Chciała usłyszeć, jak matka mówi: „Nie martw się, dziecko, wszystko się ułoży. Jesteś nasza i zawsze będziemy się tobą opiekować”.

A potem pomyślała: „O Boże, co wyście zrobili Meagan?”

– Dobrze się bawiłaś? – spytała Patricia lekko.

– Świetnie – mruknęła Melanie. Wbiła wzrok w posadzkę patio. Dotknęła różowych płatków pnącej róży. Matka opuściła rękę. Wróciła do grejpfruta, posmutniała. Melanie poczuła się jeszcze gorzej.

Ojciec opuścił gazetę. Spojrzał na nią, na Patricię, znowu na nią. Zmarszczył brwi.

– Coś się stało? Zniknęłaś bez słowa. To do ciebie niepodobne.

– Musiałam trochę pobyć w samotności.

– Masz prawo, ale w końcu jesteśmy rodziną. Następnym razem zechciej zadzwonić. To zwykła uprzejmość.

– Dobrze – szepnęła. – Jak... jak wam minął dzień?

– Pracowicie – powiedział z westchnieniem. Był blady i zmęczony, o postarzałej twarzy. – Dziś rano dzwoniłi do mnie ze szpitala. Kolejny rozrusznik. Chyba już nigdy nie będę miał chwili spokoju.

– Ojciec i ja rozmawialiśmy – wtrąciła niespodziewanie matka. – Zamierzamy wyjechać z wami na wakacje. Z tobą i Brianem.

– Do Europy.

– Co?

– Zawsze twierdziłem, że powinniśmy pojechać na wspólne wakacje – wyjaśnił ojciec. – Wreszcie powiedziałem matce, że powinniśmy się spakować i ruszać w drogę. Przez pół roku będziemy podróżować po Francji, Anglii i Włoszech. To będzie coś wyjątkowego.

Melanie słuchała go ze zdumieniem.

– Ale ja nie chcę jechać do Europy. Nie teraz.

– Nonsens – rzuciła matka. Mówiła zbyt beztrosko, jakby Melanie była dzieckiem. – Potrzebujesz wypoczynku. Zasłużyłaś na niego. Będzie wspaniale. Będziemy się opalać i kąpać w ciepłym morzu.

Melanie pokręciła głową. Patrzyła na rodziców, ale oni unikali jej oczu. Patricia splatała i rozplatała palce; zaczęła się bawić obrączką. Harper stukał stopą o podłogę, lekko wiercił się na krześle. Jeszcze nigdy go takim nie widziała.

To nie są wakacje, zrozumiała. To ucieczka. Czy oni także znaleźli ołtarzyk? A może ktoś powiedział im przez telefon, że dostaną to, na co zasługują? Czy poddali się panice i znowu uciekają, jak z Teksasu?

– Nie jadę – oznajmiła. Harper zmarszczył brwi.

– Proponujemy ci wakacje w Europie. Oczywiście, że pojedziesz. Pokręciła głową. Nieświadomie zacisnęła pięści.

– To nie ma nic wspólnego z wakacjami. Przecież nigdy nie robisz sobie wakacji. Można by pomyśleć, że gdybyś oddalił się od szpitala na dziesięć minut, zamieniłbyś się w kamień.

Oczy ojca zmieniły się w grudki lodu.

– Nie rozumiem, o czym mówisz, moja panno. I nie podoba mi się ten ton.

– Mówię prawdę! – krzyknęła. – Mówię o tym, co się stało z małą Meagan!

Na patio zapanowała śmiertelna cisza. Matka pobladła. Potem rozległo się głośne zgrzytnięcie nóg krzesła o kamienną posadzkę. Ojciec zerwał się z miejsca; jego twarz oblała się niezdrową czerwienią.

– Jak śmiesz! Jak śmiesz mówić to przy swojej matce?

– Dlaczego nie? Minęło dwadzieścia pięć lat. Dlaczego nie możemy mówić o Meagan? Przecież o niej myślicie. Przecież mama wpatruje się w jej portret, ty też. Brian ciągle woła ją przez sen. Jamie waha się za każdym razem, kiedy mówi „Melanie”. Meagan tu jest. Jest w tym domu, była w nim od zawsze. Więc dlaczego nigdy o niej nie mówimy? Czego się tak boicie?

– Wystarczy. Nie można się tak odzywać do rodziców.

– Do rodziców? Właśnie. O tym także nie mówimy. Dlaczego nigdy nie szukaliśmy moich biologicznych rodziców, tato? Dlaczego nigdy nie skierowałeś mnie na seans hipnozy, regresji czy czegokolwiek, żebym zdołała odzyskać tożsamość? Dlaczego tamtej nocy byłeś w szpitalu, a nie na egzekucji Russella Lee Holmesa?

– Melanie! – jęknęła matka. – Co... co to ma znaczyć?

Melanie nie zdążyła odpowiedzieć. Harper poderwał rękę, uciszając żonę. Wbił w córkę spojrzenie; jego twarz wykrzywił lodowaty grymas, jakiego wcześniej nigdy u niego nie widziała.

– Jak śmiesz! – Oczy mu płonęły, tak samo jak tego dnia, kiedy Brian oświadczył, że jest gejem. – Jak śmiesz! I to w moim domu! Po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem! Psiakrew, to ja cię przyjąłem, ja dałem ci dach nad głową, ja dbałem o twoje zdrowie, płaciłem za szkoły, myślałem o wszystkim. Nigdy cię nie oszukałem. Zawsze traktowałem jak własne dziecko, ty

rozpuszczony, niewdzięczny...

– Tak? – podchwyciła. – Co chcesz powiedzieć? Bachorze mordercy? O to chodzi? Czy tak o mnie naprawdę myślisz?

– Ty suko. – Uderzył ją mocno w twarz. Upadła na podłogę, nie wydając nawet jęku. Krzyk matki dobiegł ją jakby z dużej odległości.

Powoli podniosła głowę.

– Nie będzie tak łatwo, tato – szepnęła. – Ktoś wie i nawet najlepszy chirurg w Bostonie nie naprawi tej szkody. Nawet ty nie masz na to wpływu.

– Nie wiesz, o czym mówisz...

– Dość! – wrzasnęła Patricia. – Dość!

Oboje spojrzeli na nią. Wstała, dygocząc jak w febrze. Oczy lśniły jej od łez.

– Proszę... – szepnęła. – Już dość. Harper, to nasza córka. Brian jest naszym synem. Tylko ich mamy. Co ty robisz?

– Uczę ich wdzięczności. Widzisz, co się dzieje, kiedy im dajesz wszystko? Oboje okazali się...

Patricia położyła mu rękę na ramieniu.

– Harper, przestań.

Wyszarpnął się, wściekły i urażony.

– Ty też? Do diabła, mam dość. Kto kupił ten dom, te samochody, te ciuszki i jedzenie? Z pewnością nie ty ani twój ojciec. On zapisał pieniądze biednym, pamiętasz? Powiedział, że musimy na siebie zarobić. Więc zarobiłem. Chodziłem codziennie do roboty, wypruwałem sobie żyły, poświęcałem się tak, że nawet sobie nie wyobrażasz, i co za to dostaję? Jak mi dziękuje moja żona? – Odwrócił się do Melanie. – I ty! Wspaniale, że pracujesz dla biednych, ale czynszu z tego nie opłacisz! Pięknie się z nami liczysz! Znikasz na dwa dni, jakby ten pieprzony dom cię nie interesował. A gdybym ja tak zrobił, wiecie, co by się stało? Wiecie? No? Nie dociera? Moje dzieci bawią się na balach, zadają się ze zbrojeńcami, a ja płacę za wszystko! Moja żona lata po sklepach i lituje się nad sobą, a ja wstaję i codziennie idę do roboty, świątek czy piątek, deszcz, śnieg czy mróz! Prosiłem cię tylko o jedno: żebyś była dobrą matką. Nawet tego nie potrafisz. Użalasz się nad sobą, płaczesz po całych dniach. Trudno się dziwić, że Brian został zbrojeńcem! Musiał się zainteresować mężczyznami. Przecież od kobiet nie mógł się doprosić uczucia!

Patricia otworzyła usta, ale mąż jeszcze nie skończył.

– Więc nie waz się mi sprzeciwiać! – Przeszył Melanie lodowatym spojrzeniem. – Nie waz się do mnie mówić takim tonem. To mój dom. Ja za niego płacę, ja go utrzymuję, ponieważ na tym polega moje życie: na zajmowaniu się wami, czy tego chcę, czy nie. Wy się bawicie. Ja nigdy nie miałem tego szczęścia. A kiedy umarła moja córeczka, ty egoistko...

Raptem urwał. Jest bliski łez, zrozumiała Melanie. Boże, doprowadziła ojca do łez.

Harper otarł oczy wierzchem ręki, szybko się opanował, ale nie uspokoił.

– Idę do szpitala. Spodziewam się, że obie przemyślicie to, co się stało. A ty, Melanie, masz rano przeprosić mnie i matkę. Potem pakuj walizki. Chcesz czy nie, pojedziemy na te wakacje i będziemy szczęśliwi, choćbyśmy mieli się pozabijać!

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Po chwili usłyszały huk wyjściowych drzwi. W domu zapadła cisza.

Patricia wpatrywała się w Melanie szeroko otwartymi oczami. A Melanie usiłowała znaleźć odpowiednie słowa. Dotknęła policzka; nadal ją palił. Nie potrafiła tego pojąć. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby ojciec zachowywał się tak agresywnie.

– Musi się opanować wyszeptała Patricia. – Ostatnio przeżywa ciężki okres...

Melanie nie odpowiedziała.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała matka niespokojnie. – Tak już jest w rodzinie. Mamy swoje złe dni, ale one mijają. Przeczekamy to i będziemy silniejsi.

– Może nie powinniśmy tak ciągle przeczekiwać – odezwała się Melanie ze zmęczeniem. – Może ta rodzina naprawdę musi się rozpaść.

Podniosła się chwiejnie. Nogi się pod nią ugięły. Za lewym okiem rodził się pulsujący ból. Kolejna migrena.

– Masz dwadzieścia dziewięć lat. Tylko młodzi tak mówią. Chodzi o to, że rodzina musi przebaczać. I zapominać.

– Dlaczego? Nigdy nie zapomnieliśmy o Meagan. A ty i tato najwyraźniej sobie nie przebaczyliście. W przeciwnym razie, czy powiedziałby to, co powiedział? Co wyście wtedy zrobili?

Patricia znowu pobladła. Ramiona jej opadły. Melanie pomyślała, że wreszcie osiągnęła to, o co jej chodziło. Jej matka załamała się, zraniona i przerażona ponad wszelkie pojęcie.

A Melanie nie czuła żadnej satysfakcji.

W pokoju powitał ją zgiełk kolorów. Czerwień, zieleń i błękit, żółty, pomarańczowy. Boże, co za bałagan.

Zdjęła sukienkę i weszła pod prysznic. Dopiero tam rozplakała się rozpaczliwie.

Kiedy wróciła do pokoju, emocje ją opuściły. Nie była już przerażona, zła czy zdruzgotana. Była zmęczona.

Wzięła fiorinal, okręciła się kołdrą i zasnęła w ułamku sekundy.

Obudziła się tylko raz; w drzwiach zobaczyła ojca. Stał, podparty pod boki, a wyraz jego twarzy przejął ją grozą.

Potem czerń znowu ją wessała i wyrzuciła w gęste zarośla, których ciernie szarpały ją za włosy, a ciężki zapach gardenii łapał za gardło.

Ja chcę do domu, do domu, do domu.

Uciekaj, Meagan.

Dyszenie za plecami... coraz bliżej...

Uciekaj!!!

Gardenie, zarośla, gałęzie, ciężkie kroki coraz bliżej...

Nieeee!!!

Kiedy się znowu obudziła, u jej wezgłowia siedziała Patricia. Głaskała ją po włosach.

– Już dobrze – szepnęła. – Nie stracę następnego dziecka.

David pracował do późna w domu. Siedział zgarbiony, targał włosy i czytał tony dokumentów. Oczy go piekły, wzrok słabł z wysiłku, mięśnie szyi bolały, a krzyż znowu zeszywniał. A on dociskał pedał wiedząc, że nie zostało mu wiele czasu.

Chenney przejrzał śmiecie Williama Sheffielda. Znalazł torbę pełną świńskich organów, poplamioną pościel i jedno lśniące jabłko. Zakładając, że Sheffield nie ma jakiegoś makabrycznego hobby, można się było spodziewać, że i on dostał szokujący upominek.

Czy po dwudziestu pięciu latach jeden ze spiskowców wreszcie zapragnął mówić? Czy była to osoba, której jeszcze nie znali? I o ilu sprawach FBI po prostu nie wie?

To pytanie nie podobało mu się najbardziej. Miał wrażenie, że jest manipulowany. Tajemniczy informator umiejętnie pociągał za sznurki i wszyscy tańczyli tak, jak im zagrał. Brali udział w skomplikowanej grze, której cel znał tylko on.

I ten cel martwił Davida.

– Co masz? – spytał detektywa Jaks o czwartej po południu.

– Czterdzieści dwie sprawy i dwa niezidentyfikowane truposze. A co u ciebie?

– Za dużo pracy, za mało miłości. Zidentyfikowaliście zabójcę?

– Nie, wróżka nic nie wyczytała z kart. Teraz kontaktujemy się z medium. Dowiemy się nazwiska gościa i porozmawiamy z Elvisem. Wiesz, my tu nie mamy nic do roboty.

– A automaty telefoniczne? Sprawdzaliście wykaz? Wiecie, z kim rozmawiał Difford?

– Spokojnie, agencie, bo was szlag trafi. Trzeba trochę czasu, żeby dostać wykazy rozmów i w dodatku je przejrzeć. Chyba, że chcesz to zrobić za mnie.

– To twoja sprawa.

– Rzeczywiście. Więc dlaczego z tobą rozmawiam? – I odłożył słuchawkę. Najwyraźniej czterdzieści dwie sprawy dały się mu we znaki.

David został sam na sam z własną frustracją i bardzo złym nastrojem. Otrzymanie wykazów rozmów telefonicznych rzeczywiście wymagało czasu. A przejrzanie tomów rozmów z budki telefonicznej w centrum Bostonu faktycznie nie było zabawą na jeden dzień.

A on musiał znać odpowiedź już teraz.

Wybiła siódma wieczorem.

Lairmore zatrzymał się w drodze do drzwi.

– Gdzie jesteśmy?

– Tam, gdzie byliśmy. Plus nowy trup. Lairmore zachmurzył się... David uniósł brew.

– Zły dzień?

– Zły tydzień – brzmiała odpowiedź. David nie naciskał dalej. Lairmore miał własne sprawy, tak samo jak on. Ojciec zostawił mu już trzecią wiadomość na sekretarce.

Po chwili Lairmore dał mu spokój.

David zajął się aktami. Tonął w stertach papierów. Miał wrażenie, że to fragmenty gigantycznej układanki, które tylko czekają, żeby wskoczyć na właściwe miejsce. Były tu doniesienia o finansach Stokesów; posłusznie gromadził je do następnego spotkania z Lairmore'em. Nic wstrząsającego. Przychody, rozchody. Ktoś powinien powiadomić Harpera, że w życiu liczą się nie tylko garnitury od Armaniego.

David westchnął. Zostawił dwie wiadomości dla Briana Stokesa, który nie oddzwonił. O ósmej wieczorem złożył mu wizytę, ale nikogo nie było w domu. Zajrzał do prywatnej kliniki, w której przyjmował Brian, ale dowiedział się tylko, że pan doktor jest chory.

Czterdzieści osiem godzin i nikt nie widział Briana Stokesa. David nie był pewien, co to może znaczyć.

Dziwił się. Zajrzał do laboratorium. Jeszcze nie mieli nic konkretnego. Żadnych odcisków palców. Świeczki pochodziły z fabryki w Maine i sprzedawano je w całym stanie. Zabawka rzeczywiście jest stara. Najciekawszy jest strzęp materiału, na którym znajdują się plamy krwi. Dwie grupy krwi. Mieli nadzieję, że pod koniec tygodnia nadejdą wyniki testów DNA. To bardzo szybko. Oczywiście będą użyteczne tylko wtedy, gdy znajdzie się materiał porównawczy.

Powrót do metod tradycyjnych.

Na razie nie masz na to wpływu, Riggs. Naprawdę się starasz.

Okłamałem ją, pomyślał, nekany wyrzutami sumienia. Nie powiedziałem, że prowadzę śledztwo w sprawie jej ojca. Nie uprzedziłem, że Harper będzie miał sprawę o oszustwo.

Taką masz pracę. Musisz ją wykonywać. Tak właśnie jej pomożesz.

A jeśli to był błąd? Jeśli ta świadomość dałaby jej większe rozeznanie w sytuacji?

Tego nie wiesz na pewno. Jak powiada Cheney, narażanie ludzkiego życia to jedno, a nasłanie mordercy na własną córkę to coś zupełnie innego.

Wrócił do swego mieszkania.

Runął na łóżko.

Zasnął z pagerem pod policzkiem. Śniło mu się, że jest w drewnianej szopie, ale z Melanie, nie z Meagan. Z szaleńczym zapamiętaniem szorował podłogę, jakby dzięki temu mógł uratować siebie i ją. Ale Melanie nadal leżała na podłodze. I choć pracował ze wszystkich sił, ona ani drgnęła. W drzwiach stał Russell Lee Holmes i śmiał się z niego.

Chenney był zmęczony. Zmęczony jak cholera. Udało mu się przespać po południu, ale między grzebaniem w śmieciach Williama Sheffielda a poznawaniem szczegółów jego pobytu w sierocińcu w Teksasie upłynęło sporo czasu. Przynajmniej dowiedział się kilku ciekawych rzeczy. Zakonnica twierdziła, że Sheffield był małym potworem. Podejrzewała nawet, że mógł nakarmić trucizną jednego ze starszych chłopców – nie na tyle, żeby umarł, ale dość, żeby trzymał się z daleka od Williama. Najwyraźniej ten chuderlawy anestezjolog krył w sobie potencjał, którego nie ujawniał.

Chenney włókł się ociężale mrocznymi korytarzami szpitala, popychając wózek z proszkami do czyszczenia, ogromnym kubłem na śmieci i dziesiątkami rolek papieru toaletowego. Korytarze były puste, prawie zupełnie ciemne. Skrzypienie wózka brzmiało upiornie. Cheney nie lubił szpitali.

Pielęgniarka z OIOM-u zajęła się pacjentami; Cheney zdołał rzucić okiem na grafik. Nie zrozumiał z niego ni cholery. Od tego był Riggs.

Wreszcie skupił się na dwojgu starszych pacjentach, podłączonych do monitorów i kroplówek. Kobieta wyglądała bardzo kiepsko. Bezzębna szczęka, usta otwarte pod maską tlenową. Fałdzista, luźna skóra podbródka. Ciało niemal szare. Musiała być autentycznie chora.

Mężczyzna był młodszy. Mógł mieć pięćdziesiąt lat. Całkiem niezła kondycja. Porządna fryzura. Opalenizna, trochę tłuszczu na brzuchu i karku. Kiedy pielęgniarka znowu się pojawi,

trzeba będzie ją życzliwie spytać o stan chorego.

Chenney skręcił za róg. Wlókł się noga za nogą i myślał, że powinien wziąć się w garść i skupić na sprawie.

– Och, przepraszam. – Był tak zamyślony, że niechcący wjechał na lekarza.

Doktor odwrócił się, równie zaskoczony. Chenney znalazł się twarzą w twarz z doktorem Williamem Sheffieldem. Chwycił za wózek, żeby się nie przewrócić. Jestem sprzątaczem, przypomniał sobie.

– Może by się pan ruszył? – warknął Sheffield. Chenney wyczuł słaby odór whisky.

– Przepraszam. – Chenney cofnął wózek. Musiał spuścić oczy; bał się, że zdradzi go wyraz twarzy. Na szczęście Sheffield nie miał ochoty na pogaduszki. Minął go i ruszył korytarzem.

Dobra. Co teraz?

Powinien wrócić na OIOM. Czy Sheffield będzie działał przez dwie kolejne noce? Wszystko jest możliwe.

Ruszył przed siebie; nie zauważył, że Sheffield odwrócił się, żeby po raz ostatni spiorunować go wzrokiem. Spojrzenie lekarza osunęło się ku butom sprzątacza. Brązowe włoskie mokasyny oddaliły się korytarzem, a William Sheffield poczuł, że robi mu się niedobrze ze strachu.

Wpadł do najbliższej toalety i zwymiotował do umywalki. Wyrwał z kieszeni dwie fiołki propranololu, wytarł je dokładnie papierowymi ręcznikami i wcisnął głęboko do kosza.

Harper go wsypał, sukinsyn. Myśli, że znalazł sobie nowego kozła ofiarnego.

Ale się przeliczył. William nie zamierzał poddać się bez walki. Zwłaszcza, że wiedział to i owo.

– Mamy problemy – oznajmił Harper.

– Naprawdę nie dasz mi się wyspać? – Jamie O'Donnell ziewnął w słuchawkę. Harper obudził go drugi raz z rzędu. Zerknął na budzik. Druga w nocy. Jasna cholera. – Poczekaj. – Odrzucił kołdrę i wstał ostrożnie, żeby nie obudzić śpiącej obok Annie. Dotknął jej policzka, wziął telefon i wyniósł go do pokoju obok. Zamknął cicho drzwi. – Co jest, bracie? Masz bilety do Europy? – Znowu ziewnął. Te wakacje ciągle go wkurzały. Harper odjedzie jak pozytywny bohater w białym kapeluszu.

– Pieprzyć Europę – brzmiała odpowiedź. – Chodzi o Williama. Załamał się. Zadzwoił do mnie, kompletnie spanikowany i oznajmił, że chodzą za nim włoskie mokasyny. I że mi tego nie daruje. Potem trzasnął słuchawką. Dzwoniłem do niego dwa razy, bez skutku. Zajrzałem do jego mieszkania. Wygląda, jakby przeszedł przez nie huragan. William zniknął. Jego samochód też.

– Masz rację. Mały dostał kota.

– Darł się, że go wrobiłem! – nie wytrzymał Harper. – Nic podobnego! Kto za tym stoi? Pomyślałem, że to wyjaśnisz.

– Próbuję. Prawdę mówiąc, myślałem, że porozmawiam o tym z Larrym Diggerem, ale to już odpada. Nasz drogi Larry nie żyje.

– Co?!

– Och, nie udawaj głupiego. Wiem, że to twoja sprawka.

– Nie! – W głosie Harpera brzmiała panika. – Co się dzieje, do diabła? Ktoś mnie wrabia. Musisz mi uwierzyć. Ktoś tu strasznie miesza. Nawet Melanie zaczęła mnie oskarżać, że coś zrobiłem Meagan.

Przez chwilę Jamie nie mógł wydobyć z siebie głosu. Nigdy dotąd jego przyjaciel nie był tak wstrząśnięty. Nigdy się tak nie bał. Czekał na drgnienie satysfakcji, ale nic podobnego nie nastąpiło. Nadal podejrzewał, że to także jest gra. Z Harperem nigdy nie wiadomo.

– Naprawdę nie kazałeś stuknąć Larry’ego Diggera?

– Nie!

– Ja też nie.

– Ale, ale... – Harper z trudem artykułował słowa. – Kto?

– Nie wiem.

– Musisz to odkręcić. Wszystko się rozpada. To niemożliwe. Nie... nie teraz. Po tylu latach. To bez sensu. Tamto jest skończone i zapomniane.

– Zacząłeś z tymi operacjami, Hap. Ostrzegałem, żebyś się w to nie mieszał...

– Dobrze, dobrze, już przestanę. Tylko znajdź Sheffielda. Popracuj nad nim.

– Dlaczego sądzisz, że mnie wysłucha? Nienawidzi mnie tak samo, jak wszystkich.

– Bo jest taki jak ty. Pamiętasz?

Jamie zamilkł i pokręcił głową. Harper ranił go nawet wtedy, gdy go potrzebował. Wspaniały doktor Stokes nie był taki wspaniały, jak się wydawało.

– Dobrze – powiedział wreszcie niechętnie. – Zajmę się tym. Ale to już ostatni raz. Daj mi parę dni. – Po czym dodał jakby po namyśle: – Aha, Harper...

– Co?

– Rozmawiałeś ostatnio ze swoim synem?

– Nie. Ale chciałem do niego zadzwonić. Zrobię to jutro.

– Życzę szczęścia, staruszk, bo ja usiłuję się z nim skontaktować od dwudziestu czterech godzin. Wygląda na to, że on też zniknął. Ciekawe, co to znaczy.

Po przebudzeniu policzek nadal ją palił. Ostrożnie dotknęła siniaka. Boli, ale od tego się nie umiera. Ta zasada odnosiła się do jej całego życia.

Zeszła na dół. W domu panowała cisza. Harper wyszedł. Patricia też. I Maria.

Zadzwoiła do brata. Nie zastała go w domu. Zadzwoiła do pracy. Nadal jest chory, poinformowała ją kobieta z rejestracji. Atak grypy. Melanie nie uwierzyła w to nawet na chwilę. Gdyby był chory, siedziałby w domu. Co teraz?

Rozmowa telefoniczna. Anonimowy informator, który podobno dzwonił z jej domu. W chaosie ostatnich dni zupełnie o tym zapomniała. Zadzwoiła do firmy telefonicznej i poprosiła o przysłanie bilingu. To na początek. A na razie?

Krażyła po domu. Czuła się dziwnie nie na miejscu. Znane wnętrza wydawały się jej dekoracjami, w których rozgrywa się sztuka. Salon cały w różowych jedwabiach, idealny na spotkania towarzyskie. Pokój ozdobiony włoskim marmurem, idealny do robienia wrażenia na dyrekcji szpitali. Jadalnia z ogromnym stołem na dwanaście osób, w sam raz na rodzinne obiady i długie, szczere rozmowy.

Patio z glinianymi donicami, różami i stolikiem z kutego żelaza. Doskonały zakątek do bicia córki.

Dość. Zeszła do piwnicy, gdzie spoczywały pudła noszące etykietę: „Meagan Stokes, 1968 – 1972”.

Kiedy Melanie skończyła dwanaście lat, Patricia zgłosiła potrzebę zrobienia w piwnicy pokoju zabaw dla dzieci. Harper odmówił. Muszą mieć miejsce na różne graty. Piwnica dobrze się do tego nadaje.

Rozsądna uwaga. Ale Stokesowie nie trzymali gratów. Nie mieli starych ubrań, książek, mebli. Harper był bardzo systematyczny. Wszystkie stare ubrania były katalogowane, szacowane i wysyłane do Armii Zbawienia, dzięki czemu dostawali odpis od podatku. Wszystko miało swoją cenę. Z wyjątkiem tych pudełek, których zawartość była bezcenna.

Przeszukała je kiedyś – dziewięciolatka, pragnąca dowiedzieć się czegoś o swojej nowej rodzinie. Ostrożnie dotykała koronkowej sukieneczki od chrztu, sukienki z czerwonego aksamitu na Boże Narodzenie, różowego włóczkowego „kocyczka”. Obejrzała małe buciki, odcisk małej rączki w gipsie, pierwsze rysunki. Przeglądała zawartość pudeł z poczuciem winy, lecz i fascynacją, wiedząc, że nie powinna ich dotykać, ale bezradna wobec potrzeby dowiedzenia się czegoś więcej.

Tylko tyle zostało z Meagan Stokes. A Melanie musiała poznać jedyną prawdziwą miłość jej rodziców.

Zaczęła od pudła z fotografiami.

Zaczynały się w Teksasie. Jamie, Harper i Patricia w staroświeckiej białej limuzynie. Jamie i Harper w garniturach w prążki, jak gangsterzy. Jamie obejmujący młodą, piękną Patricję, uśmiechającą się do obiektywu. Jamie patrzący w bok, przystojny młody Harper całujący swoją przyszłą żonę.

Ślubne fotografie. Patricia i Harper w katedrze, trzymający się za ręce. Smukła Patricia w przepięknej sukni, jakby stworzonej dla księżniczki: kaskady falban z tiulu aż do ziemi.

Przed katedrą z Jamiem w białym fraku z czarną lamówką. Jamie uśmiechał się, ale stał daleko od Patricii, często prawie za kadrem. Ten ślub musiał wiele zmienić w ich układach.

I nagle zdjęcia dzieci. Brian Harper Stokes, dwudziesty piąty lutego, cztery kilo trzysta gramów. Brian w ramionach triumfującego Harpera. Patricia uśmiechająca się ze zmęczeniem. Brian raczkujący, Brian uczący się chodzić. Trzyletni Brian sięgający po figurkę, stojącą tuż poza jego zasięgiem. Trzyletni Brian spoglądający z zakłopotaniem na zbitą figurkę. Napis ręką Patricii: „Pierwsze spotkanie Briana ze sztuką”. Brian na Halloween, przebrany za diabła. „Brian ciągle ma „diabelski okres”. Przynajmniej mu do twarzy”.

Potem Patricia w ciąży. Brian odsunięty na drugi plan. W centrum uwagi smukła, wysoka Patricia, rozpromieniona i kwitnąca. Patricia obejmująca brzuch. Patricia z profilu, spoglądająca w dal. Patricia na pikniku, w tle biegnący Brian, Patricia w bardzo zaawansowanej ciąży, zasłaniająca się misiem. Dopisek Jamiego: „Pat, 1968. Jak zawsze piękna”.

Melanie odwróciła stronę albumu. Meagan. Patricia trzymająca noworodka przy piersi: mała czerwona twarzyczka, zapuchnięta i śpiąca, malutka rączka. Brian obok matki i siostry. Jamie przy szpitalnym łóżku, roześmiany. Paluszki Meagan zaciśnięte wokół jego masywnego palca.

Nagle Brian i Meagan zaczęli bardzo szybko rosnać. Brian karmiący Meagan. Brian czytający Meagan. Brian ciągnący Meagan w małym czerwonym wózekczku, cały roześmiany.

Trzy lata później Brian znowu przebrany za diabła, ale tym razem z Meagan w stroju lalki. Oboje uśmiechnięci. Na następnej fotografii Patricia, Brian i czteroletnia Meagan, uśmiechający się do obiektywu. Śliczna młoda matka i dwoje niewiarygodnie szczęśliwych, niewiarygodnie pięknych jasnowłosych dzieci.

Melanie odłożyła album. Ręce jej się trzęsły.

A potem wydarzyło się tamto. W gorący letni dzień Patricia i Brian zostawili Meagan pod opieką niani i poszli do lekarza. Tego popołudnia wydarzyła się tragedia i Meagan odeszła z tego świata.

Taka wspaniała rodzina.

W pudle nie było żadnego śladu istnienia Russella Lee Holmesa. Żadnych wycinków z gazet, ani jednej karty kondolencyjnej z pogrzebu. Na jednej stronie ostatnie zdjęcie Meagan, na drugiej pustka. Koniec opowieści.

Melanie przejrzała album od nowa. Jamie, Harper, Patricia. Harper i Patricia. Mały Brian. Ciężarna Patricia, mała Meagan. Meagan i Brian.

Coś ją zastanowiło.

Ciężarna Patricia, mała Meagan. Meagan i Brian.

Nie rozumiała. Coś ją dręczyło, prawie wiedziała, co, ale nie potrafiła tego nazwać.

Ciężarna Patricia, mała Meagan. Meagan i Brian...

Ach! A gdzie Harper? Dlaczego nie było tu ani jednego zdjęcia ojca z córeczką?

Nagle na górze rozległy się jakieś hałasy; dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi, kroki ponad jej głową.

Ktoś był w domu. Melanie pospiesznie odłożyła album na miejsce. Pudełka Meagan były święte, a ona nie chciała, żeby ją przyłapano na grzebaniu w nich. Nie teraz, kiedy wszystko się gmatwa.

Kroki. Na korytarzu, w salonie, zmierzające w stronę gabinetu... To Harper. Wrócił ze szpitala i chce wypełnić dokumentację.

Melanie weszła cicho po starych drewnianych schodach, zakradła się na korytarz. Po chwili była już przed lustrem. Otrzepała ręce z kurzu, poprawiła dżinsowe szorty i niebiesko-żółtą bluzkę.

Harper chodził po gabinecie. Sądząc po odgłosach, był w podłym nastroju.

Po raz ostatni spojrzała w lustro i postanowiła, że się odważy.

Ojciec nigdy nie był przyjemny, kiedy się go do czegoś zmuszało, ale czasami potrafił przyznać, że nie ma racji. Mogła najpierw go przeprosić i zobaczyć, co on na to. Warto zaryzykować.

Poszła do gabinetu. Spodziewała się, że zastanie Harpera przy biurku.

A zobaczyła Williama Sheffielda rozrzucającego dokumenty ojca. Miał broń.

To był dla niego zły dzień, zły tydzień, złe życie. Ale teraz postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Potrzebował tylko dowodu. Z pewnością Harper ma gdzieś jakieś finansowe dokumenty.

– William? – rozległ się kobiecy głos. – Co robisz?

Zesztywniał i powoli się odwrócił. W drzwiach stała Melanie, trzymająca ręce w kieszeniach z tyłu. Patrzyła z obawą na broń.

– Co robisz? – powtórzyła.

– Nie spodziewałem się ciebie. – Myślał, że w domu nikogo nie ma. Liczył na to, że nikt mu nie przeszkodzi. Ale ona go widziała, a słodka Melanie o wszystkim mówiła tatusiowi. Nie mógł do tego dopuścić.

– Co robisz, William?

– Zwiedzam. – Powiódł spojrzeniem po pokoju pełnym drogich ozdób i mebli. – Niezła chata. Zawsze się zastanawiałem, jak to jest, kiedy się mieszka w takim domu. Można by pomyśleć, że mama powinna mnie nafaszerować narkotykami i podrzucić w szpitalu.

– Wyjdź stąd – powiedziała chłodno. – Harpera nie ma, więc nie powinieneś wchodzić do jego gabinetu.

– Wiesz co? – Podeszedł do niej. Spłoszyła się, zerkając na broń. – Gównu mnie obchodzi, co sobie myślisz. Jesteś tylko adoptowana, nie masz pojęcia o niczym!

– William...

Chciała się cofnąć. Wiedział, że nigdy nie uważała go za zagrożenie dla siebie. Teraz ruszył ku niej szybko i z satysfakcją ujrzał, że jej oczy wypełniają się strachem. Za późno. Przyparł ją do ściany.

– Odejdź!

– Dlaczego? Już cię kiedyś miałem.

– William, do diabła...

Chwycił ją za włosy i szarpnął. Krzyknęła, ale natychmiast się opanowała. Zawsze lubiła udawać twardą. Pora to zmienić. Pora wreszcie się zabawić na koszt Harpera.

– Dociera do ciebie?

– Ja... nie...

– Nie, oczywiście. Wiesz, jak na taką mądralę nie masz pojęcia o swojej rodzime. Tak, tak. Możesz się wściekać, możesz uważać, że jesteś ode mnie lepsza. Ale to nieprawda. Jesteś tylko bardziej naiwna. Ja się poznałem na twoim ojcu w pięć minut, a ty po dwudziestu latach dalej jesteś ciemna. To kto jest mądry?

Brutalnie szarpnął ją za włosy. Tym razem nie zdołała powstrzymać bolesnego syku. To mu się spodobało.

– Twój kochany tatuś myśli, że ma mnie w garści. Wydaje mu się, że będę mu ciągle pomagał w tych lipnych operacjach i nie połapię się, co się dzieje. Aha, o tym też nie wiedziałaś, co? – Niedbale wskazał łufą pokój za swoimi plecami. – Widzisz? To wszystko za brudne pieniądze. Twój tatuś może i jest najlepszym kardiochirurgiem w Bostonie, ale nie umie się obchodzić z pieniędzmi. Grzęźnie coraz głębiej. Myślisz, że zaczniesz się ograniczać, że narzuci rodzinie oszczędne życie? O, nie, nie on. On sobie wymyślił, że będzie krajać niewinnych staruszków i zakładać im rozruszniki. Nikomu się nie dzieje krzywda, jak mówi. Towarzystwa ubezpieczeniowe mogą sobie na to pozwolić. Jak ci się to podoba? Klasa, co? Fajnego masz tatę, nie?

Usta jej zadrżały. Spojrzała mu prosto w oczy i odezwała się tym zimnym głosem, którego tak nie znosił:

– Nie wiem, o czym mówisz.

Uderzył ją w twarz. Nie jęknęła, czym sprawiła mu zawód, ale przynajmniej zauważył, że pękła jej warga. Pojawiły się kropelki krwi. Warga zaczęła puchnąć.

– Więc pożegnaj się z tatusiem, bo nie zamierzam znosić więcej niespodzianek. „Dostajesz to, na co zasługujesz”. Gówno prawda. Zauważyłem tego agenta w szpitalu. Wiem, co kombinuje i z pewnością nie pozwolę mu się zrobić.

– Boże! Dostałeś list!

– List? – Zmarszczył brwi z rozdrażnieniem. – Nie dostałem żadnego listu. Ktoś mi zostawił wiadomość, napisaną krwią na lustrze. Kto by pomyślał, że twojego starego stać na takie rzeczy?

Pokręciła głową.

– Jaki ty masz związek z Russellem Lee Holmesem? Znałeś Meagan?

– Co? – Nie rozumiał i nie chciał rozumieć. Przycisnął ją do ściany. – Chcesz znać prawdę? Proszę bardzo, ty mała idiotko. Twój ojciec jest oszustem. Woli kroić zdrowych ludzi niż przyznać się do bankructwa. Twoja matka jest pijaczką i nie potrafi zaspokoić własnego męża. A twój brat to zboczek. I, do kompletu, twój ojciec chrzestny to zwykły bandyta w ładnych ciuchach. Jak ci się podoba ten śliczny obrazek? Dwaj przestępcy, pijaczka i pedał. A ty? Ty jesteś durna. Durna jak cholera, idiotka, która od dwudziestu lat daje się oszukiwać. Jak ci się to podoba?

Uśmiechnął się z satysfakcją. Melanie uniosła głowę, jakby chciała z nim walczyć. Jednak w jej oczach widać było zwątpienie i jakby błaganie, żeby cofnął to, co powiedział. Jeszcze czego!

Odstąpił o krok i od niechcienia uderzył ją w twarz.

– Jak śmiałaś mnie rzucić, ty suko!

– Jak śmiesz mnie tak traktować! – krzyknęła i usiłowała go kopnąć. Bez trudu zablokował cios. Chwytał jej nadgarstek i ścisnął.

– Daj mi szyfr do sejfu. Potrzebne mi dokumenty Harpera.

– Nie znam szyfru.

Puścił jej rękę i uderzył ją kolbą pistoletu. Uderzyła głową o ścianę i osunęła się na podłogę, na wpół przytomna.

– Larry Digger...

– Co? Dawaj szyfr!

– Czy ojciec... zastrzelił Diggera?

William pokręcił głową.

– Nie wiem, o czym mówisz. Harper jest złodziejem, nie mordercą. Dawaj ten szyfr.

– Co się stało z Meagan? – wymamrotała. – Co oni jej zrobili?

– Pieprzyć Meagan. Daj szyfr, bo cię zabiję.

Owinał sobie wokół ręki jej długie włosy i podniósł ją szarpnięciem na nogi.

I nagle wszystko zaczęło się dziać samo.

Słodka Melanie wbiła mu łokieć w brzuch. Powietrze uszło z niego ze świstem. Uderzyła całą dłonią w mostek, nastąpiła z rozmachem na nogę. Odskoczył z przekleństwem i wycelował w nią pistolet.

– Ty dziwko! Zabiję! Rozwalę ci łeb!

– Przestań! – Chwyciła jego dłoń i zaczęła się z nim szarpać.

Pistolet wypalił sam. Zamarli w pół ruchu na środku rozbebeszonego gabinetu. William miał szeroko otwarte, zdumione oczy. Melanie patrzyła na niego z równym zdumieniem. Powoli osunął się na podłogę.

Dopiero teraz zauważyła krew na jego brzuchu. I na jej rękach, na dokumentach, na podłodze. Jak Larry Digger, pomyślała.

– Mi Dios! – jęknął jakiś głos.

Melanie odwróciła się i ujrzała Marię z torbą zakupów.

– Ja nie chciałam...

Maria odwróciła się i uciekła. Melanie zdała sobie sprawę, że nadal trzyma broń, a jej ręce ociekają krwią.

Chciała tylko mieć rodzinę. Ludzi, którzy by ją kochali. Którzy by przy niej byli. Chciała mieć dom.

Kłamstwa i krew. Kłamstwa i krew.

Jej ciało ruszyło się jakby bez własnej woli.

Chwyciła torebkę. Wybiegła z domu i wypadła na ulicę. Nie przestawała uciekać.

Pager Davida rozdzwonił się niespodziewanie, przerywając Lairmore'owi mieszanie z błotem swoich podwładnych.

– Muszę oddzwonić – oznajmił David spokojnie i wyszedł z sali konferencyjnej. Lairmore coś wymamrotał, ale kto by się nim przejmował.

Nie znał numeru, który się wyświetlił, ale po tamtej stronie podniesiono słuchawkę po pierwszym sygnale. W tle słychać było warkot samochodów i szum głosów.

– Tu Riggs – powiedział.

Chwila ciszy i już wiedział, że to ona.

– Melanie?

– Okłamałeś mnie.

– Melanie, gdzie jesteś?

– Powiedziałaś, że nie prowadzisz śledztwa w sprawie mojej rodziny. Powiedziałaś, że chodzi ci o Williama. I pewnie nie masz sobie nic do zarzucenia. Wykonujesz tylko to, co do ciebie należy.

– Melanie, posłuchaj. Chcę ci pomóc...

– Akurat. Jak śmiesz mnie tak okłamywać! Po tym wszystkim...

– Melanie...

– Dla twojej wiadomości, strzeliłam przypadkowo. William chciał mnie zabić. Możesz to powiedzieć mojej rodzinie, choć ich to pewnie nie obchodzi. Nie wiem, co ich obchodzi. Pewnie miałaś rację, pewnie jednak ich nie znam.

– Melanie, powiedz mi, gdzie jesteś. Będę tam za dwie minuty.

– Nie. Koniec gier. Koniec manipulacji. Od samego początku pozwalałam innym mnie wykorzystywać. Teraz z tym koniec. Do widzenia.

Trzask słuchawki. David zaklął okropnie, zwracając na siebie uwagę wszystkich. Z sali konferencyjnej wyłonił się Lairmore, a za nim Cheney.

– Riggs!

David chwycił płaszcz.

– Dzwoncie do detektywa Jaksy. Rozmawiałem z Melanie Stokes. Twierdzi, że zastrzeliła Williama Sheffielda.

W domu Stokesów nagle zrobiło się bardzo gwarno. Przed drzwiami wejściowymi stały dwie karetki i trzy samochody policyjne. Błyskały koguty, kręcili się policjanci. Pojawiły się także dwie furgonetki telewizyjne.

Między dziennikarzami kręcili się sąsiedzi i turyści, którzy zaczęli robić zdjęcia. Ruch na czteropasmówce został zahamowany.

David Riggs zatrzymał samochód o przecznicę dalej i resztę drogi przebył biegiem. Cheney sapał tuż za nim. Usiłowali dzwonić do Melanie – bez skutku. Udało im się dodzwonić do detektywa Jaksy, który przyznał, że rzeczywiście była jakaś strzelanina i wydział zabójstw ma parę pytań do przyjaciół z FBI.

David pokazał legitymację policjantowi. Cheney po prostu odsunął go sobie z drogi. Przebili się przez tłum fotografów, detektywów i policjantów. Patricia stała w kącie pokoju,

splótszy na piersi szczupłe ręce. Upierścienione palce drżały. Była rozdygotana, przerażona i wzdrygała się przy każdym hałasie.

Jej mąż stał po przeciwnej stronie pokoju, chmurny i zmęczony. Prawdopodobnie wezwano go prosto od stołu operacyjnego. Na szyi wisiała mu zielona maska. Ręce opierał na biodrach, a cała jego postawa wyrażała agresję.

Jamie O'Donnell zajął miejsce w drzwiach. Na twarzy miał wyraz troski i nieufności.

– Oczywiście Maria zaczęła sprzątać – mówił szorstko Harper. – Jest pokojówką to do niej należy.

– Zniszczyła dowody – odparł detektyw Jax. Harper wzruszył ramionami.

– Skąd miała wiedzieć? Sądziła, że robi dobrze.

David nie mógł nie przyznać racji policjantowi. Krew była rozmazana po całej podłodze. W samym kącie widniały czerwone kontury kartki. Sam dokument zniknął. Można by uznać, że William został zastrzelony, gdy na podłodze leżały jakieś dokumenty.

Detektyw Jax także doszedł do tego wniosku.

– Jeśli się dowiem, że ma pan z tym coś wspólnego, dopadnę pana za przeszkadzanie w śledztwie, niszczenie dowodów oraz udzielanie pomocy w dokonaniu przestępstwa. Uprzedzam.

Harper uśmiechnął się zimno.

– Bardzo proszę... a mój prawnik zje pańską odznakę na deser.

– Co się stało z Melanie? – wtrąciła Patricia drżącym głosem. – Gdzie jest moja córka? Co się z nią dzieje?

– Ciągłe jej szukamy, proszę pani.

– Na pewno nie zrobiła tego z zimną krwią – ciągnęła rozpaczliwie. – Nie miała powodu krzywdzić Williama.

– Tego nie wiemy – mruknął Harper ze znużeniem. – Po wczorajszej scenie... Musisz przyznać, że nasza córka ostatnio jest bardzo zdenerwowana. Może jednak bardziej przeżyła zerwanie z Williamem niż nam się zdawało. Nie wiem.

– Harper!

– Miała migreny, źle spała... Wczoraj nawet nie wróciła na noc. Nie będę kłamał. Nie możemy już ręczyć za nasze dzieci.

David przestał myśleć. Jeszcze przed chwilą stał przy Chenneyu, słuchając, jak Harper oskarża własną córkę. A zaraz potem znalazł się po drugiej stronie pokoju. Trzymał w garści wyłogi zielonego uniformu Harpera i przypierał ojca Melanie do ściany.

– Nie wrobisz jej – syknął. – Masz gdzieś to dochodzenie, śmierć Williama jest dla ciebie darem nieba. Boże, dla ciebie to tylko gra, tak? Ona mogła zginąć. Słyszysz? Twoja córka omal przez ciebie nie zginęła. Znowu!

– Puszczaj!

– Spokojnie – odezwał się cicho O'Donnell. – Spokojnie, bracie.

David powoli zdał sobie sprawę, że jedyną osobą zaskoczoną obrotem sytuacji jest Patricia. Harper, zaatakowany przez człowieka, którego znał jako kelnera, nie był nawet zdziwiony. Jamie O'Donnell, postawiony w obliczu dwóch nieznanymi mężczyzn, także się nie dziwił.

Wiedzieli. Wiedzieli, kim jest David i Chenney, wiedzieli o dochodzeniu więcej niż FBI.

David puścił Harpera. Zrobił szybki krok do tyłu i spojrzał na obu mężczyzn.

– Ale jak? – spytał.

Obaj spojrzeli na niego bez zrozumienia.

– Nie, nie kupuję tego. Nawet wy nie zdawaliście sobie sprawy, do czego jest zdolny Sheffield. Daję głowę, że uważaliście go za mięczaka, tak jak my. Ale okazało się, że miał własne cele. Wyglupił się i naraził wszystko na niebezpieczeństwo. Tak naprawdę jedyną osobą, która dziś okazała odrobinę zdrowego rozsądku, jest Melanie. Wykiwała was. Wykiwała nas wszystkich.

Na policzku O'Donnella zadrgał mięsień.

– Nie rozumiem, bracie, o czym mówisz.

– Nie? Gratulacje, naraził pan swoją chrzestną córkę na niebezpieczeństwo. Nie co dzień pcha się piękną młodą kobietą w objęcia śmierci. Ale chyba wy już do tego przywykliście, co? Najpierw wynajął pan zabójcę, teraz tego mięczaka. Chyba się pan starzeje.

Oczy O'Donnella pociemniały. Strzał trafił w czule miejsce.

– Uważaj, bracie. Teraz bardzo uważaj.

– I wzajemnie, bracie, bo codziennie dowiaduję się więcej i coraz bardziej się zbliżam do prawdy. Wiecie, że sprawa zabójstwa nie ulega przedawnieniu? Zwłaszcza kiedy chodzi o zabójstwo małej dziewczynki. Kiedy chodzi o biedną, bezradną dziewczynkę, która nie miała pojęcia, do czego jesteście zdolni. Pewnie też was kochała. Jak Melanie.

Ruszył do drzwi.

– O czym on mówi? – spytała Patricia za jego plecami. – Czy ktoś zadzwonił do Briana?

– Mówi pani o Brianie Stokesie? – upewnił się Jax.

– Oczywiście. – W głosie Patricii zabrzmiało jeszcze większe zdziwienie.

– Przyjaciel zgłosił jego zaginięcie jakieś dwie godziny temu. Brian Stokes wyszedł na spacer i od tej pory ślad po nim zaginął.

Tego było już za wiele. Patricia jęknęła i zemdląła. Ale to nie jej mąż ją podtrzymał. Zrobił to Jamie O'Donnell.

– Może byś mi tak powiedział, co się dzieje? – wydyszał Cheney, ledwie nadążając za Davidem, który wielkimi krokami sadił przed siebie. W krzyżu pulsował mu rozdzierający ból. Poza tym nie czuł niczego.

– Mamy przeciek. Do tej pory się nie spotkaliśmy, a oni już wiedzieli, kim jesteśmy.

– Cholera. Melanie im powiedziała?

– Nie wiedziała, że prowadzę dochodzenie w sprawie jej ojca. – David dopadł samochodu. Otworzył drzwiczki gwałtowniej niż to było konieczne. Cheney wszedł pośpiesznie do środka. – Nie rozmawiaj z nikim z wyjątkiem Lairmore'a. Coś się kroi. I wcale się nie zdziwili tym, co powiedziałem o Meagan. Dobrze to wiedzieli.

– Siedzą w tym?

– Po uszy. – David przekreślił kluczyk. – Z wyjątkiem Patricii. Ona nie miała o niczym pojęcia.

– To, dokąd jedziemy?

– Do mieszkania Briana Stokesa, oczywiście. A myślisz, że dokąd poszła Melanie?

Ruszyli z piskiem opon.

– Stary – odezwał się po chwili Cheney. – Wdepnąłeś. Mówię ci, wdepnąłeś jak jasna

cholera. Jak się Lairmore dowie, zawiesi cię co najmniej na miesiąc.

David nie odpowiedział.

Mieszkanie Briana Stokesa wyglądało jak muzeum sztuki nowoczesnej. Dozorca wpuścił ich do środka. Za drzwiami apartamentu na drugim piętrze powitały ich cztery pokoje pełne chłodnego szkła i chromu. Jedyнным meblem, który nie wyglądał jak aparatura kosmiczna, była sofa obita czarną skórą.

– Nawet jednego zdjęcia rodziny – szepnął Cheney z niejaką obawą.

– Rodzina nie jest dla niego powodem do dumy.

– Adoptowana córka oddałaby życie za rodziców, a rodzony syn się ich wypiera. Niezłe, co?

Obejrzeni wszystkie pokoje. Ani jednego pyłka, ani jednego porzuconego ubrania. Niesamowite.

– W lodówce tylko piwo i jogurt – zaraportował Cheney.

– Sekretarka pusta – powiedział David w zamyśleniu. – Po dwóch dniach żadnych wiadomości?

– Może dzwoni na swój numer i odsłuchuje. Te nowoczesne sekretarki tak potrafią.

– Aha. Może.

Obeszli mieszkanie po raz drugi. Brian najwyraźniej był wyjątkowo porządny. I nie lubił żadnych ozdób. Ten człowiek jest chory, pomyślał David. Nikt normalny nie może żyć w tak klinicznym wnętrzu.

Dozorca stwierdził, że do budynku nie wchodziła dziś żadna blondynka, ale przyznał też, że ma słabość do oglądania w dzień telenowel. Nie zauważył ostatnio Briana. Nie ogląda się za facetami, dodał, podciągając spodnie na wydatnym brzuchu. Niektórzy są tacy, no, wiadomo, a on nie chce, żeby sobie o nim coś pomyśleli.

Cheney i David zeszli na dół. Już otworzyli drzwi samochodu, gdy zatrzymał ich męski głos.

– Riggs, Cheney!

Odwrócili się jednocześnie, Cheney sięgnął po broń. Brian Stokes wyszedł z cienia. Wyglądał strasznie, jakby nie spał od wielu dni.

– Zostaw tego gnata, Cheney – rzucił cierpko David. – To Brian Stokes, nie będzie strzelaniny.

– Chcę porozmawiać – poparł go Brian.

– Wie pan, gdzie jest pańska siostra?

Brian pokręcił głową.

– Dostałem od niej wiadomość. Tylko tyle. Na tym polega moja rola w tej rodzinie.

– A na czym polegała, kiedy zniknęła Meagan?

Brian drgnął.

– Myśli pan, że Meagan umarła przeze mnie – powiedział i uśmiechnął się. – Oczywiście. Sam też tak uważam.

– Brian...

– Proszę za mną agencie. Chcę panu coś pokazać. I powiedzieć. Coś, co powinienem powiedzieć wszystkim wiele lat temu.

Poszli za nim piechotą. Mijali rzędy niskich ceglanych domów. Parę przecznic dalej Brian skręcił w wąską uliczkę starych, lecz statecznych i dostatnich domów. Wszedł na teren ostatniego z nich. Kiedy wchodzili przez masywne drewniane drzwi, żonkile w skrzynce przy oknie zachwiały się jakby w ukłonie, ale oni tego nie zauważyli.

– To dom mojego... przyjaciela – wyjaśnił Brian.

– Czyli kochanka?

– Można tak powiedzieć. Teoretycznie nikt nie wie, że się z nim spotykam i że często spędzam tu noce.

– Teoretycznie?

– We wtorek rano dostałem przesyłkę. Dostarczona przez posłańca, na moje nazwisko, na ten adres.

David i Chenney wymienili spojrzenia.

– I ukrywał się pan od tego czasu?

– Musiałem się zastanowić.

– A to zgłoszenie zaginięcia?

– Prosiłem Nate'a, żeby to zrobił. Chcę, żeby ten typ nie był taki pewny siebie.

– Jaki typ?

– Nie wiem, agencie. Miałem nadzieję, że usłyszę to od pana.

Zatrzymali się na drugim piętrze. Brian otworzył drzwi i wpuścił ich do środka. Niemal natychmiast zniknął w kuchni. Mieszkanie powitało ich widokiem pięknej posadzki, ściany z surowych cegieł i dziesiątkami zamyszonych poduszek i puszystych dywanów. Było tu wszystko, czego brakowało pierwszemu mieszkaniu.

– Jest Nate? – spytał David. Jedna wątpliwość została rozwiązana. Brian uważał to miejsce za swój dom. Drugie mieszkanie było tylko przykrywką.

– Nie, pracuje. On też jest lekarzem.

– A Melanie? Kiedy ją pan spotkał?

Brian wyłonił się z kuchni. Trzymał tekturowe pudełko.

– Już mówiłem – rzucił ze zniecierpliwieniem. W ogóle jej nie spotkałem.

– Ale wiedział pan, że William Sheffield nie żyje.

– Pół godziny temu odsłuchiwałem wiadomości na sekretarce. Dwie. Pierwsza od Melanie. Miała tak spokojny głos... myślałem, że żartuje. Powiedziała, że William chciał ją zastrzelić, ale w końcu to ona go zastrzeliła. I powiadamiała mnie, że nic jej nie jest. Potem wspomniała o panu... że prowadzi pan dochodzenie w sprawie ojca i prawdopodobnie ma pan ku temu powód. Potem...

Głos mu się załamał.

– Potem powiedziała, że Russell Lee Holmes nie zabił Meagan. I że... – odchrząknął – że mnie kocha. I dziękowała mi za te dwadzieścia lat.

Spojrzał na pudełko. Zaciśnął zęby tak mocno, że zadrzały mu mięśnie policzków. Dopiero teraz David zrozumiał, co się dzieje. Brian nie miał drobnych problemów ze sobą. On siebie nienawidził. Nienawidził z całego serca i obwinił się o wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na jego rodzinę, w tym także los siostry.

– A druga wiadomość?

– Od mojego ojca chrzestnego. Dzwoni do mnie trzy razy dziennie. Też donosił o Williamie. Powiedział, że coś się kroi i musi ze mną porozmawiać. Zdaje się, że on też dostał podarunek. Jak wszyscy.

– Jacy wszyscy?

– Mama, ojciec, Jamie, Melanie i ja. Wszyscy, którzy mieli z tym coś wspólnego. Proszę.

Podniósł pokrywkę pudełka. Na białej bibułce spoczywał poczerniały, skurczony krowi język. Brian podniósł głowę.

– Dostałem to razem z listem. „Dostajesz, na co zasługujesz”. Wiem, o co chodzi. Straciłem siostrę. Nie chciałem stracić też ojca.

David usiadł. Wyjął notatnik i długopis.

– Zacznijmy od początku. Strasznie chcę się dowiedzieć, co się dzieje. Gdzie pan był w dniu porwania Meagan? Co pan robił?

Brian nabrał powietrza i zaczął, nie odrywając wzroku od krowiego języka:

– Nie byłem grzecznym dzieckiem. Teraz pewnie rozpoznano by u mnie problemy psychiczne związane z niedostatkami uwagi rodziców, ale wtedy byłem tylko nadpobudliwy i nikt, a już najmniej matka, nie wiedział, co z tym zrobić. Szczerze mówiąc, w naszej rodzinie nie działo się dobrze. Nie wiem, jak moi rodzice się poznali, ale kiedy zacząłem coś rozumieć ze świata, mój ojciec wydał mi się pracoholikiem, który całe życie spędza w szpitalu i nie zostawia nic dla nas. Mama była nieustannie obrażona i nieszczęśliwa. Wydawała mnóstwo pieniędzy, usiłowała zwrócić na siebie uwagę. Miałem chyba osiem lat, kiedy do mnie dotarło, że jest jeszcze coś – ojciec nie zawsze pracuje, kiedy go nie ma w domu. A mama o tym wiedziała. Wiedziała o jego kobietach i sama usiłowała się bawić. No, nie wiem... Czuję się, jakbym żył z robotem i szesnastolatką. Nikt nigdy nie mówił nic złego, ale kiedy oboje przebywali w tym samym pokoju, atmosfera robiła się taka, że... Dzieci to po prostu wyczuwają.

– Tak – przyświadczył Cheney ponuro. Obaj spojrzeli na niego z zaskoczeniem. Wzruszył ramionami. Najwyraźniej też coś o tym wiedział.

– Potem pojawiła się Meagan – podjął Brian po chwili. – Była taka słodka... Ciągłe się uśmiechała. Choćby się działo nie wiadomo co, zawsze się uśmiechała i wyciągała rączki. Wszyscy ją kochali. Kobiety w sklepach, sąsiedzi, bezpańskie psy. Wszystko, co żyło, kochało Meagan, a ona natychmiast odwzajemniała tę miłość. No, o mnie tego nie można powiedzieć. Jasne, byłem zazdrosny. I zły. Ale... ale ja też nie mogłem się jej oprzeć. Nawet kiedy umierałem z zazdrości, musiałem ją kochać. Czasem nawet wchodziłem w nocy do jej pokoju tylko po to, żeby na nią popatrzeć. Była taka spokojna, taka szczęśliwa... Nigdy nie zrozumiałem, jak to możliwe, żeby taka rodzina wydała na świat równie szczęśliwe dziecko.

Z czasem zacząłem się bać. Pomyślałem, że rodzice ją także skrzywdzą. Będzie ich kochać tak jak ja, a oni każą jej za to zapłacić. Harper ją porzuci, Patricia się znudzi i pewnego dnia Meagan zrozumie, że jej rodzicami jest para egoistów. Zacząłem niszczyć jej zabawki, kraść je. Wydawało mi się, że jeśli będę ją krzywdził, przyzwyczai się i nauczy się bronić. Krzywdziłem ją i sądziłem, że robię jej przysługę. – Uśmiechnął się krzywo. – Witamy w rodzinie Stokesów.

– A tego ostatniego dnia? Co pan robił?

– Bawiłem się. Jak nigdy w życiu, i to pewnie mój najgorszy grzech. Tego dnia... tego dnia poszedłem na czwarte spotkanie u psychoterapeuty. Potem lekarz chciał rozmawiać z matką na osobności. Nie wiem, co powiedział, ale poszliśmy na lody, choć była zaledwie jedenasta rano.

Patricia też zjadła trochę lodów, a mówimy o kobiecie, która od pięćdziesięciu lat jada na obiad jednego grejpfruta i pszenny sucharek. Bawiliśmy się. Nie wiem, jak to inaczej opisać.

W końcu mama powiedziała, że teraz będzie inaczej. Nasza rodzina przechodziła trudne chwile, a ona wie, że ja o tym wiem. Teraz będzie ze mną spędzać więcej czasu. Oboje się poprawią. Zdała sobie sprawę, że rodzina znaczy dla niej więcej niż cokolwiek innego, postanowiła zrobić wszystko, co trzeba, żebyśmy byli szczęśliwi. Powiedziała, że mnie kocha, naprawdę kocha i wszystko będzie dobrze. Potem bawiliśmy się w parku. Mama mnie huśtała, choć byłem już za duży na huśtawkę. A mnie się to podobało. Pamiętam, pomyślałem, że jestem prawie szczęśliwy, i to uczucie wydało mi się dziwne i niezwykle. Przedtem chyba nie bywałem szczęśliwy.

Aż wreszcie wróciliśmy do domu i policjant powiedział, że Meagan zniknęła. Tak po prostu. Wierzy pan w zły los? Bo ja tak.

– Przez cały dzień był pan z matką?

– Tak.

– Widział pan, jak Meagan wsiada do samochodu niani?

– Nie. Wyjechaliśmy przed nimi.

– Czy jest pan absolutnie pewien, że Russell Lee Holmes porwał Meagan?

– Tak sądziłem. Gdyby diabeł miał ludzką postać, wyglądałby jak Russell Lee Holmes.

David zmarszczył brwi. Czuł, że Brian mówi prawdę. Więc jeśli Brian był przez cały dzień z matką i nie miał nic wspólnego z porwaniem Meagan...

– O co chodzi z tym językiem? – spytał z niezadowoleniem. – Skoro nie miał pan nic wspólnego z porwaniem siostry, skąd ten podarunek?

Brian zacisnął usta.

– Tego nie wiem. Przez ten ołtarzyk w pokoju Melanie wszystko mi się pomieszało. Czy ona mogłaby być córką Russella Lee Holmesa... Boże, nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że policja nie dowiedziała się o pewnych rzeczach, a ktoś usiłuje je ujawnić. Na przykład trzy dni temu mój ojciec chrzestny otrzymał penis w słoiku. Zgadujcie, o co chodzi.

– On i Patricia?

– Aha. Wbrew temu, co mówią ludzie, nie wszystkie problemy w moim domu są winą ojca. – Wzruszył ramionami, wziął głęboki oddech. – Co do tego języka... Ojciec nie miał tych stu tysięcy dolarów na okup. Był zwykłym przepracowanym lekarzem, jeszcze nie spłacił długów z czasów studiów, a musiał utrzymywać dom na poziomie. Dlatego to Jamie przyniósł pieniądze. Byłem w domu, gdy przybył z walizką. Sto tysięcy dolarów w gotówce. I...

Podniósł głowę, spojrzał na nich.

– I widziałem, że ojciec nie zabrał tej walizki na umówione miejsce. Wziął inną, swoją. Pustą. Wiem, ponieważ zobaczyłem walizkę Jamiego pod łóżkiem rodziców, wyjąłem ją i otworzyłem. Pieniądze były na miejscu. Rozumiecie? Ojciec nie zapłacił okupu. Był tak chciwy, że je zatrzymał. A Russell Lee Holmes... Russell Lee Holmes zabił moją siostrzyczkę.

Brian oddychał z wysiłkiem, chrapliwie.

– I nigdy o tym nie pisałem. Nigdy nie powiedziałem policji, Jamiemu, mamie, komukolwiek. Dzień po dniu wpatrywałem się w Harpera, który jadł kolację i zapewniał mamę, że wszystko będzie dobrze. Dzień w dzień. Kłamał jak z nut, sprzedał moją siostrę za sto tysięcy dolarów, a ja nie miałem odwagi, żeby go o to oskarżyć. Nigdy. Niech to diabli, tak strasznie

chciałem to powiedzieć i nie mogłem! Nie mogłem!

Zmiotł ze stołu pudełko. Nie był to dobry pomysł. Język wypadł na dywan i leżał tam, doskonale widoczny.

– Kurwa – szepnął Brian.

David pomyślał to samo. A więc Brian i Patricia nie skrzywdzili Meagan. Nikt nie usiłował ochronić syna. Zostawał Jamie i Harper. To musiało być morderstwo z zimną krwią.

Na czteroletniej dziewczynce.

– Nie wiem, czy to coś pomoże – powiedział – ale mam dziewięćdziesiąt procent pewności, że Russell Lee Holmes nie porwał i nie zamordował Meagan. A to wyjaśnia, dlaczego pański ojciec nie zawiózł pieniędzy na umówione miejsce. Wiedział, że nie musi.

– Słucham?

– Nie chodziło o sto tysięcy dolarów, tylko o milion.

– Co?!

– Ubezpieczenie na życie, Brian. Nie wiedziałeś? Oboje byliście ubezpieczeni, każde na milion dolarów.

Okazało się, że Brian nie miał o tym pojęcia. Na ich oczach pobladł śmiertelnie. Twarz wykrzywił mu grymas wściekłości.

– A to sukinsyn! Zabiję go. Nie wierzę...

– List z żądaniem okupu był zbyt wyrafinowany jak na Russella Lee Holmesa. Meagan nie pasowała do reszty ofiar. Nigdy nie znaleziono żadnego dowodu, łączącego go z tą zbrodnią. Istniało tylko jego zeznanie...

– Ale dlaczego się przyznał?

– Żeby jego dziecko miało świetlaną przyszłość. Melanie jest jego córką. Twój rodzic wychował ją, żeby ukryć to, co zrobili. Powiedz mi, ze względu na nią, czy to coś zmienia?

Brian milczał przez chwilę.

– Nie. Oczywiście, że nie. Melanie to Melanie. Dar losu dla naszej rodziny. Może właśnie o to chodzi. Tylko dziecko diabła mogło pokochać Stokesów.

David pominął tę uwagę milczeniem.

– Dobrze, teraz musisz mi pomóc. Początkowo mieliśmy powody, by przypuszczać, że ty lub twoja matka mogliście mieć udział w tej zbrodni. Zrozum, w siedemdziesięciu pięciu procentach przypadków mordercą jest ktoś z rodziny, więc musieliśmy tak myśleć. Teraz wiemy, że ty i twoja matka macie alibi. A Harper?

– Był w pracy. Przynajmniej tak myślę. Potrafi być zimnym sukinsynem, ale nie wyobrażam sobie, żeby mógł porwać... zabić... – Pokręcił głową. – Nie, on by sobie nie ubrudził rąk.

– Tak? A Jamie O'Donnell?

Brian pochylił głowę, co było wystarczającą odpowiedzią.

– On nas kochał, przysięgam. Bawił się z nami, kupował nam prezenty, rozpieszczał nas... Ale...

– Ale?

– Ale ma na sumieniu różne rzeczy. Zna się na różnych dziwnych sprawach. Mam wrażenie... Harper nie lubi sobie brudzić rąk, ale Jamie najlepiej się czuje w rynsztoku.

– Taki już jest.

– Może. Ale Meagan miała cztery lata! Potrafią sobie wyobrazić, że Jamie wykańcza dorosłego mężczyznę, ale nie skrzywdziłby dziecka. Zwłaszcza jej. Jego imię było pierwszym słowem, jakie się nauczyła wymawiać. Ojciec był wściekły.

– Spójrzmy na to z innej strony – spróbował po chwili David. – Widzę tu dwie różne sprawy. Mamy osobę lub osoby, które skrzywdziły Meagan Stokes. Najprawdopodobniej jest to Harper lub Jamie. I mamy kogoś, kto zna prawdę, kto ma doskonałą orientację w tym, co się stało. Ta osoba usiłuje wyjawić prawdę... w chory, pokręcony sposób. Może gdybyśmy znaleźli tę osobę, moglibyśmy zadać jej parę pytań. Kto wiedział, że widziałeś pieniądze, ale nikomu o nich nie powiedziałaś?

Brian pokręcił głową.

– Wydawało mi się, że nikt. Gdybym wiedział, że mam sprzymierzeńca, natychmiast bym wszystko wyznał.

– To niemożliwe. Ktoś musiał wiedzieć. W przeciwnym razie skąd ten język?

– A ja powtarzam, że nikt nie wiedział!

– Russell Lee Holmes – odezwał się Cheney z ożywieniem. – On musiał wiedzieć o wszystkim. O tym, że Harper nie przyniósł pieniędzy, o miłosnym trójkącie. Zanim się przyznał, pewnie zażądał wszystkich szczegółów. Jest na tyle chory, że taka gierka sprawiłaby mu przyjemność.

– Russell Lee Holmes nie żyje – oznajmił Brian i dodał z nienawiścią: – Widziałem jego śmierć.

– Pewne rzeczy można odegrać, zamarkować. Może na tym polegała umowa. – Cheney znowu wzruszył ramionami. – Dlaczego zakładamy, że zrobił to wyłącznie dla dobra dziecka? Może udało mu się uciec, co?

David spojrzał na niego ciężko.

– Nie mamy żadnego dowodu na to, że Russell Lee Holmes żyje.

– Za to mamy dowód na to, że brakuje nam jakiegoś kawałka w tej układance. Chyba nie zaprzeczysz.

– Wróćmy do faktów. Po pierwsze, ktoś wie, co się stało przed dwudziestu pięciu laty i działa z wyraźnym celem. Może domyślił się, że Brian widział pieniądze. Musiał też wiedzieć, gdzie jest konik Meagan i jej ubranie. A zatem musi mieć związek z rodziną. Do diabła, może to Sheffield? Może Harper kiedyś się upił i wygadał, a William uznał, że to świetny sposób na wyduszenie dodatkowych pieniędzy? Musimy przeszukać jego mieszkanie. W ten sposób trafiamy do osoby, która naprawdę popełniła morderstwo i jest gotowa na wszystko, żeby to ukryć. Ta osoba wynajęła zabójcę, żeby zlikwidował Larry'ego Diggera, kiedy za bardzo zbliżył się do prawdy. I Melanie, gdy zaczęła sobie przypominać.

– Co? – rzucił ostro Brian.

David wprowadził go w szczegóły.

– Ktokolwiek jest za to odpowiedzialny, nie cofnie się przed niczym. Dobrze, że Nate zgłosił pańskie zaginięcie. Zapytam jeszcze raz: skoro wiemy, że Melanie jest w niebezpieczeństwie, że mamy do czynienia z mordercą czterolatniego dziecka, czy wie pan, gdzie jej szukać?

– Nie. Zostawiła mi tylko tę wiadomość.

– Dobrze. Wie, że nie jest bezpieczna w domu, wie, że nie może pana znaleźć. Nie jest na tyle doświadczona, żeby zniknąć bez śladu, więc dokąd się teraz zwróci?

W oczach Briana błysnęło ożywienie.

– Do Ann Margaret! To jej szefowa z Czerwonego Krzyża.

Do Centrum Czerwonego Krzyża jechali trzydzieści pięć minut. Cheney siedział za kierownicą, David rozmawiał przez telefon. Rzucił detektywowi Jaksowi strzęp informacji o Melanie, która zostawiła bratu wiadomość, że musiała zastrzelić Williama w samoobronie. W rewanżu Jax wyjawiał, że pewien świadek zeznał, iż Melanie dzwoniła z automatu telefonicznego w Government Center. Szukają broni. Mają taksówkarza, który zawiózł Melanie do mieszkania Briana. Opisał ją jako bladą, cichą i „trochę dziwną”.

Policja przeczesywała całą okolicę, rozmawiała z centralami korporacji taksówkarskich, pilnowała lotnisk i zainteresowała się stanem konta Melanie. W końcu musieli na coś wpaść. Jak długo może się ukrywać amatorka?

David powtarzał tylko „mhm”. Nie przyszło mu do głowy, żeby wyznać, dokąd zmierza. Agenci FBI mieli współpracować z policją, ale to nie znaczyło, że nie wolno im pospieszać o krok przed nią.

Nieco po trzeciej dotarli do Dedham i zatrzymali się na parkingu Centrum. Melanie nie dawała znaku życia już od dwóch godzin. Przez ten czas mogła tu dotrzeć taksówką lub pociągiem.

Ann Margaret siedziała w malutkim gabinecie nad stertami dokumentów. Rozchybotane biurko, plastikowe krzesła. Metalowe półki z książkami i stalowe szafki z aktami.

Ann Margaret pasowała do swego biura. Niska, konkretna, z siwymi włosami w zdyscyplinowanych lokach. Szczupła sylwetka w białym fartuchu pielęgniarki. Robiła wrażenie kobiety, której można powierzyć każde zadanie.

Podniosła głowę, zmarszczyła brwi i pobladła, gdy pokazali jej legitymacje.

– Co się stało?

– Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań na temat Melanie Stokes – oznajmił David.

Napięcie zniknęło z jej twarzy. Na jego miejsce pojawiło się zmieszanie. Najwyraźniej nie zdziwiło jej pojawienie się agentów FBI, natomiast nie spodziewała się, że spytają o Melanie.

David skinął głową w stronę żółtych plastikowych krzesel.

– Możemy usiąść?

Ann Margaret była zbyt dobrze wychowana, żeby odmówić.

– Nie rozumiem, o co chodzi – powiedziała i wzięła z biurka pióro. – Melanie dziś nie pracuje.

– Zgłosiła się na ochotnika? – spytał David.

– Na pięć lat. – Ann Margaret zmarszczyła brwi. – Czy coś się jej stało?

– Zna pani Williama Sheffielda?

– Tak, to były narzeczony Melanie. – Pochyliła się ku nim, zacisnęła usta. – Chciałabym się dowiedzieć, co się dzieje.

– Dwie godziny temu William Sheffield został zastrzelony. Mamy powody przypuszczać, że to Melanie pociągnęła za spust.

Ann Margaret zamarła.

– Nie...

– Niestety, tak.

– Ale... ale... – Kobieta robiła wrażenie wstrząśniętej do szpiku kości. Jej ręce zatrzępotały bezradnie, jakby szukając punktu oparcia. – Czy on... nie żyje?

– Nie żyje. Ale musimy panią prosić o milczenie, dopóki nie zawiadomimy jego rodziny.

– On nie ma rodziny. Także był sierotą. To go łączyło Melanie.

– Co pani wie o ich związku?

Ann Margaret ciągle nie mogła się otrząsnąć.

– Właściwie... nic. Melanie nie jest tylko moją podwładną. Przyjaźnimy się. Pamiętam, jaka była szczęśliwa, kiedy się jej oświadczył.

David czekał cierpliwie.

– Jej ojciec poznał ich ze sobą. Byli razem przez pół roku, Wydawali się szczęśliwi. Kiedyś Melanie powiedziała, że William jest zazdrosny o to, że ona została adoptowana przez bogatą rodzinę, a on nie. Nie potrafiła tego zrozumieć. W końcu był lekarzem, bardzo dobrze zarabiał. Podejrzewam, że to ich od siebie oddaliło. Od zerwania Melanie nie wspominała o nim zbyt często. Podejrzewam, że decyzja o rozstaniu była obopólna.

– Czy kiedykolwiek mówiła, że chce go odzyskać? Czy cierpiała?

– Nie rozmawiałam z nią od czterech czy pięciu dni. Nie czuła się dobrze. Miała ciągle migreny... – Urwała. Wyraźnie zdała sobie sprawę z wagi własnych słów.

David czekał jeszcze przez chwilę, ale Ann Margaret postanowiła milczeć.

– Musimy porozmawiać z Melanie – powiedział w końcu.

– Też tak sędzę.

– Jeśli wie pani, gdzie można ją znaleźć...

– Nie wiem.

– Czy na pewno nie skontaktowała się z panią?

– Jestem jej szefową, nie matką.

– Jeśli się dowiemy, że ukrywa pani zbiega...

Ann Margaret nie dała się zastraszyć. Jeśli coś wiedziała, po prostu zachowała to dla siebie.

David położył na jej biurku wizytówkę. Błękitny symbol FBI zapłonął jaskrawo na ciemnym drewnie.

Już w drzwiach odwrócił się niespodziewanie.

– Czy słyszała pani kiedyś o Angeli Johnson? Wydało mu się, że drgnęła.

– Nie.

– A o Annie?

Na policzku zadrgał jej mięsień.

– Nazywam się Ann Margaret Dawson. I to mi wystarcza, przynajmniej na razie.

– Oczywiście. Uśmiechnęła się blado.

– Oczywiście. Wyszli.

– I co sądzisz? – spytał Cheney w drodze do samochodu.

– Jeszcze nie wiem.

– Dość się przejęła.

David zabębnił palcami w kierownicę. Przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Wydaje mi się, że warto by ją poobserwować.

– No, nie wiem. Melanie Stokes jest przerażona. Na jej miejscu naprawdę uciekałbyś do Czerwonego Krzyża?

– Nie. Ale gdybym naprawdę się nazywał Ann Margaret Dawson, nie wzdrygałbym się na wspomnienie Angeli Johnson.

– Kim jest Angela Johnson?

– Żoną Russella Lee Holmesa. Cheney otworzył szeroko oczy.

– Myślisz...

– Ann Margaret, Annie, Angela. Dużo podobieństw.

– I jest z Teksasu.

– I jest w odpowiednim wieku.

– Jasna cholera!

David skinął głową. W głowie tłoczyły mu się tysiące myśli, ale przede wszystkim martwił się o Melanie.

Cheney odezwał się dopiero w Bostonie.

– Kurczę, Riggs, jesteście szowinistyczne świnie.

– Pewnie tak.

– Pomyśl przez chwilę. Rodzina Stokesów nie ma powodu, żeby wyjawiać prawdę. Według nas O'Donnell także nie ma motywu. Melanie też, a ty ciągle uważasz, że Russell Lee Holmes nie żyje.

– Tak właśnie uważam.

– A żona Russella Lee? Która musiała wiedzieć o wszystkim?

– Boże – mruknął David. Fragmenty układanki nagle zaczęły do siebie pasować. – Naprawdę jesteście szowinistyczne świnie.

– Prawdopodobnie znała wszystkie szczegóły.

– Stąd ten ołtarzyk w pokoju Melanie. Gdybyś był kobietą i przed dwudziestu laty rozstał się z córką, żeby jej bronić, dać szansę na lepsze życie, na pewno chciałbyś... – żeby pamiętała. Żeby kiedyś zaczęła mnie szukać.

– Chryste. Jutro z samego rana...

– Wszystko, co zdołam znaleźć o Angeli Johnson...

– Ann Margaret Dawson.

– Właśnie.

David wrócił do domu dopiero po dziesiątej. Przed drzwiami mieszkania serce zabiło mu mocniej. Melanie znała jego adres. Czy przyszła, czy da mu drugą szansę?

Otworzył drzwi szeroko. Światło księżycy lało się kaskadami na ponurą norę, którą nazywał swoim gniazdkiem. Srebrzyło starą zieloną kanapę i zakurzoną kolekcję nagród, których jakoś nigdy nie wyrzucił.

Melanie nie przyszła. Niech to.

O ósmej wieczorem policja wyśledziła dwie wypłaty z bankomatu. Pracownik banku zeznał, że Melanie przyszła osobiście i pobrała z konta jeszcze większą sumę. Miała przy sobie parę tysięcy dolarów. Z taką kasą można wiele zdziałać.

David powlókł się do kuchni, kulejąc i przyłożył sobie do krzyża torbę mrożonego groszku. Ból dawał mu się we znaki.

Świetne samopoczucie i znakomite wyniki w pracy.

W gazetach było mnóstwo artykułów o zastrzeleniu Williama Sheffielda. Dziennikarze bombardowali rzecznika prasowego FBI twierdząc, że widzieli na miejscu wypadku dwóch agentów. Żądali wyjaśnienia, dlaczego Biuro interesuje się tą sprawą. Na razie Lairmore wystosował oświadczenie: „FBI służy pomocą lokalnej policji”. Oczywiście nikt tego nie kupił.

Lada chwila ktoś się dowie o śledztwie w sprawie Williama Sheffielda i Harpera Stokesa, a potem o wizycie Larry’ego Diggera w rezydencji Stokesów. Powiąże to z morderstwem, po czym zacznie się cyrk. A FBI zostanie postawione w niekorzystnym świetle: agenci zostawiają ślad nierozwiązanej sprawy. Zawsze spóźnieni, zawsze niezorientowani. W latach dziewięćdziesiątych FBI zaczęło zbierać ciągi, o czym Lairmore poinformował Riggsa i Chenneya tuż po piątej. Lepiej, żeby obaj szybko coś wymyślili, bo staną się pierwszymi agentami w historii FBI, odesłanymi do pilnowania parkometrów.

Zdarł sobie z szyi krawat, zrzucił marynarkę. Do diabła z Lairmore’em. Nie mógł zapomnieć o tej sprawie.

Dwadzieścia pięć lat temu Harper zawarł układ z Russellem Lee Holmesem. Coś się stało z Meagan, a Russell Lee miał to wziąć na siebie. Harper dostaje milion dolarów, córka Russella Lee dostaje dobry dom. Wszyscy są zadowoleni i żyją długo i szczęśliwie, dopóki Harperowi znowu nie zaczyna brakować pieniędzy.

Tym razem wpada na inny pomysł. Robi operacje zdrowym ludziom. Na pewno uważa, że nikomu nie dzieje się krzywda. Po morderstwie te oszustwa to bułka z masłem.

Ale tym razem nie zdołał zatrzeć za sobą śladów, a ten tajemniczy ktoś zamierzał go zdemaskować. Może „ktoś” chciał się zemścić za Meagan, odzyskać Melanie lub po prostu miał już śmiertelnie dość Harpera? Tak jak David. Facet zamordował córkę, a potem adoptował dziewczynkę i przez dwadzieścia lat hodował w domu tylko po to, żeby ją wydać policji. Ten człowiek nie ma serca.

Zadzwonił telefon. David podniósł słuchawkę w ułamku sekundy.

– Melanie? Chwila ciszy.

– David? Głos ojca.

– Tato? – powiedział David z rozczarowaniem. – Wszystko w porządku? Jest późno.

– Przepraszam. Nie chciałem... Ale nie mogłem się do ciebie dodzwonić. Dostałeś moje wiadomości? Zacząłem się martwić.

Ojciec był upokorzony i urażony. David skrzywił się ze znużeniem.

– Wszystko dobrze, tylko jestem zajęty.

– Masz dużo pracy? – Bobby Riggs wyraźnie się ożywił. – Mam pomysł na twoją broń.

– Mojej broni niczego nie brakuje. Pracuję z detektywem Jaksem. Kazał mi cię pozdrowić.

– A, Jax. Lubię go. Dobry człowiek. Dobrze strzela, ale gorzej od ciebie. Przyjedziecie na strzelnicę? – spytał z nadzieją. – Moglibyśmy się spotkać.

– Nie wiem. Na razie mam tu sporo roboty.

– Chodzi o tego lekarza?

– Aha.

W słuchawce zapadła cisza. David niespokojnie przestąpił z nogi na nogę. Zimna woda ciekła mu po krzyżu. Mógłby powiedzieć coś jeszcze. „Cześć tato, co u Red Soksów? Nie mów mi. To złamie nam serce”.

– Twój brat radzi sobie już lepiej – powiedział Bobby. – Posłał tego miotacza na ławkę, tak jak mu radziłem. I uruchomił nowego. Dobry chłopak, duży potencjał. Dziesięć wybić w drugiej grze.

– To dobrze.

– Pomalowałem dom. Na szaro, z granatowymi framugami. Czyli tak, jak było.

– Mogłeś mnie uprzedzić, pomógłbym ci.

– Nie trzeba, mam masę czasu. Interesy idą kiepsko. Znowu milczenie pełne napięcia.

– Jak twoje plecy? – rzucił niespodziewanie ojciec.

– Świetnie.

– Bierzesz te pigułki?

– Nie, nie trzeba.

– Jestem twoim ojcem. Nie możesz mi przynajmniej powiedzieć, co się dzieje?

David zwiesił głowę. Spojrzał na wielką nagrodę, wygraną w dniu, gdy ojciec przytulił go tak mocno, że omal nie pękły mu żebra. Znowu poczuł ból. I tym razem ten ból nie miał nic wspólnego z kręgosłupem. Zawiódł ojca, temu nie dało się zaprzeczyć. Mógł przejść do porządku nad wieloma rzeczami, ale nie nad tym.

– Jestem... jestem zajęty, tato – powiedział słabo. – Mam masę pracy. Muszę się brać do roboty.

– Aha. Oszustwo?

– I zabójstwo. Z trudem sobie radzę.

– Będzie dobrze. – W głosie ojca brzmiała pewność.

David zacisnął powieki.

– Tego nie wiesz. Tato, nie stałem się wspaniałym agentem. Jestem w wydziale przestępstw gospodarczych. Czytam raporty, nie zmieniam świata. Dziś pewna młoda kobieta musiała zastrzelić jednego faceta w obronie własnej, ponieważ popełniłem błąd. Teraz ucieka, przerażona, nieszczęśliwa i w ogóle, a to wszystko przeze mnie!

– Pomożesz jej.

– Cholera! Spróbuj mnie wysłuchać. Nie ratuję ludzi, rozumiesz, ani świata. Ratuję cudze dolary. O to chodzi. Przez większość roku czytam setki kilogramów dokumentów. Nie potrzebują

beretty z radioaktywnym celownikiem! Wystarczą mi okulary!

W telefonie zapadła cisza. David zdał sobie sprawę, co powiedział. Chryste. Usiłował ratować sprawę, choć wiedział, że jest już za późno.

– Przepraszam, tato. Jestem przepracowany i niedospany...

– Nie rozumiem twojej pracy – przerwał mu ojciec. – Staram się, naprawdę. Ale nie jestem uczony jak ty. Umieję pracować, znam się na baseballu, znam się na broni. Kiedy ty też się tym zajmowałeś, potrafiłem cię zrozumieć. Potem zrobiłeś dyplom. Prawdziwy dyplom, naukowy. Nie poszedłeś do liceum, żeby grać w baseball. I dostałeś się na studia. Boże Wszechmogący, nawet nie potrafia sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy ma się taką szansę. Teraz robisz analizy, oskarżasz lekarzy, szpitale i towarzystwa ubezpieczeniowe, a tam nie ma idiotów. Nie, nie rozumiem twojej pracy. Umieję tylko pracować fizycznie i ulepszać twoją broń. Skoro już nie grasz, ulepszenie twojej beretty to jedyne, co mi zostało. Nie potrafię ci dawać rad, nie mogę być twoim trenerem. Przeważnie nie potrafia nawet z tobą rozmawiać. Więc zajmuję się twoją bronią. Może uważasz, że to głupie, ale wolę być głupi niż nie mieć z tobą żadnego kontaktu.

– Tato... – Nie wiedział, co mówić dalej. Powinien powiedzieć coś miłego. Pocieszyć ojca. Rozłączyć się, zanim zrobi się jeszcze gorzej. I nagle, niespodziewanie dla samego siebie, usłyszał własny głos: – Tato, dzisiaj pewna kobieta zawiodła się na mnie. Nie tylko zawodowo. Ufała mi. Potrzebowała mnie. A ja jej nie dopuściłem do swoich spraw. Okłamałem ją a sobie wmawiałem, że to w porządku, bo na tym polega moja praca. Zrobiłem coś, czego ty byś nigdy nie zrobił. Nie wiem, dlaczego.

Ojciec milczał przez długą chwilę.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedział cicho. – Wiesz, że popełniłeś błąd. A teraz go naprawisz.

– Nawet nie wiem, gdzie mam jej szukać.

– Więc się dowiedz. Jesteś najmądrzejszym facetem, jakiego znam, mówią poważnie. Kiedy lekarz mi powiedział, że twoja choroba jest dziedziczna, genetyczna, pomyślałem coś brzydkiego. Przez wiele dni czułem się przez to podle, ale i tak się nie wypieram.

– Co?

– Pomyślałem, że jeśli jeden z nas musiał zachorować, skoro musiało na kogoś paść, to dobrze, że to byłeś ty. Może byłeś świetny na boisku, ale miałeś też coś więcej. Kim byłby Steve, gdyby nie baseball? Kim byłbym ja? A ty... ty jesteś podobny do matki. Jesteś inteligentny. I zostałeś agentem. Prawdziwym agentem FBI. Może nie wiedziałeś, jak ci obaj zazdrościliśmy?

David poczuł, że ma sucho w ustach.

– Chyba nie wiedziałem.

– Jesteś dobry, synu. Jesteś bardzo dobry.

Nie mógł odpowiedzieć. Gardło mu się ścisnęło.

– Eee... robi się późno – mruknął ojciec. – Wiem, że masz robotę.

– Tak... tak. Niedługo, eee... niedługo do ciebie zadzwonię. Może przywiozę berettę. Możesz pokombinować z celownikiem.

– Dobrze. Kupię ci okulary. David roześmiał się ochryple.

– Dzięki.

– Dobranoc, Davidzie.

– Dobranoc.

Odłożył słuchawkę. Przez chwilę siedział bez ruchu, kompletnie wykończony, ale jakby... podniesiony na duchu.

Od dawna nie rozmawiał z ojcem tak naprawdę. Miał trzydzieści sześć lat. Ciągłe sobie powtarzał, że pochwały ojca nie powinny się już dla niego liczyć, ale sam sobie nie trafiał do przekonania. Choćby się miało nie wiadomo ile lat, akceptacja rodziców zawsze się liczy. Dlatego...

Myśl urwała się gwałtownie. Nagle zrozumiał.

Uciekająca Meagan Stokes. Zdradzona Meagan Stokes, która, nie wiedząc o tym, żyła w kłamstwie. Meagan Stokes, pragnąca się dowiedzieć, kim jest.

Przecież wiedział, dokąd pojechała!

Złapał za słuchawkę i wyrwał Chenneya z łóżka.

Ale Margaret nie poszła do łóżka, nie zdjęła białego fartucha pielęgniarki. Siedziała w mrocznym wnętrzu swojego małego bungalowu i czekała. Wiedziała, że on przyjdzie dopiero późno w nocy, kiedy – jak mu się wydaje – nikt go nie zauważy.

Wreszcie tylne drzwi otworzyły się cicho, a on wszedł na palcach do salonu.

– Pewnie już wiesz – powiedział.

Spojrzała na niego. Zdała sobie sprawę, że choćby powiedział nie wiadomo co, nic się nie zmieni. Była głupia, że na niego czekała. Przeżyli razem tak wiele, najpierw jako przyjaciele, od niedawna kochankowie. Myślała, że Jamie jest jej drugą szansą. Myślała, że wreszcie postępuje właściwie. Że tym razem miłość będzie dobra.

Zapomniała, że zawsze się zakochuje w złych mężczyznach.

– Wybacz mi, najdroższa – powiedział Jamie cicho. – Przepraszam cię... przepraszam.

Zrobił ku niej krok.

– Nie.

– Annie, proszę, wysłuchaj mnie.

– Agent powiedział, że Melanie go zastrzeliła. Dlaczego? Co poszło nie tak?

– Nie wiem. Chyba nie wierzysz, że na to liczyłem. To straszne. Zrobię wszystko, żeby to naprawić.

– Wszechmocny Jamie O'Donnell. – Usta jej zadrgały. Wstała i przekonała się z zaskoczeniem, że nogi się pod nią nie uginają. – Gdybym teraz zaczęła mówić, po tylu latach, zabiłbyś mnie. Prawda?

– Nie mów tak, kochanie. Nie mów tak.

– Ale byś to zrobił, prawda? Oszukujesz się, że jesteś lepszy od Harpera, ale nie masz racji. Obaj pogardzacie tymi, których kochacie. Mężczyźni nie powinni się bawić bronią.

Minęła go i wyszła zdecydowanie. Kiedy usiłował złapać ją za ramię, uderzyła go w twarz tak mocno, że odgłos ciosu odbił się od ścian pokoju. Na jego szczęście zadrgał mięsień. Oboje wiedzieli, że charakter zawsze kazał mu walczyć, nawet w niesłusznej sprawie. Ale teraz Jamie zdołał się opanować. Zaciśnął pięści i powściągnął gniew. Dla niej. Może to oznaczało, że naprawdę ją kochał... ją i Patricię Stokes.

– Wybacz mi, Annie.

– Idź do diabła.

– Nawet jeśli mnie znienawidziłaś, zawarłaś układ i musisz dotrzymać warunków.

– Sprzedałam duszę diabłu.

– Dwadzieścia pięć lat bardzo dobrego życia. Lepszego niżby cię czekało, gdybyś radziła sobie o własnych siłach. I dobrze o tym wiesz. Ja dotrzymałem słowa. Powiedziałem ci już tego pierwszego dnia, że Jamie O'Donnell zawsze dotrzymuje słowa. I nie oszukałem cię.

Nagle w jej oczach pojawiły się łzy. Sam ich widok zabolął go bardziej niż policzek. Nigdy nie widział, żeby płakała. Ani razu. Początkowo szanował jej stalowy charakter, potem pokochał ją za niego.

– Przestań – szepnął. – Annie...

– Kochałam cię. Myślałam, że to coś zmieni. I zmieniło, ale na gorsze.

– Nic nie musi się zmieniać.

– Musi. Przecież wiedziałaś, że do tego dojdzie.

Nie odpowiedział. Usiłował wziąć ją za rękę. Cofnęła się.

– Nie chcę cię więcej widzieć. Ani nikogo z tej rodziny. Wtedy popełniłam błąd. Zapłaciłam za niego, ale nie będę płacić w nieskończoność.

– Chyba nie mówisz poważnie...

– A jeśli coś się stanie z Melanie, znajdę cię i zabiję gołymi rękami. Nie myśl, że niczego się nie nauczyłam od ludzi, którzy mnie otaczali. I nie lekceważ mnie. Kiedy mężczyźni stają się okrutni, robią to z kaprysu. Kiedy kobiety są okrutne, to na poważnie.

Wyszła z pokoju i oddaliła się korytarzem.

Jamie spoglądał za nią. Znowu czuł ból w piersi. Rozsądek podpowiadał, że to zawał, ale on wiedział, że to co innego. To ból złamanego serca. Czuł się dokładnie tak samo, kiedy Patricia wymknęła się z jego ramion i oświadczyła, że wraca do Harpera, żeby dać bydlakowi ostatnią szansę. Jamie był jej kochankiem, ale Harper, podstępny Harper, był człowiekiem jej gatunku.

A on się nie zmienił. Nie zmienił się i tego właśnie żałował.

– Nie rób niczego głupiego, Annie, najdroższa – szepnął w ciemnościach. – Nic nie rób, żebym nie musiał cię zabić.

Patricia stanęła przed szafką z alkoholami, otworzyła ją i wyjęła prawie pełną butelkę dżinu. Poruszała rękami powoli, z wysiłkiem, jakby nagle stały się bardzo ciężkie.

Była sama. Mąż nie wrócił do domu, pewnie robił to, co zwykł robić o tej porze. Mało ją to obchodziło. W ogóle nic jej nie obchodziło, a gdyby ktoś spytał, co czuje do męża, odpowiedziałaby, że zimną wściekłość, która popychała ją do zrobienia mu krzywdy.

Nie mogła oderwać wzroku od butelki.

Nie rób tego. Nie musisz powtarzać starych błędów. Nie musisz znowu upaść.

Może muszę. Czy kiedykolwiek rozwiązywaliśmy nasze rodzinne problemy, czy tylko od nich uciekaliśmy? Mój mąż i syn ciągle są tacy wściekli... a moja córka, moja ukochana córeczka, musiała zastrzelić człowieka na drugi dzień po tym, jak uderzył ją ojciec.

Zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę, jednocześnie odkręcając butelkę.

– Słucham.

– Mamo – odezwał się spokojnie jej syn.

– Brian?

– Już pijesz? Wydawało mi się, że tak.

– Och... – Zaczęła płakać. – Gdzie jest moje dziecko? Co oni zrobili Melanie, jak mogłam ją stracić?

– Chciałbym cię znienawidzić – powiedział ochryple. – Dlaczego nie mogę?

– Przepraszam cię, przepraszam, przepraszam za wszystko. – Odstawiła butelkę i zaniósła się rozpaczliwym szlochem.

– Stoję tutaj i myślę, że to cię chyba załamie. I ciągle uważam, że nie powinno mnie to obchodzić. To nie mój problem. Nie mogę brać za ciebie odpowiedzialności. Nie mogę naprawić wam życia i na pewno nigdy nie umiałem was uszczęśliwić. Ale kiedy pomyślę o Melanie, jaka byłaby rozczarowana, gdybym nic nie zrobił... Kochasz ją? – spytał niespodziewanie. – Powiedz mi, czy kochasz chociaż ją?

– Bezgranicznie.

– Ja też – szepnął. – Gdzie popełniliśmy błąd tym razem? Jak mogliśmy popełnić taki sam błąd?

On także zaczął płakać. Płakali razem w ciemnościach, ponieważ to oni chcieli, żeby Melanie z nimi zamieszkała. Bardziej niż Harper pragnęli zacząć od nowa. A kiedy ją zawiedli, wreszcie odnaleźli wspólny grunt.

Po chwili Brian zdołał się opanować. Opowiedział jej o oskarżeniach Larry’ego Diggera. O ołtarzyku w pokoju Melanie. O śmierci Larry’ego Diggera i o tym, że Melanie upewnia się stopniowo, że naprawdę jest córką Russella Lee Holmesa, z którym Stokesowie zawarli jakiś układ.

– Jakaś bzdura – mruknęła Patricia. Znowu sięgnęła po dzin.

– Naprawdę? Daj spokój, mamó. Widziałem, że kłóciłaś się z ojcem niemal bez przerwy, a przecież oboje nie znosicie awantur. Na miłość boską, co tak wkurzyło ojca, że aż wrzeszczał?

Serce zaczęło jej bić jak młotem. To niesprawiedliwe, pomyślała, że matka musi się tak upokarzać przed synem.

– Chodziło o Meagan, prawda? – spytał spokojnie. – Kłóciliście się o Meagan.

– Tak.

– I Jamiego.

Zamknęła oczy. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Jezu. Meagan była córką Jamiego, prawda? To dlatego była taka szczęśliwa i śliczna. Wiedziałem, że w tej rodzinie nie może się urodzić nikt tak szczęśliwy. Wiedziałem!

– Brian...

– On ją zabił, do diabła! Nie rozumiesz, mamó? Nie Russell Lee Holmes. Policja ma dowód, że nie mógł jej zabić. To ojciec! Zamordował ją za milion dolarów z ubezpieczenia. Bo wiedział, że to nie jego dziecko. O Boże, zabił ją, bo potrzebował pieniędzy. A myśmy mu na to pozwolili. Nawet nie przyszło nam do głowy...

– Nie możesz tego wiedzieć – wtrąciła gorączkowo. – Nie możesz...

– Widziałem te pieprzone pieniądze na okup! Jamie je przyniósł, ale ojciec wziął inną walizkę...

– Nie!

– Tak! Tę prawdziwą znalazłem pod waszym łóżkiem. Widziałem pieniądze Jamiego. Ojciec położył łapę i na nich, ponieważ wiedział, że tak naprawdę nie musi płacić okupu. Bo miał pewność, że Meagan nie żyje.

– Nie, nie, nie! Nie mów tak. Jesteś jego synem, jak możesz mówić coś takiego? Zawsze cię kochał...

– Wypędził mnie z domu.

– Ale od kilku dni usiłuje się do ciebie dodzwonić i ściągnąć cię z powrotem. Mamy jechać do Europy. Na wakacje, jak szczęśliwa rodzina! – W jej głosie pojawiły się piskliwe, przenikliwe nutki. Słyszała je i zdawała sobie sprawę, że mówi jak wariatka. Uniesienie nagle ją opuściło.

Nie byli szczęśliwą rodziną. Mąż wyrzucił syna z domu i usiłował oskarżyć córkę. Nie zapłacił okupu. Wiedział, że Meagan była córką Jamiego O’Donnella. Boże, mieszkała z człowiekiem, który zabił jej córkę. I, Boże, w dodatku go kochała. Była mu wdzięczna za kwiaty, które jej przynosił, za każdy okrucieństwo sympatii. Łudziła się, że pewnego dnia Harper odejdzie na emeryturę, a wtedy będzie go miała tylko dla siebie.

Nawet teraz myślała: biedny Harper, tak się boi, żeby nie wydawać się prostakiem, że nigdy nie stanie się lepszy od rodziców. Nawet nie zdaje sobie sprawy, jaki jest utalentowany. I jak bardzo go kochaliśmy.

Zwłaszcza Meagan.

O Boże, poczuła mdłości.

– Nie będę go więcej chronił – powiedział cicho jej syn. – Nie mogę uwierzyć, że nam to zrobił.

– To twój ojciec...

– Mamo, jesteś alkoholiczką, a on ciągle przynosi do domu alkohol. Nic ci to nie mówi? Jadę za Melanie. Zawiodłem już jedną siostrę. Nie powtórzę tego błędu.

Odłożył słuchawkę.

Została sama w ciemnościach. Odkręciła butelkę drżącymi rękami, poszła do kuchni i wylała alkohol do zlewu, przysłuchując się bulgotaniu w odpływie.

Dostajesz to, na co zasługujesz.

Nie! Nieprawda! Nie dostałam tego, na co zasługuję. Zasługiwałam na dwoje zdrowych, szczęśliwych dzieci. Zasługiwałam na to, by moja czteroletnia córeczka dorosła i stała się kobietą. Moją jedyną zbrodnią było to, że ośmieliłam się być człowiekiem. A nawet to usiłowałam naprawić. Zrezygnowałam z Jamiego. Postanowiłam, że rodzina liczy się dla mnie najbardziej.

Powiedziałam to Harperowi. Powiedziałam, że go kocham.

Znalazła whisky i wylała ją do zlewu. Od gryzących oparów łzawiły jej oczy.

Likier brzoskwiniowy, cointreau, brandy gruszkowa, brandy porzeczkowa, courvoisier, kahlua, baileys, glandfiddich, chivas regal. I wódka, sześć butelek, wszystkie do zlewu. Likier waniliowy, migdałowy i syrop od kaszlu. Przeszukała kuchnię i łazienki na górze. Oczyszczyła dom z alkoholu, znalazła każde źródło i przystąpiła do systematycznego opróżniania.

Zamordował ją dla miliona dolarów. Bo wiedział, że nie była jego dzieckiem.

Melanie, miałaś rację. Trzeba było pozwolić, żeby wszystko się rozsypało. Bylibyśmy lepszą rodziną, gdybyśmy się rozstali.

Wróciła do kuchni z jeszcze jedną butelką syropu od kaszlu i wyrzuciła ją. Jeszcze nie czuła się usatysfakcjonowana. Chciała działać, oczyszczać. Co jeszcze?

Jej spojrzenie padło na lodówkę. W ułamku sekundy była przy niej, szarpnęła drzwi, zajrzała do zimnego wnętrza. Chwyciła sałatki i wyrzuciła je do śmieci. Dalej poszły jabłka. Otworzyła butelki z majonezem, keczupem i musztardą i wyrzuciła je do kosza. Chleb, piwo, wino, ser, jajka, jogurt, grejpfrut.

Była jak w amoku. Włosy fruwały jej wokół twarzy.

Melanie, słodka Melanie, która zasługuje na tak wiele. Uratuję ją! Będę walczyć! Po raz pierwszy w życiu będę walczyć o moje dzieci!

Nie jestem tylko pijaczką!

Harper stanął w drzwiach kuchni w chwili, gdy wyrzucała do kosza połowę indyka.

– Zwariowałaś! – wrzasnął. Zatrzasnęła klapę kosza.

– Pat, co robisz, do cholery?

Dopiero teraz na niego spojrziała; na prawej ręce miał bandaż, ale jakby tego nie zauważał. Wpatrywał się w nią ze zgrozą.

Potem podniósł ku niej lewą rękę; jego rysy złagodniały w wyrazie troski. Boże, jaki był przystojny, kiedy tak na nią patrzył. Pomyślała o wszystkich tych wspólnych latach, o jego błędach, o jej błędach, o pewności, że wszystko można wybaczyć, że przetrwają złe chwile i będą szczęśliwi. Oboje zasługiwali przynajmniej na tyle.

Och, gdzie popełniliśmy błąd? Jak mogliśmy zrobić sobie taką krzywdę? Jak mogłeś tak skrzywdzić Meagan? Uważała cię za ojca. Nauczyła się imienia Jamiego, ale to ty byłeś dla niej ojcem.

– Odchodzę – powiedziała.

– Pat, kochanie, co się dzieje? Najwyraźniej znowu doprowadziłaś się do takiego stanu... – Zerknął na podłogę, na puste butelki. – Proszę, powiedz, że nie... A już szło ci tak dobrze...

– I dalej mi idzie. Ale w końcu, co cię to obchodzi? To ty przynosisz alkohol do domu.

– Pat! Co w ciebie wstąpiło? Jedziemy do Europy.

– Uciekamy, chciałeś powiedzieć. Ale ja byłam za głupia, żeby to zrozumieć. Ty też dostałeś list, prawda? Dostajesz, na co zasługujesz.

Zesztywniał; jego przystojna twarz zlodowaciała. Patricia wreszcie odnalazła w sobie siłę. Uniosła głowę wysoko.

– Ale nie dostaliśmy tego, na co zasługujemy. Ja zasługiwałam na coś więcej niż utratę mojej córeczki. A ty... jeśli naprawdę zrobiłeś jej krzywdę, zasługujesz na to, żeby zgnić w piekle!

Pobiegła do drzwi, nieprzytomna z wściekłości. Chciała wyjść, musiała wyjść, zanim Harper znowu na nią spojrzy tymi swoimi oczami, a ona się złamie.

Ale w drzwiach chwycił ją za ramię.

– Pozwól mi wyjaśnić...

– Nie możesz wyjaśnić, dlaczego skrzywdziłeś naszą córeczkę. Uważała cię za ojca. Mniejsza o wszystko, dla niej byłeś ojcem!

– Nie skrzywdziłem jej!

– Kłamiesz. Brian powiedział...

Harper chwycił ją za drugie ramię, krzywiąc się z bólu.

– Spójrz na mnie, do diabła – zażądał. – Spójrz na mnie! Od trzydziestu pięciu lat jestem twoim mężem i przysięgam, że nie skrzywdziłem Meagan!

– Za milion dolarów...

– Miała cztery lata. Jezu Chryste, za kogo ty mnie uważasz? – W jego głosie brzmiał prawdziwy ból.

– Już nic nie rozumiem! Wyrzuciłeś z domu własnego syna. Powiedziałeś policjantom, że nasza córka mogła zastrzelić Williama za to, że ją rzucił...

– Wszystko ci wytłumaczę! Och, Pat... – głos mu złagodniał. Przynal się bliżej, przesywając ją spojrzeniem tych swoich oczu, tych ciemnoniebieskich oczu. – Musisz mi tylko dać czas – szepnął. – Boże, wszystko się sypie. Bardziej niż sądzisz. Nie opuszczaj mnie, Pat. Potrzebuję cię. Nie rozumiesz? Ja cię potrzebuję!

Zawahała się, spojrzała na niego. W jego oczach zobaczyła ból i niepokój, strach i wstyd. To dlatego jesteśmy razem, pomyślała. Wiedziała, że takie same uczucia malują się w jej spojrzeniu. Oboje byli egoistami. Dlaczego sądzili, że mogą zostać dobrymi rodzicami?

– Żegnaj powiedziała i wyszarpnęła się z jego chwytu.

– Wszystko jest na moje nazwisko! – krzyknął za nią. – Spróbuj tylko wyjść, a unieważnię twoją złotą kartę, konta w banku, wszystko. Wciągu dziesięciu minut zostaniesz na lodzie!

– Mam to gdzieś – oznajmiła i pięć minut później, z jedną jedyną walizką, wymaszerowała przez drzwi frontowe.

Objęła ją ciepła noc, przesycona zapachem tulipanów. Po drugiej stronie ulicy gazowe lampy rozświetlały park.

– Dobrze! – wrzasnął Harper z okna sypialni. – Nie próbuj wracać. Koniec z nami! Słyszysz? Koniec!

Patricia wyciągnęła ramiona i powitała ciepły wietrzyk.

– Jestem wolna – szepnęła do pustej ulicy. – Melanie, kochanie, jestem wolna!

Harper zatrzaskał okno. Usiłował wyjść; ale pokój zawirował mu przed oczami. Usiadł ciężko na skraju łóżka i siedział tak przez chwilę, ogłuszony, wsłuchując się w dzwonienie w uszach.

Zostawiła go. Party od niego odeszła. Jezu Chryste, Party go zostawiła.

Długo mi się udawało, ale teraz koniec, pomyślał dziko. List w samochodzie. Sterta świńskich flaków w domu Williama. Prezent dla Jamiego O'Donnella, zmiana w zachowaniu żony i córki. Szalone zarzuty Williama, Jamie twierdzący, że FBI prowadzi dochodzenie w sprawie operacji.

Za bardzo się zagalopował. Nigdy się z tego nie wywinie. Potem pomyślał: muszę się wywinąć. Muszę chronić rodzinę.

Nigdy nie chciał, żeby do tego doszło. Na początku Pat wydawała mu się idealną towarzyszką życia. Piękna, pełna wdzięku, pewna siebie. Wymarzona pani domu i matka. Uwodził ją niemal naukowo, wyposażony w podręczniki z tej dziedziny i oczywiście nieocenione porady Jamiego O'Donnella.

Potem pojawiło się rosnące zdumienie, że tak cudowna istota mogła go pokochać. Wierzyła w niego bardziej niż on sam. Nie zwracała uwagi na jego nędzne pochodzenie i widziała w nim człowieka, którym chciał się stać.

Gdzieś po drodze zakochał się po uszy we własnej żonie i od tej pory wszystko zaczęło się rozpadać. Wzajemne urazy, wzajemne zdrady. Jego zaskoczenie, gdy zdał sobie sprawę, że zawodzi ją nie rozumiejąc, na czym polega jego błąd.

I wreszcie gniew, kiedy odkrył jej romans z Jamiem O'Donnellem. Ten gniew spopielił miłość. Miał ochotę bić ją po tej pięknej, kłamliwej twarzy. Wydawało mu się, że wtedy poczuje się lepiej. Nie chciał się znowu odsłonić na jej urok. Partnerzy w biznesie – tak od tej pory mieli się zachowywać.

Potem pojechali do Bostonu. Zmienne humory syna. Praca nad adoptowaną córką. Czasami dostrzegał spojrzenie żony – cichą tęsknotę, pogodzenie się z losem.

Z czasem gniew także się w nim wypalił, a spod popiołów wyjrzała miłość. Tym razem inna. Łagodniejsza.

Zapragnął podarować żonie cały świat. Synowi też. Brian miał mieć wszystko, o czym on sam mógł kiedyś tylko marzyć. Melanie też. Bo jeśli nawet nie była jego córką, jeśli nawet dokładnie wiedział, skąd pochodziła, spoglądała na niego z miłością, a on nie był na to obojętny. Bywały chwile, kiedy nawet on sądził, że jego rodzina jest idealna.

Ale pieniądze skończyły się tak szybko! Emerytura była już o krok, żadnych oszczędności. Co miał powiedzieć swojej żonie, byłej królowej piękności? Że w wieku sześćdziesięciu lat powinna zacząć się rozglądać za pracą?

Obmyślił plan. Nikt nie ucierpi. Stały dopływ pieniędzy, na czym skorzysta także William. Wszystko wydawało się doskonałe. Bez krzywdy dla nikogo, bez wpadki. Jeszcze tylko trochę...

„Dostajesz to, na co zasługujesz”.

Chryste, nie wiedział, co ma zrobić. A domek z kart runął.

Dziś ta ładna ruda w barze Armani, na tym samym krześle, które zajmowała w zeszłym tygodniu. I on, szukający wytchnienia, rzucający się prosto w pulsujący strumień pieniędzy.

Kupił rudej drinka. Potem drugiego i trzeciego.

Poszli do „Four Seasons”. Pod czarną migoczącą bluzeczką miała bieliznę pełną falbanek i koronek. Pamiętał, jak szarpał się z zapięciem. Pokój rozpływał mu się przed oczami, oddalał się... A potem...

Obudził się w samochodzie w zakazanej dzielnicy Bostonu. Drzwi zamknięte, kluczyk w stacyjce, grająca kasetka. Rolling Stonesi, „Współczucie dla diabła”.

Krew sącząca się przez biały bandaż na prawej ręce. Mrowienie w opuszkach.

Powoli uniósł bandaż, zajrzał do środka. Gwałtowne bicie serca.

– Nie skrzywdziłem Meagan – jęknął w pustym pokoju. – Dlaczego nikt mi nie wierzy? Nigdy nikogo nie skrzywdziłem!

Mężczyzna w mrocznym pokoju pakował się energicznie. Jeszcze nie dostarczył wszystkiego, ale duży prezent został wyekspediowany dziś. To już coś.

Pora się zbierać.

William Sheffield nie żyje. Za spust pociągnęła Melanie Stokes. Nieoczekiwane wydarzenie. Był z niej dumny. Dobre dziecko!

Nie pora się nad tym rozczulać. Zostało mu niewiele czasu.

Wszystko działo się tak szybko.

Zapiął ostatnią torbę i wyszedł z pokoju. Miał już bilet do Houston. Wiedział, że Brian Stokes także się tam wybierał i zakładał, że wkrótce Patricia i Harper Stokesowie również kupią bilety.

Zasadzka czekała, gotowa i z przynętą. Wszystko się skończy tam, gdzie się zaczęło.

Dla ciebie, Meagan. Dla ciebie.

Melanie przekonała się, że jak na dziewczynę z dobrego domu ma spory talent do uciekania. Najpierw wybrała z konta wszystkie dostępne pieniądze, a karty kredytowe – z wyjątkiem jednej – wyrzuciła w zaułku. W mieście tak dużym jak Boston wkrótce znajdzie się jakiś złodziej, który skorzysta ze znaleźnika i zwabi policję. Przynajmniej można mieć taką nadzieję.

Następnie nabyła czapkę baseballową – pomyślała o Davidzie, jego bolących plecach, zdjęciach w albumie, ale szybko zmusiła się, żeby przestać myśleć – i wepchnęła pod nią włosy. Okulary słoneczne, za duży podkoszulek, tani płócienny plecaczek i w jednej chwili zmieniła się w studentkę, nieprzyciągającą niczyjej uwagi.

Poszła na dworzec w centrum miasta, zawsze pełen ludzi. Pociąg zawiózł ją do Nowego Jorku, a taksówka na lotnisko Kennedy'ego, gdzie napotkała pierwszą przeszkodę. Przy kupowaniu biletów należy podać prawdziwe nazwisko. Postanowiła zaryzykować w nadziei, że nikomu nie przyjdzie do głowy sprawdzić lotniska w Nowym Jorku. Zarezerwowała miejsce w samolocie do Houston.

Na lotnisku poszła do stanowiska informacji. Facet w okienku był bardzo uczynny. Znalazł mapę i narysował jej drogę do Huntsville, jakieś dziewięćdziesiąt minut jazdy. Bardzo trudno się pomylić, zapewnił ją. Niech przez całą drogę jedzie autostradą I-45 i kieruje się znakami. Bez trudu znajdzie hotel. To Houston. Wszystko na teksańską skalę, co parę kroków restauracje i hotele. Codziennie widzimy trzy, cztery kondukt pogrzebowe. Mieszka tu wiele osób i wiele osób umiera. Pani na siebie uważa, kochana.

Melanie wynajęła samochód. W tym celu musiała pokazać ważne prawo jazdy i kartę kredytową. Lada chwila ktoś mnie znajdzie, pomyślała ponuro, podpisując formularze.

Wyjechała na autostradę międzystanową. Zapadł już zmrok; świat nabrał dziwnego, obcego wyglądu.

Wszędzie jak okiem sięgnąć ciągnęły się sklepy, salony samochodowe i motele. Houston migotało światłami po jej prawej ręce; wysokie, imponujące budynki, sterczące z płaskiego terenu jak księżycowe kratery. Przystanąła, żeby przepuścić kondukt pogrzebowy. Dziesięć kilometrów dalej trafił się jej następny.

Czuła się, jakby jeździła w kółko. Powoli zaczęła ją ogarniać histeria. Minęła hotel; po dwóch kilometrach zobaczyła go znowu. Ten sam, czy inny, identyczny? Minęła salon samochodowy. Raz, potem drugi. Wszystko szare, betonowe. Kiedy po raz dziesiąty zobaczyła ten sam motel, doszła do wniosku, że pora odpocząć.

Za pokój zapłaciła gotówką. Kolejny uczynny facet za kontuarem. Powiedział jej, gdzie jest sklep z kosmetykami i spożywczy, a także sklep z artykułami żelaznymi. Szło jej tak dobrze, że poszła za ciosem i spytała o sklep z bronią. Nawet nie mrugnął. Skinął głową z aprobatą. Młoda samotna kobieta musi mieć ochronę. Zwłaszcza tak blisko Huntsville. Czy ona wie, że w tym mieście jest zakład karny, mieszczący ponad siedem tysięcy więźniów?

Tego nie wiedziała. Zapisała wszystkie jego wskazówki i zamiast iść prosto do pokoju, ruszyła na poszukiwanie sklepów.

Kupiła owoce. Dzięki temu poczuła się niemal normalnie. Potem nabyła nożyczki, podkład i farbę do włosów. W porywie gorączkowej aktywności odwiedziła jeszcze sklep z używaną odzieżą, z którego wyszła z workiem ciuchów, tanich i kiepskich.

Wróciła do pokoju. Było już za późno, żeby kupić broń. Zamknęła drzwi na trzy spusty i wreszcie spojrzała na swoje odbicie w lustrze.

Błada, bardzo blada twarz. Jasne miękkie włosy. Ciemnofioletowe sińce pod błękitnymi oczami.

Nagle znienawidziła swoje odbicie w lustrze. Wyglądała jak Melanie, ale nią nie była. Była Córeczką Tatusia. Opuszczoną, bezimienną. Bez tożsamości, bez przeszłości, bez rodziców.

Wyglądałaś jak Meagan, krzyknęła matka. Spojrzałam na ciebie i zobaczyłam Meagan! Bachor mordercy, syknął Larry Digger. Powiedz, czy kiedy patrzysz na dzieci, czujesz ten głód?

Wzięła nożyczki i zaczęła dzieło zniszczenia. Włosy spadały wokół niej, a ona cięła dalej. Jeśli się ich pozbędzie, może przestanie być Melanie Stokes. Jeśli zniszczy te jasne włosy, może przestanie widzieć krew Williama na swoich rękach; może zniknie ciało Larry'ego Diggera na granatowym dywanie. Jeśli zetnie włosy, może Córeczka Tatusia pokaże swoją prawdziwą twarz.

Chciałam tylko, żeby moi bliscy kochali mnie tak, jak ja kochałam ich.

Od czasu, gdy miała dziewięć lat i obudziła się w białym szpitalnym pokoju, nie czuła się tak samotna.

Melanie obudziła się o szóstej rano. Zjadła pół melona i kanapkę z topionym serem. Popiła ją gorzką motelową kawą bez mleka. Wzięła prysznic i ubrała się w nowe ciuchy. Umalowała twarz i uznała, że jest gotowa.

Huntsville mieściło nie tylko więzienie, ale i muzeum. Otwierano je o dziewiątej. Melanie zamierzała być pierwszym gościem. Jeśli gdziekolwiek mogła się dowiedzieć czegoś o Russellu Lee Holmesie, to na pewno tam.

Wstąpiła do agencji turystycznej, wzięła śliskie, jaskrawe mapy i ruszyła w miasto. Jak na miejsce, w którym odbyło się najwięcej egzekucji w całych Stanach, Huntsville robiło zaskakująco przyjemne wrażenie. Czyste chodniki, szerokie ulice. Efektowny kamienny budynek sądu pośrodku szmaragdowego trawnika; obok staroświecka cukiernia.

W tym mieście, zbudowanym jak pod linijkę, znalezienie więziennego muzeum zajęło jej trzy minuty. Zatrzymała samochód w miejscu, gdzie znajdował się stary pal do przywiązywania konia. Ruszyła stromą uliczką; ciepły słoneczny poranek zapowiadał duszny dzień i zbliżającą się burzę. O parę kroków dalej szła rodzina turystów, wesoło robiących sobie zdjęcia.

Małe muzeum było wciśnięte między salon jubilera a sklep z artykułami z Dzikiego Zachodu. W sali stała duża makieta więzienia i kilka innych, przedstawiających pojedyncze budynki penitencjarne.

Melanie rozpoczęła zwiedzanie od ścian ze zdjęciami założycieli tej czcigodnej instytucji. Dowiedziała się o słynnym rodeo, organizowanym właśnie tutaj. Przyjrzała się krzesłu elektrycznemu, wystawionemu na pokaz w zaimprovizowanej celi śmierci. Drewno nadal było lśniące i mocne. Szerokie rzemienne pasy i metalowe elektrody nadawały się do natychmiastowego użytku. Obok krzesła leżały kartki z prośbami o ostatni posiłek. Trzysta sześćdziesiąt dwa podania.

Melanie znalazła to, czego szukała: ścianę ze zdjęciami więźniów. Zobaczyła wizerunki słynnych przestępców, na przykład Bonnie i Clyde'a. I, oczywiście, Russella Lee Holmesa. Niestety, notka obok jego fotografii donosiła jedynie: skazany za zamordowanie sześciorga dzieci. Pierwszy więzień stracony po zniesieniu moratorium na karę śmierci. Ponieważ w trakcie

egzekucji rozsądziło mu ręce i stopy, był jednocześnie ostatnim skazanym na krzesło elektryczne.

– Gdzie mogę znaleźć więcej informacji o poszczególnych więźniach? – spytała.

– Ciągłe przysyłają nam książki i kasety. Niektóre są bardziej szczegółowe.

– Gdzie ich szukać?

– Pod tą ścianą, kochana. Nie spiesz się. Więzienie w Huntsville ma najwspanialszą historię w całych Stanach. Chętnie o niej opowiadamy gościom.

Melanie przerzuciła stertę starych, wyblakłych książek.

Godzina mijała za godziną. Kustosz wyszedł, na jego miejscu pojawił się młody chłopak, czytający *Anatomie* Graya. Kiedy wreszcie zrozumiał, że Melanie nie wyjdzie tak szybko, zaproponował, że zamknie ją w muzeum, a sam pobiegnie do sklepu po kanapkę. Melanie marginesem świadomości zarejestrowała, że drzwi wejściowe znowu się otwierają. To student medycyny pytał, czy jej coś przynieść. Podziękowała.

Czytała o śmierci i o skomplikowanych procesach uwięzionych karą śmierci. Autorem książki był dziennikarz, piszący o wymiarze sprawiedliwości w Huntsville – Larry Digger.

Do sali ktoś wszedł. Melanie usłyszała dzwonek przy drzwiach i już wiedziała. Tak po prostu. Zdała sobie sprawę, że tak naprawdę właśnie na to czekała. Wiedziała, że on jeden domyśli się, gdzie jej szukać. W końcu jemu powiedziała najwięcej. Ufała mu.

Nie podniosła głowy. Czekala, aż poczuje przy sobie ciepło ciała Davida.

– Melanie – odezwał się cicho.

Wskazała czarno-białą fotografię w książce Larry'ego Diggera.

– Poznaj mojego tatę – powiedziała.

Dobra, Melanie, mów wreszcie. – David stanął na środku motelowego pokoju, znekany i niewyspany. Przez większość nocy nie zmrużył oka, a od szóstej rano był w podróży. Nie miał ochoty wysłuchiwać wykrętów i był wkurzony jak cholera. Nie, to nieprawda: czuł się winny, przerażony i chory do szpiku kości ze strachu, że Melanie mogło spotkać coś złego. Nie przywykł do zmartwień. Nienawidził się martwić. Potem spojrzał na jej twarz, posiniaczoną przez Williama, i znowu poczuł wściekłość.

Melanie nie zamierzała z nim współpracować. Wyglądało na to, że postanowiła zmienić styl – czarna dżinsowa spódniczka, na którą zużyto mniej więcej tyle materiału co na apaszkę, biała bawełniana bluzeczka za mała o dwa numery i niebieski cień do powiek, nałożony chyba łopatą.

David miał przykre wrażenie, że wie, co to ma znaczyć. A przez to było mu jeszcze gorzej.

Melanie uniosła brew, słysząc jego agresywny ton, i wzruszyła ramionami.

– Żądam widzenia z adwokatem.

– Melanie...

– Jak uważasz, do twarzy mi w tym? Tak się nosimy w Teksasie. Młodziej wyglądam. Russell Lee byłby ze mnie dumny.

– Wystarczy, Mel. Przeciągasz strunę.

– Wręcz przeciwnie, uważam, że jeszcze się nie rozkręciłam.

– Nie jesteś taka! Nie jesteś tanią panienką!

– Ach, tak? A kim jestem? Powiedz mi, kim jestem? Chwycił ją za ramię.

– Znowu miałaś te sny – rzucił brutalnie. – Zgadza się?

– Może tak, może nie. Może chodzi o to, że nigdy nie byłam w Teksasie, a jednak wszystko w tym cholernym stanie wydaje mi się takie znajome.

– Melanie, jesteś zanadto zdenerwowana.

– A ciebie co to obchodzi? – Wyszarpnęła mu się i obrzuciła go złym spojrzeniem. – W ogóle czego tu szukasz? Serce ci zmiękło? Pozwól, że ci coś powiem: za późno.

– Niech to diabli, jesteś poszukiwana w związku ze śmiercią Williama Sheffielda.

– Aresztujesz mnie?

– Chcę cię przesłuchać!

– To wyciągaj narzędzia tortur.

– Co mam zrobić, żebyś się dała przeprosić? Mam to powiedzieć? Przepraszam. Chcesz skruchy? Proszę bardzo. Ale niech wreszcie do ciebie dotrze, że usiłuję ci pomóc, a ty potrzebujesz tej pomocy! Twój ojciec już zaczął na ciebie donosić. Powiedział, że William cię rzucił, ty ostatnio nie byłaś sobą i zastrzeliłaś go z zemsty. Zabiłaś człowieka, a twój ojciec cię wrabia! Masz kłopoty, zrozum to wreszcie.

Wzdrygnęła się. Jej twarz zbladła pod zbyt grubą warstwą makijażu, a w oczach pojawił się cień. Odwróciła się, usiadła na łóżku. Czarna spódniczka odsłoniła jej uda.

– No tak. Łatwo przyszło, łatwo poszło.

– Bzdura. Nie wierzę Harperowi. Podobnie jak twoja matka i brat. Stoimy po twojej stronie. Uwierz w to.

– Więc znalazłeś Briana?

– Tak. Nie może odżalować, że z tobą nie porozmawiał.

– Naprawdę? – spytała żałośnie. Zaraz się opanowała i zacisnęła pięści. – A matka? Co u niej?

– Przeżyła wstrząs, ale sobie radzi. A twój brat dał jej alibi. Nie wierzymy, żeby któreś z nich skrzywdziło Meagan.

– Czyli zostaje kochany ojczulek. Ach, ci mężczyźni w moim życiu!

– Harper nie ma alibi. Mógł uknuć intrygę dla tego miliona z ubezpieczenia. Na pewno potrzebował pieniędzy.

– Jeśli nawet, to nie zrobił tego sam. Nigdy by nie zdołał się porozumieć z kimś w rodzaju Russella Lee Holmesa. Jamie musiał mu pomagać.

– Nabieram wrażenia, że Harper i Jamie stanowią dobrany zespół.

Melanie uśmiechnęła się blado. Potem jakby zapadła się w sobie. David wiedział, o czym pomyślała. Dwaj najważniejsi dla niej mężczyźni zamordowali małą dziewczynkę. Kto był mózgiem? Kto wykonawcą? Jak błaga o życie czteroletnie dziecko? Jak krzyczy? Czy wiedziało, że umrze?

– William powiedział, że nie znam własnej rodziny – szepnęła. – Mój święty ojciec kroi zdrowych ludzi dla pieniędzy, matka jest pijaczką, a brat gejem. A ja jestem ich ofiarą. Tak powiedział. Idiotką, którą nabierają, bo zawsze wierzę w to, co mi mówią. Nikt mnie nie kochał. Byłam za głupia, żeby to zrozumieć.

– William to bydlę.

– Wiedziałaś o tych operacjach, prawda? Zjawileś się w naszym domu nie dlatego, że śledziłaś Williama, ale z powodu mojego ojca. Przystępstwa gospodarcze. To była ta „sprawa”, o której nie chciałaś rozmawiać z Jaksem czy Quincym. A ja się nie domyśliłam. Bo jestem za głupia.

– Nie oszukiwałem cię z zimną...

– Ależ tak! Nie miłość boską, nie traktuj mnie jak idiotki. Przynajmniej raz w moim żalonym życiu chciałabym usłyszeć całą prawdę! Dlaczego nikt mi nie chce powiedzieć prawdy?

David zacisnął pięści. Wściekłość zaczęła ponosić i jego.

– Świetnie – warknął ostrzej niż zamierzał. – Chcesz znać prawdę? Bardzo proszę. Mamy podstawy, by przypuszczać, że William i Harper znajdują zdrowych pacjentów i szpikują ich beta blokerami, żeby wyglądało, że trzeba im zainstalować rozrusznik serca. Dzięki temu twój ojciec dostaje czterdzieści tysięcy dolców miesięcznie, a wiesz, że kocha pieniądze. Prawdopodobnie zamordował własne dziecko za milion, więc co dla niego znaczy zwykła operacja za osiem tysięcy sztuka? Czy możemy to udowodnić? Nie. Nie mamy żadnego dowodu. Miałem nadzieję, że złapiemy Williama na gorącym uczynku i wyciśniemy z niego zeznanie. Ale go zastrześliś, więc...

Wzruszył ramionami.

Zerwała się z łóżka. Jednym skokiem znalazła się przy nim i spojrzała zmrużonymi oczami.

– Co, skomplikowałam ci życie, agencie? Spieprzyłam ci plany? Witaj w klubie. Witaj w naszym klubie!

Dziabnęła go palcem w pierś. Skrzywił się, ale jednocześnie dostrzegł lzy, migoczące w jej oczach. Spojrzał na jej posiniaczony policzek, obrzmiałą wargę, dygoczące ręce i coś w nim pękło. Usłyszał własny ochrypły głos.

– Przepraszam... Przepraszam, Mel, przepraszam... Wziął ją w ramiona, choć się opierała. Kopnęła go.

– Nienawidzę, cię, nienawidzą! Przygarnął ją mocniej.

– Wiem. Ciii...

Zaczęła szlochać, dygocząc z żalu i gniewu. David przytulił ją do piersi. Okropny niebieski cień i tusz spłynęły mu na koszulę, wymieszane z łzami. Tulił ją, ale to nie wystarczało. Zrobił jej krzywdę. Nie zachował się jak człowiek, na którego wychował go ojciec. Tym razem nie mógł tego zrzucić na swoją chorobę. Asekurował się, a Melanie zasługiwała na coś więcej.

Więc zapragnął jej dać więcej.

Nagle uniosła głowę, objęła go za szyję, przyciągnęła. Ten pocałunek nie miał w sobie łagodności. Melanie była zła i rozdygotana. Rzuciła się na niego niemal wściekle, szukając ujścia dla miotających nią uczuć. A on się jej poddał. Ba, odpowiedział tym samym. Zaczęli zdzierać z siebie ubrania.

Zerwał jej podkoszulek, pchnął ją na łóżko. Palce Melanie manipulowały przy klamrze jego paska. Zdołał rozpiąć suwak spódnicy w chwili, gdy włożyła kciuk za gumkę jego slipów i ściągnęła je w dół.

Wyśliznęła się ze spódnicy i leżała na łóżku tylko w prostej bawełnianej bieliźnie. Ten widok otrzeźwił go, przywrócił mu odrobinę rozsądku.

– Spokojnie – szepnął. – Spokojnie.

Odgarnął jej włosy, pogłaskał po policzku, usiłując uspokoić wstrząsane spazmami ciało.

– Przepraszam – dodał. – Przepraszam.

Przesunął palcami po łagodnej krzywiznie szczęki, dotarł do wrażliwego zagłębienia między obojczykami. Pocałował je i poczuł jej dreszcz. Przesunął usta niżej; musnął policzkiem wysokie, twarde wzniesienie piersi. Odczekał chwilę. Jęknęła cicho. Pocałował sutek i zaczął go ssać.

Zadrzała. Oplotła go nogami, a on poczuł, że ogarnia go szaleństwo. Całował jej piersi, brzuch, pępek. Wsunął dłoń między uda, pogładził jedwabistą skórę, poczuł, jak wilgotnieje. Była jak wcielona namiętność, a on był bardzo spragniony. Miał ochotę wziąć ją natychmiast, a jednocześnie chciał przedłużyć tę chwilę.

Zdołał się cofnąć; wymacał ręką portfel. Zawsze podróżował z awaryjną prezerwatywą; wieczny optymista.

Wstał, dzierząc triumfalnie foliowy pakiecik i zobaczył ją: smukłe ciało rozciągnięte na niebieskiej kapie, wzniesione piersi o różowych czubkach, skóra jak śmietanka. Na twarzy miała rozmazany makijaż, ale on widział ją prawdziwą, o rozchylonych ustach i oczach zasnutych mgłą pożądania.

– Spójrz na mnie – zażądał ochryple. To coś poważnego. Kiedy to się skończy, nigdy nie odejdę.

Wsunął prezerwatywę, nie odrywając oczu od jej twarzy, i wszedł w nią jednym mocnym pchnięciem. Krzyknęła.

– Melanie, słodka Melanie...

Jej oczy pociemniały.

– Nie – szepnęła i jęknęła, gdy zaczął się poruszać. – Nie Melanie. Nikt.

Pchnął mocniej. Skubnął zębami wargę i poczuł, że jej ciało tężeje. Potem zobaczył jeszcze w jej oczach zdumienie, gdy zadrzała pod naporem orgazmu. Jej twarz lśniła warstwą potu.

Była piękna.

Za oknami ryczały samochody. David przestał je słyszeć.

Potem położył się obok i przygarnął ją do siebie. Oparła głowę na jego ramieniu; wbiła wzrok w przeciwległą ścianę. Znowu zdumiał się, że jest taka mała. Dziwiła go delikatność jej ramienia, długa wdzięczna linia pleców. Prawie nie czuł jej ciężaru. Wyobraził sobie jej walkę z Williamem Sheffieldem i pożałował, że to bydlę nie żyje.

Teraz Melanie oddalała się od niego, cofała się w siebie. Zastanowił się, czy też wspomina Williama. Może to, jak ją zdradzał? Może wyraz jego twarzy, kiedy ją uderzył? A może myślała o Harperze, człowieku, którego nazywała ojcem, a który okazał się przestępcą, jeśli nie mordercą? A był też Russell Lee Holmes, jej prawdziwy ojciec, który zabijał dzieci dla rozrywki.

– Nie wrócę do Bostonu – powiedziała nagle. – Jeszcze nie. Tu mogę znaleźć odpowiedzi na moje pytania. Muszę je poznać.

Objął ją lekko.

– Jeśli się zgodzisz na moją obecność, zyskamy trochę czasu. Możemy razem szukać.

– Kochaliśmy się.

– Tak.

– Jesteś agentem. Myślałam, że istnieją pewne przepisy...

– Istnieją. Przekroczyłem je.

– Co ci zrobią?

– Nie wiem. Mogę dostać naganę. Mogą mnie wyrzucić. To możliwe. Spojrzała na niego płonącymi oczami.

– Żałujesz? Powiedz, chcę wiedzieć.

– Niczego nie żałuję. Dla ciebie zrobię wszystko.

– Pogubiłam się – szepnęła. – Strasznie się boję tego, czego mogę się dowiedzieć. Jestem zła, przerażona i... i nie mogę uwierzyć, że William to zrobił. Nie mogę uwierzyć, że Harper mnie nienawidzi. Kochałam ich i wcale ich nie znałam. Czuję się okropnie pusta i wcale mnie to nie obchodzi.

– To się ułoży. Naprawdę.

– Nie wiem już nawet, kim jestem. Dlaczego robię to, co robię? Chcę kupić broń. Zawsze nienawidziłam broni. Co się ze mną dzieje?

– To się ułoży. Ja ci pomogę.

– Nie wierzę ci.

Musiał skinąć głową. To go zabolalo, ale miała rację. Przyciągnął ją do siebie. Przynajmniej nie protestowała. Po chwili szepnął:

– Odpocznij, Melanie. Do tej pory to ty byłaś silna. Teraz moja kolej.

Skinęła głową i odpłynęli w milczeniu, a potem w sen. Kiedy David się obudził, ona już wstała.

– Muszę wziąć prysznic – powiedziała. – Jestem umówiona.

– Z kim?

Uśmiechnęła się blado i ruszyła do łazienki.

– Z Russellem Lee Holmesem.

Wsiedli do samochodu Davida; w tej samej chwili niebo rozdarła błyskawica. Czarne chmury zbierały się nad miastem, rzucając na nie upiorny cień. Przez piętnaście minut jechali w milczeniu. Horyzont przecinały raz za razem sine błyskawice.

David zaparkował przed cmentarzem kapitana Joe Byrda.

– Zaraz będzie burza.

– To tylko woda. – Wsiadła z samochodu i poszła na cmentarz.

Groby nie były ogrodzone płotem. Na obrzeżu rosły kwiaty, teraz przywiedłe w upale. Rzędy białych krzyży ciągnęły się monotonicznie jak okiem sięgnąć. Ostatnie były tak zmurszałe, że daty i numery więźniów nie dawały się już odczytać. Wokół nich ziemia była ubita na kamień, porośnięta gęstą trawą. Krzyże z pierwszych rzędów tkwiły w miękkiej czarnej ziemi, niedawno poruszonej.

Niebo rozdarło się z trzaskiem. Pierwsza gruba kropla deszczu wylądowała na nosie Melanie. Zahukała sowa, błysnął siny zygzak.

– Lepiej się pospieszmy – zawołał David. Narastający wiatr szarpał połami jego ciemnej marynarki. – Za chwilę lunie!

– Musimy znaleźć numer! – odkrzyknęła.

Znowu błysnęło, tak blisko, że usłyszeli trzask wylądowania. Wiatr siekł jak batem. Sowa znowu zahukała, zdenerwowana i ożywiona. Rozległ się grzmot. I znowu błysk. Melanie poczuła, że włoski jeżą się jej na rękach. Serce zabiło jej szybciej. Ogarnęła ją panika. Deszcz siekł po twarzy. Oddychanie nagle zaczęło sprawiać trudność. Huk grzmotu obudził wibracje w jej ciele. Poczua się jak dziecko, zagubione w morzu białej śmierci.

Nagle u jej boku znalazł się David. Wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz; zmusił ją, żeby się schyliła i opuściła głowę między kolana. Chwycił ją za dłonie i mocno ścisnął.

– Masz atak lęku. Uspokój się.

Niebo raptownie się poddało. Pękło jak gigantyczny balon i zalało ich strumieniami wody.

David poprowadził ją do jednego z grobów. Stała przed białym krzyżem. Numer więźnia, data. To ten.

Myślała, że coś poczuje. Chciała coś poczuć. Stała nad grobem swojego ojca, prawdziwego ojca. Miała nadzieję, że coś w niej drgnie, coś się odezwie.

Czuła tylko pustkę. Krzyż nic dla niej nie znaczył. Ani ten martwy człowiek, który kiedyś był jej ojcem. Był abstrakcją, która nie mogła konkurować z żywymi, prawdziwymi, ciepłymi wspomnieniami Harpera, Patricii i Briana. David się nie mylił, ona już miała swoich bliskich. Tęskniła za nimi, kochała ich.

David objął ją ramieniem, zaprowadził do samochodu w siekających strumieniach deszczu, otworzył przed nią drzwi. Zdjął marynarkę i narzucił na dygoczące ramiona Melanie. Zapiął jej pas.

Kiedy się cofnął, żeby zamknąć drzwi, jego oczy nabrały koloru płynnego złota. To zrozumienie, pomyślała. Zwyczajne zrozumienie.

– Nie o niego ci chodzi – powiedział. – Możesz wysiadywać w muzeach i na cmentarzach, ale nie masz nic wspólnego z Russellem Lee Holmesem.

Zamknął drzwi i okrążył samochód, by zająć miejsce za kierownicą. On mnie zna, pomyślała. Nawet teraz, kiedy przestałam znać sama siebie. Miał dość wiary za nich oboje.

A potem dodała w myślach: chcę wracać do domu. Odwróciła się, żeby nie zobaczył jej łez.

David pomógł się jej wykapać, położył do łóżka, otulił kołdrą. Była zbyt wyczerpana, żeby się mu sprzeciwić. Zasnęła niemal natychmiast z twarzą schowaną w poduszce.

David postawił przed sobą telefon i przygotował się do pracy.

W pokoju poniewierały się ich ubrania: jego marynarka razem z jej podkoszulkiem, jego mokasyny na jej sandałkach. Odznaka FBI obok szminki na stole z szarego forniru.

Chenney odebrał telefon; w tej samej chwili Melanie mruknęła coś przez sen. David odwrócił się do niej plecami i przybrał obojętny ton.

– Cześć, mały. Co jest grane?

Milczenie i zaraz długie, ciężkie westchnienie. To o czymś świadczyło.

– Lairmore tego nie kupił, tak?

– Chyba będzie nagana – wyjąwił Cheney. – Jezu, Riggs, ale narozrabiałeś.

– Pojechałem za podejrzaną. Kto by pomyślał, że mi nie wolno?

– Jasne. Poleciałeś przez pół kraju bez uprzedzenia, bez uzgodnienia ze zwierzchnikiem i żadnych poważnych dowodów. A wiesz, jak Biuro nie lubi kowbojów. Spałeś na tych wykładach czy jak?

David uśmiechnął się blado. Od dawna był przekonany, że nienawidzi swojej pracy. Ale teraz, kiedy miał ją stracić...

– Mniejsza o to – powiedział w końcu. – Mów, co nowego.

– Musisz tu wrócić. Poważnie.

– Mam ślad. Melanie Stokes była na lotnisku Williama P. Hobby'ego i w wypożyczalni samochodów. Jadę za nią. Wyślę raport.

– Więc zgódź się, żebym do ciebie przyjechał.

– Nie chcesz tu być.

Po chwili ciszy Cheney zrozumiał.

– Żeby cię...

– Mów, co jest grane, Cheney.

Chenney parsknął gniewnie.

– Świetnie. Proszę bardzo, oto co wiemy. Ale jeśli Lairmore cię przyciśnie...

– Ty nie masz z tym nic wspólnego. Zaufaj mi.

Mały nie dał się udobruchać. Może jednak go lubił, może wytworzył się między nimi jakiś koleżeński układ. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy.

– Mamy parę pytań i parę odpowiedzi. Co wolisz najpierw?

– Mów po kolei. Gdzie jesteśmy z zabójstwem Sheffielda?

– No, myślę, że o tym wiesz więcej ode mnie...

– Cheney...

– Tak, tak. Jax prowadzi sprawę. Wsiadł na Harpera i nie popuszcza. Zebrał odciski palców z całego gabinetu, a za każdym razem, gdy Harper robi jakąś wredną uwagę, Jax każe zrywać deski z podłogi i wysyła je do laboratorium. Wczoraj kazał nawet zdjąć zasłony. Niedługo

przeniesie do laboratorium całe mieszkanie.

– A to nam daje...

– Fajną zabawę. Nie, nie mamy innych podejrzanych. Lairmore dusi nas o te operacje. Wczoraj byłem w szpitalu i pytałem o Sheffielda. Co ciekawe, druga anestezyjolog, doktor Whaler Jones, wie bardzo wiele o Sheffieldzie. Mam wrażenie, że była troszkę zazdrosna o jego operacje. Zapadł jej w pamięć. Może wymieni, ile razy Sheffield był w szpitalu, choć nie miał powodu.

– Ciągłe mało.

– Taaa. Za dużo poszlak. Lairmore zabawia się wysyłaniem wszystkich pacjentów z rozrusznikami na drugie badanie, ale z tego co wiemy, to na nic. Prokurator generalny mówi, że Harper może nas pozwać za niszczenie reputacji. Dla pewności zebraliśmy wszystkie numery seryjne rozruszników, które Harper zainstalował w ciągu ostatnich pięciu lat. Niezły zbiór. Przeprowadzamy badania. Była tylko jedna skarga na funkcjonowanie, co jest wynikiem znacznie poniżej średniej. Dlatego nie możemy się przyczepić nawet do tego. Wszystko wydaje się w porządku. Na razie musielibyśmy zebrać tych wszystkich pacjentów, usunąć im rozruszniki i podczepić do monitorów, żeby sprawdzić, czy naprawdę mają bradykardię. Powiedzmy sobie szczerze, że to niezbyt dobry pomysł. Oczywiście po pięciu latach rozrusznik nadaje się do usunięcia, więc jeśli będziemy cierpliwi... Krótko mówiąc, nie mamy nic. Na razie Harper jest czysty.

– A ten ślad po jakichś dokumentach obok ciała Williama?

– Ano właśnie. Te dokumenty muszą gdzieś być. Przewróciliśmy mieszkanie Sheffielda do góry nogami. Nic. Sheffield dostał na konto sporą sumkę od Harpera, ale Harper twierdzi, że to prezent dla niedoszonego zięcia i kto mu udowodni, że nie? Nie znaleźliśmy u Sheffielda propranololu ani notatek. Jego znajomi nie mają zielonego pojęcia, co kombinował.

– Może Jamie O'Donnell coś wie.

– I to jest następny problem. Jamie O'Donnell opuścił miasto. Wczoraj wieczorem wymeldował się z „Four Seasons” i od tej pory ludzkie oko go nie widziało.

– Hmm... – David zanotował tę informację w pamięci. Ze wszystkich znanych mu ludzi Jamie byłby pierwszym, który by pojechał za Melanie.

– Patricia Stokes też prysnęła.

– Co?

– Aha. Dziś po południu złożyłem wizytę u Stokesów. Harper usiłuje udawać twardziela, ale pokojówka powiedziała, że wczoraj Patricia spakowała walizkę i wyszła z domu. Chłopaki z wydziału zabójstw gadali z ludźmi z „Four Seasons”, ale nikt jej tam nie widział. Najprawdopodobniej miała już dość Harpera. Wiesz, skoro chciał zrobić własną córkę...

– Niezbyt urocze – zgodził się David.

– A, byłbym zapomniał. Harper miał zabandażowaną rękę. Całą. Jakby się zranił, ale nie chciał o tym mówić. Jax spytał go wprost, co mu się stało, a Harper powiedział mu wprost, żeby się odwalił. Ostatnio chyba zrobił się nerwowy.

– Myślisz, że pęknie, jeśli Jax go przycisnie?

– Nie wiem, czy Jax. Zdaje się, że nasza tajemnicza manipulatorka wyhamowała. Ma to, o co jej chodziło. Te podarunki, które otworzyły stare rany... Melanie uciekła, Brian wyklęty z rodziny, Patricia zostawiła męża, a O'Donnell zniknął z miasta. Harper został sam i to się

zaczyna na nim odbijać. Stawiam dziesięć do jednego, że się boi. Usiłuję znaleźć jakieś informacje o Ann Margaret. Na razie nie wynikło nic ciekawego, a nie miałem czasu, żeby zbadać sprawę dogłębnie. Potrzebuję pomocy.

– Jak my wszyscy. A co z Teksasem? Jestem na miejscu, więc mogę się przydać.

– I to bardzo. Wydaje mi się, że w Teksasie znajdziemy coś ciekawego.

– Dobry chłopak.

– Razem z Jaksem sprawdziliśmy zestawienie rozmów z automatu telefonicznego. Nic. Jax, trzeba mu oddać sprawiedliwość, nie sprawdził tylko automatów telefonicznych, ale i rozmowy z mieszkania Larry'ego Diggera.

– A to sukinsyn. Nic nie powiedział.

– Bo jesteśmy konkurentami, pamiętasz?

– Ano tak.

– To ty powiedziałaś, że trzy tygodnie temu Digger miał anonimowy telefon. Dwadzieścia pięć dni temu wykaz rozmów Diggera nagle eksplodował od licznych telefonów. Dostałem ten wykaz od Jaksy. A potem, tak dla rozrywki, porównałem nazwiska ludzi, do których dzwonił Digger, z listą teksańskich akuserek. I zgadnij, co znalazłem...

David szybko zapisał nazwisko.

– Znajdę ją jutro z samego rana. Jeśli pamięta Russella Lee Holmesa, musi pamiętać jego żonę, więc może dowiem się czegoś o Ann Margaret.

– Aha – mruknął Cheney z troską. – Aha, Riggs... dowiedziałem się czegoś więcej.

– Za to ci płacą.

– Wiesz... jak by to powiedzieć... zacząłem się starać o ekshumację Russella Lee Holmesa.

– Jezu.

– Moje wzięte z sufitu teorie nie są już takie niemożliwe. Nawet Lairmore się przestraszył. Pamiętasz ten ołtarzyk w pokoju Melanie? Ten materiał z dwiema grupami krwi?

– Jasne. No, Cheney, dawaj.

– Dobra. Jedna z tych próbek krwi należy do Melanie Stokes. Idealna zgodność. Kiedy została znaleziona w szpitalu, zrobiono jej mnóstwo badań, więc mieliśmy porównanie. A druga próbka... Zrobili test DNA. Istnieje pięćdziesiąt procent zgodności z DNA Melanie. A to jest możliwe tylko między rodzicem i dzieckiem.

– Cholera. – David zamknął oczy. Już wiedział, co będzie dalej.

– Wreszcie znaleźliśmy brakującego gracza. Posłaliśmy po medyczne akta Russella Lee Holmesa i jego próbki krwi, ale już teraz możemy powiedzieć, że ta druga plama krwi zawierała chromosom XY. Mówimy o prawdziwym ojcu Melanie. I, Riggs... laboratorium przysięga na wszystkie świętości, że ta plama pochodzi sprzed niespełna tygodnia.

Harper Stokes stał na środku swojego gabinetu. Włączył światło, ale to tylko pogorszyło sprawę: jarzący się proszek, rozdarte zasłony, brakujące deski w podłodze. Przez ostatnią dobę jego dom roił się od policjantów, przetrząsających każdy wypieszczony kącik, wywracających do góry nogami każdy wychuchany antyk.

Teraz gdziekolwiek szedł, natykał się na policjanta. Nie było ucieczki.

Jamie wyjechał. I Patricia. Zastanawiał się, czy wreszcie znalazła szczęście z O'Donnellem i to go doprowadzało do szału.

Brian zniknął. Harper zadzwonił do jego pracy. Powiedziano mu, że Brian od dawna się nie pojawiał. Harper zapomniał o dumie i wyblągał numer domowy syna wiedząc, że prawdopodobnie należy on do jego kochanka. I tak było.

Nate zachował się grzecznie. Brian zniknął. Nie wiadomo, gdzie. Nate złożył raport na policji.

Harper odłożył słuchawkę. Poczł się nagle bardzo stary i, po raz pierwszy, samotny.

Pusty dom. Policyjna taśma. Zabandażowana ręka. Jeszcze raz ten chytry O'Donnell miał rację. Życie zatoczyło pełny krąg.

Nie mógł tu siedzieć i rozpaczać. Był człowiekiem czynu. Pora zacząć działać. Pora czegoś dokonać. Dla rodziny. Dla siebie.

Poszedł do sypialni. Z sejfu w garderobie wyjął pistolet. Bandaż na prawej ręce utrudniał mu chwyt, więc go odwinął. Świeży tatuaż zapłonął czerwienią. Trzy szóstki. 666.

– Nie jestem diabłem – mruknął. – Nie skrzywdziłem Meagan. I nie przypominam Russella Lee Holmesa.

Przynajmniej na razie.

Euforia Patricii Stokes trwała trzydzieści sześć godzin. Potem się rozplynęła.

Patricia usiłowała skorzystać z karty kredytowej, ale została zablokowana. Tak samo było z kartą bankomatową. Pięćdziesięcioośmioletnia kobieta z walizką drogich ubrań została dosłownie bez grosza. To ją przeraziło i popchnęło do ucieczki w najbezpieczniejsze miejsce, jakie знаła – w ramiona męża.

Poprzednią noc spędziła u przyjaciół. Dzięki temu pierwsze parę godzin przeszło jej ulgowo. Ale o świcie musiała przyznać, że potrzebuje nowego celu. Po raz pierwszy w życiu powinna zapanować nad własnym losem.

Zadzwoniła do „Four Seasons”. Jamie O'Donnell wyjechał. Pojechała do mieszkania syna. Zastała w nim jego kochanka. Pakował rzeczy Briana; powiedział, że jej syn wyjechał z miasta. Ale nie wiedział, dokąd.

Została jej jeszcze jedna osoba.

Teraz stała z walizką przed domem Ann Margaret Dawson. Znała ją tylko jako szefową córki. Zapomniała o dumie i zapukała.

Po chwili drzwi uchyliły się lekko. Ann Margaret wyjrzała nieufnie, jakby spodziewała się czegoś nieprzyjemnego, oczy rozszerzyły się jej ze zdumienia.

– Patricia! – wykrzyknęła i otworzyła szeroko drzwi.

– Odeszłam od Harpera – wyrzuciła z siebie Patricia.

– I szukasz Jamiego?

– Nie – zdziwiła się Patricia. – Szukam ciebie.

Ann Margaret zamknęła oczy. W jej twarzy był smutek.

– Kochasz go?

– Kogo?

– Jamiego.

– Ależ skąd! To było wiele lat temu. Teraz chcę tylko odzyskać moją córkę.

– Patricio – powiedziała Ann Margaret cicho, niemal łagodnie. – Pora, żebyśmy porozmawiały.

Brian Stokes umościł się wygodniej w fotelu. Pierwszy lot do Houston był przewidziany na rano, więc zostało mu trochę czasu na sen. Ale nie mógł zmrzyć oka. Martwił się, że przybędzie za późno.

Do tej pory wszystko robił nie tak. Wydawało mu się, że nie może uciec przed faktami. Matka miała romans z jego ojcem chrzestnym. Urodziła dziecko Jamiego i Harper się o tym dowiedział. Spowodował śmierć Meagan z wściekłości, ale także z chciwości. Tatuś zabił dziecko za milion dolców.

A Brian nigdy nie pisał słówka.

Był tylko dzieckiem. Ale teraz stał się dorosły i przysiągł, że dla Melanie zrobi wszystko.

Poruszył się w fotelu, usiłując rozciągnąć zeszywniałe stawy i znieruchomiał.

Przysiągłby, że zauważył kogoś znajomego, ale kiedy znowu spojrział, nikogo już tam nie było.

Melanie spała niespokojnie. Znowu znalazła się w chacie. W chacie w środku lasu. Przyglądała się pająkowi, idącemu po szybie. Meagan stała za jej plecami. Kołysała się w przód i w tył, ściskając drewnianego konika.

– Wypuść mnie, wypuść, wypuść...

Nie masz pojęcia, co on może ci zrobić.

Na podłogę padł cień. W drzwiach stał mężczyzna. Zrobił krok w głąb izby. Meagan skuliła się w kącie i Melanie już wiedziała, że wszystko stracone. On wrócił. Teraz mogło już być tylko gorzej.

– Nie! – pisnęła dziewczynka.

– Nie! – krzyknęła Melanie.

– Już dobrze – szepnął jej do ucha David i przytulił ją do siebie. – Jestem przy tobie. Jestem przy tobie.

– Za późno – odparła.

Kiedy obudziła się po raz drugi, była sama w łóżku. W pokoju panował mrok; grube zasłony tamowały kaskady oślepiających promieni teksańskiego słońca. Z oddali dobiegał monotony warkot samochodów na betonowej autostradzie. Bliżej rozlegał się klekot metalowego wózka sprzątaczk. Melanie zamrugła. Miała ciężką głowę: wspomnienie złych snów wisiało nad nią jak cień, którego nie umiała odpędzić. Za lewym oknem zagnieździł się tępy pulsujący ból. Jeszcze nie migrena, ale powinna wziąć parę tabletek aspiryny.

Wreszcie odwróciła głowę i rozejrzała się za Davidem.

Na podłodze leżały porozrzucane ubrania. Na krześle zwisały niedbale spodnie i marynarka.

Z głębi apartamentu dobiegł ją stłumiony dźwięk. Jęk bólu.

Popędziła do łazienki. Nie spodziewała się widoku, jaki ujrzała.

David wił się na zimnej podłodze.

– O Boże! Plecy?

Opadła na kolana obok niego. Nie odpowiedział. Był śmiertelnie blady, a jego twarz miała wyraz przerażającego cierpienia.

– Przynieść ci lodu? Masz jakieś lekarstwo?

W odpowiedzi wierzgnął spazmatycznie. Wyrwał mu się kolejny jęk. Podpełzła bliżej i ujrzała w jego oczach coś gorszego od bólu – bezsilną wściekłość.

– Idź... stąd... – jęknął.

Zdecydowała się na kompromis. Narzuciła ubranie i pobiegła po lód. Kiedy wróciła, David nadal próbował pełznąć. W pewnym sensie było to jeszcze bardziej przerażające.

Więc tak wygląda artretyzm. Tak wygląda życie silnego, odpowiedzialnego Davida Riggsa.

Melanie zorientowała się, że po policzkach płyną jej łzy. Drżącymi rękami przełożyła lód do koszuli Davida i zrobiła z niej niezgrabny toból.

– Położę ci to na plecach – uprzedziła.

David wymamrotał coś, co mogło być przekleństwem. Melanie umieściła worek z lodem na jego nagich plecach. Natychmiast całe jego ciało wygięło się w łuk, mięśnie karku stężały, wargi uniosły się, obnażając zęby.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie wiem, co jeszcze...

– Zostaw... – zgrzytnął. – Czasu...

Opuścił głowę. Jego ciałem ciągle wstrząsały konwulsje.

Melanie usiadła obok niego i czekała. W końcu nogi przestały mu drgać, a z twarzy zniknął wyraz strasznego cierpienia, choć nadal była zaczerwieniona. Podkulił nogi i przybrał pozycję płodu.

– Jak to jest? – zaryzykowała.

– Cholernie.

– Często się zdarza?

– Bywają... etapy...

– Na pewno możesz coś zrobić. Ćwiczenia, leki...

Nie odpowiedział, ale spojrzał na swoją torbę. Melanie wstała i otworzyła ją. Znalazła w środku butelkę pomarańczowych tabletek. Niemał nie napoczęła, choć data na niej pochodziła sprzed roku.

– Nie rozumiem.

– To artretyzm – wymamrotał z udręką. – Czasami budzę się w nocy i mam mięśnie tak zaciśnięte wokół żeber, że nie mogę oddychać. W dobrych okresach mogę się zająć pracą. Ale kiedy jest tak, jak dziś, wracam na ziemię. Co na to poradzą pigułki!

Dotknęła jego policzka.

– Boisz się, prawda? Boisz się, że jeśli weźmiesz pierwszą tabletkę, to będzie znaczyło, że się poddałeś. Przyznasz wtedy, że masz chroniczną chorobę i będziesz ją miał do końca życia.

– Nie, do diabła! Boję się, że wezmę te przeklęte prochy i nie poczuję żadnej zmiany. Nic nie będzie lepiej i nie będę się już mógł ludzi nadzieją!

– Och... – szepnęła. – Och, kochanie, to artretyzm. Nie rak.

Wyraz jego zapadniętej z bólu twarzy szarpnął ją za serce. Wzięła go w ramiona, położyła sobie jego głowę na kolanach, przytuliła mocno.

– Tyle razy dawali jej chemię – mruknął ochryple. – I nic nie pomogło. Sprzątaliśmy dom i nic się nie działo. Nic się nie zmieniało na lepsze.

– Rozumiem, rozumiem.

– Chciałem, żeby ojciec był ze mnie dumny. Tak strasznie tego chciałem.

– On jest z ciebie dumny.

– Do diabła, kochałem baseball. I nie miałem na nic wpływu. Nigdy nie będę tym, kim chciałem być. Nigdy.

– Och, Davidzie... Jak my wszyscy.

Wreszcie najgorsze minęło. Została obok niego na podłodze. Głaskała go po włosach, karku, ramionach. Poczula gładkość jego skóry, wyraźny rysunek mięśni i stawów. David podniósł głowę. Spojrzała w jego przenikliwie niebieskie oczy i nagle znalazła się na plecach, i znowu się kochali, gwałtownie i z nagłą żądzą.

Potem leżeli bez słowa, splatając i rozplatając palce dłoni. Słuchali bicia własnych serc.

– Mam nazwisko i adres akuszerki – odezwał się David wiele godzin później.

– To dobrze – powiedziała.

Wstali i ubrali się.

Adres zaprowadził ich do ładnej dzielnicy, o wiele przyzwoitszej niż można by się spodziewać po kobiecie, która odebrała poród dziecka Russella Lee Holmesa. Skromny domek stał na jednym z nowych przedmieść, otaczających Houston, gdzie każdy prawie dom wygląda tak samo, tylko jest pomalowany na odrobinę inny kolor. Piękne, zadbane trawniki. Parę młodych drzewek wychylających się ku słońcu. Patrząc na nie można się było zorientować, że domy wokół zostały wzniesione niedawno.

Dzieci na rowerach spoglądały na nich ciekawie. Kiedy David zmierzył je chłodnym spojrzeniem, szybko uciekły. Agenci FBI mają jakąś cechę wspólną, pomyślała Melanie. Można ich rozpoznać z daleka.

David otworzył przed nią drzwi samochodu. Musiała wziąć głęboki oddech, zanim wysiadła.

Kobieta, która otworzyła drzwi, wyglądała inaczej niż spodziewała się Melanie. Miała na sobie znoszoną białą koszulę i wygodne beżowe spodnie z plamami od ziemi na kolanach; w rękę trzymała ogrodniczy szpadel. Siwe włosy krył słomkowy kapelusz. Spoglądała ciepłymi niebieskimi oczami i wyglądała jak kochana babunia. W mieszkaniu unosił się zapach ciasta.

– W czym mogę pomóc? – spytała grzecznie, uśmiechając się do nich. Melanie poczuła, że także się uśmiecha.

– Pani Appiebee? – spytał David poważnie.

– Tak. Ale powinien pan wiedzieć, że jestem emerytką. Nie interesują mnie encyklopedie ani nowe religie. W moim wieku wystarcza garść ziarenek słonecznika i jeszcze parę wnucząt... ale nie mówcie mojej córce, że to powiedziałam.

David uśmiechnął się odruchowo i z trudem przybrał oficjalną minę. Pani Appiebee wzięła go z zaskoczenia.

– Rozumiem, ale proszę mi zaufać. Jestem agent specjalny David Riggs z FBI, a przyjechałem w sprawie człowieka, z którym rozmawiała pani trzy tygodnie temu... Larry'ego Diggera.

Rhonda Appiebee znieruchomiała. Przyjazny uśmiech zniknął. Przyjrzała się nieufnie Melanie, po czym wróciła do Davida, który wyciągnął legitymację.

– Ach, tak... W takim razie wejście. Przygotuję herbatę z lodem.

Przeprowadziła ich przez nowoczesny, gustownie urządzonej domek na tylny dziedziniec, pełny zaskakująco bujnej roślinności. Wielkie palmy i krzewy o jaskrawych kwiatach otaczały podwórko w kształcie nerki. W jednym rogu ziemia była świeżo poruszona. Pani Appiebee najwyraźniej tam właśnie pracowała przed ich przybyciem. Wskazała na szklany stolik, przy którym usiedli. Poprawiła żółto-niebieski parasol, by lepiej rzucał cień.

Grzecznie pochwalili jej ogród. Podziękowała i poszła do domu. Wróciła z dzbankiem mrożonej herbaty i wielkim talerzem ciasteczek.

– Makaronika? – spytała. – Upiekłam dziś rano.

David spojrzał na Melanie. Zgodziła się bez słowa. Ta kobieta była absolutnie urocza. A oni zamierzali ją dręczyć pytaniami o Russella Lee Holmesa.

– Była pani akuszerką? – spytał wreszcie David.

Pani Appiebee skinęła głową energicznie.

– Tak. Od dziesięciu lat jestem na emeryturze. Przed trzydziestu laty do moich obowiązków należało pomaganie biedakom, którzy nie mogli sobie pozwolić na lekarza, leki czy szpital.

– Larry Digger panią odnalazł?

– Tak, ale powiem panu szczerze, nie podobał mi się ani on, ani jego pytania. Grzechy ojców, tratatata. Każde dziecko ma prawo żyć i dać żyć innym. Nie chcę szukać jakiegoś biedactwa tylko ze względu na to, co zrobił jego ojciec.

– Co konkretnie powiedział pani Larry Digger?

– Miał oczywiście zdjęcie Russella Lee Holmesa. Rozpoznałam go. Widziałam wiele porodów i, choć przyznaję to niechętnie, ci biedni, okropni mężczyźni byli do siebie bardzo podobni. Żaden nie zostawał przy porodzie, to na pewno. Pojawiali się, rzucali okiem i wychodzili pić z jakimiś kolesiami. A tymczasem ich żony lub dziewczyny męczyły się nad następnym dzieckiem. Poród to kobieca rzecz, a oni za nic nie chcieli się w to mieszać.

– Gdzie to się działo? – spytał David. Wyjął notes, żeby zapisać adres, ale pani Appiebee pokręciła głową.

– To miejsce już nie istnieje. A kiedy istniało, było bardzo nędzną dzielnicą. Zrównano je z ziemią, żeby wzniesć nowoczesne bloki. Postęp.

David odłożył notes.

– Rozumiem, że nie chce pani obarczać dziecka grzechami ojca. Szczerze mówiąc, chyba wiem, kto jest dzieckiem Russella Lee Holmesa i mało mnie to obchodzi. Ale musimy zdobyć potwierdzenie informacji. I chcemy wiedzieć, o czym konkretnie rozmawiał z panią Larry Digger. W zeszłym tygodniu ktoś go zastrzelił.

Pani Applebee skierowała na niego spojrzenie niebieskich oczu. W ten sam sposób oceniła Melanie. Wreszcie podjęła decyzję.

– Dobrze. Co pan chce wiedzieć?

– Zacznijmy od Russella Lee Holmesa. Czy spędziła z nim pani dużo czasu?

Nie. Powiedziałam: dzień dobry, jak ona się czuje? Wzruszył ramionami. Powiedział, że ja się na tym znam lepiej niż on i żeby go zawołać, jak już będzie po wszystkim. Potem wyszedł, a ja zajęłam się jego żoną. Przynajmniej tak ją nazywał, choć nie widziałam żadnych obrączek.

– Jaka ona była? – nie wytrzymała Melanie. Rhonda Applebee spojrzała na nią z zaciekawieniem. – Jego żona. Ta matka.

– O, zrobiła na mnie lepsze wrażenie niż on. Bardzo twarda dziewczyna. Miała już prawie pełne rozwarcie, ale nie uroniła nawet łzy. Tylko gniotła kurczowo prześcieradła. Wydawało mi się, że jest mądra... zadawała dobre pytania. I patrzyła mi w oczy, a do tego trzeba mieć szacunek dla samego siebie. Wspomniała, że używała diafragmy i że kobiety takie jak ona nie powinny mieć dzieci. Mądra i w dodatku realistka. Podejrzewam, że jej mąż dowiedział się o tej diafragmie i zaprowadził porządek. Nie była zadowolona, lecz chyba uznała, że co się stało...

– Czy... czy chciała tego dziecka? Czy ono ją obchodziło? – spytała Melanie.

Twarz pani Applebee złagodniała.

– Kiedy dziecko wreszcie wyskoczyło na świat, widać było, że jest zmęczona, ale że już się martwi o jego los. Jejku, ten uśmiech na jej twarzy, ten blask w jej oczach...

– Co się stało dalej?

– Kiedy już sprzątałam, Russell Lee wrócił wreszcie do domu. Trochę się chwiał, pewnie koleś postawili mu parę piwek. Oczywiście w pierwszej kolejności obudził żonę. Pokazała mu dziecko. Obejrzał je i skinął głową, chyba zadowolony. Nawet pogłaskał ją po policzku, co było najmiłym gestem, jaki widziałam w tej dzielnicy. Wyglądało na to, że jest naprawdę dumny. Wypiął pierś i chodził po domu cały szczęśliwy, jakby miał nowy samochód i w dodatku sam go zrobił. Wreszcie spytał mnie, ile jest winny. Powiedziałam, że tyle, ile może. Dał mi dziesięć dolarów, przyjrzał się stertom pieluszek i odżywek i stęknął. Powiedziałam, żeby do mnie zadzwonił, jeśli będzie potrzebował jeszcze czegoś. Wtedy widziałam ich po raz ostatni. Wiele lat później wzięłam gazetę i proszę! Ten sam człowiek, teraz uznany za mordercę dzieci. Naprawdę, nie wiedziałam, co mam o tym myśleć.

– Zgłosiła się pani na policję?

– Po co? Byłam przy porodzie jego dziecka, to wszystko. Poza tym może nie jestem lekarką, ale nawet akuszerki dochowują tajemnicy zawodowej.

Ale na tym się nie skończyło? Pani Applebee wreszcie okazała odrobinę wahania.

– Nie. Parę tygodni po ukazaniu się artykułu złożył mi wizytę pewien mężczyzna z grzywą rudych włosów i irlandzkim akcentem. Powiedział, żebym zapomniała wszystko, co wiem o Russellu Lee Holmesie, jego żonie i dziecku. Usiłował mi dać pieniądze. Nie wzięłam. Wykonuję dobrze mój zawód i powiem wam to samo, co powiedziałam jemu: moje sprawy zachowuję dla siebie, a on może się wypchać swoimi dolarami.

– I co powiedział?

– Roześmiał się. Bardzo uroczy człowiek, ale jednak... widać było, że... – Pani Applebee po raz pierwszy wydawała się nieco zbита z tropu. – Miał w sobie coś takiego... – podjęła z desperacją. – W moim zawodzie stykałam się z najróżniejszymi ludźmi: dobrymi, złymi, miłymi, okrutnymi. Po jakimś czasie człowiek zaczyna się orientować, że nie chodzi o to, w co się ubierają czy jak żyją. Można rozpoznać człowieka po wyrazie oczu, a ten Irlandczyk miał takie spojrzenie... Znał się na wielu rzeczach, robił wiele rzeczy, był zdolny do wielu rzeczy...

Pokręciła głową i zadrżała lekko.

– Powiedzmy, że dostałam wiadomość: czy wezmę pieniądze, czy nie, lepiej żebym zapomniała o Russellu Lee Holmesie. – Spuściła oczy i dodała ciszej: – I na jakiś czas zapomniałam.

David spojrział na Melanie. Skinęła żałośnie głową. Larry Digger mówił prawdę. Jamie O'Donnell rzeczywiście złożył wizytę akuszerce. Jej ojciec chrzestny był u tej miłej kobiety i groził, że zrobi jej krzywdę.

– Larry Digger twierdził, że chodziło pani o pieniądze – szepnęła ledwie dosłyszalnie.

Pani Applebee robiła wrażenie obrażonej.

– Rozejrzyj się, dziecko. Na co mi pieniądze? Mój Howard się o mnie zatroszczył!

– Dlaczego opowiedziała pani, co się stało? – spytał dyplomatycznie David. – Ten człowiek pani groził.

– Ach... – wzruszyła ramionami. – Bałam się. Mogę to już przyznać. Ale miałam wtedy czterdzieści lat i byłam bardziej świadoma kruchości życia. Teraz mam siedemdziesiąt lat, moje dzieci są dorosłe. Co mnie obchodzi jakiś Irlandczyk? Co mnie obchodzi Russell Lee Holmes? To wszystko już przeszłość. Pan też musi sobie zdawać sprawę, że świat nie zginie przez jednego człowieka, nawet przez złego człowieka.

– Czy oprócz tego Irlandczyka i Larry'ego Diggera ktoś jeszcze pytał panią o Russella Lee Holmesa?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek spotkała pani jeszcze tę kobietę?

– Nie.

– Znała pani jej nazwisko?

– Angela Johnson. Pan Digger powiedział, że było fałszywe.

– Czy może ją pani opisać?

– Och, nie wiem. Widziałam ją rodzącą. Nie najlepsza chwila dla kobiety. Była dość niska, chyba jakieś metr sześćdziesiąt. Mocno zbudowana. Niebieskie oczy. Ciemne włosy, naturalnie kręcone. Miała dwadzieścia parę lat, więc teraz ma pewnie pod sześćdziesiątkę.

David spojrział na Melanie.

– Przypomina ci kogoś ten opis?

– Nie...

– Ann Margaret. Otworzyła szeroko oczy.

– Nie!

Ale miał rację. Zanim Melanie ochłonęła, David zwrócił się do pani Applebee i zadał jej jeszcze bardziej absurdalne pytanie.

– Czy przypadkiem nie widziała pani ostatnio Russella Lee Holmesa?

– Co?

– On nie żyje! – krzyknęła Melanie.

– Wybacz, nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć, ale dostaliśmy nowe informacje na temat skrawka materiału z twojego pokoju. Były na nim dwie grupy krwi. Pierwsza należy do ciebie, a druga, biorąc pod uwagę badania DNA, do twojego ojca.

Melanie poczuła tętniący ból za okiem. Drewniana chata, Mała dziewczynka. Ciężar majaczący w drzwiach.

– Chwileczkę – odezwała się pani Applebee. – Uważacie, że to ona jest dzieckiem Russella Lee Holmesa?

– Tak.

– Niby dlaczego?

– Larry Digger tak powiedział – odparł David z równym zdumieniem. – Bo co?

– To absolutnie niemożliwe. Russell Lee miał syna.

Brian Stokes dotarł do motelu w Huntsville około południa. Był w drodze od piątej rano i choć zdołał zdrzemnąć się na lotnisku, czuł się zmęczony, obolały i rozdrażniony. Przynajmniej miał szczęście. Za dwadzieścia dolarów znalazł w agencji wynajmu samochodów osobę gotową poszperać w papierach. Kiedy się już dowiedział, że Melanie wynajęła samochód, przyszło mu do głowy, by zatrzymać się przy informacji. Okazało się, że jej wielkie niebieskie oczy wywarły niezatarte wrażenie na urzędniku. Dzięki niemu trafił do Huntsville, a w pierwszym rzędzie zajrzał do motelu numer sześć.

Wyszedł z samochodu. Upał i wilgoć uderzyły go jak mokry ręcznik. Koszula przylepiła mu się do pleców. Witaj w domu, pomyślał. Jezu, nie tęsknił za Teksasem.

W motelu skłonił recepcjonistkę do wyznania, że choć nie ma gościa o nazwisku Stokes, przebywa tu osoba odpowiadająca rysopisowi Melanie.

Brian puścił do niej oko. Mała zaczerwieniła się jeszcze bardziej i wyjąkała, że może przekazać wiadomość. Brian nie skorzystał. Nie wiedział, do czego jest zdolna jego siostra i nie chciał jej skłonić do dalszej ucieczki. Postanowił poczekać i spotkać się z nią osobiście.

Wrócił na parking nieco pogodzony z życiem. Odnalazł Melanie. Zaopiekuje się nią. Wszystko będzie dobrze.

Odwrócił się do samochodu i stanął twarzą w twarz z ojcem.

– Co tu robisz, do diabła? – spytał Harper. Koszulę miał przemoczoną, krawat przekrzywiony. Brian spędził męczącą noc, ale jego ojciec najwyraźniej miał za sobą wiele godzin bez snu.

– Szukam Melanie – powiedział Brian. – A ty co tu robisz?

– To, co powinienem był zrobić dwadzieścia pięć lat temu.

– Co? Powiedzieć prawdę? Wiem, co zrobiłeś, tato. Wiem, że nie zapłaciłeś okupu. Wiem, że sprzedałeś własną córkę za to pieprzone ubezpieczenie. Jak śmiałeś...

– Dzięki mnie ta rodzina istnieje!

– To ty nas zniszczyłeś!

– Zrobiłem, co było trzeba!

– Poświęcając własne dziecko? Sprzedając moją siostrę?

– Nienawidziłeś jej! Niszczyłeś jej zabawki.

– Kochałem ją. Była sobą, była Meagan. Uśmiechała się do nas, ufała nam. Do diabła, ufała nawet tobie. Jak mogłeś to zrobić czteroletniej dziewczynce? Jak mogłeś zrobić to mnie?

Harper spurpurowiał.

– Ty niewdzięczny gówniarzu – wycodził tonem, który Brian słyszał u niego po raz pierwszy. – Nie masz pojęcia o niczym. Nie będę się tłumaczył przed własnym synem. To ja cię wychowałem. Zrobiłem dla ciebie wszystko i tak mi się odwdzięczasz? Po raz ostatni mówię, że nie skrzywdziłem Meagan! I dość już tego!

Unióś rękę. Dopiero teraz Brian zauważył biały bandaż. Wyglądało na to, że krył dużą ranę – w miejscu najbardziej istotnym dla chirurga. Potem, bardzo powoli, dostrzegł resztę. Ojciec trzymał pistolet. Jego rodzony ojciec mierzył do niego z pistoletu.

Brian poczuł, że spływa na niego niewyobrażalny spokój.

Po raz pierwszy w życiu zdał sobie sprawę, że zawsze pragnął tylko miłości ojca... i tu

właśnie popełnił błąd. Harper nie był tego wart. Liczyła się tylko matka i siostra. To one go kochały. A teraz było już za późno.

– Nie pozwolę ci skrzywdzić Melanie – powiedział rzeczowo. – Nie stracę następnej siostry.

– Wiem. Zaufaj mi, robię to dla twojego dobra.

Harper zerwał bandaż z ręki. Brian spojrział na krwawą, rozognioną ranę. Świeży tatuaż: 666.

Ostatni prezent, pomyślał. W tej samej chwili ręka ojca śmignęła ku niemu z zaskakującą siłą.

Brian usiłował zablokować cios, ale ruszał się za wolno. Rękojeść pistoletu uderzyła go prosto w nos. Usłyszał trzask. Trzask pękającej kości.

Przepraszam, Melanie.

I zapadła ciemność.

– Nie rozumiem – wyszeptała Melanie. – Nie rozumiem.

– Gdzieś się pomyliliśmy. To się zdarza w śledztwie. Musimy się cofnąć. Melanie siedziała obok niego w samochodzie, całkowicie wyzuta z sił.

Patrzyła ponuro przez okno.

– Więc dlaczego widzę tę szopę? Cały czas widzę tę cholerną izbę i Meagan Stokes. Dlaczego czuję zapach gardenii, na pewno gardenii? Dziewczynka siedząca w kącie. Dziewczynka nagle rzucająca się do drzwi. Biegająca przez gęste, kłujące zarośla. Ale nie ucieknie. Ja to wiem. Ja wiem.

David zastanawiał się przez chwilę.

– Może Larry Digger skierował nas na złą drogę. To on stwierdził, że jesteś córką Russella Lee. A my poszliśmy za nim jak stado baranów.

– Ale ja to widzę...

– Naprawdę? Pamiętasz, co powiedział Quincy? Miał przed sobą zdjęcie szopy Russella Lee i powiedział, że to nie ją opisujesz. Wtedy nie zwróciliśmy na to uwagi. Może popełniliśmy błąd.

– Ale dlaczego widzę Meagan i Russella Lee Holmesa?

– Może to siła sugestii. Nie wiedziałaś, skąd pochodzisz. Jest w tobie głód informacji. Nagle pojawia się jakiś człowiek i rzuca ci strzęp faktu. Wiesz, jak wyglądała Meagan, jej portret wisi w twoim domu od dwudziestu lat. Może kiedyś widziałas nawet Russella Lee Holmesa. Nie był ci zupełnie obcy.

– Nie. Pamiętam, że gdzieś o nim słyszałam.

– I ziarno zostało zasiane. A kiedy pojawił się Larry Digger, dałaś się ponieść fantazji. Ten strzęp, który ci rzucił, stał się w twoich oczach udowodnionym faktem. Sama dodałaś do niego rozmaite szczegóły. Ale oczywiście nie trafiłaś.

Skinęła głową. Larry Digger pojawił się tak nieoczekiwanie i zrobił na niej takie wrażenie... Potarła skroń.

– Jeśli to prawda, dlaczego zapach gardenii wywołuje we mnie wspomnienia? To ty mi powiedziałaś, że zapach może uruchamiać wspomnienia. Jeśli to wszystko sobie wymyśliłam, dlaczego te wizje pojawiły się zaraz po tym, jak poczułam gardenie?

– Cofnijmy się do tego, co wiemy naprawdę. Ktoś zamordował Meagan Stokes i nie był to Russell Lee Holmes.

Melanie skinęła głową.

– Nie zrobili tego twoja matka i brat, ponieważ mają alibi i sami także bardzo ucierpieli po stracie Meagan.

– Tak.

– Ale twój ojciec mógł mieć z tym coś wspólnego. Wiemy, że potrzebował pieniędzy. A twój ojciec chrzestny prawdopodobnie mu pomógł... – skontaktować się z Russellem Lee.

– Właśnie. A więc wiemy, że Meagan zginęła dla pieniędzy i zbrodnia została „podrobiona”, by się tak wyrazić. Dlatego zwrócili się do Russella Lee, żeby się przyznał i uwolnił ich od podejrzeń. Russell Lee rzeczywiście przyznał się do morderstwa, więc pewnie mu coś obiecali w zamian. Melanie zawahała się.

– A krew na materiale? Może Russell Lee jednak żyje. Może to właśnie mu obiecali. To on może pociągać za sznurki.

– Nie. Nie kupuję tego. Ten człowiek zginął w obecności wielu świadków. Nawet jeśli dałoby się przekupić koronera, żeby potwierdził jego śmierć, to przecież rozsadziło mu ręce i stopy! Tego nie można udać.

– Chyba, że w izbie śmierci znalazł się ktoś inny.

– A kto by się zgodził go zastąpić? Jaki idiota pozwoliłby się usmażyć za kogoś innego? To chyba zbyt naciągana teoria. Poza tym – dodał z nagłym ożywieniem – krew na materiale nie należy do Russella Lee. Test DNA stwierdził, że to krew twojego biologicznego ojca. A skoro nie jesteś córką Russella Lee Holmesa... Kim właściwie jest twój ojciec?

Melanie pokręciła głową. Czowała narastającą migrenę. Mętne wizje miejsca i czasów, które minęły... Wirujące, białe światła. Zamknęła oczy i oparła czoło o szybę.

– Miałaś rację – rzucił David gwałtownie. – Cholera, miałaś rację od samego początku!

– Tak?

– Twoja rodzina naprawdę cię kocha. Nie ma w niej złych ludzi. Ta rodzina jest dokładnie taka, jak ci się wydawało. To dlatego nic się nie zgadzało. Usiłowaliśmy rozwiązać tajemnicę morderstwa, którego nie było! Cholera, cholera, cholera!

– Co takiego?

David zamilkł. Obejrzał się, wrzucił wsteczny bieg, wdepnął gaz i ruszył z piskiem opon.

Będzie dobrze.

– Boli mnie głowa.

– Wiem. Trzymaj się. Chcę, żebyś zobaczyła jeszcze jedno, ostatnie miejsce. A wtedy, jeśli mam rację, zdasz sobie sprawę, kim jesteś i wreszcie to zakończymy.

– Bardzo chcę to zakończyć.

– Oczywiście, Melanie. A raczej... Meagan.

Ile razy myślałam o Teksasie, czułam, że wszystkich zawiodłam – wyznała Patricia Stokes. – Jako żona, matka, kochanka. Kiedy Harper zaproponował, żebyśmy się przeprowadzili, pomyślałam, że nie chcę tu wracać. Nie chciałam już nigdy więcej oglądać tych miejsc. Oskarżałam je o moje cierpienie.

– Sama też podjęłam takie postanowienie – powiedziała Ann Margaret. – Ale raczej z konieczności. Zawsze się bałam, że Larry Digger nie da nam spokoju. A jeśli nie on, to ktoś inny. W dzieciństwie myślałam, że błąd to błąd. Popelnia się go, naprawia i można żyć dalej. Teraz uważam, że niektóre błędy są jak kamyk rzucony do wody. Zaczyna się od małej falki, potem kręgi rozchodzą się coraz dalej; coraz większy krąg błędów staje się potworną falą i wreszcie zatapia.

Patricia zerknęła na nią z ukosa. Były w podróży od świtu, przegadały wiele godzin. Wreszcie wyjaśniły sobie pewne rzeczy. Wiele innych dopiero czekało na wyjawienie.

– Jak mogłaś pokochać takiego człowieka? – spytała. Ann Margaret uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Nie sądzisz, że ja też mogłabym ci zadać to pytanie?

Patricia odwróciła twarz. Im więcej dowiadywała się o Harperze, tym mniej czuła ochoty, by oceniać innych.

– Kiedy jesteście małe – dodała łagodnie Ann Margaret – kochamy tych, których nauczone nas kochać.

– Ojców.

– Tak.

– A kiedy dorastamy i zaczyna do nas docierać...

– Jest już za późno.

– Jak to możliwe, że się nie zorientowałam?

Dotarły na miejsce. Ann Margaret zahamowała przed wielkim georgiańskim dworem, pierwszym domem Patricii i Harpera. Białe kolumny nadal stały dumne i proste, ale farba się łuszczyła, a pod dachem pojawiła się pleśń. Kiedy Patricia zamieszkała w nim jako panna młoda, ten dom wydał się jej piękny. Teraz był stary i zaniedbany, jeden z tych, które tak trudno sprzedać.

Od roku był wystawiony na sprzedaż, jak dowiedziała się Ann Margaret. Pokoje stały pustką; właściciele przenieśli się na Florydę. Trawa wybujała zbyt wysoko, a pomiędzy kwiatami wyrastały chwasty.

Patricia zapamiętała go inaczej. Wygląd domu przypominał jej o upływie lat.

– Boże, Annie... Zdradziłam moją córeczkę...

– Jak my wszyscy.

– Ale to ja byłam jej matką!

– Wiem. Dlatego ją adoptowałaś. Nie zdawałaś sobie sprawy, że pokochałaś ją od pierwszego wejrzenia? Podświadomie wiedziałaś. Przyjęłaś do wiadomości, że Meagan nie żyje, ale serce matki nie dało się oszukać.

– Co ona sobie myślała? I ta scena z Williamem. Moje biedactwo, musiała zastrzelić mężczyznę, którego kiedyś kochała. Czy można się z tym pogodzić, nawet wiedząc, że miało się

prawo? To za wiele. Nie powinna przez to przechodzić! Dlaczego się nią nie zaopiekowaliśmy?

– Jest silniejsza niż myślisz. Ma to po tobie.

– Nie chcę, żeby musiała być silna. Chcę, żeby była bezpieczna. Chcę ją odzyskać! – Patricia zacisnęła pięści. Miała ochotę kogoś uderzyć, rzucić się na kogoś z wściekłością. A mogła się tylko opanować i czekać – dla dobra córki.

– Powiedz mi – odezwała się, gdy zdołała rozewrzeć palce. – Jesteśmy tutaj. Wiem, co się wtedy stało. Co zrobimy?

Ann Margaret wzruszyła ramionami.

– Jeśli idzie tropem przeszłości, wcześniej czy później tu przyjedzie. A jeśli Harper i Jamie jej szukają, wcześniej czy później także tu zajrzą. Na razie czekamy.

David wreszcie zwolnił. Melanie otworzyła oczy. Zasnęła niemal natychmiast, gdy dotarli na autostradę. Czuła się obolała, otepiała, jakby przygniatał ją wielki ciężar. Pot perlił się jej na górnej wardze i czole. Gardło miała wyschnięte, spieczone.

Znalazła na podłodze puszkę coli i pociągnęła duży łyk. Napój nie splukał wrażenia narastającego zagrożenia.

– Przyjrzyj się – odezwał się cicho David. – Przypominasz sobie? Pojedziemy powoli.

Znajdowali się między starymi domami na szczycie wzgórza. Niegdyś były pewnie efektowne, teraz stały smutne i zaniedbane. Chwasty pieniały się w szczelinach popękanego asfaltu. Małe zagajniki, niegdyś zapewne miłe i cieniste, zmieniły się w kolczaste chaszczce.

Przez okno wpadł zapach gardenii.

Panika złapała ją za gardło.

– Ja tu byłam... Byłam tu...

– Tu mieszkała twoja rodzina. Patricia, Harper, Brian i Meagan.

Po chwili pojawił się przed nimi rozłożysty dom.

Duże białe kolumny. Styl georgiański. Ogromna powykęciana wiśnia na trawniku, wspinała do wspinania się. „Podsadz mnie, tatusiu. Podsadz mnie!” Gęsty żywopłot, niegdyś idealny do zabawy w chowanego. „Brian mnie nie znajdzie!” Wijąca się ścieżka, na której grało się w klasy. „Patrz na mnie, mamusiu, patrz na mnie!”

Obok czerwonego sedana stały dwie kobiety. Siwe sztywne kędziory. Złote, lśniące fale.

„Mamusiu, mamusiu, kiedyś będę wyglądała tak samo jak ty”.

Powoli zwróciła spojrzenie na Davida. Miał zatroskany wyraz twarzy. I nagle zniknął.

Zapadała się w czeluść, spadała w ziejącą czernść... aż znalazła się w drewnianej chacie. Miała cztery lata.

– Chcę do domu – wyszeptała. – Jamie, kiedy pójdziemy do domu?

– Już dobrze, Melanie. Ze mną jesteś bezpieczna – usłyszała głos Davida. – Jesteś Meagan Stokes. Twoja rodzina cię nie skrzywdziła, nie opuściła. Ojciec tylko stworzył iluzję twojej śmierci. Bardzo sprytnie oszustwo. Harper się na tym zna.

– Nie rozumiesz... Nie wiesz...

W oddali rozległ się ryk silnika. Zbliżał się następny samochód. Obie kobiety odwróciły się i spojrzały w jego kierunku. David zerknął we wsteczne lustro. Melanie przyglądała się im z rezygnacją. Nie wiedzieli. Nie rozumieli. Ona także kiedyś chciała uciec. I nauczyła się...

– Cholera – mruknął David. Wdepnął gaz. Melanie spojrzała na niego ze smutkiem.

– Nie uciekaj – powiedziała cicho. – Kiedy się ucieka, jest jeszcze gorzej.

– Trzymaj się, Melanie. Cholera jasna, trzymaj się.

Ruszył z piskiem opon w dół zbocza, ku zagajnikowi. Za nimi rozległy się krzyki. Kobiety uciekały. Wszyscy uciekali, nawet ona, we wspomnieniach. Teraz sobie przypomniała. Czwarty dzień, rozpaczliwa walka o wolność. Chciała znowu zobaczyć rodzinę.

Nie biegła dość szybko. Nie była dość zwinna. Ach, dziecko, nie rozumiesz, że kiedy uciekasz, robisz sobie krzywdę?

Ocknęła się, słysząc ostre przekleństwo. Zerknęła na Davida. Pot wystąpił mu na twarz. Przed nimi wyłonił się ostry zakręt, a oni jechali za szybko. O wiele za szybko. Kiedy uciekasz, robisz sobie krzywdę.

David znowu zaklął. Tylne opony zapiszczały. David walczył z nimi, szarpał za kierownicę tak mocno, że na rękach nabrzmiały mu mięśnie. Potem zaczął się modlić i wreszcie, w ostatniej chwili, spojrzął przeproszająco na Melanie i wyszeptał jej imię.

Kocham go, pomyślała. A potem: przepraszam.

Tylne opony puściły. Samochód skoczył naprzód. Co to za hałas? Ach, to jej głos, to ona tak krzyczy.

Kiedy uciekasz, robisz sobie krzywdę.

Drugi samochód wpadł na nich z rozpędu. Przez chwilę widziała wstrząśniętą twarz ojca. Potem ich samochód znalazł się w powietrzu.

David wziął ją za rękę. Poczula silne, ciepłe i szorstkie palce, splatające się z jej palcami.

Ziemia zbliżała się szybko. Wylądowali. Zgrzyt metalu. Krzyk, urwany gwałtownie. Ciemność.

Jamie dyszał ciężko, gorączkowo namierzając przez lornetkę stary dom Stokesów. Miał wrażenie, że od rana bierze udział w maratonie.

Najprawdopodobniej był już na to po prostu za stary. A ta chwila, kiedy wreszcie nadeszła, okazała się zbyt denerwująca. Ręce mu się trzęsły i od dawna nie był taki przerażony.

Poszedł za Brianem na lotnisko, bo martwił się o chłopaka. Potem doszedł do wniosku, że musi mu pozwolić stać się prawdziwym mężczyzną więc kupił dla siebie bilet do Houston.

Wylądował na Houston Intercontinental, lotnisku, które przywiodło mu na myśl zbyt wiele wspomnień. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że żadne z nich aż do tej pory nie wróciło do Teksasu. Unikali tego stanu, jakby był siedliskiem zarazy.

Właściwie szkoda. Choć wiele wspomnień budziło gorycz, zdarzały się także słodkie. Patricia. Tekszańskie noce. Przyglądanie się, jak rośnie mały Brian. Cudowne narodziny Meagan. Boże, chwyciła go za palec taką maleńką, mocną rączką. Jego dziecko. Córeczka Jamiego O'Donnella!

Odnalezienie Melanie w Huntsville nie sprawiło mu kłopotu. Dziewczyna była mądra i pomysłowa, przyznawał to z dumą, ale bez trudu wyszedł ją w motelu. Przybycie faceta z FBI trochę go zdenerwowało, ale wyglądało na to, że między nimi coś jest. I to coś dobrego. Na samym początku sprawdził tego specjalnego agenta Davida Riggsa, tak jak to robił z jej wszystkimi znajomymi. Lubił myśleć, że na tym polegają obowiązki ojca – na poznawaniu towarzystwa córki.

Ten Riggs wypadł całkiem nieźle. Pochodził z klasy średniej. Ceniony w pracy, a Jamie zasięgał opinii od człowieka, który nie znośił wygłaszać pochwał. Artretyzm, niestety... ale chłopak jakoś z nim walczył i na pewno miał nieprzeciętny rozum, skoro tak szybko rozszyfrował Harpera. Już to samo sprawiło, że Jamie ocenił go na szóstkę z plusem.

Jednak jego obecność utrudniała śledzenie Melanie. Jamie uważał, że gdyby dziewczyna była sama, nie przyszłoby jej do głowy spojrzeć w lusterko wsteczne. Ale ten Riggs był zawodowcem. Jamie musiał trzymać się z daleka od nich. Od czasu do czasu zjeżdżał w inną ulicę. Kiedy dotarli do okolicy, w której mieszkała pani Applebee, zrobiło się łatwiej. Jamie zatrzymał się na stacji benzynowej i zaczekał na nich.

Czterdzieści minut później wynajęty samochód pojawił się w polu jego widzenia. Jamie zdołał przyjrzeć się Melanie. Była blada, wstrząśnięta i przerażona.

Matko Boska. Serce ścisnęło mu się boleśnie.

Za każdym razem, gdy usiłował chronić swoją córkę, sprawiał jej tylko ból. A to mu nasunęło straszną, gorzką myśl, że Harper może jest jednak lepszy od niego. Melanie rzuciła się w jego ramiona, kiedy ją adoptował. Nazywała go tatą, starała się wywołać uśmiech na jego twarzy. Wydawała się szczęśliwa.

A kiedy Jamie pochylił się, żeby wziąć ją w ramiona, jego rodzona córka, którą przez pięć długich lat chronił z narażeniem siebie, cofnęła się przed nim.

Ciągle pamiętał tę chwilę. Jak serce przestało mu bić. Jak poczuł suchość w ustach. Jak palce same zacisnęły się mu w pięść.

Jak Harper uśmiechnął się złośliwie na widok jego bólu.

I jak Jamie nagle zdał sobie sprawę, że nienawidzi tego sukinsyna.

Od tego dnia pragnął tylko, żeby Melanie sobie przypomniła. Powinna poznać prawdziwą naturę tego chciwego egoisty. Powinna też poznać prawdziwą naturę Jamiego. Powinna wiedzieć, że przez wszystkie te lata kochał ją z całego serca.

Ale do tego nigdy nie doszło. Melanie była szczęśliwa jako Melanie. Harper odnosił się do niej zaskakująco dobrze, może dlatego, że wiedział, jak to wkurza Jamiego. A może i on ją pokochał, bardziej niż chciałby przyznać. Patricia i Brian uwielbiali ją, tak gorliwie weszli w rolę matki i brata, że na ten widok Jamie czuł się nieswojo. A Melanie... Melanie wyrosła na śliczną, zadowoloną z życia młodą kobietę. I wściekłość Jamiego straciła rozpęd.

Mógł już pragnąć tylko tego, co było dla niej najlepsze. I choć duma domagała się działania, a zranione uczucia bolały, nigdy nie zrobił nic, by zakłócić tę sielanekę. Miłość do dziecka jest upokarzająca, sam się przekonał. Nie spodziewał się, że może upaść tak nisko i że tak chętnie pogodzi się z tym upadkiem.

Aż raptem pół roku temu Harper podstępnie narzucił Melanie Williama Sheffielda. I wyrzucił Briana z domu za to, że był gejem. Wreszcie zaczął popychać Patricję do picia, aż w końcu cała rodzina Melanie znowu rozsypała się na cztery wiatry. A Harper udawał, że jest lepszy od nich wszystkich, choć przez cały czas kroił zdrowych ludzi dla zarobku.

Cierpliwość Jamiego się wyczerpała. Dwadzieścia pięć lat temu dał Harperowi cały świat. Nowy początek z milionem dolarów. A przy najbliższej okazji także własną córkę, żeby rodzina Harpera znów była kompletna. Dał mu wszystko, co mógł. Nie potrafił zrobić nic więcej, żeby Patricia była szczęśliwa. Jak Harper mógł rzucić ich wszystkich dla pieniędzy!

Nawet w gniewie Jamie potrafił zachować spokój. Zaplanował strategię, dopilnował wszystkiego i uruchomił maszynię.

Harper miał wreszcie otrzymać zapłatę. Do Jamiego będzie należało zwycięstwo.

Ale po drodze wydarzyło się wiele rzeczy. Harper wynajął płatnego mordercę, żeby zlikwidował Larry'ego Diggera i Melanie. Jamie domyślił się tego, gdy zobaczył portret pamięciowy w telewizji – był to jeden z jego znajomych, którego niegdyś poznał z Harperem. Musiał wytropić drania i posłać mu trzy kulki w serce. Dla zasady. Nie powinien zaczynać z jego córką.

A co do zapłaty dla Harpera... wszystko w swoim czasie.

Ale Harper znowu go zaskoczył. Przycisnął Williama tak mocno, że biedak się załamał. A potem usiłował oskarżyć Melanie. Jakby syn Russella Lee Holmesa zasługiwał na coś więcej.

I wreszcie jakieś czterdzieści pięć minut temu Jamie zauważył Harpera w Houston. Najwyraźniej kochający tatuś postanowił odnaleźć córkę.

Gracze zgromadzili się przy jednym stole, ale figury przesuwają się szybciej niż Jamie się spodziewał. Po raz pierwszy od miesiąca, gdy rozpoczął tę grę, naprawdę się przestraszył.

Nie o siebie. O Melanie.

Teraz siedział w samochodzie w pobliżu starego domu Stokesów. Miał dobry widok na ulicę. Widział przybycie Patricji i Ann Margaret. Potem dostrzegł Harpera, który zaparkował samochód w bocznej uliczce i czekał.

Pojawiła się Melanie z Davidem. Harper ruszył, dodał gazu... i nagle oba samochody zaczęły pędzić na złamanie karku. Pod górę, jeden za drugim.

Pisk opon. Zgrzyt metalu. Przed oczami Jamiego realizowały się jego najgorsze lęki, a on stał za daleko, żeby pomóc. Samochód zawirował, uderzył w drugi, wyprysnął w powietrze.

Wylądował z okropnym trzaskiem; maska odskoczyła do góry.

Patricia i Ann Margaret zaczęły krzyczeć i zerwały się do biegu.

On czekał, wstrzymując oddech, na znak życia jego córki.

Drzwi samochodu się otworzyły. Melanie wysiadła chwiejnie. Zakrwawione czoło. Ona sama oszołomiona i na wpół przytomna. Nagle rzuciła się w zarośla.

Jamie usiłował ją zawołać, ale stał za daleko. Harper wysiadł z pistoletem w rękę. Pobiegł za Melanie.

Riggs nie dawał na razie znaku życia. Nie było czasu, żeby to sprawdzać. Jego pierwszą myślą – jedyną – była zawsze Melanie.

I tak to się wszystko skończy, pomyślał.

Zerwał się do biegu. Miał broń, miał doświadczenie, miał przygotowanie. A jednak kiedy wpadł w zarośla, myślał tylko o córce i bał się jak nigdy w życiu.

Jeszcze nie wiesz niczego, dziecko. Jeszcze niczego nie wiesz...

Och, Jezu, weź moje głupie życie, tylko uratuj moją córeczkę. Uratuj moją córeczkę przed Harperem.

Czteroletnia Meagan biegła przez zarośla. Biegła, biegła, biegła. Gałęzie szarpały ją za włosy, raniły policzki. Niskie kolczaste krzaki chwytaly za ulubioną niebieską sukieneczkę, zatrzymywały.

Biegła z wysiłkiem, małe nóżki poruszały się niestrudzenie. Musiała uciekać. Szybko. Szybko, szybko, szybko.

Chciała wrócić do domu, do mamusi. Pora wracać do domu.

Biegła, ale za plecami słyszała zbliżające się, dudniące kroki.

Tatuś Jamie biegł za nią. Tatuś Jamie chciał ją znowu zaprowadzić do chaty. Ale ona chciała do mamusi! Chciała do Briana!

Nie możesz wracać do domu. Oni cię już nie chcą.

Ja chcę do domu!

Będzie dobrze, dziecko, zajmę się tobą. Wyjedziemy stąd, przeprowadzimy się w bardzo ładne miejsce. Możesz mieszkać jak księżniczka w dalekim królestwie, które nazywa się Londyn.

Ja chcę do domu!

Wiem, kochanie. Ale nie możesz. Harper... twój tatuś nie jest teraz dla ciebie dobry. To nawet nie jest twój prawdziwy tatuś. Boję się, że tak naprawdę chce tylko pieniędzy.

Do domu!!!

Kochanie, nie!

Kroki, coraz bliżej. Trzask gałęzi, trzask krzaków.

Biegnij, Meagan, biegnij. Szybciej, szybciej.

Zbliżające się kroki...

Dyszenie...

Uciekaj, Meagan!!!

Jakaś ręka wystrzeliła spomiędzy gałęzi i chwyciła ją w talii. Melanie nabrała oddechu, żeby krzyknąć. Druga ręka zakryła jej usta, a ona znalazła się przyciśnięta do dużego, krzepkiego ciała.

– Ciii... – szepnął jej do ucha Jamie O'Donnell. – Nie hałasuj.

Dopiero teraz usłyszała trzaski łamanych gałęzi. Harper pojawił się o parę metrów od nich. Torował sobie drogę przez zarośla. Trzymał w ręku duży pistolet.

David ocknął się, słysząc w uszach dzwonienie. Zamrugał i zdziwił się, co robi na strzelnicy. I dlaczego na strzelnicy jest tak jasno. I dlaczego ma taką mokrą twarz.

Uniósł rękę i zaraz ją opuścił. Była zakrwawiona.

Sięgnął po Melanie i zdał sobie sprawę, że jest w samochodzie sam. Drzwi po jej stronie były szeroko otwarte, pas bezpieczeństwa leżał na ziemi. Drugi samochód, tuż za nimi, także był otwarty.

Pchnął drzwi po swojej stronie. Nic. Cholera. Ręce mu się trzęsły, a na skroni rósł pierwszorzędny guz. Przynajmniej raz bolało go coś innego niż plecy. Jezu Chryste, musi dogonić Melanie.

Wreszcie pokonał pas bezpieczeństwa, przecisnął się na siedzenie pasażera i upadł na ziemię. Świat wirował.

Wstał z wysiłkiem, trzymając się samochodu. Miał pistolet, więc nie był bezbronny. Melanie ciągle tam była, bez wątpienia oszołomiona, zagubiona i spanikowana.

Zbieraj się, David. Oprzytomniej.

Zerwał krawat i owinał nim sobie czoło. Krew przestała lecieć w oczy. Wbił paznokcie w dłón. Ból otrzeźwił go na tyle, że świat przestał się kręcić.

Odbezpieczył swoją wspaniałą berettę, po raz pierwszy od wielu lat pomyślał o ojcu z wdzięcznością i skoczył w las.

Melanie stała jak skamieniała. Serce łomotało jej w piersi. Wszystko ucichło; teraz każdy ruch, każdy dźwięk wydawał się wyolbrzymiony. Jamie przyciskał ją do siebie tak mocno, że z trudem oddychała. Jej ojciec był coraz bliżej; sprawdzał krzaki, jakby szukał małego zwierzęcia. Broń trzymał w ręku. Jamie swoją miał pod marynarką. Wpijała się jej w żebra.

Nagle ujrzała następny strzép sceny.

Potknęła się na korzeniu drzewa, upadła na ziemię. Powietrze uszło jej z płuc. To koniec. Dała się złapać. Krew na kolanach, gałązki we włosach. Nie zostało jej nawet tyle oddechu, żeby płakać.

Tatuś Jamie ukląkł obok niej. On też był zmęczony. Dziwne, ale to on płakał. Powoli odgarnął jej włosy, sprawdził, czy nie złamała sobie jakiejś kości, przyjrzał się zakrwawionemu kolanku.

Delikatnie, bardzo delikatnie wyjął z rany ostre kamyczki. Powtarzał szeptem, że wszystko będzie dobrze. Musi się tylko przyzwyczaić, a potem zrozumie, że on jej nigdy nie skrzywdzi. Nazywał ją swoją córeczką.

Coś trzasnęło w krzakach po prawej. Jamie odwrócił się w tamtą stronę, Harper podniósł głowę. Obaj patrzyli w stronę źródła dźwięku.

Melanie wbiła łokieć w brzuch swojego chrzestnego ojca. Skrzywił się, ale usiłował się opanować. Kopnęła go w wewnętrzną stronę stopy. Wstrząsnęło to nim na tyle, że rozluźnił chwyt; wyrwała mu się z całej siły. Chciał ją złapać za ramię, ale uskoczyła i rzuciła się przed siebie, na prawo, z dala od nich obu.

– Psiakrew! – To Jamie.

– Melanie! – To Harper. Spuściła głowę i przyspieszyła.

Wszystko wydarzyło się jednocześnie. Trzask gałązek. Wydawało jej się, że biegnie szybko, ale jej ojciec chrzestny znalazł się przy niej w ułamku chwili. Sięgnął do jej ramienia. Raptem Harper doskoczył do nich, unosząc broń.

Rzuciła się pomiędzy nich; z boku rozległy się strzały.

Wiedziała że kula leci prosto na nią. A potem ojciec chrzestny skoczył. Jamie zawisł w powietrzu, rozpościerając ręce. Patrzył jej prosto w oczy z napięciem, determinacją, smutkiem.

Kula wbiła mu się w plecy. Wygiął się w łuk i runął na ziemię.

Zobaczyła Harpera; stał tuż przed nią z dymiącym pistoletem.

– Zawsze mi wchodził w drogę – powiedział.

I wymierzył prosto w nią.

David pędził przez zarośla. Potykał się o korzenie, otrząsał się z suchych liści. Widział już coraz wyraźniej, na tyle, żeby poznać, że się zgubił.

Wrócił na szosę, tam skąd zaczął bieg. Ale teraz usłyszał, że z bagażnika drugiego samochodu dochodzi dudnienie.

– Hej! – wołał męski głos. – Niech mi ktoś pomoże!

David wyszarpnął kluczyki ze stacyjki i otworzył bagażnik. Na świat wyjrzał Brian Stokes.

– Co się stało? – spytał David, pomagając mu się wydostać. Brian dotknął nosa, który wyglądał jak rozbity młotkiem.

– Harper... Ma broń. Uderzył mnie.

– Dlaczego?

– Bo nie chce... żebym pomógł Melanie. Muszę pomóc Melanie. Zrobił krok naprzód, ale osunął się na asfalt.

– Ty nie rozumiesz... Harper musi się zabezpieczyć. Musi... ją zabić.

– Dlaczego? To jego córka.

– Nie... Jamiego... Nie rozumiesz? To córka Jamiego.

Ostatni kawałek wskoczył na miejsce, a zaraz potem nadeszła myśl, że Harper naprawdę musi zabić Melanie. Jasna cholera!

Jakby na potwierdzenie, powietrzem wstrząsnął huk strzału.

– Pomóż jej! – krzyknął Brian.

David popędził przed siebie.

Melanie upadła na kolana, nie zwracając uwagi na Harpera i jego broń. Jamie patrzył tylko na nią. Ręka drżała mu lekko, usta łąpały powietrze. Melanie usłyszała syczący dźwięk i zdała sobie sprawę, że został postrzelony w płuco. Powietrze z niego uciekało razem z życiem.

Boże. Wiedziała, że to bez sensu, ale spojrzała na ojca, oczekując od niego pomocy. Harper stał bez ruchu. Sam też wydawał się wstrząśnięty. Może nie zamierzał pociągać za spust, może nie chciał nikogo skrzywdzić.

– Tato... – szepnęła. – Jesteś lekarzem... Proszę...

Nie zareagował.

Zostawiła go i wróciła do Jamiego..

– Prze... praszam... – wyszeptał.

- Ciii... Oszczędzaj się, powiesz mi później.
- Nie... pamiętałaś... Chciałem... żebyś... sobie...

Na wargi wystąpiła mu krwawa piana. Oczy wywróciły się białkami do góry i zniknęły za trzepoczącymi powiekami. Melanie ścisnęła go za rękę.

- Nie! Nie umieraj! Nie pozwolę ci...

Spojrzał na nią ze smutkiem i wiedziała już, że jest za późno.

- Egoista... jak Harper. Annie ma rację... Nie jestem lepszy. Meagan...
- Jamie...

– Kocham cię, dziecko... moja córeczko...

- Nie, Jamie, nie...

Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje. Usiłowała go utrzymać przy życiu, zatamować ręką krwotok. Krew, tyle krwi. Spływała po żebrach, leciała z ust. Czowała drżenie Jamiego.

- Niech cię szlag! – krzyknęła. – Nie waż mi się umierać! Nie możesz mi tego zrobić!

Zawsze będziesz moją córeczką. Tak powiedział. Choćbyś poszła nie wiadomo gdzie, nigdy nie będziesz sama.

Zapomniałam. Zapomniałam. Nie pamiętałam niczego. Och, Jamie... Przepraszam.

- Meagan...

- Tak, Jamie?

- Powiedz to... teraz...

- Co?

- Nazwij mnie... tatą...

- Tato – załkała. – Tato...

Ostatni oddech uleciał z niego w cichym westchnieniu i już było po wszystkim. Jamie O'Donnell leżał w bezruchu. Odszedł.

W krzakach rozległ się hałas. Patricia i Ann Margaret wypadły z zarośli, podrapane, z liśćmi we włosach. Z prawej strony dobiegł trzepot spłoszonych ptaków. David Riggs wybiegł z bronią w ręce.

Wszyscy zamarli w bezruchu. Zakrwawione ciało Jamiego O'Donnella leżało na ziemi. Melanie klęczała nad nim ze łzami w oczach. A Harper...

David uniósł broń w tej samej chwili, gdy Harper wymierzył w Melanie.

- Stać! – krzyknął. – FBI.

- Harper, na miłość boską! – załkała Patricia.

- Milcz – warknął. – Niech się tylko ktoś ruszy, a zacznę strzelać!

Jakie to dziwne, pomyślała Melanie. Miała wrażenie, że widzi swojego przybranego ojca po raz pierwszy w życiu. Rysy, które zawsze wydawały się jej olśniewające, były rozmyte i pobrużdzone zmęczeniem. Kwadratowy podbródek nie oznaczał siły. Jasne oczy patrzyły niepewnie.

Oto człowiek, którego przez prawie całe życie uważała za ojca. I kochała. Egoista, podstępny intrygant, który sprzedał ją za milion dolców i sam jeden zniszczył ich rodzinę.

- Powiedz to! – krzyknęła dziko. – Raz wreszcie nam powiedz, co zrobiłeś.

– Nie masz pojęcia o niczym! Zrobiłem to, co trzeba. To, co leżało w interesie naszej rodziny.

- Zabrałeś naszą córkę! – wrzasnęła Patricia. – Co to za interes rodziny?

– Nie naszą, twoją! Bękarta O'Donnella, którego chciałaś mi wcisnąć, jakbym się nie mógł domyślić. Naprawdę myślisz, że jestem głupi? Boże, co ty mi zrobiłaś. Kochałem cię.

– Naprawdę? Trudno się było zorientować, skoro ciągle siedziałaś w pracy.

– Chciałem nam zapewnić przyszłość. A może nie przyszło ci do głowy, skąd się biorą te pieniądze, które tak lubisz wydawać?

– Wydaję pieniądze, bo nie mam nic innego do roboty! Na litość boską, gdybyś mi tylko powiedział... Ty idioto, mogłabym żyć jak nędzarka, byle z tobą. Dla ciebie rozstałam się z Jamiem. Naprawdę cię kochałam. Naprawdę chciałam... Boże, ja się zastanawiałam, jak uratować to małżeństwo, a ty porwałeś naszą córkę! Związałeś ją? Wywlokłeś z samochodu?

– Nie! Poza tym to nie ja, tylko Jamie.

– Zrobił to, bo musiał – wtrąciła Ann Margaret. – Bo zasugerowałeś, że jeśli nie pomoże ci w wyłudzeniu tych pieniędzy, możesz popełnić prawdziwe morderstwo.

– Byłem zraniony, zły...

– Chciwy – powiedział David zimno. Melanie zauważyła, że ocenia sytuację i przechodzi niepostrzeżenie w miejsce, z którego miał lepszą linię strzału.

Mało ją to obchodziło. Jej ojciec leżał martwy na ziemi. Człowiek, który ją adoptował, mierzył do niej z pistoletu. Czuła się zdradzona i wściekła. Potem przypomniała sobie, że pistolet Jamiego ciągle tkwi pod jego marynarką.

– Jak to zrobiłeś? – spytał David, przesuwając się dyskretnie w lewo. – Byłeś zdenerwowany i splukany. Uznałeś, że rozegrasz tę sytuację na swoją korzyść. Pozbędziesz się Meagan i zyskasz milion dolarów. Bardzo sprytne.

– Inteligencja zawsze była moją mocną stroną. Może się pan nie wysilać. Nie przyznam się do niczego.

– Nie musisz – oznajmiła pogardliwie Ann Margaret. – Ja wiem wszystko. Też tam byłam. Jako żona Russella Lee Holmesa.

Uśmiechnęła się krzywo.

– Zacznijmy od samego początku. Harper uknuł ohydny plan. Wiedział, że Meagan nie była jego córką i mało go wzruszało, że przez całe życie wpatrywała się w niego jak w obraz. Chciał się jej pozbyć z domu. Jamie zrobiłby dla niej wszystko, więc się zgodził. Zainscenizował porwanie, umieścił ją w bezpiecznym miejscu...

– W szopie! – ryknął Harper. – Tak traktował własne dziecko!

– A co miał zrobić? Jako przyjaciel rodziny musiał pozostać przy was przez cały okres poszukiwań. I nie mógł się raptem pokazywać w towarzystwie małej dziewczynki. Gdyby ją zostawił u przyjaciela, ten przyjaciel mógłby cię potem szantażować. Gdyby ją umieścił w hotelu, ktoś na pewno by usłyszał płacz dziecka. To ty się upierałeś, żeby wszystko było idealnie. Więc zamknął ją w szopie w środku lasu, gdzie nikt jej nie usłyszał i nie mógł znaleźć. Nie był to chwalebny czyn i Jamie się tym gryzł. Ale pomysł był dobry. Meagan zniknęła, ty mogłeś napisać list z żądaniem okupu, a Jamie wycisnął z siebie kolejne sto tysięcy, żeby ci pomóc.

– Brian wiedział, że nie dostarczyłeś okupu – wtrącił David. – Jezu, Harper, ty naprawdę nie znasz umiaru.

Harper nie stał spokojnie. Za każdym razem, kiedy ktoś się odzywał, odwracał się w jego kierunku. David to zauważył. Melanie także. Powoli osuwała się w dół, coraz bliżej broni pod

marynarką Jamiego.

– Policja natychmiast zaczęła dochodzenie ciągnęła Ann Margaret. – Tak jak się spodziewaliście. Byłeś sprytny, Harper, nikt nie mógł powiązać cię z tym żądaniem okupu, ale od razu się zorientowałeś, że paru rzeczy nie dopatrzyłeś. Prawda? Dostałeś sto tysięcy dolarów, ale nie mogłeś ich wydać. Policja od razu by to zauważyła. Musiałeś więc mieć pieniądze, z których mógłbyś się rozliczyć. Ubezpieczenie. Ale do tego celu było ci potrzebne ciało dziewczynki. Więc jeszcze raz zwróciłeś się do Jamiego. Musiał dla ciebie znaleźć odpowiednie zwłoki. Zwłoki czteroletniej dziewczynki, z grubsza odpowiadające opisowi Meagan.

Melanie zamarła z ręką na marynarce Jamiego.

– Czy... on kogoś...

– Skąd! Pamiętasz, że to on identyfikował zwłoki? Zaczekał, aż trafią mu się najbardziej odpowiednie. Czekał przez cztery miesiące, cztery straszne miesiące, kiedy policja przetrząsała życie twojej rodziny. Wreszcie ukradł zwłoki z kostnicy w Missisipi. Obciął im palce i głowę, żeby nie można było zidentyfikować ciała na podstawie odcisków palców i zdjęć rentgenowskich, owinął ciało w kocyk. O tym powiedział mi dopiero po latach. Sam w lesie, z tym małym ciałkiem... Kopał płytki grób, starał się nie zostawiać śladów. I czuł się strasznie, jakby sam zamordował to dziecko. Był tak wstrząśnięty, że prawie nie mógł się przełamać. Była taka malutka... śliczna mała dziewczynka, która nie wróci nigdy do domu. Płakał. Ale włożył ją do płytkiego grobu, żeby psy mogły ją łatwo odnaleźć. Była bardzo podobna do Meagan, więc policja dała się przekonać, kiedy Harper zidentyfikował ją jako swoją córkę. Boże, co to był za dzień.

Patricia pobladła. Nawet Harper zmarszczył brwi i zaklął.

– Dlaczego nie chcieli się odczepić? Zrobiliśmy wszystko zgodnie z planem, a oni złapali Russella Lee Holmesa i nie znaleźli u niego nic, co należałoby do Meagan. Jezu Chryste, skąd mieliśmy wiedzieć, że aresztują tego drania zaraz w następnym tygodniu? – Spojrzał pogardliwie na Ann Margaret. – Twój mąż nie dorastał mi do pięt.

– Chwała Bogu – odparła zimno.

– A potem? – spytał David od niechcenia. Przez ten czas zdołał się niepostrzeżenie zbliżyć do Harpera. Przy tyłu osobach najbezpieczniej było zmniejszyć dystans pomiędzy nim a celem. Potem zdał sobie sprawę, że Melanie także zmieniła pozycję. Prawie siedziała na zwłokach Jamiego. Trzymała rękę pod jego marynarką. Co ona wyprawia?

– Harper sprzedał duszę diabłu – mówiła dalej Ann Margaret. – Wysłał Jamiego, żeby porozmawiał z Russellem Lee. I zawarli umowę. Russell Lee obiecał się przyznać do jeszcze jednego morderstwa, a w zamian Harper Stokes i Jamie O'Donnell przyrzekli, że wychowają jego dziecko w dostatku. Mieli mu dać wszystko, czego Russell Lee nigdy nie miał. A choć Russell Lee był z pewnością wcielonym diabłem, bardzo się szczyił swoim synem.

Melanie spojrzała pytająco na Ann Margaret.

– Naprawdę się zgodzili zaopiekować jego dzieckiem? Więc kto to jest?

– William, kochanie. William Sheffield był moim dzieckiem. Oddałam go do sierocińca w dniu, gdy aresztowano Russella Lee. Bałam się, że znajdzie nas jakiś dziennikarz i zmieni nam życie w piekło. Naprawdę myślałam, że tak będzie najlepiej. A kiedy Russell Lee i Harper dobili targu, dostałam dokumenty. Harper i Jamie musieli napisać, co zrobili, i złożyć pod tym swoje podpisy. Zdeponowałam te papiery w skrytce bankowej i zostawiłam instrukcję, żeby wysłano je

policji, gdyby coś mi się stało. Wreszcie przeprowadziłam się do Bostonu, gdzie mogłam zacząć od nowa, działać coś w życiu i, oczywiście, mieć oko na Harpera. A co do Williama...

Zawahała się. Na policzki wypłynął jej rumieniec.

– Byłam pewna, że w sierocińcu będzie mu lepiej niż ze mną. Co roku wysyłałam pieniądze, żeby niczego mu nie brakowało. Zakonnicy obiecali, że się nim zajmą... Miał wejść w życie bez obciążeń, bez strachu, że znajdzie go jakiś Larry Digger. A pieniądze... Sama urodziłam się w nędzy i byłam pewna, że pieniądze zmieniają wszystko. Więc chyba też nie jestem lepsza od Harpera.

– Nie – odezwała się Melanie. Coś się w niej zmieniło i ta zmiana odzwierciedliła się na jej twarzy. Chłód. Spokój. – Wszyscy jesteśmy od niego lepsi. Bo to się nie skończyło, prawda, tato? Minęło pięć lat, Russell Lee wreszcie zginął i tajemnica była bezpieczna. A jak wyglądała twoja rodzina? Ta rodzina, której tak był podobno potrzebny ten milion? Mama piła, Brian ciągle chodził na psychoterapię, a ty nie wychodziłaś ze szpitala, żeby nie oglądać swojego dzieła. I nawet wtedy się nie zmieniłaś. Jamie do ciebie zadzwonił... teraz pamiętam, że siedziałam w hotelowym pokoju w Londynie. Słyszałam tę rozmowę, ale jej nie rozumiałam. Jamie powiedział, że twój plan się powiódł, wszystko się udało i czy nie mógłbyś mu teraz czegoś oddać. Ja tęskniłam za mamą, a mama i Brian tęsknili za mną. Jamie powiedział, że wszystko załatwi. Sprawi, że o wszystkim zapomnę. Zostawi mnie w szpitalu, żeby Harper mógł mnie „znaleźć”. I adoptować. Tym razem nawet nie musiałby udawać, że jest moim prawdziwym ojcem. Tym razem mógłby wystąpić jako szlachetny człowiek, przyjmujący pod swój dach bezdomną dziewczynkę. To ci pasowało, co? Od razu spodobała ci się ta rola. Harper patrzył na nią płonąącym wzrokiem.

– I nawet wtedy wszystko spieprzyłeś! Bez opamiętania wydawałeś pieniądze. Zostałeś wspaniałym chirurgiem, zarabiałeś coraz więcej, ale ciągle było ci mało. Niczego się nie nauczyłeś! I nagle minęło dwadzieścia lat, a ty nie byłeś już tym szlachetnym żywicielem rodziny, za jakiego chciałeś uchodzić. Zaczęłaś kroić zdrowych ludzi, żeby tylko wyrwać z nich trochę kasy. Pogwałciłeś przysięgę Hipokratesa. Dlaczego nie? Już popełniałeś gorsze rzeczy i jakoś ci się udawało...

– Nikogo nie skrzywdziłem!

– Skrzywdziłeś wszystkich! Moją matkę, mojego brata. Mnie! I ryzykowałeś życiem pacjentów, którzy ci zaufali. A ten człowiek, który zastrzelił Larry'ego Diggera i miał zastrzelić mnie? Ty go wysłałeś. Ktoś się dowiedział, ktoś przysyłał ci listy i bałeś się, że po tych wszystkich latach prawda wyjdzie na jaw. Więc wynająłeś kogoś, żeby mnie zabił. Czy jego też zabiłeś? Bo byłeś za skąpy, żeby mu zapłacić?

– Nie, nie! To Jamie go zabił. To Jamie jest mordercą!

– Jamie nas chronił! Zrobił wszystko, żebyśmy była bezpieczna. Zasłonił mnie własnym ciałem, kiedy do mnie strzeliłeś. Na miłość boską, był twoim przyjacielem, a ty go zabiłeś!

– Uwiodł mi żonę!

– A ty uwiodłeś połowę pielęgniarek w szpitalu! Jak śmiesz!

– Do diabła, nic nie rozumiesz! – W głosie Harpera odezwały się przenikliwe nutki hysterii. David zrozumiał, że za chwilę rozpęta się piekło.

Wymierzył prosto w jego czoło i właśnie wtedy Patricia Stokes stanęła przed mężem.

– Nie skrzywdzisz mojej córki!

– Patricio, nie! – krzyknął David.

Teraz ruszyła także Ann Margaret. Harper wymierzył broń w żonę, krzycząc, żeby zeszła mu z drogi, bo ją także zabije. Jak mogła go tak skrzywdzić, wołał, przecież ją kochał, i dlaczego się tak upierała, dlaczego nie mogła się pogodzić ze stratą córki O'Donnella? Bo ciągle go kochała, oto dlaczego. Zawsze bardziej kochała tego O'Donnella.

David rozpaczliwie usiłował zapanować nad sytuacją. Patricia wrzasnęła, że to nieprawda, zawsze bardziej kochała Harpera, tylko on tego nie widział, bo zaślepiła go duma. A ona była taka pewna, że kiedyś wreszcie będą szczęśliwi! Co się stało z ich marzeniami? Jak mógł ich doprowadzić do takiego stanu? Jak mógł grozić własnej córce, zamordować przyjaciela?

Potem usłyszał Melanie. Jej płacz. Ona pierwsza zauważyła, że Harper już nie myśli, że zaraz zastrzeli żonę, a David go nie powstrzyma. Wyciągnęła coś zza marynarki Jamiego. Broń. Melanie miała broń.

– Ann Margaret, padnij! – ryknął David. W tej samej chwili Harper odwrócił się i dostrzegł nowe zagrożenie. Rzucił się ku Melanie. Do diabła, Patricia ciągle stała Davidowi na drodze. Nie mógł strzelać!

Harper wrzasnął. Twarz mu się wykrzywiła, w oczach błysnęło coś obcego i strasznego. Melanie wstała i stanęła przed nim, spokojna, gniewna.

– Melanie, nie! Patricio, odsuń się! Padnij!

Brian Stokes stanął za plecami ojca. Uniósł masywną gałąź i uderzył nią z rozmachem w głowę Harpera.

Harper osunął się na ziemię. David rzucił się ku niemu, w biegu wyciągając kajdanki. Zatrzasnął je na rękach Harpera. Ann Margaret i Patricia stały jak skamieniałe, blade i oszołomione.

Brian patrzył na nich szeroko otwartymi oczami. Ciągle ścisnął gałąź. Posiniaczona, opuchnięta twarz nadawała mu upiorny wygląd. Odnalazł wzrokiem siostrę.

– Meagan? – szepnął. – Och, Meagan...

– Brian! – załkała i rzuciła mu się w ramiona. Patricia podbiegła do nich, objęła swoje dzieci, przytuliła je do siebie. Nareszcie razem. Wszyscy zaczęli płakać.

David i Ann Margaret stali z boku. Nad lasem zapadła cisza. Po paru minutach rozległ się śpiew ptaków, jakby nic się nie wydarzyło.

Po dwudziestu minutach, gdy przyjechała policja, Patricia nadal płakała w objęciach Briana. Ale Melanie była już w ramionach Davida. Teraz to on tulił ją do siebie i delikatnie gładził po włosach.

Epilog

W dniu pogrzebu Jamiego O'Donnella padał deszcz. Minęło wiele tygodni, zanim lekarz sądowy pozwolił na zabranie jego ciała. Patricia znalazła katolickiego księdza, który odprawił nabożeństwo. Ann Margaret wiedziała, że Jamie chciał być skremowany. Brian i Melanie wybrali miejsce rozrzucenia jego prochów – Newport Cliff Walk. Zabierał ich tam wiele razy twierdząc, że uwielbia szum fal, rozbijających się o nabrzeże. Ten szum przypominał mu Irlandię.

Teraz Melanie, Ann Margaret, Patricia, Brian i Nate stali w milczeniu przed księdzem. Melanie nie rozumiała ani jednego słowa. Ostatnio mało ją obchodziła nadzieja, chwała i sprawiedliwość. Miała dość słów. Za łatwo je wypowiedzieć, za łatwo w nie uwierzyć.

Patrzyła w mroczną, gniewną wodę, kotłującą się u jej stóp. To dziwne, pomyślała, ale Harper powinien tu być. Ten pogrzeb to także jego sprawa. A choć się do tego nie przyznawał, podejrzewała, że on także odczuł stratę Jamiego O'Donnella i także go opłakiwał.

Doktor Harper Stokes siedział w więzieniu. Stany Teksas i Massachusetts oraz FBI walczyły między sobą o niego, spierając się, czyja sprawa jest ważniejsza. Na razie przewaga leżała po stronie federalnych. Dom Stokesów na Beacon Street trząsł się w posadach. Zamrożono konta bankowe, przetrząsano wszystkie dokumenty. Melanie, jej matka i brat tak często byli wzywani na przesłuchania, że recepcjonista w FBI zaczął ich poznawać.

Równie wiele czasu Melanie spędzała z detektywem Jaksem. Opisywała mu swoje ostatnie, fatalne spotkanie z Williamem. Na razie nie postawiono jej żadnych zarzutów. Adwokat twierdził, że wybroczyny na jej twarzy oraz fakt, iż broń należała do Williama, niezbicie świadczą o jej działaniu w obronie własnej. Najprawdopodobniej sąd nie zechce marnować czasu na jej sprawę. Chociaż tyle.

A zatem nie przejdzie przez życie z piętnem morderczyni. Ale jednak zabiła. Nie wiedziała, czy to znaczy, że jest morderczynią, ale ostatnio nie wiedziała już niczego.

Pewnego dnia, dokładnie dwa tygodnie po śmierci Jamiego, obudziła się zrana zimnym potem. Znowu śniła się jej szopa i pobyt w Londynie. Ale tym razem Jamie mówił, że nie zniesie jej ani chwili dłużej. Nie chce być jej ojcem. Jest brzydka, nienawidzi jej i chce ją oddać.

Pobiegła w popłochu do więzienia, gdzie trzymano Harpera, i zażądała spotkania. Musiała to wiedzieć, musiała go spytać. Czy Jamie naprawdę ją kochał? Czy Harper jej to powie? Ciągle nie pamiętała wielu rzeczy, a chciała usłyszeć, że obaj ją kochali, że Harper nigdy nie chciał jej skrzywdzić, nawet ten płatny morderca to nieporozumienie. Kochał ją, Jamie także, tylko wszystko się pomieszało. Dwaj mężczyźni i zazdrość, jeden mężczyzna i chciwość. Zawinili inni, nie ona.

Ale Harper nie zgodził się na widzenie. Od aresztowania nie chciał się spotykać z nikim, nawet z żoną.

Wróciła do samochodu jak we śnie. Ruszyła, nie zastanawiając się nad niczym.

I ku własnemu zdziwieniu znalazła się pod drzwiami mieszkania Davida.

Od czasu przybycia policji, jeszcze w Teksasie, ani przez chwilę nie byli sami. On znowu stał się agentem specjalnym, prowadzącym dochodzenie w sprawie przeciwko Harperowi Stokesowi. Oczywiście agenci nie mogli wchodzić w bliskie związki ze świadkami. Melanie to rozumiała. Agenci musieli być posłuszni regulaminowi, a David na ogół go przestrzegał. Dlatego był tak różny od jej dwóch ojców.

Ale tamtej nocy posłała to wszystko do diabła. Załomotała do jego drzwi, a kiedy otworzył, rzuciła mu się w ramiona. Nie odepchnął jej. Wyraz jego twarzy powiedział wszystko – tęsknota, pragnienie bliskości, pewność, że to w Teksasie było prawdziwe, że to nie epizod. Kochali się w korytarzu, tuż pod drzwiami. Potem w kuchni, a kiedy wreszcie dotarli do sypialni, zaczęli od nowa.

Minęło kilka godzin. Melanie wstała, ubrała się i wyszła bez słowa, tak jak przyszła. David nic zadzwonił do niej. Uznała, że dopóki toczy się śledztwo, nie wolno mu nawet tego.

Odczekała pięć dni i pojawiła się znowu. I jeszcze raz za trzy dni. Nigdy nie rozmawiali, jakby zdawali sobie sprawę, że postępują nie fair. Ale ich ręce, wargi i ciała mówiły wszystko, spragnione, rozgorączkowane, nieprzytomne. Melanie wierzyła im bardziej niż cemukolwiek, co miało miejsce w jej życiu.

Matka i Ann Margaret starały się jej pomóc. Przeważnie siadywały we trójkę na patio. Ann Margaret i Patricia opowiadały jej o życiu w Teksasie.

Podczas tych sesji dowiedziała się wiele o Jamiem. Ze kochał jej matkę, ale nigdy nie zdołał jej całkowicie odebrać Harperowi. Ze kochał Ann Margaret, ale w destrukcyjny sposób. Że wydawał się kochać Melanie, choć nawet ta miłość była dziwna i tragiczna.

Jamie wyznaczył Melanie na swoją spadkobierczynię. Na koncie w szwajcarskim banku czekały na nią miliony dolarów. Ona i matka miały do końca życia nie zaznać biedy. Ann Margaret dostała dożywotnią rentę.

Policja znalazła elektroniczne urządzenie zniekształcające głos, którego używał podczas rozmów telefonicznych. Znalazła także strusie pióra i dziwny obraz, przedstawiający kobietę i dwie przedziwne bestie. Pióra były przeznaczone dla Patricii – to za to, że chowała głowę w piasek, nie chcąc widzieć uczynków męża. Obrazek był dla Ann Margaret, która zadała się nie z jednym, lecz dwoma potworami.

Ann Margaret twierdziła, że Jamie wiedział o przestępstwach każdego z ich kręgu. Owoc na łóżku Williama to było jabłko, które nigdy nie pada z dala od jabłoni. Jamie widział nawet, jak Brian wyciągnął walizkę z pieniędzmi. Czekał, aż chłopczyk ogłosi swoje znalezisko. Ale tak się nie stało.

Jamie był także utalentowanym włamywaczem. Znał się na najrozmaitszych systemach alarmowych. Umiał niepostrzeżenie podrzucać swoje prezenty.

I wreszcie Jamie O'Donnell miał motyw. Lekarz sądowy wyjaśnił, że ojciec Melanie miał sekret, którego nikomu nie wyjawiał. Umierał na raka żołądka. Zostało mu niespełna pół roku życia.

To dlatego postanowił wreszcie ujawnić prawdę. Tak twierdziło FBI.

Ann Margaret miała nieco inną teorię.

– Kiedy Stokesowie cię adoptowali – mówiła – musiałś zachowywać się, jakbyś ich widziała po raz pierwszy w życiu. Tak jak przewidział Jamie, od pierwszej chwili wydawało się, jakbyś poznała matkę. Tak samo było z Brianem. Zaakceptowałaś nawet Harpera i zawsze byłaś wobec niego bardzo opiekuńcza. A potem rodzice poznali cię z Jamiem. Pamiętasz, co się wtedy stało? Ten człowiek był twoim prawdziwym ojcem. Wywiózł cię ze stanu, żeby uratować cię przed Harperem. Zmienił swoje życie, żeby być przy tobie, a potem się ciebie wyrzekł, z miłości do Patricii i ciebie. A ty na niego spojrzałaś i cofnęłaś się z przerażeniem. Bałaś się go. Chyba nigdy tego nie zapomniał, kochanie. Chyba nigdy nie zapomniał, że to Harpera kochasz, a on

budzi w tobie strach. Są rzeczy silniejsze od raka. Jedną z nich jest miłość.

– Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko – czytał ksiądz. – Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce. Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno. Wtedy zaś zobaczymy twarzą w twarz. Teraz poznaję po części, wtedy zaś poznam tak, jak i zostałem poznany.

Przyszła jej kolej. Wstała. Podniosła urnę. Była zaskakująco ciężka, masywna, jednak nie tak jak Jamie, kiedy jeszcze był wśród nich. Na znak księdza zdjęła przykrywkę.

Czy kiedykolwiek się jeszcze spotkamy, Jamie? Tak wiele pytań chcę ci zadać. Tak wiele chciałabym zrozumieć... Tak bardzo cię kocham i podziwiam, tak bardzo nienawidzę.

Wierzę, że mnie kochałeś, że zrobiłeś to, co wydawało ci się właściwe. Poświęciłeś się dla mnie, dla mojej matki, i za to cię kocham i wybaczam ci wszystko. Odejdź w pokoju i niech cię Bóg błogosławi.

Odwróciła urnę dnem do góry. Prochy sfrunęły w dół w wilgotnym mglistym powietrzu. Zawirowały i rozproszyły się nad falami.

Patricia i Ann Margaret odeszły. Za nimi szedł Brian i Nate. Cicho rozmawiali. Melanie szła na końcu, zupełnie sama. Usiłowała nie czuć pustki, ale nie całkiem jej się udawało.

Zbliżyli się do końca bulwaru, gdzie czekały trzy samochody. I czwarty, którego nie знаła. Jakby na sygnał mężczyzna w ciemnym garniturze oparł się o drzwi od strony pasażera. Melanie zobaczyła jego twarz.

Rzuciła się ku niemu biegiem, nie dbając o to, kto ją zobaczy.

– David!

Zatrzymała się tuż przed nim, nagle niepewna i przestraszona. W granatowym garniturze wyglądał oficjalnie i surowo. Ale jego twarz natychmiast złagodniała, oczy zabłyśły. Ból, który ścisnął jej serce, nagle się rozpląnął.

– Cześć – powiedział David.

– Cześć.

– Ładna ceremonia.

– Słyszałeś?

– Podeszedłem parę kroków, ale nie chciałem pchać się bliżej.

– Mógłbyś – oznajmiła bez namysłu. – Mnie by to nie przeszkadzało. Uśmiechnął się lekko i musnął palcem jej policzek. Zamknęła oczy, żeby skoncentrować się na dotyku, a kiedy je znowu otworzyła, opuszek jego palca był mokry. Od jej łez.

– Nadal prowadzisz sprawę? – spytała. – Powiedz, jesteś tu w ramach obowiązków, czy tylko po to, żeby się nade mną znęcać?

– Skończyłem.

– Naprawdę?

– Tak. Dziś rano. Oddałem materiały do prokuratury. Jestem wolny. No i pomyślałem, że powinienem cię znaleźć.

– Och... – gardło jej się ścisnęło. – Och... – spróbowała znowu. Dała za wygraną i rzuciła mu się w ramiona. Objął ją mocno.

– Tęskniłem.

– Ja też.

– Chciałem sprawdzić, jak ci leci.

– Wiem, wiem.

Nagle przechylił jej głowę i spojrzał w oczy z napięciem.

– Biorę lekarstwa – rzucił pospiesznie. – Lepiej chodzę, lepiej się ruszam. I dostałem awans. Mam etat. Ale, Mel, nie rozegrałem tego tak, jak powinienem.

– Davidzie, kocham cię.

Przytulił ją. Po chwili wymamrotał:

– Chwała Bogu. Ojciec powiedział, że prawdopodobnie wszystko skopałem i powinienem cię zaprosić do nas już dawno. Według niego to by zrobiło jakąś różnicę. Nie twierdzę, że go rozumiem. Po wszystkim, co mu nagadałem, pewnie chciał cię sam obejrzeć.

– Naprawdę? A mama pytała, czy jeszcze do nas zajrzysz. Ann Margaret kazała jej milczeć i zająć się sobą. Powiedziała, że żadna z nich nie ma prawa się mądrzyć w kwestii mężczyzn.

Roześmiał się.

– Ciekawa uwaga.

Chwyciła go za klapy.

– No, powiedz to, do cholery! To był okropny miesiąc. Chcę to usłyszeć. Wszystko!

– Kocham cię, Melanie. Chcę sobie z tobą ułożyć życie, mieć dzieci i razem się zestarzeć. Chcę spędzić z tobą każdy dzień mojego życia.

Jej zaciśnięte gardło wreszcie się rozluźniło. Mgła zniknęła z oczu. Teraz widziała wyraźnie. Ona, on, prawdopodobnie dwójka dzieci. I może golden retriever.

Rodzina. W końcu jej własna rodzina.

Śmieszne, ale nagle zobaczyła uśmiechniętego Jamiego O'Donnella i czteroletnią Meagan Stokes, nareszcie szczęśliwą.

Melanie Stokes szepnęła:

Podziękowania

Jak zwykle, jestem zobowiązana wielu osobom za pomoc i cierpliwość przy nadawaniu tej książce waloru realizmu. Jestem, jaka jestem, więc w wielu sprawach popuszczałam wodze wyobraźni, ale usiłowałam zachować maksymalną zgodność z rzeczywistością. Oczywiście wszystkie błędy wynikają z mojej winy. Dziękuję:

Agentce Specjalnej Nidii C. Gamba i dyrektorowi wydziału przestępstw gospodarczych w służbie zdrowia, Johnowi C. Ekenrode z FBI. Wiem, że nie zdołałam oddać sprawiedliwości waszej pracy, ale próbowałam i mam nadzieję, że weźmiecie to pod uwagę.

Bobowi i Kim Diehlom, byłym pracownikom teksańskiego wydziału penitencjarnego. Nie każdy odpowie na e-maile zupełnie obcej osoby, zwłaszcza jeśli ta osoba dopytuje się o konkretne szczegóły egzekucji na krześle elektrycznym.

Larry'emu Jachrimo, rusznikarzowi i prawdziwemu artyście. Nigdy nie lubiłam broni palnej, ale dzięki tobie zaczęłam dostrzegać jej dobre strony.

Organizacji do Spraw Artretyzmu za ogólne informacje o tej chorobie oraz mojemu bratu, który z nią żyje. Im starsi się stajemy, Rob, tym bardziej cię podziwiam.

Jennifer Carson, pielęgniarce, mojej koleżance z college'u i jednej z niewielu przedstawicieli służby zdrowia, którzy się nie spłoszyli, kiedy ich pytałam o trucizny. Jesteś sprytna, Jenn, i kocham cię za to.

I wreszcie mojej agentce, Damaris Rowland, za przejechanie się ze mną kolejką śmierci, oraz mojemu niedawno poślubionemu mężowi, miłości mojego życia. Bez ciebie nie mogłabym tego dokonać.